

Ann Cleeves

BIEL NOCY

„MISTERNIE SKONTROWANA, TRZYMAJĄCA
W NAPIĘCIU ZAGADKA”

— WASHINGTON POST



**Ann
Cleeves**

BIEL NOCY

**Przekład
Sławomir Kędziński**



Tytuł oryginału: *White Nights*
Copyright © Ann Cleeves, 2008
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2018

Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk
Redakcja: Dorota Kielczyk
Korekta: Alicja Laskowska, Karolina Borowiec
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl
Projekt okładki i stron tytułowych: Pola i Daniel Rusiłowiczowie

Fotografie na okładce:
Enrique Aguirre / Shutterstock
Akugasahagy / Shutterstock
Fotografia autorki na skrzydełku: Micha Theiner

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wykorzystanie przekładu za zgodą Wydawnictwa AMBER Sp. z o.o.

ISBN 978-83-7976-076-3

CZWARTA STRONA
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

PROLOG

Pasażerowie wysypali się ze statku wycieczkowego na brzeg. W lekkich okularach przeciwsłonecznych, marynarkach, z związanymi wokół ramion swetrami. Uprzedzono ich, że daleko na północy pogoda jest nieprzewidywalna. Statek był tak duży, że patrząc na niego z tej perspektywy, z doków Morrisona, miasto w tle wydawało się niepozorne. Rzędy nad rzędami okien, każde z własnym balkonem, pływająca metropolia. W Lerwick było wczesne popołudnie. Słońce odbijało się od nieruchomej wody i olbrzymi biały kadłub błyszczał tak, że trzeba było mrużyć oczy. Na parkingu czekały autobusy; za chwilę turyści pojedą do archeologicznych stanowisk na południu, zobaczyć ptasie klify i pstryknąć tam fotki maskonurom. Potem wyruszą na wycieczkę z przewodnikiem do warsztatów srebrników. W przerwie przystaną pewnie gdzieś na szetlandzki podwieczorek.

Przy trapie stał performer. Żywe dzieło sztuki albo teatr uliczny. Szczupły mężczyzna przebrany za pierrotta. W masce kłowna. Nic nie mówił, odgrywał przed podróżnymi pantomimę. Pokłonił się nisko, jedną dłoń przyłożył do brzucha, drugą wykonywał zamaszysty ruch ku ziemi. Turyści się uśmiechali. Chcieli, żeby ich zabawiano. Być zaczepionym w mieście to jedno - tam pełno żebraków i natrętów, więc najlepiej na nikogo nie patrzeć - ale tu były Szetlandy. Chyba najbezpieczniejsze miejsce na świecie. A poza tym pragnęli poznać tubylców. Bo inaczej o czym będą opowiadać po powrocie?

Kłown miał czerwoną torbę z aksamitu obszytego cekinami. Migotały przy każdym ruchu. Przewiesił ją na ukoś, jak starsze kobiety w obawie przed złodziejem. Wyjął z niej plik drukowanych ulotek i zaczął rozdawać tłumowi.

Wtedy zrozumieli. To chwył reklamowy. Może jednak to miejsce nie różni się tak bardzo od Londynu, Nowego Jorku czy Chicago. Ale nie popsulo im to humoru. Byli na wakacjach. Wzięli jaskrawe, kolorowe karteczki. Wieczór mają wolny.

Może to zaproszenie na jakieś przedstawienie? Poza tym ujął ich ten pierrot. Mimo złowieszczej maski wywoływał uśmiech.

Gdy wsiedli do autobusów, zobaczyli, jak znika w wąskiej uliczce wiodącej do centrum. Po drodze wciąż rozdawał przechodniom ulotki.

ROZDZIAŁ 1

Jimmy Perez, który właśnie przejeżdżał przez miasteczko, dostrzegł kątem oka plecy performerera, ale nie zwrócił na niego uwagi. Myślał o czymś innym.

Przed chwilą wylądował na lotnisku w Tingwall, po krótkim pobycie na Fair Isle, na farmie swoich rodziców. Trzy dni rozpieszczania przez matkę i wysłuchiwanie utyskiwań ojca na niskie ceny owiec. Jak po każdej wizycie w domu zastanawiał się, czemu tak trudno mu się dogadać z ojcem. Nigdy nie było kłótni, prawdziwych antagonizmów, ale zawsze wyjeżdżał z dziwnym poczuciem: winy i niedopasowania jednocześnie.

Poza tym praca. Na biurku czeka pewnie sterta papierzysk. Już same kosztorysy Sandy'ego Wilsona to cały dzień roboty. A jeszcze dokończyć raport dla prokuratora o napaści w barze.

No i Fran. Umówił się, że zabierze ją z Ravenswick o siódmej trzydzieści. Ale przedtem musi wpaść do domu wziąć prysznic. W końcu to randka. Pierwsza prawdziwa randka. Spotykają się i przyjaźnią od pół roku, a mimo to był podekscytowany jak nastolatek.

Podjechał pod jej dom co do minuty, z jeszcze mokrymi włosami, w niewygodnej nowej koszuli, dopiero co wyjętej z opakowania, sztywnej i lekko pozaginanej na torsie. Zawsze denerwowało go dobieranie ubrań. Co wkłada się na wernisaż? I to wystawy prac kobiety, która śni ci się po nocach i zaprzęta twoje myśli w dzień? Z którą masz nadzieję pójść po przyjęciu do łóżka?

Ona też była zdenerwowana. Zauważył to od razu, gdy tylko wsiadła do samochodu. Miała na sobie coś obcisłego i czarnego. Wyglądała tak olśniewająco, że aż nie mógł uwierzyć, jakim był szczęściarzem. Obdarzyła go tym tajemniczym uśmiechem, od którego zawsze wywracał mu się żołądek, jakby właśnie spędził trzy godziny na targanej zachodnim wichrem łodzi pocztowej

„Good Shepherd”. Uściskał jej dłoń. Chciał powiedzieć, że wygląda oszalamiająco, ale nie bardzo wiedział, jakich użyć słów, żeby to nie zabrzmiało prostacko czy protekcyjnalnie, więc całą drogę do Biddista jechali w milczeniu.

Galeria nazywała się Herring House - dawniej suszono tu ryby. Leżała na skraju płytkiej doliny na zachodnim wybrzeżu, tuż nad morzem. Dalej ciągnęło się małe kamienne molo, do którego przybijały rybackie kutry z połowem; paru rybaków wciąż trzymało na plaży łódzie. Wystarczyło wyjść za drzwi i w nozdrza uderzał zapach wodorostów i soli. Bella Sinclair powiedziała, że kiedy przejęła budynek, ściany pachniały jeszcze śledziami.

Bella też wystawiała dziś swoje prace artystyczne. Perez ją znał, jak prawie wszyscy na Szetlandach. Z krótkich pogawędek na przyjęciach, ale głównie z opowieści, jakie ludzie przekazywali sobie nawzajem. Była rdzenną mieszkanką Szetlandów, urodzoną i wychowaną w Biddista. W młodości dzika, mówiono, teraz raczej nieprzystępna i onieśmielająca. I bogata.

Nadal czuł się wytracony z równowagi pośpiechem dnia i poczuciem, że ten wieczór to jego jedyna szansa z Fran. Był taki niezdamny, jeśli chodziło o uczucia. A jeśli się myli? Wyciągnął rękę do Belli i zauważył, że drży mu dłoń. Może udzielił mu się niepokój Fran o to, jak ludzie przyjmą jej obrazy? Kiedy zaczęli krążyć wśród gości, przyglądając się wiszącym na nagich ścianach płótnom, poczuł, że narasta w nim napięcie. Nie bardzo mógł skupić się na tym, co działo się wokół. Rozmawiał z Fran, odpowiadał na pozdrowienia, ale duchem był nieobecny. W skroniach czuł nieznośny ucisk. Jak w upalny, ciężki dzień przed burzą. Zaczął się powoli odprężyć dopiero, gdy poproszono Roddy'ego Sinclaira, żeby dla nich zagrał. Jakby w końcu spadł deszcz.

Roddy stanął obramowany światłem pośrodku sali. Była dziewiąta wieczorem, ale przez okna wycięte w stromym, wysokim dachu wciąż wpadały promienie słońca. Odbijały się od lśniącej drewnianej podłogi i pobielonych ścian i rozjaśniały twarz chłopaka. Przez chwilę stał nieruchomo. Uśmiechał się i czekał, aż goście zaczną na niego patrzeć, całkowicie pewny, że przyciągnie ich uwagę. Rozmowy przycichły i zapadła cisza.

Spojrzał na ciotkę, która posłała mu uśmiech wyrażający jednocześnie pobłażliwość i wdzięczność. Uniósł skrzypce, oparł je pod brodą i znieruchomiał. Po chwili zaczął grać.

Wiedzieli, czego można się spodziewać, i się nie zawiedli. Grał jak szalony. Z tego słynał. Show, no i muzyka. Szetlandzka muzyka skrzypcowa, która zawładnęła powszechną wyobraźnią; puszczano ją w ogólnokrajowym radiu, zachwycali się nią gospodarze programów telewizyjnych. Nie do wiary - chłopak z Szetlandów na zdjęciach w tabloidach, pijący szampana w towarzystwie nastoletnich gwiazdeczek. Na szczycie znalazł się nagle. Gwiazda rocka wskazała go jako swojego ulubionego artystę i teraz Był wszędzie: w gazetach, w telewizji, w czasopiśmie o życiu gwiazd.

Podskakiwał i tańczył, a nobliwi goście - krytyk sztuki z południa i paru szetlandzkich ważniaków z Lerwick - odstawili szkło i zaczęli klaskać do rytmu. Roddy opadł na kolana, po czym powolutku położył się na podłodze. Cały czas grał, nie gubiąc ani jednej nutki. Potem poderwał się, a muzyka wciąż płynęła. W rogu galerii, trzymając się pod rękę, zadziwiająco lekko tańczyła jakaś niemłoda para.

Grał z takim ogniem, że publiczność nie nadązała wzrokiem za ruchem jego palców. Nagle muzyka ucichła. Chłopak się uklonił. Ludzie wiwatowali. Perez już wiele razy widział jego grę, ale występ znów go poruszył. Było w tym poczucie szwinnistycznej dumy, co wprawiało go w zakłopotanie. Spojrzał na Fran. Może dla niej to zbyt sentymentalne. Ale klaskała wraz z innymi.

Bella wystąpiła z cienia i dołączyła do Roddy'ego. Wyciągnęła ramię w teatralnym geście uznania.

- Roddy Sinclair - oznajmiła. - Mój bratanek. - Rozejrzała się. - Szkoda tylko, że więcej osób nie przyszło go zobaczyć.

W galerii rzeczywiście nie było tłumu. Jej uwaga nagle to wszystkim uświadomiła. Bella musiała zdać sobie z tego sprawę, bo zmarszczyła brwi. Najwyraźniej pożałowała, że o tym wspomniała.

Chłopak znów się uklonił, uśmiechnął i podniósł ręce - jedną ze skrzypcami, drugą ze smyczkiem.

- A teraz kupujcie obrazy - powiedział. - Po to przyszliście. Ja jestem tylko na rozgrzewkę. Główną atrakcją są one.

Odwrócił się i wziął lampkę wina ze stojącej pod ścianą długiej ławy.

ROZDZIAŁ 2

Fran wychyliła już kilka lampek wina. Była bardziej zdenerwowana, niż się spodziewała. Gdy pracowała w londyńskim wydawnictwie, często bywała na podobnych imprezach: premierych, otwarciach, wystawach. Kryjąc znudzenie, krążyła wśród gości, rozmawiała i starała się zapamiętać imiona i twarze. Ale tu było inaczej. Niektóre obrazy na ścianach wyszły spod jej pędzla. Czuła się obnażona. Jeśli ludzie odrzucą czy zlekceważą jej prace, to tak jakby ją zlekceważyli. Miała ochotę krzyknąć do zebranych, którzy wymieniali się plotkami z wysp, stojąc plecami do malowideł: „Popatrzcie na obrazy. Potraktujcie je poważnie. Nie spodobają się wam, trudno, ale proszę, potraktujcie je poważnie”.

Poza tym przyszło mniej ludzi, niż oczekiwała. Wernisaże Belli zawsze cieszyły się powodzeniem, ale tych kilka osób, które zaprosiła Fran - które uważała za przyjaciół - nie pokazało się. Może tylko próbowali być uprzejmi, gdy wspomniała im o wystawie. Widzieli jej prace, ale ich nie obchodziły. W każdym razie nie na tyle, żeby przyjść tu w piękny wieczór, kiedy można robić tyle innych rzeczy. O tej porze roku czas spędzało się na grillach u znajomych i nad wodą. Poczula się dotknięta ich nieobecnością.

Perez stanął za nią. Wyczuła jego obecność i odwróciła się. Jej pierwszą myślą - jak zawsze, gdy przyłapał ją w chwili nieuwagi - było to, że chciałaby go narysować. Aż świerzbili ją palce, żeby chwycić węgiel drzewny. Rysunek byłby miękki, linie płynne. W ciemnej tonacji. Perez pochodził z Szetlandów. Jego rodzina żyła na wyspach od szesnastego wieku, ale nie miał w sobie krwi wikingów. Przodka morze wyrzuciło na brzeg po rozbiciu się statku Armady. Przynajmniej taką historjkę jej opowiedział. Podejrzewała, że wierzył w nią, bo świetnie wyjaśniała jego odmienność. Nietypowe nazwisko. Karnację. Wprawdzie na wyspach spotykało się ludzi o podobnie

ciemnych włosach i oliwkowej skórze - miejscowi nazywali ich czarnymi Szetlandczykami - ale tu, na przyjęciu, wyróżniał się egzotycznym, obcym wyglądem.

- Chyba wszystko idzie dobrze - powiedział niepewnie. Dziś wieczorem był w dziwnym nastroju. Nerwy, może. Wiedział, ile dla niej znaczy ta wystawa. Jej pierwsza wystawa. A poza tym ich związek był niedookreślony. Utrzymywała lekki dystans, niezależność. Wiążąc się z Perezem, przyjmie nie tylko jego. Także rodzinę, całą Fair Isle. A on przyjmie samotną matkę pięciolatki. Za dużo rozważań, pomyślała. Tylko że nie umiała się od nich opędnąć. Myślała o nim w długie letnie noce, kiedy nigdy na dobre się nie ściemniało. Obrazy z nim w roli głównej grzechotały jej w głowie jak wrzucane do projektora staromodne slajdy. Czasem wstawała, siadała przed domem i patrząc na słońce, które właściwie nigdy nie zachodziło nad szarą wodą, myślała, jak go narysować. Smukłe ciało odwrócone do niej tyłem. Kości rysujące się pod skórą. Mocny kręgosłup i krągłość pośladków. To wciąż tylko wyobrażenia. Całował ją w policzek, dotykał ramienia, ale na tym koniec fizycznych kontaktów. Może w jego życiu jest inna kobieta, o której marzy, gdy jemu jasność też nie daje spać. A może tylko czeka na jej decyzję.

Wkrótce po tym, jak się poznali, pojechała na miesiąc na południe. Mówiła sobie, że to dla dobra córki. Cassie miała za sobą przeżycia, które wstrząsnęłyby nawet dorosłym, i Fran uznała, że wyjazd na jakiś czas dobrze zrobi małej. Po ich powrocie Perez zadzwonił i zapytał, jak się mają. Zawodowe zainteresowanie, pomyślała Fran, chociaż miała nadzieję, że nie tylko. Przyjaźń się rozwinęła. Fran nie próbowała niczego przyspieszać; była tu wciąż obca i nie bardzo wiedziała, czego się od niej oczekuje. Niepowodzenie pierwszego małżeństwa zniszczyło jej pewność siebie. Nie zniosłaby kolejnego odrzucenia.

- Wcale nie idzie dobrze - odparła. - Prawie nikogo nie ma. - Wiedziała, że to zabrzmie niezbyt uprzejmie, ale nie mogła się powstrzymać. - Można by pomyśleć, że przyjdą przynajmniej napić się darmowego wina i posłuchać Roddy'ego Sinclaira.

- Ale ci obecni wydają się zainteresowani - zauważył. - Tylko popatrz.

Rozejrzała się po sali. Miał rację. Goście oderwali uwagę od wina i muzyki i przechadzali się po galerii, oglądając obrazy,

zatrzymując się od czasu do czasu, by skupić się na czymś szczególnym. Przestrzeń sprawiedliwie dzieliły dzieła jej i Belli. Wystawa miała być retrospektywą Belli Sinclair. Artystka prezentowała trzydzieści lat swoich twórczych dokonań; obrazy i rysunki ściągnięto z kolekcji w całym kraju. Niespodziewanie zaprosiła Fran, żeby też wystawiła własne obrazy.

- Powinnaś być dumna - powiedział Perez.

Nie była pewna, jak zareagować. Liczyła na jakąś pochlebną uwagę o swoim malarstwie. Dziś wieczorem, stremowana i obnażona, komplement przyjąłaby z radością.

Ale on skupił uwagę na gościach.

- O, tam ktoś wygląda na bardzo zainteresowanego.

Podążyła za jego spojrzeniem i zobaczyła mężczyznę w średnim wieku, ubranego elegancko, ale z artystycznym luzem. Szczupła, prawie chłopięca sylwetka. Czarna lniana marynarka narzucona na czarną bawełnianą koszulkę, do tego luźne czarne spodnie. Stał przed wczesnym autoportretem Belli. To była Bella w najbardziej wyzywającym wydaniu. W czerwonej sukni, ze szkarłatną szminką na ustach, zaczesanymi do tyłu włosami, niepokojąca i pełna erotyzmu. Olej z bogatą fakturą grubo nałożonej farby i fantazyjnymi pociągnięciami pędzla.

Potem odszedł, przystanął obok Roddy'ego Sinclaira i zaczął wpatrywać się w dzieło Fran - rysunek Cassie na plaży w Ravenswick. Coś w intensywności jego spojrzenia sprawiło, że poczuła się nieswojo, choć ten obraz nie pozwoliłby mu rozpoznać Cassie na ulicy. Wygląda na wstrząśniętego, pomyślała, nie zaabsorbowanego. Jakby właśnie był świadkiem jakiejś potworności. Albo zobaczył ducha.

- Nietutejszy - stwierdził Perez.

Fran przyznała mu rację. Nie dlatego, że nie rozpoznawała mężczyzny. Ale jego styl sprawiał, że wyglądał na przyjeźdnego. Ubranie, sposób, w jaki skrzyżował ramiona i wpatrywał się w obraz.

- Jak myślisz, kto to taki? - Patrzyła na nieznajomego przez szkło kieliszka, żeby to nie było takie oczywiste, ale on nieobecny gapił się na obraz, więc uznała, że pewnie i tak by nie zauważył, nawet gdyby się odwrócił.

- Bogaty kolekcjoner - odparł Perez z uśmiechem. - Wykupi to wszystko i uczyni cię sławną.

Zachichotała. Odpnęła się na chwilę.

- Albo dziennikarz rubryki o sztuce któregoś z niedzielnych

gazet. Okrzyknij mnie nowym talentem.

- Kto wie. Czemu nie?

Spojrzała na niego, myśląc, że znów żartuje, ale on lekko zmarszczył brwi.

- Naprawdę. - Znów się uśmiechnął. - Twoje obrazy są bardzo dobre.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Gorączkowo szukała dowcipnej i skromnej riposty, gdy nieznajomy mężczyzna nagle się odwrócił. Upadł na kolana, jak niedawno grający na skrzypcach Roddy. Potem schował twarz w dłoniach i się rozplakał.

ROZDZIAŁ 3

Perez pomyślał, że o tej porze roku wszyscy lekko wariują. To przez światło, intensywne za dnia i niegasnące w nocy. Słońce nigdy na dobre nie kryło się za horyzontem i nawet o północy dało się czytać na dworze. Po ponurych i czarnych zimach ludzi ogarniała potrzeba gorączkowej, nieustannej aktywności. Jakby chcieli wycisnąć z lata jak najwięcej, nacieszyć się przyrodą i życiem, zanim znów nadejdą ponure dni. A ten rok okazał się jeszcze gorszy. Pogoda, zwykle nieprzewidywalna, zmieniająca się z godziny na godzinę, deszczowa, wietrzna, z krótkimi przebłyskami jaskrawego słońca, już od niemal dwóch tygodni była doskonała. Brak prawdziwej nocy uderzał też w przybyszów z południa. Czasem ich reakcje wydawały się nawet bardziej skrajne niż miejscowych. Anomalie przyrody dawały się im we znaki - nie nawykli do ptaków śpiewających późnym wieczorem i zmierzchu trwającego całą noc.

Patrząc na klęczącego w plamie słońca i zalanego łzami mężczyznę w czerni, Perez uznał, że to kolejny przypadek letniego szaleństwa, i miał nadzieję, że zajmie się tym ktoś inny. Teatralny gest. Mężczyzna nie zjawił się tutaj z własnej inicjatywy. Zaprosiła go Bella Sinclair albo towarzyszy któremuś z jej gości. Do Herring House niełatwo się dostać z południa, nawet z Lerwick. Pewnie chodzi o jakąś kobietę, pomyślał. Albo to kolejny spragniony uwagi artysta. Z doświadczenia Perez wiedział, że ludzie, którzy są naprawdę przygnębieni i pogrążeni w rozpacz, nie szukają światła rampy. Chowają się po kątach i pragną być niewidzialni.

Ale do mężczyzny nikt nie podszedł. Zgromadzeni przestali rozmawiać i przyglądali się, zafascynowani i speszeni, jak teraz szlochą zgarbiony, z twarzą zwróconą do światła i opuszczonymi rękami.

Perez wyczuł dezaprobatę stojącej obok Fran. Oczekiwała od niego reakcji. Nieważne, że nie jest tu służbowo. Powinien

wiedzieć, co zrobić. Ale to nie wszystko. Wykorzystywała jego oddanie. Zawsze musiało być po jej myśli. Jak długo czekał na tę randkę? Tak bardzo chciał zadowolić Fran, że dostosowywał się do jej planów. Zawsze. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest posłuszny jej woli. Ta myśl nagle nim wstrząsnęła. Zaraz potem, gdy minął przypływ frustracji, uznał, że okropny z niego prostak. Przecież omal nie straciła córki. Nie zasługuje na trochę czasu, żeby dojść do siebie? Poza tym przecież warto na nią czekać. Podeszedł do płaczącego mężczyzny, przykucnął, pomógł mu wstać i go wyprowadził.

Usiedli w kuchni, gdzie Martin Williamson, młody szef, zapelniał tace kanapkami. Perez go znał, mógł wyrecytować historię jego życia, a po paru sekundach namysłu podać imiona dziadków. Herring House miała własną kawiarnię i to Martin ją prowadził. Dziś wieczorem królował oczywiście śledź. Cienkie płaty leżały zwinięte na krążkach sodowego chleba. Śledź był marynowany i w powietrzu unosił się czysty zapach octu i cytryny. Podawano też miejscowe ostrygi i wędzonego szetlandzkiego łososia. Perez od lunchu nie miał niczego w ustach i poczuł, że napływa mu ślina. Gdy weszli, Martin podniósł wzrok.

- Możemy tu na chwilę przysiąść?
- Ale trzymajcie się z dala od jedzenia. Przepisy sanitarne.

- Powiedział to z uśmiechem. Wesoły z niego dzieciak, przypominał sobie Perez. Widywał Martina na ślubach i przyjęciach i zapamiętał go jako wiecznie roześmianego figlarza.

Teraz zajął się pracą i nie zwracał na nich uwagi. Z galerii dochodziły dźwięki skrzypiec. Widocznie poproszono Roddy'ego, żeby wypełnił krępującą ciszę i znów wprowadził gości w nastrój sprzyjający zakupom. Nieznajomy nadal szlochał. Perez na moment ogarnęło współczucie; uznał, że chyba jest bez serca, żeby w takiej chwili myśleć o jedzeniu. Nie wyobrażał sobie, żeby mógł urządzić widowisko z własnej rozpaczy, więc ten mężczyzna musiał przeżyć coś okropnego, skoro publicznie się rozplakał. Albo jest chory. Tak, pewnie tak.

- Hej - zagadał. - Chyba nie jest tak źle? - Przynurzył krzesło i posadził nieznajomego.

Mężczyzna wpatrywał się w niego takim wzrokiem, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z jego obecności. Wytarł oczy grzbietem dłoni. Ten dziecięcy, prosty gest sprawił, że Perez po raz pierwszy pomyślał o tym człowieku cieplej. Wsunął dłoń do kieszeni, znalazł chusteczkę i podał nieszczęśnikowi.

- Nie wiem, co tu robię - odezwał się nieznajomy.

Anglik, ale nie z południa, pomyślał Perez. Przypomniał mu się Roy Taylor, kolega, z którym pracował w Inverness. Roy pochodził z Liverpoolu. Czy akcent tego człowieka był taki jak Roya? Trochę, ale nie całkiem.

- Wszyscy się czasem tak czujemy.

- Kim pan jest?

- Jimmy Perez. Jestem detektywem. Ale do Herring House nie przyszedłem służbowo. Moja przyjaciółka wystawia tu prace.

- Herring House?

- Tak się nazywa to miejsce. Galeria.

Mężczyzna nie odpowiadał. Jakby zamknął się w sobie, znów pogrążył w rozpaczy i przestał słuchać.

- Jak się pan nazywa? - zapytał Perez.

Żadnej odpowiedzi. Puste spojrzenie.

- Chyba może mi pan podać nazwisko? - Zaczynał tracić cierpliwość. Dzisiejszego wieczora miał nadzieję rozeznac się w sytuacji z Fran. Wyobrażał sobie noc w jej domu. Snuł fantazje, które zaszokowałyby znajomych, szokowały nawet jego. Cassie będzie spała u ojca. Tak mu powiedziała Fran, a to dobry znak, prawda? Zwykle łatwo ulegał nastrojom innych. Dziś miał powód, by oprzeć się płaczącemu nieznajomemu.

Anglik spojrział na niego.

- Nie wiem, jak się nazywam - odparł głuchym tonem. Już bez dramatyzowania. - Nie pamiętam. Nie pamiętam, jak się nazywam, i nie wiem, skąd się tu wziąłem.

- Jak się pan tu dostał? Do Herring House? Na Szetlandy?

- Nie wiem. - Teraz w głosie zabrzmiała nuta paniki. - Nie pamiętam nic, tylko ten obraz. Wiszący tam na ścianie portret kobiety w czerwieni. Tak jakbym się dopiero urodził. Jakbym poza nim niczego nie znał.

Perez zaczął się zastanawiać, czy to nie żart. W stylu Sandy'ego. Sandy pochodził z Whalsay, pracował z Perezem i miał infantylne poczucie humoru.

Cały zespół Pereza wiedział, że dzisiejszy wieczór szef spędzi w galerii z angielską artystką. Niewykluczone, że to ich sprawka. Mogli to uznać za świetny dowcip.

Na głowie mężczyzny nie dopatrzył się żadnych urazów. Nieznajomy był taki wymuskany, zadbany; niemożliwe, żeby

miał wypadek. Ale jeśli grał, to przekonująco. Te lzy, to roztrzęsienie. Niełatwo tak dobrze udawać. I niby skąd Sandy wytrzasnął faceta? Jak przekonał go do takiej sztuczki?

- Dlaczego nie opróżni pan kieszeni? - zapytał Perez. - Na pewno jest tam prawo jazdy albo karta kredytowa. Przynajmniej dowiemy się, jak się pan nazywa. Poszukamy krewnych i jakiegoś wyjaśnienia, co też się panu przytrafiło.

Anglik wstał i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Nie ma - powiedział. - Tu zawsze trzymam portfel.

- Więc jednak pan pamięta.

- A przynajmniej tak mi się zdaje - wykrztusił. - Jak mogę być czegokolwiek pewny? - Powoli i drobiazgowo sprawdził pozostałe kieszenie. Niczego nie znalazł. Zdjął marynarkę i podał Perezowi. - Proszę zobaczyć samemu.

Perez pogrzebał w kieszeniach, wiedząc, że niczego nie znajdzie.

- A w spodniach?

Mężczyzna wyciągnął kieszenie i stał przerażony i trochę śmieszny, z białymi flagami na czarnych spodniach.

- Niczego pan ze sobą nie ma? - zapytał Perez. - Torby? Teczki?

Zdał sobie sprawę, że w jego głosie pobrzmiewa desperacja. Fantazja o nocy spędzonej z Fran szybko się rozwiewała.

- Skąd mogę wiedzieć? - Nieznajomy prawie krzyknął.

- Pójdę i poszukam.

- Nie. Niech pan mnie nie zostawia.

- Ktoś pana skrzywdził? Czego się pan boi?

Mężczyzna myślał przez chwilę. Czyżby zaczął sobie coś przypominać?

- Nie wiem.

- W takim razie proszę iść ze mną.

- Nie. Nie pokażę się tym ludziom.

- Więc ich pan pamięta?

- Mówiłem, że pamiętam wszystko, co stało się po tym, gdy patrzyłem na ten obraz.

- Coś w nim pana zaniepokoiło?

- Może, nie jestem pewny.

Perez wstał. Stali teraz naprzeciwko siebie, oddzieleni stołem. Szef wyszedł z kuchni, Roddy Sinclair przestał grać. Z galerii dobiegał cichy szmer głosów.

- Pójdę się dowiedzieć, czy miał pan ze sobą bagaż - powiedział Perez. - I czy ktoś widział pański przyjazd. Tu jest pan bezpieczny.

- Tak - odparł. Ale jego głos brzmiał niepewnie. Jak głos dziecka, które próbowało samo się przekonać, że nie boi się ciemności.

W galerii Fran dyskutowała z jakąś dużą kobietą ubraną w kwiecisty namiot. Zaróżowiła się lekko. Gdy podszedł, wywnioskował z rozmowy, że kobieta kupiła jej obraz i teraz zastanawiają się, jak przewieźć go na południe. Turystka, pomyślał. Taka pora roku. Oczywiście bogata turystka. Zapewniała, że podziwia dzieła Fran, potem spytała, czy nie dałoby się obniżyć prowizji. Poczul się nagle bardzo dumny z Fran.

Podeszła do niego Bella, mijając starszego pana, który próbował przyciągnąć jej uwagę. Z krótko obciętej srebrnymi włosami, z długimi srebrnymi kolczykami w uszach i w szarej jedwabnej koszuli przypominała Perezowi dużą srebrzystą rybę. Jej usta i szeroko rozstawione wodniste oczy też kojarzyły się z rybą. Ale wciąż była atrakcyjna. Za młodu uchodziła za piękność, legendę, i nadal miała w sobie coś pociągającego.

- Dziękuję, że zająłeś się tym biedakiem, Jimmy. Co mu się stało? - Utkwiła w nim szare, nieruchome spojrzenie.

- Nie wiem. - Perez nigdy nie zdradzał informacji bez potrzeby. Wyrobił sobie ten nawyk w dzieciństwie. W niedużej społeczności, w której dorastał, tak mało miało się prywatności, że cenił sobie najmniejszy jej skrawek. A teraz, w pracy, informacje były cenną walutą i należało uważać, by nie rozmienić jej na drobne. Gdzie indziej, w bardziej anonimowych miejscach, policjant mógł sobie pozwolić na odrobinę niedyskrecji. Opowiadkę przy rodzinnym obiedzie, zabawną historię w barze. Nikt nigdy się nie dowiadywał. Tutaj historie lubiły wracać i dręczyć gadułę.

- Znasz go, Bella? Jest marszandem? Dziennikarzem? To Anglik.

- Nie. Myślałam, że Fran go zaprosiła.

- Zdaje się, że twój autoportret wywarł na nim wielkie wrażenie.

Wzruszyła ramionami, sugerując, że zainteresowanie jej pracą jest całkiem naturalne.

- Widziałaś, jak wszedł?

- Pojawił się tuż przed występem Roddy'ego. Dziesiątki

razy widziałam już grę bratanka, więc nie pochłaniała mnie tak jak pozostałych.

- Przyszedł sam?
- Tak.
- Zauważyłaś, czy miał ze sobą jakąś torbę?

Zamknęła na chwilę oczy, przywołując scenę. Na jej pamięci można polegać. W końcu to malarka.

- Nie - odparła. - Nic nie miał. Ręce trzymał w kieszeniach. Wydawał się zupełnie spokojny. Stał za innymi i patrzył na Roddy'ego. Później podszedł do mojego obrazu, a potem do rysunku Cassie. Był nim bardzo poruszony, nie uważasz? - Czekala na odpowiedź.

- Jest trochę zdezorientowany - odparł Perez. - Nie wiem, może to jakieś załamanie nerwowe. Chyba zawiozę go do lekarza.

Ale Bella przestała już słuchać. Rozejrzała się, oceniając zainteresowanie wystawą.

- Fran rozmawia z Peterem Wildingiem - powiedziała. - Mam nadzieję, że jest dla niego miła. To potencjalny nabywca.

Kobieta w kwiecistej sukience odeszła od Fran i jej miejsce zajął energiczny ciemny brunet w średnim wieku. Fran coś mówiła, a on nachylał się ku niej z lekko przekrzywioną głową, jakby bał się uronić choćby słowo.

Bella zaśmiała się krótko i odeszła. Idąc do kuchni, Perez rozmyślnie przeszedł obok zajętej rozmową pary. Teraz mówił Wilding. Głos miał cichy, jego słowa ginęły w szumie rozmów, ale Perez dosłyszał, że facet zachwyca się jej malarstwem. Fran nawet nie zauważyła Pereza.

Zatrzymał się w drzwiach do kuchni. Martin Williamson stał odwrócony do niego plecami i zmywał naczynia. Tajemniczy mężczyzna zniknął.

ROZDZIAŁ 4

Kenny Thomson patrzył na Herring House. Niedaleko na plaży za galerią trzymał łódź. Stała tuż za linią przyływu, ale przy tak spokojnej pogodzie mogła tam zostać. Pod koniec lata postawi ją na wózku, zaciągnie wyżej na wydmy i przykryje brezentem, żeby wysoki przyływ i sztormowe fale nie zmyły jej do morza. Ale na razie najwygodniej zostawić ją na plaży. Pomyślał, że chyba zapowiada się dobra noc na połów czarniaka, ale wiedział, że pewnie nie wypłynie. Lubił łowić, ale nie tak jak wtedy, gdy był chłopcem czy młodym mężczyzną. Willy, jeden z tutejszych, zabierał jego i jego brata na łódź. Kiedy podrośli, nadal lubili razem łowić. Wystarczyła odpowiednia noc i już dzwonił do Lawrence'a i pytał: „Nie masz ochoty na parę godzin na wodzie?”. Ale od kiedy Lawrence na dobre zostawił Szetlandy, to już nie to samo. Inni mężczyźni też nadawali się na kompanów i chętnie by wypłynęli. Ale Kenny wiedział, że musiałyby się wysilać i być dla nich miły. Udawać zainteresowanie ich życiem - pracą, żonami. Z Lawrence'em nie musiał niczego udawać.

Wiedział, że w Herring House odbywa się przyjęcie. Nie zaproszono go, ale i tak wiedział. Kiedyś Bella zawsze go zapraszała. Zajeżdżała swoją bryką z napędem na cztery koła - chociaż nie wiadomo, po co jej taki samochód, skoro ostatnio jeździła tylko na lotniska do Lerwick albo Sumburgh - i wchodziła do domu, nie czekając, aż sam otworzy.

- Przyjdiesz, Kenny, prawda? Z Edith. Będzie mi bardzo miło. Nie mielibyśmy Herring House, gdyby nie ciężka praca twoja i Lawrence'a.

Co prawda, to prawda. Gdy wbiła sobie do głowy kupno i odnowienie tego miejsca, harowali tam całymi nocami, kiedy już skończył zajmować się owcami czy obrabiać pole. Odwalili najgorszą robotę. Praca dla idei, jak określał ją Lawrence. Cel-

nie - zarabiali bardzo mało. Ale trudno było wyżyć z małej zagrody, a on miał wtedy dorastające dzieci, więc przydawał się każdy grosz. Bella pewnie uważała, że wyświadcza im przysługę. W tamtych czasach człowiek łąpał się wszystkiego.

Gdy kończyli pracę, on wracał do domu, do Edith, zostawiając Lawrence'a z Bellą. Czasami przychodził bardzo późno i był przekonany, że Edith już śpi. Ale nigdy nie spała, zawsze na niego czekała. Zimą przesiadywała przy kominku i robiła na drutach. Poznawał, że jest bardzo późno, bo tylko wtedy w domu panował porządek; w dzień rozrabiała dwójka dzieci. Latem Edith pracowała w ogrodzie, nawet po północy. Zanim weszła z nim do domu, rzucała jakąś kąśliwą uwagę, że dają się Belli wykorzystywać. To chyba było przed tym, jak Eric poszedł do szkoły. Nie do wiary, że tyle lat minęło. Teraz dzieci są już dorosłe. Ingrid sama niedługo urodzi dziecko. Pracowała jako położna niedaleko Aberdeen, a Eric gospodarował na Orkadach.

Teraz Bella już go nie zapraszała. Wiedziała, że on nie przyjdzie. Edith może i ucieszyłaby się z okazji, żeby się wystroić. Chętnie pokazałaby się na którymś z tych wernisaży, napiła się wina, posłuchała rozmów o sztuce i książkach. Przynajmniej w ten sposób odebraliby od Belli zaległy dług. Ale Kenny się postawił. Zazwyczaj to jego żona dyktowała warunki, gdy jednak chodziło o Bellę Sinclair, pozostawał nieugięty.

- Lawrence nadal by tu mieszkał, gdyby nie ona. - Raz omal nie dodał: „Ta kobieta złamała mi serce”. Ale Edith wyśmiała go, że taki sentymentalny.

Zawsze miała cięty język, nawet jako dziecko. I nic się nie zmieniło. Uśmiechnął się. Minęło ponad trzydzieści lat, odkąd wzięli ślub, a wciąż czuł przed nią respekt.

Popatrzył na zegarek. Wpół do dziesiątej; później, niż myślał. O tej porze roku łatwo stracić rachubę czasu. Przychodził na wzgórze co wieczór, chyba że pogoda była zła. Żeby doglądać owiec, mówił sobie, choć to tylko pretekst. Tak naprawdę uciekał od stukającej w komputer Edith, żeby pobyć sam. Gdy pracowała, miał wrażenie, że dom to część jej biura, i nigdy nie czuł się w nim dobrze. Zimą czasami przyjeżdżał na wzgórze ze śrutówką i reflektorem, zapolować na króliki. Oślepienie ostrym światłem, stanowiły łatwy cel. Na śrutówce miał tłumik, więc po cichutku strzelał do pierwszego, żeby nie spłoszyć pozostałych. Nie przepadał za króliczym mięsem, było słodkie i

oślizłe, ale zapieczone w cieście, z dodatkiem mnóstwa cebuli i paseczków bekonu, dawało się od czasu do czasu zjeść. Zwykle jednak po prostu je wyrzucał.

Marnotrawstwo, mówiła Edith. Wychowała się w biedzie i wciąż obawiała się powrotu trudnych chwil, chociaż miała dobrą pracę, a on oprócz doglądania zagrody dorabiał na budowach. Nie cierpiała wyrzucać pieniędzy w błoto. Ale teraz mieli oszczędności. Nie będą musieli na starość głodować czy zdać się na łaskę dzieci.

Zawołał psa Vaila i spojrzął na swój dom. Budynek stał na niedużym wzniesieniu, za nim rysowała się sylwetka znacznie wyższego Herring House. Dalej wzdłuż brzegu leżał cmentarz. W dawnych czasach, zanim pobudowano drogi, zmarłych na pochówek przywożono statkami. Dlatego cmentarze na Szeotlandach zawsze znajdowały się w pobliżu morza. Pomyślał, że jemu nawet by się podobało, gdyby po śmierci został przewieziony do grobu swoją własną łodzią, ale przypuszczał, że istnieje jakieś powody, dla których zarzucono ten zwyczaj.

Nagle jego uwagę przykuł ruch na drodze. Czy miał już nie tak dobre jak kiedyś, ale wydawało mu się, że zobaczył, jak ktoś wychodzi z galerii. Wpatrywał się w mrok. Co prawda udawał, że poczynania Belli nic go nie obchodzą, ale nie mógł opanować ciekawości. Zwykle jej przyjęcia nie kończyły się tak wcześnie, a ten gość nie wsiadł do samochodu i nie pojechał wzdłuż zatoki, żeby dotrzeć do szosy prowadzącej do Lerwick. Ruszył piechotą i skręcił w przeciwną stronę, w drogę, która - mijając pocztę i trzy nadbrzeżne domy - prowadziła na molo. Dalej stała już tylko dawna plebania, gdzie mieszkała Bella, i dom Kenny'ego i Edith. Za Skoles droga przechodziła w ścieżkę prowadzącą przez wzgórza do sąsiedniej doliny. Korzystali z niej tylko Kenny, gdy zaglądał do owiec, i spacerujący wczasowicze.

Obserwował postać, dopóki nie zniknęła z pola widzenia w zagłębieniu terenu. Ten ktoś biegł, sadił dziwne susy, pochylony do przodu, i wyglądał, jakby miał się zaraz przewrócić. Kenny pomyślał, że to typowe dla ludzi, z którymi zadaje się Bella. Artyści! Nawet biegać nie potrafią normalnie. Zawsze przyciągała dziwaków. Letnią porą, w czasach, gdy byli młodszy, przez plebanie przewijały się tłumy przyjezdnych w dziwacznych strojach, a z pootwieranych okien dobiegała niesamowita muzyka i rozlegał się nieustanny szmer rozmów. Mimo to teraz

była całkiem sama, jeśli nie liczyć bratanka. Powinna zostać z Lawrence'em.

Szedł wzgórzem, z grubsza licząc owce. Później, w tygodniu, musi je spędzić na strzyżenie. Pomogą mu chłopcy z Unst, Martin Williamson też obiecał, że wpadnie.

Wrócił do domu po jedenastej, ale Edith wciąż pracowała w ogrodzie. Pielila grządki fasoli, wrywając chwasty krótkimi energicznymi ruchami. Większą część wieczoru przesiedziała chyba przy komputerze, bo niewiele zrobiła. Usłyszała kroki Kenny'ego i spojrzała w górę. Wyglądała na bardzo zmęczoną. Miała dziś całodzienne spotkanie w Lerwick, a po nich zawsze była wykończona.

- Chodź do domu - powiedział. - Komary zagryzą nas na śmierć.

- Tylko skończę ten rząddek.

Patrzył na jej pochylone plecy i pomyślał, jaka jest uparta i silna.

- Widziałś tego mężczyznę? - zapytał, gdy w końcu wyprostowała się i oparła motykę o ścianę.

- Jakiego mężczyznę?

Popatrzyła na niego, odgarniając z twarzy kosmyki włosów. Stwierdził, że teraz jest ładniejsza niż za młodu. Wtedy twarz miała trochę ściągniętą, za szczupłą, skóra i kości. Jego uczucia do niej nie można by nazwać miłością. Przynajmniej nie taką z filmów. I też nie taką, jaką Lawrence darzył Bellę. Ani on, ani Edith nie czuli do siebie nic takiego. Ale zostali ze sobą i wiedział, że im się ułoży. Unikali niepotrzebnych zadrażeń. Teraz, kiedy dobiegała pięćdziesiątki, czasami patrzył na nią zdumiony. Twarz miała prawie bez zmarszczek, a oczy takie niebieskie. I pojawiła się między nimi namiętność, na którą nie znajdowali siły, gdy dzieci były małe.

- Jakiego mężczyznę? - powtórzyła. Nie zirytowana, ale z półuśmiechem, jakby zgadywała jego myśli.

- Z Herring House. Musiał tędy przebiegać.

- Nie widziałam - odparła.

Wzięła go pod rękę i poprowadziła do drzwi.



Edith co rano zrywała się o świcie. Wstawała przed nim, nawet gdy byli na wakacjach albo w odwiedzinach u dzieci. Słyszał ją

w kuchni, jak stawia czajnik na gorącej płycie, a potem otwiera drzwi. Wiedział, co Edith robi - jeszcze w piżamie, włoży buty i wyjdzie wypuścić kury. Pracy nie zaczynała przed dziewiątą i zawsze przedtem jedli razem śniadanie. Jemu wstawanie przychodziło z trudem, ale Edith prawie w ogóle nie mogła zasnąć o tej porze roku. Często, gdy budził się w nocy, żeby pójść do łazienki, widział, że żona nie śpi, tylko leży przy nim cichutko. Zawiesiła w oknach grube zasłony, ale te białe noce zaburzały naturalny rytm organizmu. Nie ona jedna na to cierpiała. Kiedy sam się nie wyspał, chodził później zmęczony, rozdrażniony i nie mógł zebrać myśli. Edith była blada, ale nigdy nie uskarżała się na zmęczenie i nie opuściła pracy. Kiedyś przekonał ją, żeby poszła do lekarza po receptę na jakieś tabletki nasenne, ale powiedziała, że następnego dnia czuje się po nich ociężała i rozkojarzona. Cieszył się, gdy dni robiły się coraz krótsze i znów stawała się sobą.

Kenny lubił te pół godziny spędzane wspólnie przy śniadaniu. Zanim się wykąpał i ubrał, zrobiła herbatę i powitał go zapach przypiekanych grzanek. Edith brała prysznic; słyszał, jak napęnia się zbiornik na wodę.

Była dyrektorką ośrodka opieki dla osób starych i niepełnosprawnych. Wciąż nie mógł w to uwierzyć - jego Edith odpowiada za ludzi i budżet, starannie ubrana i uczesana jeździ do Lerwick na zebrania. Przeszkoliła cały szetlandzki personel, jak należy właściwie obchodzić się z powierzonymi ich trosce ludźmi. Zdumiewały go siła i determinacja Edith. Taksówki i autobusy zwoziły do ośrodka starszych ludzi z tej części Szetlandów. Czasem opowiadała o swoich podopiecznych z nazwiska i wstrząśnięty uświadamiał sobie, że osoby, które pamiętał z dzieciństwa jako silne, a nawet wzbudzające strach, teraz były słabowite, zdezorientowane i bezradne. *Mnie też to czeka?*, zastanawiał się. *Dokonom życia, grając w bingo w ośrodku opieki dziennej?* Raz, gdy tylko o tym wspominał, Edith odpowiedziała cierpko: „Jeśli będziesz miał szczęście! Dochody z ropy spadają, wszędzie cięcie kosztów, ośrodek może już dawno nie istnieć”. Nigdy więcej nie napomknął o swoich obawach. Pocięsział się, że umrze przed Edith. Kobiety zawsze żyją dłużej od mężczyzn. Nie umiał sobie wyobrazić samotnego życia.

Nalał herbatę i posmarował grzankę masłem, a wtedy weszła, ubrana, z wciąż mokrymi włosami schowanymi w turbanie.

- Jakie masz plany na dzisiaj? - zapytała.
- Przerwywanie rzepy - odparł.

Zrobiła współczującą minę; dobrze wiedziała, jaka to nudna i wyczerpująca robota - wykopywanie niepotrzebnych roślin, żeby zapewnić miejsce pozostałym.

- No cóż... dzień w sam raz na tę pracę - stwierdziła.

Ale Kenny od wczorajszego wieczoru zastanawiał się, czyby jednak nie wyjść dzisiaj w morze. Ale Edith nic o tym nie powiedział. Pracowała tak ciężko, że czuł się jak podrostek knujący urwanie się na wagary.

Zjadła grzanekę, zniknęła w małej sypialni - dawnym pokoju Ingrid, teraz wykorzystywanym jako biuro - i zgarnęła do torby swoje papierzyska. Wyszedł z Edith na dwór i pocałował ją, a potem patrzył, jak odjeżdża.

Przed wypłynięciem zamierzał parę godzin poprzerzywać rzepę, ale zamiast tego poszedł na krótki spacer na plażę, do szopy, gdzie trzymał silnik, liny i boje.

Wiała lekka wschodnia bryza. Przez chwilę myślał, czy jednak nie poszukać sobie towarzystwa, i zaczął się zastanawiać, kto mógłby z nim wypłynąć. Martin Williamson to miły chłopak, ale większość dnia spędzał za ladą sklepu, a teraz zaczął jeszcze pracować w kawiarni w Herring House. Przystanął i w ciszy poranka usłyszał maskonury na cyplu za mołem. Nie było ich już tak dużo, jak za jego chłopięcych czasów, ale dość, żeby słyszał ich nawoływania.

Przeszedł po kamieniach oddzielających plażę od drogi. Droga wiodła na skróty, ale należało uważnie patrzeć pod nogi. Kiedyś skręcił sobie na tych kamulcach kostkę i długo mu dokuczała.

Wkroczył w cień rzucany przez Herring House i przystanął tylko po to, żeby zobaczyć, czy jest ktoś w galerii, ale budynek wydawał się pusty. Restaurację otwierano prawie codziennie, ale o późniejszej godzinie i na razie parking świecił pustkami.

Szopa stała na poboczu kilkaset metrów dalej, tam, gdzie droga łączyła się z mołem. Postawili ją z Lawrence'em, wciąż trzymała się solidnie, chociaż kilka przerdzewiałych paneli dachowych wymagało wymiany w przyszłym roku.

Nie zamykali szopy na klucz - używali jej wszyscy rybacy z Biddista, a poza nimi mało komu chciało się zapędzać w okolice moła. Kiedyś przybijały do niego statki dostarczające niezbędne towary - węgiel, zboże i paszę dla zwierząt. Teraz co

najwyżej przycupnie tu czasem kilka turystycznych jachtów, ale w tym roku nie widział ich dużo. Na drzwiach tkwiła ciężka zasuwka; pozwalała dobrze zamknąć szopę od zewnątrz i zabezpieczyć ją przed podmuchami wiatru. Dziś była wyciągnięta, a drzwi lekko uchylone. Zaczął się zastanawiać, kto też mógł ostatnio korzystać z szopy i postąpić tak niefrasobliwie.

Wystarczyłoby jedno silniejsze uderzenie wiatru i drzwi wyrwałyby się z zawiasów. Roddy Sinclair, pomyślał. To do niego podobne. Ten chłopak nie ma za grosz rozważgi. Kiedyś urządził w szopie imprezę. Następnego dnia Kenny znalazł w niej sterty czerwonych puszek, pustą butelkę po whisky i jakiegoś obcego chłopaka w śpiworze. Otworzył drzwi i poczuł znajomy zapach oleju silnikowego i ryb.

Ponieważ właśnie myślał Roddym Sinclairze, założył z początku, że zwisająca z sufitu postać to kolejny dowcip małolata. Roddy upił się na przyjęciu u Belli i zebrało mu się na żarty. Kenny był pewien, że gdy podejdzie, czarna marynarka i spodnie okażą się naciągnięte na worek z sianem. Gładka głowa lekko połyskiwała. Bardzo realistyczne, pomyślał. Popchnął wisielca. Zdziwiająco ciężki, na pewno nie z siana. Po tylnej ścianie szopy rytmicznie przesuwiał się cień wiszącego. Lina się przekręciła i Kenny zobaczył twarz. A raczej przykrywającą ją maskę kłowna z uśmiechniętymi czerwonymi ustami i pustymi wytrzeszczonymi oczami; biały plastik odbijał poranne słońce wpadające przez uchylone drzwi. Potem zauważył, że postać ma prawdziwe dłonie. Ze skórą, kościstymi knykciami. Z paznokciami wypielęgnowanymi jak u kobiety. Ale to nie była kobieta. Tylko mężczyzna z łysą głową. Zwiślał ze stropowej belki, z palcami stóp kilka centymetrów nad ziemią. Obok niego stało duże plastikowe wiadro. Kenny domyślił się, że mężczyzna pewnie je odwrócił, użył go jako podpórki, a później kopnął. Poczuł narastającą histerię. Chciał zedrzeć zmarłemu tę maskę; razła go, była taka niestosowna. Ale nie potrafił się do tego zmusić. Położył ręce na ramionach wisielca i go przytrzymał. Nie mógł znieść tego kołysania, przypominało mu wiszącego na szubienicy stracha na wróble.

W pierwszym odruchu zamierzał zadzwonić z komórki do Edith. Ale w czym ona tu pomoże? Lekko ogłupiały i osłabiony, wyszedł więc z szopy, usiadł na kamieniach i zadzwonił na policję.

ROZDZIAŁ 5

Perez usłyszał nowinę przez komórkę, w drodze do pracy z domu Fran. Przed tym, oszołomiony brakiem snu, był tak pochłonięty wspomnianiem przeżyć minionej nocy, że prowadził odruchowo, nieświadomy niczego wokół. W głowie dźwięczała mu muzyka, którą Fran puściła zaraz po wejściu - śpiew kobiety, melodyjny, celtycki utwór, zupełnie mu nieznany. Zastanawiał się, czy nie przesadza z interpretacją wydarzeń u Fran. Taki już był. Za dużo rozmyślał. Sarah, jego pierwsza żona, powiedziała mu kiedyś, że ma wobec niej zbyt wygórowane oczekiwania, że przytłacza ją swoimi emocjonalnymi żądaniami. Powinienem być twardszy, odporniejszy, pomyślał. Bardziej męski. Zbyttno przejmuję się tym, co myśla o mnie kobiety.

Potem odebrał telefon i postarał się skupić na pracy. Była punktem stałym, z nią radził sobie dobrze. Sandy, którego nie sposób zaliczyć do osób precyzyjnie się wysławiających, w chwilach stresu czy podniecenia stawał się zupełnie chaotyczny. Rozmowa z nim wymagała pełnej uwagi.

- Mamy samobójcę - oznajmił Sandy. - Kenny Thomson znalazł go w tej szopie, gdzie wszyscy z Biddista trzymają sprzęt rybacki.

- Kto to? - zapytał Perez.

Głos w słuchawce zamilkł na chwilę.

- Kenny Thomson. No przecież wiesz. Od urodzenia mieszka w Biddista. Gospodaruje na tym kawałku ziemi, co obecnie w górę od...

- Nie, Sandy. Nie o niego pytam. Kto popełnił samobójstwo?

- Nie mam pojęcia. Kenny go nie zna. Przynajmniej tak twierdzi. Właśnie tam jadę.

- Niczego nie dotykaj - zaznaczył Perez. - Na wszelki wypadek.

Oczywiście, że Sandy nie powinien potrzebować takich rad,

poza tym i tak o nich zapomni po przybyciu na miejsce, ale ostrzegł go dla świętego spokoju. Płaczący mężczyzna z Herring House przypomniał mu się dopiero, gdy dotarł do drogi, którą jechał wczoraj. Perez nie wysilił się, żeby odnaleźć nieszczęśnika. Wyszedł kuchennymi drzwiami na dwór, rozejrzał się po plaży, poszedł kawałek za cmentarz, ale nieznanego nigdzie nie było. Jeśli cokolwiek poczuł, to ulgę. Mężczyzna pewnie odjechał samochodem - jak inaczej tak szybko zniknął? Najwyraźniej facet doszedł do siebie, jeśli w ogóle coś mu dolegało. Gdy Perez przystanął na moment, zanim zawrócił do galerii, przemknęło mu przez myśl, że powinien kogoś powiadomić. Ale kogo? I co miał powiedzieć? „Rozejrzyjcie się za płaczącym facetem? Niewykluczone, że ma amnezję?” Słuchając mlaśnieć przyływu na kamieniach, postanowił dać sobie spokój. Pewnie to jakiś turysta w opalach, pijany albo naćpany. O tej porze roku ciągnęli na wyspy. Przyjeżdżali w poszukiwaniu rajy albo spokoju, po czym okazywało się, że białe noce jeszcze bardziej wytrącają ich z równowagi.

Zamiast zaprzętać sobie głowę nieznanym, zaczął myśleć o Fran, o kształtach ukrytych pod koronkową czarną sukienką i o tym, jak to będzie, gdy ją dotknie.

Wrócił do galerii. Przez wysokie okna zobaczył z drogi, że przyjęcie jeszcze trwa, ale odniósł wrażenie, że atmosfera się zwarzyła. Roddy patrzył na morze; przytrzymywane podbródkiem skrzypce zwisały luźno jak dodatkowa kończyna, nieodłączna część jego ciała. Perez wszedł do środka i spostrzegł, że artystki są rozczarowane. Trochę sprzedały, ale spodziewały się większego tłumu i zainteresowania. Fran wzięła go za rękę i szepnęła, że chciałaby już wrócić do domu. Najwyraźniej mimo pochlebstw bruneta potrzebowała pokrzepienia. Częściowo był zadowolony, że jest smutna. Będzie mógł ją pocieszać.

Teraz uznał, że za dużo zbiegów okoliczności w tym samobójstwie. Tajemniczy facet z południa był wyraźnie oszołomiony, nawet niezrównoważony. Zwłoki znaleziono zaledwie kilkaset metrów od Herring House, gdzie widziano go po raz ostatni. Perez nie wziął pod uwagę możliwości, że mężczyzna targnie się na życie. Teraz czuł się winny i odpowiedzialny za tego raz spotkanego człowieka. Potem próbował ułożyć sobie, jak to wyjaśni Fran. Będzie go obwiniać o to samobójstwo? Wbrew wszelkim znakom, miał nadzieję, że gdy dotrze do szopy na molo w Biddista, okaże się, że zabił się ktoś inny.

Skręcił w szosę biegnącą na północ, a później na zachód przez Whiteness. Tutaj powykręcane szpony łądu wrzynają się w morze - aż trudno dojść położenia linii brzegowej. Pełno tu wąskich zatok i krętych odnóg, przez co leżący za nimi stały łąd miejscami wygląda na wyspę. Na nisko położonych łąkach wszędzie kwiaty - jaskry, firletki, storczyki, jego matka знаła wszystkie nazwy. Przy takim świetle, o tej porze roku, pod wpływem impulsu przyjezdni kupowali stare domy na drugie siedliska.

Droga zwięzła się, przeszła w jednopasmówkę z mijankami co jakiś czas, po czym na wzgórzu zakręciła i Perez zobaczył leżące przed nim Biddista. Cmentarz, dalej tuż przy plaży Herring House, szopę przy molo, a za nimi położone na wzgórzu trzy szeregowe jednopiętrowe domy. Największy mieścił pocztę i sklep. Potem droga wiała się obok plebanii, gdzie mieszkała Bella Sinclair, i kończyła się na zagrodzie Kenny'ego Thomsona. Kiedyś społeczność była większa. Na niektórych polach Kenny'ego zachowały się ślady po zrujnowanych domach. Stale dokupywał ziemię, bo ludzie się wyprowadzali - ze starości już nie dawali rady gospodarować albo znajdowali lepszą pracę w gminie w Lerwick. Teraz mógłby odremontować domy i dostać za nie fortunę, gdy jednak zaczął rozwijać gospodarstwo, nie było na nie popytu, a ziemię kupował za psie pieniądze. Kościół rozebrano przed laty, gdy miejscowość się wydłudniła, kamień zużytkowano na wyspie. I teraz tyle zostało z Biddista - społeczności odizolowanej od reszty wyspy z jednej strony przez wzgórze, z drugiej przez morze.

Na poboczu stał samochód Sandy'ego. Sam Sandy siedział na nadbrzeżu i palił papierosa. Perez, który jakiś czas pracował w Aberdeen i w jeden miesiąc miał do czynienia z większą liczbą prawdziwych przestępstw niż Sandy w trakcie całej swojej kariery, zastanawiał się, co facet zrobi z niedopałkiem. Rzucił go na ziemię i zanieczyścił możliwe miejsce zbrodni? Ale Sandy, widząc nadchodzącego Pereza, wstał, zgniótł niedopałek i cisnął go do morza. Też zanieczyszczenie.

- Gdzie byłeś? - zapytał. - Próbowałem złapać cię w domu.

Perez puścił to pytanie mimo uszu i Sandy dał spokój. Przywykł, że się go ignoruje.

- Pozwoliłem Kenny'emu wrócić do domu - powiedział. - Po co go zatrzymywać? Wszyscy wiemy, gdzie mieszka. Był trochę roztrzęsiony. Mnie aż tak bardzo nie ruszyło. Wygląda

nierealnie, co? Z tym czymś na twarzy.

- Z czym?

- Nie mówiłem ci? Sam zobaczysz.

Perez podszedł do szopy, stanął w drzwiach i zajrzał do środka. Ciało wisiało na grubej pętli przywiązanej do krokwi u wierzchołka dwuspadowego dachu. Zwrócone było do nich plecami, ale Perez rozpoznał ubranie. Czarne spodnie, czarna lniana marynarka. Dopiero gdy wykonał kilka kroków do przodu, zobaczył szczerzącą zęby maskę. Poczul nagłe mdłości, ale zmusił się i znów zajrzał do szopy. Rozejrzał się - przewrócone wiadro. Na pierwszy rzut oka wszystko wskazywało na samobójstwo.

Sandy stanął za nim.

- Lekarz przyjedzie najszybciej, jak będzie mógł - poinformowałem. - Ale to trochę potrwa. Miał pilne we zwanie. Powiedziałem, że nie ma sprawy. Nasz pacjent nie ucieknie.

Sandy sprawiał wrażenie wiecznego chłopca przez to niecierpliwe wyczekiwanie pochwał. Perez ciągle czuł się w obowiązku go zapewniać, że wszystko jest okej, nawet gdy facet robił coś nie tak.

- W porządku. Z kim się skontaktowałeś?

- Z tym nowym gościem, który właśnie przeprowadził się do Whiteness. - Sandy umilkł. - Jak myślisz, o co chodzi z tą maską?

- Nie wiem. - Perez tak wyprowadzała ona z równowagi, że odwrócił się do wisielca plecami. Ten połysk, maniackalny uśmiech. Po mroku panującym w szopie odbite od morza światło słońca boleśnie go oślepiło.

- To musi być turysta - oznajmił z absolutną pewnością Sandy. - Przynajmniej nikt z Biddista. Według Kenny'ego. Tak twierdzi, chociaż nie widział twarzy. W takiej dziurze by go znał. Nie sprawdzałem, czy denat ma przy sobie dowód tożsamości. Kazałeś niczego nie dotykać.

- W porządku - powtórzył z roztargnieniem Perez. Przypomniało mu się, jak mężczyzna stał wczoraj z wywróconymi kieszeniami. W ubraniu nie znajdują żadnego dokumentu. Zaczął planować w myśli następne kroki. Trzeba obdzwonić hotele i pensjonaty. Sprawdzić NorthLink i British Airways. Niewykluczone, że zidentyfikują mężczyznę dopiero, gdy nie wróci ze swojej podróży na północ. Latem na wyspach było więcej gości niż tubylców. Mimowolnie poczul zaciekawienie. Co sprawiło,

że facet najpierw stracił pamięć, a potem popadł w taką rozpacz, że odebrał sobie życie?

- A ty jak myślisz, po co ta maska? - Czasem zadawał Sandy'emu pytania nie dlatego, że spodziewał się błyskotliwej odpowiedzi, ale dlatego, że chciał zmusić go do myślenia i miał nadzieję, że to wejdzie mu w nawyk.

- Nie wiem. Może to jakaś deklaracja?

Jaka deklaracja? Że jego życie to żart? Wczoraj niespecjalnie było mu do śmiechu.

- Jestem pewny, że zeszłego wieczoru widziałem tego faceta - oświadczył Perez. - Przyszedł na wernisaż do Herring House. - A potem dodał wiedziony nagłą myślą: - Ciekawe, skąd wytrzasnął tę maskę? Wczoraj jej nie miał.

Tym razem Sandy nie odpowiedział. Nie powinienem zostawić tego człowieka samego, pomyślał Perez. Bał się zostać sam.

- Zaczekasz tu na lekarza? Pogadałbym z Kennym Thomsonem. Może ma jakiś pomysł, kim jest zmarły albo u kogo się zatrzymał. Kenny będzie wiedzieć, czy ktoś w Biddista wynajmuje kwatery.

Sandy wzruszył ramionami.

- Trochę dziwne miejsce na dłuższy pobyt. Co niby można tu robić przez cały dzień?

- Rozejrzyj się, człowieku. Nic do roboty. Spokój. Po to właśnie przyjeżdżają.

Sandy zapatrzył się w wodę.

- Już prędzej przyjechał tu specjalnie z Lerwick. Wybrał to najbardziej opuszczone miejsce, żeby ze sobą skończyć.

Ale Perez pomyślał, że facet nie przybył tu tylko po to, żeby się zabić. Nie pojawił się na przyjęciu bez przyczyny.

ROZDZIAŁ 6

Perez ruszył ścieżką do domu Kenny'ego Thomsona.

Był zmęczony, a mózg pracował mu niemrawo. Odrobina wysiłku dobrze mi zrobi, pomyślał. Skoles, siedlisko Thomsona, przypominało bardziej farmę niż zagrodę. Teraz, gdy wykupił okoliczne pola, trzymał więcej owiec niż na własne potrzeby, a niedaleko domu, na jednej z niżej położonych łąk, pały się krowy. Ale wszystko wciąż utrzymywał po staremu. Perezowi bardzo się to podobało. Właśnie mijał pole ziemniaków z porządnymi, prostymi rządkami i pole rzepy. Ostatnio wyspiarscy rolnicy coraz częściej sprzedawali ziemię pod budowę nowych domów, ale najwyraźniej Kenny'ego to nie kusilo. Perez usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio rozmawiali. Bezskutecznie. Na pewno się widzieli: w mieście, wpadli na siebie w Sumburgh albo w barze na promie. Kenny był dla niego kimś więcej niż przelotnym znajomym. Gdy Perez miał szesnaście lat, pracowali razem. Kenny spędził na Fair Isle całe lato. Przebudowywano wtedy port w North Haven. Kenny'ego sprowadzono, żeby nadzorował budowę. Perez był jednym z robotników. Jego pierwsza prawdziwa wakacyjna praca. Jeszcze teraz pamiętał pęcherze, bolący grzbiet i łatwość, z jaką Kenny, dwadzieścia lat od niego starszy, szczupły wtedy i opalony, brał po dwie butle gazowe naraz, pomagając wyspiarzom wyładować łódź. Albo jak cały dzień pracował równym tempem, jakby nie wiedział, co to zmęczenie.

Kenny najpierw zamieszkał w hotelu przy Obserwatorium, ale potem, po kilku tygodniach, przeniósł się w głąb wyspy i zatrzymał u rodziny Pereza w Springfield. Miał stamtąd dalej do pracy, ale powiedział, że czuł się nieswojo wśród tych wszystkich ptasiarzy, a poza tym zarobią parę groszy, przyjmując lokatora. Wieczorem brał prysznic, potem dołączał do rodzinnego posiłku. Kenny nie sprawia żadnego kłopotu. Tak powiedziała kiedyś matka Pereza i była to prawda. Nie zwracał na

siebie uwagi, zachowywał się taktownie, pomagał nakrywać do stołu, zmywał naczynia. Doskonały gość.

Teraz Perez próbował przypomnieć sobie, o czym rozmawiali, kopiąc otwory odpływowe i mieszając zaprawę. Kenny sam nie mówił dużo. Słuchał opowieści Pereza o planach związanych z uczelnią i o tym, jak nie cierpi szkoły. Tylko od czasu do czasu wymusnęło mu się coś o życiu w Biddista, swoim czy innych mieszkańców, ale bardzo rzadko. Poza tym, czy by mu to zaciekało?, zastanawiał się Perez. Kenny wydawał mu się starawy i nudny. Pedantyczny. Miał żonę, Edith, która została w Skoles, żeby opiekować się żyjącym jeszcze wtedy ojcem Kenny'ego. Wspominał o niej, ale bez wielkiego uczucia. Niełatwo było jej pewnie zajmować się starcem, nawet nie swoim krewnym. Kenny powinien być bardziej wdzięczny.

Potem nagle przypomniało mu się przyjęcie w ratuszu. Chłopak z Fair Isle, który po ślubie z dziewczyną z południa w jej mieście przyjechał w rodzinne strony, żeby powtórzyć ceremonię na wyspie. Dziewczyna wystąpiła w długiej białej sukni i z bukietem, jak w anglikańskim kościele. W ratuszu wydano obiad. Zaproszono całą wyspę. Potem były tańce. Perez przypomniał sobie, jak Kenny tańczył z jego matką szkocki taniec, wywijał ją i podnosił, aż w końcu głośno się roześmiała. Ojciec Pereza obserwował ich z boku i wydawał się lekko zdenerwowany. Kenny chyba trochę się upił w tamten wieczór. Perez też nie wylewał za kołnierz, więc nie pamiętał szczegółów.

Wkrótce potem Kenny wrócił do Obserwatorium. Gdy Perez zapytał go dlaczego, Kenny odpowiedział powściągliwie, jak zwykle: „Bo teraz tak bardziej mi odpowiada”.

Zapukał w drzwi kuchni. Czekał przez chwilę. Żadnej odpowiedzi. Perez zastanawiał się, czy nie wejść, gdy stanął za nim Kenny w towarzystwie cichego skudłaconego psa.

- Czekałem na ciebie - oznajmił. - Sandy powiedział, że po ciebie zadzwonił. Ale postanowiłem w tym czasie trochę poprawić. Pod koniec tygodnia planujemy strzyżenie owiec.

- Chcesz dokończyć robotę? Równie dobrze możemy porozmawiać przy pracy.

- Nie, właśnie zrobiłem sobie przerwę na kawę. Napijesz się?

Kuchnia była schludniejsza niż w większości wiejskich chałup. Kenny zatrzymał się pod drzwiami, rozsznurował buty i wszedł do środka w samych skarpetkach. Zanim Perez ruszył za

nim, sprawdził, czy ma czyste buty. Pośrodku kwadratowego pokoju stał stół, a blisko pieca kilka głębokich foteli. Szafki i wyposażenie zainstalował pewnie Kenny, ale wybrała je Edith, pomyślał Perez. Na parapecie stał dzban z firletkami - ciemny róż kwiatów komponował się z motywem na kafelkach. Wszystko dobrze rozplanowane i uporządkowane. Harmonię zakłócały jedynie stojące na ociekaczu brudne naczynia po śniadaniu.

Kenny musiał zauważyć, że Perez na nie patrzy.

- Pozmywam przed powrotem Edith - wyjaśnił. - Chyba tak wypada, skoro ona całe dni pracuje. Może być rozpuszczalna? Edith lubi prawdziwą kawę. Dostała od Ingirid na Boże Narodzenie wymyślny ekspres, ale mnie kawa z ekspresu wydaje się trochę gorzka.

- Jasne - powiedział Perez. - Napiję się takiej jak ty. - Nie miałby nic przeciwko mocnej kawie, ale wiedział, że nie wypada poprosić. Poczekał, aż Kenny usiadł z nim przy stole. - O której go znalazłeś?

Mężczyzna rozważył pytanie. Wszystko robił powoli i z namysłem. Poza tańcem - Perez znów przypominał sobie scenę z ratusza na Fair Isle. Kenny wywijał jak dziki.

- Jakiś kwadrans po dziewiątej dziś rano. Edith wyszła do pracy około wpół do ósmej, a ja miałem się zabrać za rzepe. Taki dzień jak dzisiaj to rzadkość, nawet latem. - Uśmiechnął się. - Kusilo mnie, żeby wypłynąć. Pomyślałem, że wieczorem można by urządzić mały grill, gdyby udało mi się złowić parę czarniaków albo makreli.

Perez skinął głową.

- Wiem, że nie widziałeś twarzy, ale może masz pomysł, kim jest zmarły? Musimy faceta zidentyfikować.

Kolejna pauza.

- Nie. Nigdy go nie spotkałem.

- Ale może coś ci się kojarzy?

- Bella wydawała wczoraj wieczorem przyjęcie. Było dużo przyjezdnych.

Wcale nie tak dużo.

- Ale ty nie przyszedłeś, Kenny. Zdawało mi się, że Bella zawsze zaprasza mieszkańców Biddista na swoje wernisaze. Podobno jesteście jej natchnieniem.

Brązową, pomarszczoną twarz Kenny'ego przeciął krótki, złośliwy uśmiech.

- Tak opowiada mediom. Widziałeś program dokumentalny o niej i Roddym? Już nigdy nie uwierzę niczemu, co zobaczą w telewizji. Przyjechali filmować do Biddista. Jednego dnia łazili też za mną. Oglądając ten program, pomyślałbyś, że jestem jakimś paniskiem, prawie obszarnikiem. - Woda w czajniku się zagotowała. - Nie daj się nabrać na te bajeczki, Jimmy. Bella Sinclair zawsze uważała się za kogoś lepszego od nas. Nawet jeszcze za szkolnych czasów, gdy mieszkała w kumnałce na nadbrzeżu. Prawda, że zawsze umiała rysować, już jako dziewczynka. Wydawało się, że patrzy na świat inaczej niż my wszyscy.

- Nie wiesz, czy wczoraj ktoś nocował u niej na plebanii?

Pokręcił głową.

- Powiedziałem ci już, Jimmy, że trzymamy się z dala od Belli. Nic nie wiemy. Nie sądzę, żeby teraz urządziła u siebie takie wielkie imprezy jak kiedyś. Za dawnych czasów na plebanii zawsze kręciło się dużo obcych. Już wtedy ludzie z Biddista widocznie nie byli dla niej wystarczająco dobrzy. Może w końcu dorosła i nie potrzebuje, żeby cały czas jej mówiono, jaka jest cudowna.

- Roddy był w Herring House.

- No to pewnie zatrzymał się u niej na plebanii. Przekonuje tam, zanim znajdzie coś lepszego.

- Nie lubisz chłopaka?

Wzruszył ramionami.

- Zepsuty do szpiku kości. Nie jego wina.

- Był na festiwalu St Magnus w Kirkwall i Bella przekonała go, żeby wpadł na północ i dla niej zagrał.

- Jest dobrym muzykiem - odparł Kenny. - Tak jak ona dobrą artystką. Ale czy to usprawiedliwia sposób, w jaki traktują ludzi? Gdy Roddy przyjeżdżał do Belli na dłużej, zawsze pałętał się z moimi dziećmi. Młodszy, ale i tak próbował nimi rządzić. Kilka razy zaprosił Ingirid na randkę. Potem ją rzucił. Płakała przez tydzień. Powiedziałem, że powinna się cieszyć.

- Wiem o nim tyle, ile wyczytałem w gazetach.

- Cóż... To półprawdy - odparł. - Już w szkole był zwariowany. Pił. Ćpał. Przynajmniej tak twierdziły moje dzieciaki.

Perez chętnie posłuchałby historii o wyczynach Roddy'ego. Wątpliwe, żeby miały związek ze śmiercią obcego Anglika, ale Roddy Sinclair fascynował wszystkich na Szetlandach. Przyniósł wyspom chwałę.

- Widziałem, jak ktoś wyszedł z przyjęcia - ciągnął Kenny.
- Stałem na wzgórzu za domem. Ktoś ubrany na czarno. Zastanawiam się, czy to nie ten mężczyzna z szopy.

- O której to było?

Znów chwila milczenia. Zastanowienie.

- Wpół do dziesiątej? Może trochę później.

Perez pomyślał, że to mniej więcej pora zniknięcia Anglika.

- Wsiadł do samochodu?

- Nie, nie poszedł na parking. Kierował się na plebanię. Dzielił nas spory kawałek. Nie dam głowy, że to był on. Biegł. Jakby sam diabeł go gonił.

Nie diabeł, pomyślał Perez. Ja. Założyłem, że ruszył na południe, do głównej drogi. Gdybym się trochę przyłożył, tobym go znalazł. Dlaczego tam poszedł? A skoro uciekł z plaży w stronę plebanii i Skoles, jak znalazł się z powrotem na molo z pętlą na szyi? Potem przypomniał sobie, jak bardzo mężczyzna bał się zostać sam. Może nie tylko on go ścigał.

Perez wyczuwał, że Kenny chce już wyjść; poza tym nie miał więcej pytań. Wiedział, że pojawią się później. Przyjdą mu do głowy w środku nocy. Przystanął w ogrodzie, czekając, aż Kenny włoży buty.

- Edith widziała tego mężczyznę? - Stwierdził, że z domu mogła mieć lepszy widok.

Przykucnięty Kenny podniósł na niego zmrużone oczy.

- Nie widziała. Pytałem.

- Zstanę tu was oboje dziś wieczorem, na wypadek gdybym musiał jeszcze z wami porozmawiać?

Kenny się wyprostował.

- Będziemy kręcić się gdzieś w pobliżu. Ale nie mamy nic więcej do powiedzenia.



Gdy wracał na nadbrzeże, nawoływania trójpalczastych mew na klifach za plażą stały się głośniejsze. Nie przepadał za wysokością. Kiedy inne dzieci zlażyły po skałach, on trzymał się z dala od krawędzi. Ale lubił patrzeć na klify z dołu, zwłaszcza w porze, gdy ptaki miały młode i przepychały się w straszliwym zamieszaniu, szukając miejsca na skalnych występach. Była chyba kulminacja przyływu. Woda sięgała prawie do łodzi stojących na plaży. Gdy zbliżał się do Sandy'ego, drogą od Herring

House nadjechał range rover.

Doktor Sullivan pochodził z Glasgow. Młody, bystry. Zadzurzył się w szetlandzkiej dziewczynie i kochał ją tak bardzo, że gdy w mieście zateśniła za rodzinnymi stronami, przyjechał za nią na północ. Podobno zapowiadał się na znakomitego specjalistę, ale rzucił wszystko i został wiejskim internistą. Jakie to romantyczne! *Tak mówili*. Kolejna opowiadka, pomyślał Perez. Dorastamy wśród nich, ale skąd mamy wiedzieć, które są prawdziwe?

Sullivan najwyraźniej nie uważał zmiany za wielkie poświęcenie. Pogwizdując, wysiadł z samochodu i uśmiechnął się do nich.

- Przepraszam, że kazałem panom czekać. Wyszło na to, że kobieta w Whiteness jest w bardziej zaawansowanej ciąży, niż myślała, i odebraliśmy poród w domu. Śliczna dziewczynka!

Perez zastanawiał się, czy lekarz będzie równie pogodny zimą. Niektórzy przybysze z południa nie radzili sobie z niekończącą się nocą i ciągłym wiatrem. Jasne letnie noce szybko ustąpią miejsca burzom jesiennej równonocy. Perez kochał te radykalne zmiany pór roku, ale nie każdemu odpowiadały.

Sullivan obrzucił szybko wzrokiem ciało, po czym wrócił do samochodu. Przyszedł z ciężką latarką. Oświetlił kąty szopy i podniósł niedużą drewnianą drabinę zaczepioną o hak w ścianie.

- Muszę się przyjrzeć bliżej. Można?

Perez przytaknął. Gdyby okazało się, że to zabójstwo, będą mieli szczęście, jeśli specjaliści sądowi z Inverness dotrą do Biddista jeszcze dzisiaj. Najlepiej od razu wyciągnąć możliwie najwięcej informacji.

- Tylko proszę starać się niczego nie dotyczać.

Lekarz wszedł na drabinę. Skierował światło na szyję.

- Problemy?

- Może. Jeszcze nie wiem. Wygląda jak śmierć przez uduszenie, ale to nic dziwnego w przypadku wisielców. Wbrew pozorom, często umierają nie na skutek szybkiego złamania karku, zwłaszcza w przypadku takiej małej wysokości. - Zszedł kilka stopni. - Gdybym miał się zakładać, powiedziałbym, że został uduszony i nie żył, gdy go wieszano. Spójrzcie: lina jest bardzo gruba, ale tu na szyi widać drugą pręgę, pod innym kątem. Ślad po linie nie całkiem zakrywa ten wąski. - Stał przy

nich. - Wolałbym uzyskać drugą opinię, zanim uznam to za morderstwo, inspektorze. Jestem tu nowy. Nie chcę wyjść na durnia.

- Ale jest pan praktycznie pewny, że to nie samobójstwo?

- Jak już mówiłem, inspektorze, gdybym miał się założyć, stawiałbym na to, że nie żył, zanim został powieszony. U siebie bym się nie wahał. Ale to nie mój teren i nie wydam wiążącej opinii, dopóki nie obejrzy go ktoś z większym doświadczeniem.

Perez spojrział na zegarek. Jeśli trzeba rozpocząć śledztwo w sprawie morderstwa, musi zdążyć ściągnąć ostatnim lotem ludzi z Inverness. Miał jeszcze trochę czasu, ale niewiele.

- Jak szybko zdoła pan sprowadzić kogoś do wydania drugiej opinii?

- Proszę dać mi godzinę.

Perez skinął głową. Chciał, żeby to było morderstwo. Z powodu podniecenia, tego dreszczyku, dla którego wstąpił do policji, a na Szetlandach niewiele spraw wzbudzało emocje. Poza tym, jeśli mężczyzna nie zabił się sam, Perez nie był odpowiedzialny za tę śmierć, nie mógł jej przewidzieć.

ROZDZIAŁ 7

Fran leżała na łóżku, patrzyła na smugi słońca na suficie i próbowała nie dać się zwieść dobremu nastrojowi. Po pierwszej nocy z Duncanem czuła podobną euforię i proszę, czym się skończyło! Od samego ślubu sypiał z kobietą, która mogła być jego matką, i zrobił z Fran totalną idiotkę. Na myśl o tym ciągle ja skręcało. Bryza z otwartego okna rozwiała zasłony i mignęła jej przed oczami gruba czarna owca skubiąca trawę tuż obok domu. Zasłona wróciła na miejsce i Fran odpędziła myśli o Perezie.

Gdy zostawiła Duncana, kusilo ją, żeby wrócić do Londynu, do paczki przyjaciół, anonimowych ulic, gdzie nikt nie wiedział o jej upokorzeniu. Ale musiała myśleć o Cassie, swojej prawie sześćioletniej córeczce. Tu dziewczynka mogła się cieszyć większą swobodą. Poza tym miała prawo spotykać się z ojcem. A Fran pokochała Szetlandy, mimo ich ponurej atmosfery, więc przeprowadziła się do Ravenswick. Wynajęła mały dom na zimę, żeby dać sobie czas na podjęcie decyzji, gdzie zamieszkać. Trzy miesiące temu go kupiła. Przywiązała się do Szetlandów. Nie była jednak pewna, czy powinna przywiązywać się do Jimmy'ego Pereza. Za dużo rzeczy naraz.

Bezpieczniej skupić się na przyczynach nieudanego przyjęcia w Herring House. Nie bardzo wiedziała, czego dokładnie spodziewała się po wernisażu, ale na pewno miała nadzieję, że okaże się on większym wydarzeniem. Mimo dzielnej postawy Roddy'ego Sinclaira - mężnie próbował stworzyć odpowiedni klimat i zachęcić ludzi do kupna - wieczór okazał się porażką. Sala świeciła pustkami. Tylko kilkoro przyjaciół przyszło z nią świętować. Od tak dawna marzyła o okazji, kiedy będzie mogła pokazać swoje prace, że teraz czuła się oszukana. No i co zapamiętali goście? Wcale nie sztukę, tylko napad hysterii obcego mężczyzny.

Głębokie rozczarowanie, dziecinne „to nie w porządku”

przywiodły jej myśli z powrotem do Pereza. Do pierwszego, trochę niezdarnego, smakującego kawą pocałunku. Do linii jego pleców, takiej jak sobie wyobrażała, do mięśni rysujących się pod jej palcami.

Zadzwonił telefon.

Przypuszczała, że to Perez, więc wyskoczyła z łóżka i pobiegła naga do salonu, pełniącego też funkcję kuchni. Powie mu, że nic na sobie nie ma. To go podnieci. Chyba. Tak mało jeszcze o nim wiedziała. Sukienka, w której była na wernisażu, leżała beładnie na podłodze. Na stole stał dzbanek ze smętymi resztkami kawy i dwie filiżanki.

Podniosła słuchawkę:

- Halo? - odezwała się niskim, kuszącym głosem.
- Frances, wszystko dobrze? Chrypisz, jakbyś się przeziębiła. - To Bella Sinclair.

Będzie mnie obwiniać o wczorajszą słabą frekwencję, pomyślała Fran. Gdyby Bella sama się wystawiała, pewnie poszłoby lepiej.

- Tak, w porządku - odparła. - Jestem tylko trochę zmęczona.

- Słuchaj, muszę z tobą porozmawiać. Możesz do mnie wpaść? Która to godzina? Wpół do dwunastej. W takim razie przyjedź na lunch najszybciej, jak się da.

O co chodzi? Fran wiedziała, że to śmieszne, ale zaczynała wpadać w panikę. Bella posiadała zdolność wzbudzania strachu. Może chce ode mnie pieniędzy, pomyślała. Rekompensaty za koszty przyjęcia i brak sprzedaży. Nie miała pieniędzy. Ale oczywiście stawi się na wezwanie Belli.

- To może za godzinę, w Herring House - zasugerowała. Przynajmniej tyle czasu zajmie jej ubranie się i jazda na północ.

- Nie, nie - niecierpliwiła się rozmówczyni. - Nie w Herring House. U mnie, na plebanii. Tak szybko, jak zdołasz.

Jadąc do Biddista, Fran pomyślała, że powinna postawić na swoim albo umówić się na inny dzień. To, że podziwia dzieła Belli, nie znaczy, że nie potrafi kierować się własnym rozumem. Kiedyś uchodziła za upartą i asertywną. Ale to było dawno temu, gdy miała prawdziwą pracę, grono przyjaciół i mieszkała w Londynie. Teraz walczyła o swoje miejsce jako artystka i nowa osoba w tutejszej społeczności. Mijając Herring House, zastanawiała się, co dziewczyny z redakcji powiedziałyby na Pereza, więc nie zauważyła ani zaparkowanych przy

molo samochodów, ani grupki mężczyzn stojących przed przedziewiałą szopą. Stanowili nieodłączny element krajobrazu. Rybacy planujący wyjście w morze. Przyjaciółki uznałyby, że nie jest w moim typie, stwierdziła. Że za słaby, żeby mnie okiełznać. Nie wróżyłyby temu związkowi długiej przyszłości.

Plebania była kwadratowym, kamiennym, imponującym budynkiem. Stała na niewielkiej pochyłości, zwrócona fasadą do morza. Fran widziała ją z zewnątrz, ale nigdy nie wchodziła do środka. Zawsze spotykała się z Bellą w kawiarni Herring House. Martin Williamson tańczył wokół nich z kawą czy lampkami wina. Bella widocznie usłyszała na żwirze samochód, bo otworzyła drzwi, zanim Fran zdążyła wysiąść. Miała na sobie dzinsy i luźną lnianą koszulę. Nawet w domu trzymała klasę.

- Wchodź.

Kiedyś między plebanią a plażą stał kościół i architektura budynku odzwierciedlała ten religijny związek. Schody w środku oświetlało wąskie, wysokie na dwa piętra okno w kościelnym stylu, ale z przezroczystymi szybami przepuszczającymi światło. Fran stała w drzwiach i chłonęła widok wnętrza.

- Cudowny dom! - Od razu uznała, że powinna po wiedzieć ten komplement.

Bella wiedziała, że dom jest wspaniały, ale lubiła, gdy to mówiono. Odprężyła się trochę i przybrała mniej władczą postawę.

- Chodźmy do kuchni. Niestety mamy tylko resztki z wczoraj, ale za to jest ich całe mnóstwo.

- Przepraszam, że ode mnie przyszło tak mało osób. Prosiłam...

- Daj spokój - powiedziała Bella. - To nie twoja wina.

Fran oczekiwała jakiegoś wyjaśnienia, ale Bella opowiadała o Biddista i domu, nie o przyjęciu.

- Tu dorastałam. Nie na plebanii, w jednym z komunalnych domów na nabrzeżu. Wtedy komunalnych. Teraz je sprzedano. Ludzie, wśród których dorastałam, nie było na nie stać. Najdłużej siedział tam Willy, ale w końcu nawet on przestał być najemcą.

Fran trochę pochlebiali założenie, że wie, o kim Bella opowiada; że jest traktowana jak mieszkanka Szetlandów. Oczywiście nie miała pojęcia, ale pozwoliła kobiecie mówić dalej.

- W tamtych czasach na plebanii mieszkał jeszcze proboszcz. Anglik. Wcześniej pracował jako misjonarz na Dalekim

Wschodzie i nas też traktował jak bandę dzikusów. Kościół był już wtedy rozebrany i proboszcz odprawiał msze w pokoju stołowym. Czasem w trakcie kolacji mam wrażenie, że słyszę hymny.

Kuchnia znajdowała się z tyłu domu; przy panującej w holu jasności sprawiała wrażenie trochę ciemnej. Też przywodziła na myśl kościół, z ciemną drewnianą ławką pod oknem i wysokim sufitem. Wszystkie sufity na plebanii wydawały się Fran bardzo wysokie. Swojego mogła dotknąć. Bella wyjęła z lodówki przykryte folią talerze i Fran rozpoznała serwowane wczoraj potrawy.

- Muszę się napić wina - oznajmiła Bella. - Zobaczmy, czy Roddy coś zostawił. Nie spał, kiedy wczoraj się kładłam, ale chyba nawet on nie dałby rady wypić wszystkiego, co zostało. W Herring House stoją jeszcze skrzynki. - Podeszła do lodówki i wróciła z butelką. - Napijesz się? To dobre wino.

Fran pokręciła głową.

- Roddy dołączy do nas? - Choć wcale jej się to nie podobało, pociągała ją sława Roddy'ego Sinclaira.

Szetlandzkie pochodzenie stanowiło jego znak rozpoznawczy i podnosiło jego atrakcyjność, ale w oczach Fran reprezentował nie życie wyspiarskie, tylko jej dawne, pełne winiarni, zakupów i brukowych plotek. Mówiła sobie, że wielki świat jest nędzny i wulgarny, ale za nim tęskniła. Nęcił ją, przylapywała się na tym, że czyta „Hello”, kiedy nikt nie patrzył.

Bella spojrzała na zegar.

- Nie wydaje mi się, żeby od czasów podstawówki Roddy'emu choć raz zdarzyło się wstać przed południem. Chyba że musiał zdążyć na samolot. - Nakryła do stołu i uniosła folię z tacy z jedzeniem.

Fran wciąż nie rozumiała powodu tego pilnego wezwania. Czyżby Bella sprawdzała, czy nadal ma moc sprawczą?

- Mówiłaś, że chcesz ze mną porozmawiać. Odniosłam wrażenie, że to coś ważnego.

- Może przesadziłam.

- Jestem dość zajęta, Bello. Powiedz, z łaski swojej, o co chodzi? - Poczowała lekki przyptyw dawnej pewności siebie.

Jej ton chyba wstrząsnął Bella, bo milczała przez chwilę. Cóż za dramatyczna diva, pomyślała Fran. Palcem w bucie nie kiwnie, dopóki nie skalkuluje, jakie wywoła wrażenie. Bella wstała, podeszła do swojej torby i wyciągnęła złożony arkusik.

- O to. Andy z Visit Shetland podrzucił mi to dziś rano. Oczywiście nic z tego nie zrozumiał. Wczoraj miał dzień wolny i na przyjęcie przyszedł prosto z domu. - Położyła kartkę na stole, rozłożyła i przesunęła do Fran. - Nie sędzę, żebyś coś o tym wiedziała.

Była to wydrukowana z komputera ulotka, czerwone i czarne litery na białym tle. Wydruk nieprofesjonalny, ale projekt niezły, zauważyła Fran.

OTWARCIE WYSTAWY ODWOŁANE

z powodu śmierci w rodzinie.

LINIE BRZEGOWE

Wystawa prac Belli Sinclair i Fran Hunter w Herring House, Biddista, została odwołana.

W tych ciężkich chwilach rodzina prosi o uszanowanie prywatności.

Fran popatrzyła zdezorientowana na Bellę. Rozumiała, że ta spodziewa się jakiejś reakcji, ale czuła się ogłupiała, bo nie miała pojęcia, w czym rzecz.

- Co to jest?

- Były wczoraj w całym Lerwick. Wystawiono je w oknie biura informacji turystycznej, na tablicy ogłoszeń w bibliotece i wręczano gościom schodzącym ze statków wycieczkowych. Podobnie w Scalloway. Nic dziwnego, że przyszło tak mało ludzi.

- Ale ja nic o tym nie wiem! W mojej rodzinie nikt nie umarł.

- Ani w mojej. Więc... co to takiego? - Bella znów przybrała dramatyczną pozę. - Pomyłka? Kiepski żart? Sabotaż?

- Dlaczego ktoś miałby sabotować wystawę dzieł sztuki?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Zazdrość. Złośliwość. Raczej nikogo aż tak nie wkurzyłam, żeby zadał sobie tyle trudu. A przynajmniej nie ostatnimi czasy. A ty? Pierwsza wystawa to duża rzecz. Przychodzi ci do głowy ktoś, kto chciałby to zepsuć?

- To okropne. Nie. Absolutnie.

- Chyba twój eks nie zrobiłby takiego numeru?

- Duncan i ja jesteśmy teraz w cywilizowanych stosunkach, dla dobra Cassie. Poza tym to nie w jego stylu. Owszem,

łatwo wpada w złość, ale to jest małostkowe i niesmaczne. I anonimowe. Duncan wolałby zrobić coś na pokaz. - Skinęła głową w stronę ulotki. - Coś takiego byłoby poniżej jego godności.

- W takim razie to jakiś dowcip - powiedziała cicho Bella.
- Żart, który wymknął się spod kontroli.

Zadzwoił dzwonek. Przy drzwiach wisiał staromodny sznur, który uruchamiał dzwonek w holu - chyba uszkodzony, bo wydawał brzękliwy i zgrzytliwy dźwięk. Bella najwyraźniej potrzebowała przerwy, bo poderwała się szybko i odeszła. Wróciła w towarzystwie Pereza. Skinął Fran głową i lekko się uśmiechnął.

- Zobaczyłem na podjeździe twój samochód.

- Szukałeś mnie? - Fran poczuła się zdezorientowana, jakby przestała panować nad wydarzeniami dnia. To przez brak snu, pomyślała. Nagle zatęskniła za ponurymi nocami, chmurami burzowymi i deszczem.

- Nie. Muszę pogadać z Bellą. Sprawy zawodowe.

- W takim razie pójdę sobie. - Ucieszyła się, że ma pretekst do wyjścia. Nie chciała zagłębiać się w dochodzenie na temat fiaska wernisazu. Ulotki to pewnie element jakiejś głupiej zabawy Roddy'ego i jego kumpli. Słyszał z takich durnych pomysłów. Celem była Bella, a Fran oberwała rykoszetem. Złość przyjdzie później. Na razie czuła się tylko speszona. Jakby przyłapano ją na podsłuchiwanie intymnej kłótni między małżonkami.

- Zostań - poprosił Perez. - Z tobą też chciałbym porozmawiać.

Ogarnął ją strach.

- O czym?

- To nie dotyczy Cassie - uspokoił Fran. - Nic z tych rzeczy.

Bella poszła do lodówki i z roztargnieniem dołała sobie wina.

- Jeśli chodzi o ulotki odwołujące wczorajsze przyjęcie - powiedziała - to o nich wiemy. Ale myślę, że to nie zadanie dla policji, nawet tutaj. Nie zamierzamy wnieść oskarżenia.

Może ja zamierzam, pomyślała Fran. Nie mów za mnie.

- W tej sprawie przyszedłeś, Jimmy? - Bella wzięła ulotkę w dwa palce, jakby napawała ją wstrętem, i upuściła na stół przed Perezem.

Przeczytał tekst i zmarszczył brwi. Fran odgadła, że informacja jest dla niego nowa.

- Dlatego wczoraj przyszło tak mało ludzi - wyjaśniła. - Rozwieszono je w Lerwick i widocznie z powodu tej ostatniej linijki nikt nie odważył się zadzwonić. - Chciała poinformować, że ma przyjaciół i że przyszłoby ją wesprzeć, gdyby nie ta ulotka.

- Będę musiał ją zabrać.

- Powiedziałam przecież, że nie zamierzam wnosić skargi - zareagowała ostro Bella.

- Myślisz, że wczorajsza wieczorna scena może mieć z tym jakiś związek? - zapytał. - Pytam o tego rozhisteryzowanego Anglika, który twierdził, że nic nie pamięta.

- Kolejna próba przerwania przyjęcia? Może. W każdym razie po tym przedstawieniu ludzie zaczęli wychodzić. Zrobiło się nieciekawie. - Bella popatrzyła na niego znad lampki z winem.

- W szopie na przystani znaleźliśmy zwłoki - powiedział Perez. - To na pewno ten mężczyzna, który wczoraj spowodował zamieszanie.

- Naprawdę? - Przez krótką chwilę wydawało się, że Bella czerpie z tej wiadomości niewyszukaną przyjemność. W końcu to jakaś historia, dobry materiał na plotki. - Co mu się stało?

- Jeszcze dokładnie nie wiemy. Okoliczności wydają się trochę niejasne.

Co ukrywasz?, pomyślała Fran.

- Mój Boże! - zawołała Bella. - Nie uważacie, że to trochę straszne? Na ulotce napisali „śmierć w rodzinie”. Myślicie, że przewidział własną śmierć?

- Ale on przecież nie jest chyba z rodziny?

- Nie bądź głupi, Jimmy. Oczywiście, że nie. Ja nie mam żadnej bliższej rodziny. Tylko Roddy'ego, a on wciąż żyje, dzięki Bogu!

- Chcemy powiadomić krewnych mężczyzny, ale nie ma przy sobie żadnego dowodu tożsamości. Na pewno żadna z was go nie zna?

- Na sto procent - powiedziała Fran.

- Nie rozpoznałam go wczoraj wieczorem. - Bella obracała nóżkę lampki. - Ale to może być znajomy. Z dawnych lat. W swoim życiu spotkałam mnóstwo ludzi, ale pamięć już nie ta co kiedyś. Starzeję się, Jimmy. - Uśmiechnęła się, czekając, aż

mężczyzna zaprzeczy.

Perez nie od razu pojął zasady gry. Fran wstrzymała oddech. Taka jawna prośba o komplement. Naprawdę odważy się ją zignorować?

W końcu się uśmiechnął.

- Jestem pewien, że ty się nigdy nie zestarzejesz, Bello.

W ciszy, która nastąpiła, Fran zobaczyła tę scenę na płótnie. Ponure holenderskie wnętrze z ciemnym drewnem i cieniami. Profil Belli pełen niepokoju, niemal udręczony, zmarszczki wokół oczu sprawiające, że słowa Pereza zdawały się okrutną kpina.

- Chętnie porozmawiałbym z Roddym. - Pochylił się do przodu.

Fran poczuła zapach swojego mydła na jego skórze.

Bella już miała chyba odmówić, kiedy na drewnianej klepce rozległo się stapanie i drzwi do kuchni się otworzyły. Stał w nich Roddy Sinclair w aureoli słonecznego światła padającego przez wysokie okno w holu. Ziewnął i przeciągnął się, w pełni świadomy, że wszyscy na niego patrzą.

- Przyjęcie - wymruczał. - O rety. Uwielbiam imprezy.



Fran zatrzymała się na poboczu naprzeciwko Herring House. Nie chciała parkować za blisko molo, żeby nie uznano jej za jednego z tych ciekawskich gapiów, podniecających się wypadkami i krwią. Ale plaża była tu taka piękna, a ona musiała poukładać sobie wszystko w głowie. Usiadła na nadbrzeżu i zaparkowała się w wodę.

Zobaczyła, że drogą idzie ktoś w jej stronę. Obserwowała mężczyznę przez chwilę. To ten sam ciemnowłosy człowiek, który wczoraj rozmawiał z nią o malarstwie. Pochlebiali jej, że nieznajomy rozprawia o obrazach z taką pasją; miała nadzieję, że coś kupi. Przemawiał z wiedzą i przekonaniem, uznała więc, że to pewnie marszand, i teraz poczuła się zaskoczona, widząc go nadal w Biddista. Usiłowała przypomnieć sobie, jak on się nazywa. Przedstawił się wczoraj. Ach tak, Peter Wilding. Nazwisko znów wydało się jej znajome.

- Pani Hunter. Przepraszam, nie prze...?

- Nie - przerwała mu. - Oczywiście, że nie.

Usiadł przy Fran.

- Chciałem jeszcze raz powiedzieć, jak bardzo podobały mi się pani prace. - W jego głosie pobrzmiwała nutka autoironii. *Zdaję sobie sprawę, że tak otwarcie wyrażając podziw, mogę się wydać mało wyrafinowany.*

- Jest pan bardzo uprzejmy, panie Wilding.
- Proszę mi mówić Peter.

I wtedy przypomniała sobie, skąd zna jego nazwisko. Czytała o nim w „Observerze”. Jakiś artykuł o współczesnym gatunku fikcji. „Fantasy dla intelektualistów”, chyba tak określili Wildinga.

- Pan jest pisarzem.

- Tak - odparł wyraźnie zachwycony, że w końcu go rozpoznała.

- Zatrzymał się pan w Biddista?

- Wynająłem tu dom. Tymczasowo. Ale Kocham Szwecję. Mam nadzieję, że kiedyś osiadę tu na stałe. Chodzi mi po głowie pomysł na powieść opartą na mitologii wikingów. Może okazać się ciekawa, nie sądzi pani? Byłoby cudownie mieć przed oczyma krajobraz, w którym będzie się rozgrywała akcja.

Zapytał ją o opinię - to mile połechtalo jej ego. Czekał na odpowiedź, jakby naprawdę miała dla niego znaczenie.

- Fascynujący pomysł - przyznała. Zdarzało się jej tęsknić za starym londyńskim życiem. Za rozmowami o książkach, teatrze i filmach. Interesujący człowiek w sąsiedztwie, ciekawy, pełen pomysłów. Dlaczego nie?, pomyślała.

- Czy nie wybrałaby się pani kiedyś ze mną na obiad? - spytał. - Tam, gdzie mieszkam, nie za bardzo mam warunki do gotowania, ale moglibyśmy gdzieś wyjść.

Zaproszenie wstrząsnęło Fran. W zestawieniu z niepewnym siebie Perezem mężczyzna wydał jej się niesłychanie śmiały, tak zwyczajnie wyrażając swoje pragnienia. Nie mogła nic poradzić, że to jej schlebowało. Wprawdzie zabrzmiało trochę jak zaproszenie na randkę, ale nie powie przecież, że nie jest zainteresowana romanssem. Może po prostu chciał porozmawiać o jej sztuce, zamówić obraz.

- Tak - usłyszała swój głos. - Z przyjemnością.

Skinął krótko głową.

- Świetnie. Znajdę pani numer w książce telefonicznej? Zadzwoń.

Odwrócił się i szybko odszedł drogą, którą przybył. Później

wydało jej się dziwne, że żadne z nich nie wspomniało o zwłokach w szopie przy moło, o policjantach i samochodach. Bo była pewna, że Wilding wiedział, co się wydarzyło. Tacy jak on po prostu wiedzą.

ROZDZIAŁ 8

Perez wziął Roddy'ego na dwór.

- Przejdziemy się trochę? Chętnie zaczerpnę powietrza. - Nie chciał rozmawiać w obecności dwóch kobiet. Roddy upajał się publicznością. Podkoloryzowałby wszystko, żeby zapewnić słuchaczkom barwną opowieść. Czułby się zobowiązany je zabawić.

Roddy skrzywił się, jakby świeże powietrze było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, ale wyszedł za inspektorem. Z natury lubił sprawiać innym przyjemność, nawet jeśli nie mógł spodziewać się rewanżu. Dobrze zarabiał, bo umiał być czarujący.

Gdy przekraczali próg, usłyszał, jak Fran oznajmia Belli, że też już idzie. Przypuszczał, że musi odebrać Cassie ze szkoły. Wyobraził sobie, jak była żona Huntera czeka pod bramą i porywa biegnącą przez dziedziniec córkę w ramiona. Lubiał na nie patrzeć.

Roddy wyszedł z ogrodu ścieżką prowadzącą między dużymi kamiennymi słupkami. Stawiał długie, sprężyste kroki i Perez musiał przyspieszyć, żeby za nim nadążyć.

- Skąd wzięłeś się wczoraj wieczorem w Herring House? - zapytał. - Myślałem, że ostatnio cały czas koncertujesz.

- Bella mnie poprosiła. W poniedziałek i tak byłem na Orkadach, na festiwalu Świętego Magnusa. Stamtąd już nie taki problem tu przyjechać. - Umilkł. - Ciotka nie ma w zwyczaju przyjmować odmowy.

- Jak długo planujesz zostać?

- Tydzień. Potem mam tournée po Australii. Nie mogę się już doczekać. Jeszcze nigdy tam nie byłem.

- Zawsze zatrzymujesz się u Belli, gdy jesteś na Szetlandach?

- Na ogół. To jedyna rodzina, jaką tu teraz mam. - Nie musiał wyjaśniać. To kolejna z tutejszych opowieści i śmiało mógł

założyć, że Perez ją zna. O tym, jak ojciec umarł, gdy chłopak był nastolatkiem, a matka dała się omotać amerykańskiemu nafiarczowi i wyjechała za nim do Houston. Roddy odmówił wyjazdu. Miał trzynaście lat, postawił się wszystkim i powiedział, że nie mógłby zostawić wysp. Ta historia pojawiła się na okładkach płyt i w programach telewizyjnych. „Jestem Szetlandczykiem”. Wyspy go za to kochały! Bella wzięła bratanka do siebie. I zepsuła do cna, jak zauważył Kenny Thomson. Zrobiła z niego estradowca. Rozpaliła ambicje chłopaka. Sfinansowała pierwszą płytę. Zaprojektowała okładkę i wysłała do wszystkich swoich przyjaciół artystów na południu. Ale ta historia nie pojawiała się na łamach gazet. Oficjalna wersja brzmiała tak, że Roddy'ego odkrył producent, który spędzał urlop w Lerwick i przypadkiem usłyszał grę Roddy'ego w barze Lounge. W tej wersji Roddy w jeden wieczór odniósł oszałamiający sukces.

- Nie masz jej za złe, że prosi cię o uświetnianie swoich wernisaży?

- A niby dlaczego? Dużo jej zawdzięczam. Poza tym jej imprezy zawsze są zabawne. - Szedł obok Pereza ścieżką prowadzącą przez ziemie Skoles. Pięła się stromo pod górę. Wiodła na szczyt klifu i krawędź wielkiej dziury, znanej jako Wyrwa w Biddista. Perez zamierzał skończyć do tego czasu rozmowę. Chłopiec zatrzymał się nagle i odwrócił do niego. - Skąd te pytania? W kuchni wyglądaliście na takich zmartwionych. Chodzi o moją matkę? Jest chora?

- Nie. Nic podobnego.

Zapadło milczenie i Perez zastanawiał się, czy Roddy przypadkiem nie szuka w myślach innych możliwych powodów odwiezienia policji. Jak konopie indyjskie czy kokaina, które z pewnością znaleźliby w jego pokoju, gdyby tylko się rozejrzeli. Po jednej ze szczególnie hałaśliwych bibek pewien hotel zamierzał wnieść przeciw niemu oskarżenie.

- Zauważyłeś, że na wernisaż przyszło mniej ludzi, niż Bella się spodziewała?

- Tak, trochę mnie to zaskoczyło. Zwykle ma dobrą frekwencję.

- Ktoś rozprowadził wczoraj w Lerwick i Scalloway te ulotki. - Perez wsunął kartkę w przezroczystą koszulkę i dał Roddy'emu do przeczytania.

Chłopak przystanął i oparł się o skały na poboczu ścieżki.

- Chyba nie myślicie, że mam z tym coś wspólnego?

- Ktoś mógł to uznać za dobry żart.
- Na pewno nie ja. Mówiłem już. Bella zaopiekowała się mną, gdy postanowiłem zostać na Szetlandach. Gdyby nie ona, gadałbym teraz z teksańskim akcentem i grał country. Jestem jej dłużnikiem.

- Przychodzi ci na myśl ktoś, kogo bawią takie żarty?
- Nie. Nie widzę w tym nic zabawnego. A ten kawałek o śmierci w rodzinie jest wręcz chory.

- Mamą śmierć - wyjaśnił Perez. - Dlatego tu jestem.
- Kto umarł?
- Wczoraj na przyjęciu pojawił się jakiś obcy człowiek. Zrobił z siebie widowisko po twoim występie. Opadł na kolana i wybuchnął płaczem.

- Facet ubrany na czarno z ogoloną głową?

- Tak.

Ruszyli dalej. Perez poczuł w powietrzu zapach ptasich odchodów i soli. Owce wygryzły trawę króciutko przy samej ziemi. Tu i ówdzie przetykały ją kępki zawciągu i maleńkie niebieskie plamki cebulic. Zbliżali się do szczytu klifu. Zwolnił tempo.

- Widziałeś go już kiedyś? - zapytał. - Przed tym załamaniem zdawał się szczerze zainteresowany obrazami. Nie wyglądało to na pustą ciekawość. Jakby znał się na sztuce. Może spotkałeś go na którejś z wystaw Belli?

- A co mówi Bella?

- Nie wyraziła się jasno. Może to jej znajomy, ale nie jest pewna. Nie ma już takiej pamięci jak dawniej.

- Bzdura. - Roddy'emu starczyło oddechu, by wydać krótki zdławiony śmiech. Perez zaczynał dyszeć. - Bella jest bystra jak zawsze. A jeśli chodzi o interesy, to nawet bystrzejsza. Gdyby facet był marszandem albo krytykiem, rozpoznałaby go jeszcze w proggu.

- A ty? Znasz go?

- Przykro mi, w życiu gościa nie widziałem.

Chociaż do krawędzi klifu został jeszcze kawałek, już stąd widać było lśniące morze, pieniające się na przybrzeżnych skałach. Perez usiadł na trawie. W powietrzu szybował głupek.

- Przepraszam - wysapał. - Ale moja kondycja pozostawia co nieco do życzenia. Ostatnio nie ruszam się zza biurka. - Myślał, że Roddy przysiądzie obok, ale chłopak szedł dalej.

Staął plecami do Pereza, z lekko uniesionymi ramionami, i

patrzył na morze. Nad nim, niczym punktowy reflektor, wisiało słońce późnego poranka. Z miejsca, gdzie siedział Perez, wydawało się, że chłopiec zaraz zniknie. Jeden krok do przodu i spadnie w przepaść. Perez miał wrażenie, że wystarczy, aby Roddy wyciągnął rękę, a dosięgnie skrzydła głuptaka. Wiedział, że to złudzenie wywołane światłem i tym, że nad samym urwiskiem grunt lekko opadał. Ale niechby dzieciakowi zrobiło się niedobrze... Poczul kropelki potu na czole; miał nadzieję, że ich nie widać.

- Nie zapytałeś, jak umarł ten Anglik. - Przypuszczał, że zainteresuje tym chłopca.

I rzeczywiście Roddy odwrócił się do niego i odsunął o kilka kroków od rozpadliny.

- No jak? Wypadek? - To była najbardziej prawdopodobna przyczyna nagłej śmierci na wyspach. Za dużo alkoholu. Wąskie drogi, niebezpieczne dla przyjezdnych.

- Kenny Thomson znalazł go wiszącego w szopie na moło.

- Samobójstwo?

- Możliwe. - Oficjalna wersja, zanim opinia lekarza z Whiteness nie zostanie potwierdzona.

- Biedaczysko. - Roddy podszedł i klapnął na trawę obok Pereza. Ale wypowiedział to lekko, bez głębszej refleksji. Młody i szczęśliwy, nie wyobrażał sobie, jak bardzo trzeba być zrozpaczonym, żeby odebrać sobie życie.

- Albo morderstwo. - Słowa zabrzmiały ostro i Perez od razu wiedział, że nie powinien tego mówić. Nie do czasu użyskania oficjalnego orzeczenia. Ale chciał, żeby Roddy potraktował sprawę poważnie. Bo na razie chłopak się bawił. Poza tym Perez ufał młodemu lekarzowi z Glasgow, a i tak zanim przybędzie ekipa z Inverness, całe Szetlandy będą wiedziały, co się stało.

- Morderstwo! - Kąciki ust Roddy'ego unosiły się jeszcze, jakby to stwierdzenie było żartem, zbyt niewiarygodne, by mogło być prawdziwe.

- Trzeba to brać pod uwagę - ciągnął Perez. - Sam rozumiesz, dlaczego muszę się dowiedzieć, kto to taki.

- Naprawdę nie spotkałem go wcześniej.

- Rozmawiałeś z nim wczoraj wieczorem?

- Oglądał obraz Fran Hunter. Ten z sylwetką dziecka na plaży. Genialne. Znaczący, podziwiam prace Belli i nie chcę być nielojalny, ale pomyślałem, że malowidło Fran jest najlepsze na

wystawie. Ciągłe o nim myślę. Jeśli jeszcze go nie sprzedała, to chyba je kupię. Przetrzynam do czasu, gdy będę miał własny dom. Stałem tuż obok tego faceta. Odezwał się do mnie. „Dobry, prawda?” To wszystko, co powiedział.

- A akcent? - zapytał Perez. - Nie umiem go sprecyzować. Ty podróżujesz więcej ode mnie. - Ile lat ma Roddy Sinclair? Dwadzieścia jeden? Dwadzieścia dwa? A już grał na skrzypcach na całym świecie. Poza Australią, ale niedługo i tam się pojawi.

- Z północnej Anglii - stwierdził Roddy. - Yorkshire? Ale słyszałem tylko dwa słowa. Nie mam pewności.

- Jakie sprawił na tobie wrażenie?

- Człowieka podziwiającego obraz. Spokojny, normalny. Odszedłem, a pięć minut później narobił zamieszania, płacząc na kolanach. Naprawdę dziwaczne zachowanie.

Co takiego zdarzyło się w ciągu pięciu minut?, zastanawiał się Perez. Nagła amnezja tak bardzo wystraszyła nieznanego, że doznał załamania nerwowego? A może tylko je odegrał na pokaz? Żeby do końca zepsuć wieczór, który i tak się nie udał przez rozrzucone po całym mieście ulotki?

- Co robiłeś po występie?

- Urznąłem się. Drętwo wypadł ten wernisaż i pomyślałem, że powinienem dostosować się do atmosfery.

- Z kim piłeś?

- Z każdym, kto się napatoczył, ale wszyscy szybko się zmywali. W końcu zostaliśmy tylko ja i Martin. Sprzątał. Za bardzo to mu nie pomagałem, ale przynajmniej dotrzymywałem towarzystwa i nie pozwalałem, żeby miał pustą szklankę.

- Przyjaźnicie się?

- Cóż, Martin jest trochę ode mnie starszy. Ale w skali Bidista obaj jesteście dziećmi. Gdy zatrzymuję się u Belli, wieczorem zwykle razem gdzieś się wybieramy. Jeśli Dawn pozwoli mu się zabawić.

- O której wyszedłeś z Herring House?

- Nie pamiętam, poza tym o tej porze roku raczej trudno się połapać w godzinach. Cała noc wygląda tak, jakby się właśnie zmierzchało. Może Martin wie. Był odrobinę trzeźwiejszy.

- Wyszliście razem?

- Owszem. Przypominam sobie, że stałem na dworze i czekałem, aż zamknie kawiarnię. W rękach trzymałem dwie butelki wina. Zaprosiłem go na plebanię, żeby dalej imprezować.

Wiesz, jak to jest, wtedy wydawało mi się to doskonałym pomysłem.

- Spotkaliście kogoś?
- Nie. Absolutny spokój. Pamiętam, bo pomyślałem sobie, że niemal wszędzie słyhać jakieś dźwięki. Uliczny zgiełk. Muzykę. Czasem syreny w oddali. Tu tylko ptaki. I wodę pluskającą o kamienie. Więc zacząłem śpiewać. Martin kazał mi się zamknąć. Bał się, że obudzę jego córkę.
- Poszedł z tobą na plebanię?
- Nie, w końcu się na mnie wkurzył. Powiedział, że Dawn go zabije, jeśli nie wróci o przyzwoitej porze, i że obiecał rano pomóc w sklepie. Odprowadziłem go do domu, a dalej poszedłem sam.
- Spotkałeś kogoś?
- Nie.
- Zastałeś Bellę w domu?
- Też nie. Było pusto. Cicho jak w grobie.



Gdy wrócił na molo, samochód lekarza zniknął. Sandy siedział sam. Nigdy nie wydawał się znudzony. Ciekawe, o czym myśli, gdy tak siedzi i nic nie robi. Może o kobiecie. Sandy miał skłonność do krótkich burzliwych zauroczeń. Jego związki nigdy nie trwały długo i za każdym razem kobiety rzucały go, zawiedzionego i oszołomionego.

Perez pomyślał, że z nim jest niewiele lepiej. Teraz też był zauroczony. Może jest na najlepszej drodze, żeby zrobić z siebie takiego samego idiotę, na jakiego zawsze wychodził Sandy?

Uśmiechnął się do siebie, bo uznał, że ma to gdzieś. Zerknął na zegarek, próbując ukryć głupkowatą minę. Dochodziła pierwsza. Chłopak pewnie jest głodny i będzie się domagał przerwy na obiad.

Na widok Pereza Sandy poderwał się z nadbrzeża.

- Próbowałem się do ciebie dodzwonić.
- Na wzgórzu nie ma zasięgu. Wyspy były oznaczone białymi plamami zasięgu.
- Lekarze właśnie odjechali.
- I?
- Są zgodni, morderstwo.

ROZDZIAŁ 9

A więc to już oficjalna wersja. Nie mogli po prostu wezwać karetki, odciąć nieznanego w czerni i przekazać zwłok służbom medycznym. Perez znów popatrzył na zegarek. Zespół z Inverness nie zdąży do Aberdeen na prom, ale powinien się załapać na ostatni wieczorny lot. Wybrał numer do swoich ludzi w Lerwick, żeby przekazać im informacje i uruchomić maszynę śledztwa.

- Możesz tu zostać, Sandy? Oznacz to jako miejsce zbrodni i trzymaj ludzi z daleka. Każę jak najszybciej przysłać kogoś, kto cię zmieni.

Podejrzewał, że musi wrócić do miasta. Przypadki podejrzanej śmierci łączą się z masą formalności. Priorytetem jest identyfikacja zmarłego. Powinien porozmawiać z prokuratorem, zainicjować prawną procedurę śledztwa. Ale wolałby zostać w Biddista. Przepytać tutejszych ludzi. Był przekonany, że więcej od nich wyciągnie niż przyjezdni.

- Kurczę, szefie, umieram z głodu. Może chociaż puścisz mnie do sklepu po czekoladę, he? - zajączał Sandy jak dwuletni berbec.

Chwilami Perez podejrzewał, że chłopak ma mózg dwulatka, ale wtedy znienacka Sandy zaskakiwał wszystkich swoją wiedzą techniczną - na komputerach znał się jak nikt inny w komisariacie. Perez czuł do niego nieodpartą sympatię.

- Zostajesz tu. Coś ci przyniosę. - Zanim Sandy zdążył zaprotestować, Perez był już na środku szosy.

Usłyszał, jak chłopak z Whalsay krzyczy za nim:

- To przynieś mi Marsa! I czipsy! Z solą! I puszkę coli! Tylko nie tej cholerniej niskokalorycznej!

Sklep dobudowano do ostatniego z szeregowych domów; był niewiele większy od angielskiego podmiejskiego garażu. Wokół ścian ustawiono półki, z których samemu brało się towar. W ladzie chłodniczej leżały bryły orkadzkiego cheddara i

paczki próżniowo pakowanego boczk. W jednym kącie urządzono pocztę: stała w nim pólka z urzędowymi drukami i waga do ważenia przesyłek.

Za ladą spożywczą stał młody chłopak - Martin Williamson, szef kuchni, który w poprzedni wieczór przygotował jedzenie dla gości wernisażu.

Jego ojciec prowadził kiedyś hotel w Scalloway. Gdy przepił wszystkie zyski, rodzina sprzedała hotel i przeprowadziła się do Lerwick. Wkrótce potem mężczyzna umarł. Wpadł do wody w porcie promowym, oczywiście pijany. Plotkowano, że wskoczył, ale nikt nie widział, jak stary Williamson wpadał, więc skąd mogli wiedzieć?

Martin słynął z dobrego humoru. Ludzie mówili, że stroił sobie żarty nawet na pogrzebie własnego staruszka. Jedni go potępiali; inni uznali, że tylko próbował się nie rozkleić. Ta historia przyłgnęła do niego na dobre. Stała się jego znakiem rozpoznawczym: Martin Williamson, facet, który śmiał się na pogrzebie swojego ojca. „Od urodzenia ma w sobie coś z kłowna”, cytowano słowa, którymi zareagowała jego matka, gdy to do niej dotarło. Najwyraźniej skazała syna bez sądu. Nad drzwiami sklepu widniało jej nazwisko: Aggie Williamson. Mieszkała w przyległym domu. Ci sami plotkarze, którzy gadali na temat utonięcia starego Williamsona, jej nagły dostatek i zakup sklepu wyjaśniali wypłatą z polisy na męża. Dorastała w Biddista i zawsze chciała tu wrócić. Nigdy nie zadomowiła się w Scalloway. Była cichą, zamkniętą w sobie kobietą i zgiełk hotelowego baru oraz stres związany z nieustannym kontaktem z turystami wyprowadzały ją z równowagi. Pieniądze z interesu w Biddista ledwie starczały jej na życie, ale co nieco dorzucała poczta brytyjska; poza tym wołała, gdy sklep świecił pustkami. Siadała wtedy w pocztowym kącie na wysokim stołku barowym i czytała romanse historyczne.

Martin mieszkał w domu stojącym pośrodku, z żoną Dawn i córeczką.

Kiedy nie pracował w Herring House, pomagał matce. Miał ambicję, żeby otworzyć własną restaurację.

Perez dobrze o tym wszystkim wiedział, mimo że sporadycznie spotykał się z tą rodziną. Czasem zastanawiał się, jak żyje się w społeczności, w której za ludźmi nie ciągną się opowiadane przez wszystkich historie. Upajająco, pomyślał. Spo-

tykając kogoś nowego, można się wymyślić na nowo. Ale pewnie też trochę nudno i zimno. W Biddista mieszkało jeszcze mniej ludzi niż na jego rodzinnej wyspie, Fair. Tutejsi na pewno mają swoje sekrety.

Uświadomił sobie, że musi bardzo dziwnie wyglądać, gdy tak stoi pogrążony w myślach, i oprzytomniał. W sklepie było ciemno. Jedyne światło wpadało przez otwarte drzwi. W półmroku dojrzał na podłodze kilkuletnią dziewczynkę; siedziała obok pudła z zabawkami. Bawiła się zrobioną na drutach zabawką, jakimś pokracczym zwierzakiem z długimi łapami i ryjem. Trzymała go w pasie i odbijała nogami od podłogi, udając, że zabawka tańczy. Martin popatrzył na niego znad lady i parsknął śmiechem.

- Nie pytaj, co to jest. Alice zakochała się w tej zabawce na kiermaszu rękodzieła i teraz nie możemy jej od tego cudaka ani na chwilę oderwać, choćby po to, żeby go wyprać. - Uśmiechnął się. - Znów jesteś w Biddista. Co cię sprowadza tym razem?

Perez puścił pytanie mimo uszu.

- Myślałem, że prowadzisz kawiarnię w Herring House. Dziś jest zamknięta?

- Galeria jest w czwartki nieczynna. Pozwalam matce trochę odpocząć i sam tu stoję.

Perez obszedł półki, znalazł czekoladę i czipsy. Nie było tych z solą. Wziąć z serem i cebulą? Sandy jest pewnie wybredny w kwestii jedzenia. Nie do wiary, że się tym przejmuję, przemknęło mu przez myśl. Zaczynam dochodzenie w sprawie morderstwa, a martwię się, co wybrać Sandy'emu na przegryzkę. Podszedł do lady, wyjął z tylnej kieszeni portfel.

- Ten facet, wczoraj wieczorem w galerii, był trochę zdeenerwowany, co? - zagadnął. - Znasz go?

Martin pokręcił głową.

- Wyglądał mi na przyjezdnego. - Mężczyzna zaczął podliczać zakupy na podzwaniającej sklepowej kasie.

- Zostawiłem go z tobą w kuchni. Dlaczego uciekł?

Martin popatrzył na niego z paczką chipsów w ręce.

- Hej, to nie ma ze mną nic wspólnego. Przygotowywałem jedzenie. Zresztą tylko marnowałem czas, ponad połowa została. Przyszło mniej osób, niż się spodziewano. Bella się wściekła.

- No dobra. Ale co, tak po prostu wstał i wyszedł bez

słowa?

- Nie wiem, co się stało. Zaniosem tace z kanapkami do galerii. Gdy wróciłem do kuchni, już go nie było. Może się otrząsnął i poszedł do domu.

- Nie - powiedział Perez. Dziewczynka siedziała pochłonięta zabawą, ale i tak ściszył głos. - Jest w szopie Kenny'ego Thomsona. Nie żyje. Powiesił się na krokwi.

Usta Martina złożyły się w cień speszzonego uśmiechu.

- Żartujesz?

Perez pokręcił głową.

- Czemu miałbym żartować ze śmierci? Kenny go znalazł. Nie słyszałeś? - Nie bardzo mógł uwierzyć, że Martin nic o tym nie wie. W takim miejscu jak Biddista informacje szybko wyciekały i z łatwością przesiąkały do wiedzy ogółu. - Nie zastanowiło cię, co robi pod szopą Sandy z lekarzami?

- Od otwarcia sklepu siedzę w środku. Leczę kaca.

- Dlaczego przypuszczałeś, że żartuje? - Też mi żart, pomyślał. Równie niesmaczny, jak ten o śmierci w rodzinie, przez którą odwołano wernisaż.

- No... nie wiem, chyba z szoku. Zabił się? - Martin wziął córeczkę na ręce i wyrzwał przez drzwi na szopę. - Dlaczego akurat w szopie Kenny'ego?

- Czy tylko Kenny z niej korzysta?

- Nie, ale tak ją nazywamy, bo to on ją zbudował. Wszyscy z Biddista trzymają tam swoje klamoty. Kenny, ja, ten nowy facet, który wprowadził się do ostatniego domu, Bella, Roddy.

- Co za nowy facet?

- Z Anglii. Pisarz. Peter Wilding. Chce tu skończyć książkę, tak mówił. Willy, poprzedni mieszkaniec, przeniósł się w zeszłym roku do opieki społecznej i na jego miejsce wprowadził się Wilding. Nie znam faceta, ale widocznie nieźle mu się powodzi, skoro może sobie pozwolić na spędzenie tu lata. Nie wydaje się zapracowany. Przeważnie siedzi przy oknie na górze i gapi się na morze. Może czeka na natchnienie?

Dziewczynka uwolniła się z jego objęć i pobiegła do swoich zabawek.

- Wilding ma łódź? - zapytał Perez.

- Nie. Zaprosiłem go raz, gdy wypłynęliśmy z Kennym, tak po przyjacielsku. Ale wiała lekka bryza i się zestruchał. Chyba zrobiło mu się niedobrze. Nie sądzę, żeby dał się skusić drugi raz.

- W takim razie po co korzysta z szopy?
- Zapytał, czy nie pozwolimy mu zostawić w niej paru pudeł z rzeczami. Dom Willy'ego jest bardzo mały.
- Skoro to Anglik, to może coś go wiąże ze zmarłym.
- Chyba się nie znali. W każdym razie dziwna byłaby to znajomość. Widział, że facet się załamał, i nic nie zrobił, żeby mu pomóc?

- Nie rozumiem...
- Wilding był na wczorajszym przyjęciu w Herring House. Bella go zaprosiła. Lubi sławnych ludzi. Więc gdyby znał tamtego, to chyba by się przyznał.

Wtedy Perez przypomniał sobie, że Bella wspominała o Willym, tylko przedstawiła go jako kolekcjonera.

- Przychodzi ci na myśl ktoś z tutejszych, kto mógł zakwaterować gościa z Anglii? Nie możemy znaleźć samochodu.
- Nikt w okolicy Biddista nie bierze lokatorów.
- O której wyszedłeś z Herring House?
- Chyba około jedenastej, gdy skończyłem sprzątać.
- Roddy Sinclair dotrzymywał ci towarzystwa?
- Wypiliśmy trochę. Zostało mnóstwo otwartych butelek.

Szkoda, żeby się zmarnowały. - Uśmiechnął się.

Naprawdę taki z niego luzak?, pomyślał Perez. Czyżby to jednak była prawda, że nie poruszyła go nawet śmierć własnego ojca?

- Zaprosił cię na plebanię na dalszy ciąg?
- Podobno obiecał Belli skończyć z piciem. Myślę, że ciotka martwi się o niego. Roddy czasem trochę przesadza. Za ostatnim pobylem zasugerowała mu, że powinien iść na odwyk.
- I poszedł?
- Jasne, że nie. Jest młody. Dużo pije. Od tutejszych rówieśników różni się tylko tym, że ma więcej pieniędzy. Wyrośnie z tego.

- Nie poszedłeś z Roddym na plebanię?
- Nie, wiedziałem, że jak pójdę, to zostanę całą noc. Gdy wyszliśmy z galerii, zaczął hałasować. Dawn wcześniej wstaje do pracy i uznałem, że ten raban ją wkurzy. Natychmiast otrzeźwiałem.

- Spotkałeś kogoś?
- Nie.
- Widziałeś światła w oknach?
- Nie jestem pewny. O tej porze roku w nocy jest tak jasno,

że nie bardzo się zauważa. - Zamilkł. - Zdaje mi się, że Wilding wyglądał przez okno.

- Pamiętaj, o której wyszedł z przyjęcia?

- Niestety nie. Cały wieczór spędziłem w kuchni. Po tym, jak ten gość urządził scenę, ludzie zaczęli się zmywać. Roddy zagrał kilka kawałków, a potem wszystkich wymiotło. Myślę, że Wilding też wtedy wyszedł.

- Wiesz coś o tym? - Perez położył na ladzie ulotkę odwołującą wystawę.

Martin przeczytał ją i zmarszczył brwi.

- Nie bardzo rozumiem - powiedział. - Kto umarł? Bella nic nie odwoływała.

- Nikt nie umarł - odparł Perez. *Poza Anglikiem w czerni.*

- To chyba jakiś kawał. Albo ktoś chciał popsuć wernisaż. Były wczoraj w całym Lerwick.

- Żalotne. - Pierwszy raz od początku rozmowy Martin spowaźniał.

- Co jest żalotne?

- To, że ludzie tak zazdroszczą Belli. Tego, że ma talent i na tym zarabia.

- Myślisz o kimś konkretnym?

Zanim Martin zdążył odpowiedzieć, dziewczynka oderwała się od pudła z zabawkami i stanęła przed nimi.

- Popatrzcie na mnie! - Na twarz założyła sobie maskę kłowna, identyczną jak ta, która wciąż zasłaniała twarz nieznanego wiszącego w szopie na molo i czekającego na przyjazd ekipy śledczej z Inverness.

Pereza już drugi raz ścisnęło w żołądku. Zdziwiony zauważył, że w masce dziewczynka przestała przypominać człowieka. Zupełnie jakby skradziono jej duszę.

Ale Martin tylko się zaśmiał.

- Hej, Alice! Skąd to wytrzasnąłaś? Wyglądasz dziwnie.

Dziewczynka zachichotała i pozostawiając pytanie bez odpowiedzi, wybiegła ze sklepu na słońce.

ROZDZIAŁ 10

Alice zostawiła za sobą uchylone drzwi i popędziła do babci. Mamy nie było w domu. Perez wiedział o tym, tak jak o wielu rzeczach dotyczących tej rodziny, bo przez lata mimowolnie zbierał o niej informacje. Dawn Williamson uczyła w Middleton, w najbliższej szkole podstawowej. Kiedy szła do pracy, dziewczynką zajmowali się na spółkę Martin i Aggie. Dawn była przyjezdna, więc jej przeszłość znał tylko pobieżnie. Martina spotkała już po tym, jak przeprowadziła się na Szetlandy i zaczęła uczyć w szkole.

Perez zaniósł Sandy'emu torbę z jedzeniem, postawił ją na nadbrzeżu i ruszył z powrotem, zanim chłopak zdążył zauważyć, że jego zamówienie zostało zrealizowane tylko częściowo. Stał na chodniku pod drzwiami domu Aggie i zastukał. Lubił kobietę. Wrócił na Szetlandy w samą porę, żeby zająć się wypadkiem starego Williamsona. Przesłuchał ją, szanował za spokój i za to, że nie powiedziała o zmarłym złego słowa.

Otworzyła drzwi i od razu go poznała.

- Jimmy Perez, co cię sprowadza do Biddista?

W jej głosie dosłyszał lekkie zmieszanie. Wszędzie na świecie policjant w proggu oznacza kłopoty. Kiedy nie odpowiedział, dodała:

- Wejdz. Powiesz mi, jak będziesz na to gotowy.

Nie widział jej chyba od pogrzebu Williamsona, ale nic się nie zmieniła - zadbana, drobna, tuż po sześćdziesiątce. Przy stole nakrytym wzorzystą ceratą przygotowywała się do pieczenia. Przed nią stały wagi, porcelanowa miska, torebki z mąką i z cukrem, na spodku trzy rozbite jajka, obok drewniana łyżka. Zupełnie jakby nagle znalazł się w kuchni rodzinnego domu na Fair Isle. Matka miała podobną miskę w identycznym bladociętym kolorze. Aggie smarowała blachę do pieczenia opakowaniem po margarynie. Alice pobiegła przodem, usiadła na wy-

sokim stolku i zaczęła popijać sok z plastikowego kubka. Maskę kłowna przesunęła na głowę. Kobieta wytarła dłonie w ścierkę.

- Dobrze, skoro jesteś, to pewnie napijesz się herbaty. - Postawiła czajnik na gorącej płycie. Pierwsze uczucie zaskoczenia wywołanego obecnością Pereza minęło. Ale Aggie zawsze wydawała się odporna na wstrząs. Nawet wtedy, gdy jej mąż spadł z doku do wody.

Spojrzała na wnuczkę i uświadomiła sobie, że policjant pewnie nie chce rozmawiać przy dziecku.

- Chodź, Alice - powiedziała. - W taki śliczny dzień nie powinnaś tkwić w domu. Jeszcze się w nim nasiedzisz, gdy pójdziesz do szkoły. Na dwór, już. - Otworzyła kuchenne drzwi i popędziła dziewczynkę do długiego, wąskiego ogrodu.

Popatrzył za małą. Nie wypuszczając z rąk wełnianej zabawki, wdrapała się na drewnianą huśtawkę i teraz ścisnęła w rączce nogę dziwadła i linę. Taką, jakiej używali na statkach. I podobną do tej, która opłotła szyję Anglika.

- W szopie Kenny'ego mamy trupa - oznajmił Perez. Tak jak w przypadku Martina uznał, że nie po winna to być dla niej nowina. Bez trudu mogła zobaczyć z domu Sandy'ego siedzącego przez cały ranek na nadbrzeżu. Na pewno wyszła i zapytała go, co tam robi. Jeśli jednak tak było, nie dała tego po sobie poznać.

Zaczęła już ubijać cukier i margarynę i teraz gwałtownie podniosła głowę.

- To nie Kenny? Jasne, że nie on. Jakiś czas temu tędy przechodził. Szybko, jakby unikał rozmowy. W takim razie kto?

- Anglik. Przyjezdny. Brał udział we wczorajszym przyjęciu u Belli Sinclair, ale chyba nikt go nie znał.

- Jak umarł?

- Jeszcze dokładnie nie wiemy. Wisiał na krokwi. - Przerwał. - Nie było cię na wernisażu Belli.

Od razu wychwyciła, że to nie pytanie.

- Ale ty byłeś? Słyszałam, że zaprzyjaźniłeś się z żoną Duncana Huntera.

- Już nie jest jego żoną, Aggie. - Dlaczego musiał to powiedzieć? Zdenerwowało go, że dał się jej podpuścić. Może dlatego, że przypominała mu matkę, a przed nią zawsze się tłumaczył.

- Dobrze, dobrze, to i tak nie mój interes. - Zawahała się. - Bella zaprosiła mnie, ale zrozum, Jimmy, to nie dla mnie. Tyle obcych ludzi.

- Szczerze mówiąc, dla mnie też nie.

- I trochę boję się Belli. Nawet po tylu latach.

Uśmiechnął się. Rozumiał, co miała na myśli. Jego też Bella lekko przerażała.

- Dorastałyście chyba razem. Tutaj, w Biddista.

- Tak - przyznała. - W tych domach. Willy tam, na końcu. Nigdy się nie ożenił, jego matka umarła w czasach, gdy byliśmy już na tyle duzi, żeby to zauważyć. Sinclairowie mieszkali w środkowym. A ja z rodzicami tutaj.

- Więc wróciłaś do korzeni.

- Tak naprawdę nigdy nie chciałam stąd wyjeżdżać.

- Bella miała tylko jednego brata?

- Aleca, ojca Roddy'ego.

- Jaki on był?

- Och, spokojny. Nie to, co jego syn. Chorował na raka. Co za tragedia, w tak młodym wieku. Pod koniec straszliwie wychudł. Dla Roddy'ego to musiało być straszne. Może to dlatego taki z niego wariat.

Perezowi zdawało się, że dostrzega na jej twarzy słaby rumieniec, i zastanawiał się, czy czuła coś szczególnego do Aleca Sinclaira, ale może to tylko gorąco kuchni.

- A Kenny Thomson mieszkał jak teraz, w Skoleks. - Chętnie zmieniła temat. - On, jego rodzice i brat Lawrence. Więc niewiele się zmieniło. Lawrence najpierw przeniósł się do Lerwick, potem całkiem porzucił Szetlandy.

- Nie słyszałaś o jakichś przybyszach w okolicy? Może w którymś z domów po drodze do Middleton zaczęli przyjmować gości?

Pokręciła głową.

- O niczym takim mi nie wiadomo. - Rozbiła jajko o miskę i dwoma kciukami rozdzieliła skorupkę. - Chyba to nie Peter Wilding? Zajął dom po Willym. Jest Anglikiem.

- Martin by go rozpoznał. Wczoraj wieczorem widział tego nieznajomego.

- To nie umiem ci pomóc.

- Miałaś ostatnio jakichś turystów w sklepie?

- Kilku. Na początku tygodnia grupkę młodych Australijczyków. Koniecznie chcieli coś zimnego do picia. A wczoraj

wycieczkę autobusową. Zatrzymali się w Herring House na kawę. Potem większość przespacerowała się tutaj, żeby rozprostować nogi. Kupowali widokówki i cukierki. Ale to sami starsi ludzie. Ile lat ma twój Anglik?

- Nie jest stary. Czterdzieści, czterdzieści pięć.

- To rzeczywiście nie stary. - Rozbiła kolejne jajko. Potem przesiała łyżkę mąki i powoli zamieszała.

Perez czekał, aż Aggie skończy.

- Skąd Alice wzięła tę maskę kłowna?

- A czemu pytasz, Jimmy? Chcesz taką dla córeczki Fran Hunter? - Uśmiechnęła się figlarnie. Znów go prowokowała.

- Nie, nie dlatego. - Zamilkł, ale zaraz pomyślał, że właściwie jej powie. I tak niedługo to się rozejdzie.

- Zmarły ma na twarzy podobną.

Znieruchomiała, z miską w jednej ręce i łyżką w drugiej. Może wyobraziła sobie nieznanomego w dziecięcej masce.

- Nie ja kupiłam ją Alice.

- Martin też nie.

- W takim razie Dawn. Jeśli chcesz, zapytaj małą. Jeśli uważasz, że to ważne...

Wzruszył ramionami.

- Może nam pomóc zidentyfikować mężczyznę. Nie bardzo mamy od czego zacząć.

Powinienem zapytać o maskę Dawn, stwierdził w duchu. Pewnie lepiej się orientuje niż Alice. Ten zbieg okoliczności bardzo zaintrygował Pereza i kusilo go, żeby od razu pojechać do Middleton i porozmawiać z nauczycielką. Ale to zajęłoby mu za dużo czasu. Musi przygotować centrum dochodzenia na przyjazd chłopców z Inverness. Żeby nie pomyśleli, że ludzie z Szetlandów nie umieją poprowadzić poważnej sprawy. Ostatnim razem przygotowania ciągnęły się za długo. Poza tym nie chciał robić wielkiego szumu wokół mężczyzny i maski. Gdyby pojawił się w szkole i wywołał Dawn z klasy, po wyspach od razu rozeszłyby się plotki. Dobrze pamiętał poprzednie morderstwo na Szetlandach, sparaliżowanych strachem ludzi, okropną atmosferę. Tym razem było inaczej. Zginął przyjezdny. Ale po co ryzykować?

- Jeśli Alice nie będzie wiedziała, to wspomnisz o tym Dawn? - zapytał.

- Jasne.

- I wolałbym, żeby wieści nie rozniosły się za szybko. Najpierw trzeba poinformować krewnych. Jeśli kiedykolwiek ich znajdziemy.

- Nie martw się, nikomu nie powiem i poproszę Dawn, żeby zachowała to dla siebie - oznajmiła ze spokojem i pewnością, że jej prośba zostanie wysłuchana.

Perez nie wyobrażał sobie, żeby Fran mogła być równie uległa wobec jego matki. Przeprowadziła się na Szetlandy już jako dość znana osoba. Co prawda ostatnio stała się mniej pewna siebie, ale nadal była bardzo niezależna. Fran i moja matka, pomyślał. Jak to się ułoży?

Aggie odstawiła miskę i odprowadziła gościa do drzwi. Wyczuł, że kobieta chce się go już pozbyć.

- Przepraszam - powiedział. - Może to dla ciebie trudne. Po tym, jak umarł Andy...

Rzuciła mu długie, surowe spojrzenie.

- Mój mąż zginął w wypadku. To zupełnie co innego.

- Oczywiście. - Zaczerwienił się, więc szybko obrócił się na pięcie i wyszedł.

Na ulicy usłyszał odległe wycie syreny mgłowej. Słońce wciąż świeciło i uznał z początku, że to tylko próba. Od czasu do czasu ją sprawdzano i zawsze się wzdrygał, gdy w pełnym słońcu rozległo się to potężne, grzmiące buczenie. Potem zobaczył, że daleko na morzu unosi się gęsty tuman mgły. Prawie przy horyzoncie, ale się zbliżał. Dalej na południe już pewnie dotarła do lądu.

Sandy rozciągnął wokół szopy błękitno-białą taśmę z napisem „Policja. Nie wchodzić”. Obok stał radiowóz, blokując samochodom dostęp na molo. Można już odesłać Sandy'ego do Lerwick. Teraz trzeba tylko dopilnować, żeby nie naruszyć miejsca przed przybyciem lekarzy sądowych. Zastanawiał się, czy Sandy pomyślał o tym, żeby poinformować biegłych, że będą potrzebować do porównania ich butów, a może też i ubrań. To jego wina; powinien mu przypomnieć.

Dotarł już prawie do połowy jezdni, gdy zadzwonił telefon. To Morag, dziewczyna z jego zespołu. Prosił ją o rezerwację miejsc dla ludzi z Inverness na ostatni lot.

- Co u ciebie?

- Słucham? - To pytanie grzecznościowe? Ma za dużo czasu? Czyżby nie rozumiała, co znaczy pośpiech?

- Właśnie kontaktowałam się z Sumburgh. Mają tam gęstą

mgłę.

- Jest szansa, że po południu się podniesie?
- Przed chwilą zadzwoniłam do Dave'a Wheelera. - Mówiła o meteorologu z Fair Isle. Zbierał dane do prognoz rybackich. - Stwierdził, że mało prawdopodobne. A na lotnisku powiedzieli, że nie spodziewają się już dziś żadnych lotów.

Perez wyłączył telefon i przystanął na moment. Słońce powoli kryło się za mlecznymi oparami. W takim razie ekipa dochodzeniowa raczej dziś nie przybędzie. Jeśli mgła się utrzyma i jutro będą musieli podróżować wieczornym promem, zjawią się pojutrze o siódmej rano. A więc na razie on dowodzi. Śledztwo jest jego. Zawsze tego chciał.

Znów zadzwonił telefon.

- Jimmy. Mówi Roy Taylor. Z Inverness.

Więc jednak to nie jego śledztwo.

- Słuchaj, co macie zrobić do naszego przyjazdu.

ROZDZIAŁ 11

Przerywanie rzepy należy do tych czynności, które daje się znieść tylko wtedy, gdy myśli się o czymś innym. Bolą od tego plecy, a wyrywanie maleńkich roślinek nie wymaga koncentracji. To zajęcie z gruntu bezmyślne. Najgorsze, że kiedy człowiek się ogląda, myśląc, że robota zbliża się ku końcowi, a co najmniej ma się za sobą połowę pola, okazuje się, że to zaledwie początek i do przerwania zostały jeszcze całe rzędy.

Za chłopięcych czasów Kenny i Lawrence wymyślali zabawy, żeby im się mniej nudziło. Na przykład przerywali na wyścigi. Zawsze wygrywał Lawrence. We wszystkim był wtedy szybszy od Kenny'ego. Ale nie tak solidny. To rządki Kenny'ego zawsze wyglądały porządniej, więc nie bolały go zwycięstwa Lawrence'a. Chociaż chciałby choć raz wygrać.

Dziś przy pracy złapał się na tym, że dużo myśli o czasach dzieciństwa. O wspólnych zabawach. Może dlatego, żeby odciągnąć myśli od widoku ciała zwisającego ze stropu szopy, którą zbudował z Lawrence'em. Zastanawiał się, czy już zawsze będzie myślał o zmarłym, gdy pójdzie tam szykować łódź.

Zaczął przerywać rzepę, gdy tylko Perez sobie poszedł, i teraz przyszła pora na przerwę na lunch, ale coś kazało mu pracować dalej, przynajmniej dopóki nie dotrze do końca pola. Więc kopał w ziemi motyką i wspominał dawne dzieje, prawie sprzed pół wieku. On, ciekawski brzdąc, z poobijanymi kolanami i zasmarkanym nosem, rumieniący się jak dziewczynka, gdy tylko ktoś się do niego odezwał.

Dziś w Biddista z dzieci mieszkała tylko Alice, wnuczka Aggie Williamson. Za jego młodości była ich piątka: on i Lawrence, Bella i Alec Sinclairowie, i Aggie, wtedy jeszcze nie Williamson. Przez chwilę usiłował przypomnieć sobie jej panińskie nazwisko. Watt. Nazywała się Aggie Watt. Płochliwa dziewczuszka. Gdy teraz ją widywał przy okazji pobytów na poczcie, z nosem w książce, dochodził do wniosku, że niewiele

zmieniła się przez te pięćdziesiąt lat. Już jako dziecko wyglądała na starą kobietę. Mała, mizerna i delikatna.

A Lawrence i Bella już wtedy byli do siebie podobni. Uparci, zdecydowani postawić na swoim. I bystrzy. Walczyli o laury w szkole w Middleton, śmiali się z żartów, których nikt poza nimi nie rozumiał, denerwowali nauczycieli swoim tupeciem i błyskawicznymi, sprytnymi odpowiedziami. Choć ze sobą rywalizowali, trzymali się razem. Kenny z kolei marzył, żeby nikt nie zwracał na niego uwagi.

Teraz w Biddista została tylko trójka. Bella stała się wytworną artystką. Wyjechała na uczelnię, studiowała w Barcelonie i Nowym Jorku, ale od ponad dwudziestu lat mieszkała na plebanii. Aggie też wróciła i wprowadziła się do domu obok tego, w którym dorastała. A on tkwił w tym samym miejscu, robiąc dokładnie to samo co w dzieciństwie. Przyszło mu do głowy, że równe pięćdziesiąt lat temu też mógł pochylać się na tym polu, pomagając ojcu przerywać rzepę. Tylko dwóm osobom udało się stąd wyrwać. Alec umarł, młody i przystojny. A Lawrence uciekł, gdy Bella złamała mu serce.

Kenny dotarł do końca rządka i wyprostował grzbiet. Czuł, jak rwą go ramiona. Gdyby była tu Edith, rozmasowałaby mi mięśnie, pomyślał, wygoniłaby z nich napięcie. Pomyślał też, o ile zręczniej go teraz dotyka. Tak, z biegiem lat wiele się zmienia.

Rodzina Edith nie pochodziła z Biddista. Poznali się dopiero w szkole średniej. Była od niego kilka lat młodsza. Dojeżdżali jednym autobusem, ale tak naprawdę zauważył ją dopiero, gdy skończył piętnaście lat. Piegowata dziewczyna z kręconymi włosami. Mysio-brązowymi z miedzianymi refleksami. On, zbyt nieśmiały, nigdy nie umówiłby się z nią na randkę; to ona zrobiła pierwszy krok. Zawsze wiedziała, czego chce.

Później zaprosił ją do Biddista. Poznała resztę: Lawrence'a i Belle, Aleca i Aggie. Nie bardzo tu pasowała. Byli dla niej mili, nawet Bella, ale Edith zawsze trzymała się na dystans.

Słońce skryło się pod obłokiem mgły napływającej od morza. W głębi łądu powietrze pozostawało jeszcze czyste. Stał zmęczony; zimne powietrze osuszało pot na jego czole i szyi.

W kuchni wstawił wodę i zajrzał do lodówki. Kiedyś Edith zawsze robiła mu lunch. Gdy robił na budowach z daleka od domu, pakowała mu kanapkę, solidny kawałek daktylowego ciasta albo tego czekoladowego, nazywanego tu torfem. A gdy

pracował w zagrodzie, zawsze po powrocie dostawał coś gorącego. Zwykle zupę. Potem Edith podjęła pracę w ośrodku opieki i wszystko się zmieniło, zanim nawet została dyrektorką i zaczęła się doksztalcać.

- Teraz oboje pracujemy. Musisz sam się o siebie zatroszczyć. To sprawiedliwy układ - oznajmiła.

Kenny nie mógł zaprzeczyć. Słowa jak wyjęte z ust Belli - ona nigdy nie wyszła za mąż, bo chciała zachować niezależność. „Podoba mi się życie w pojedynkę. Lubię być sama”, Kenny przeczytał tę wypowiedź w jednej z niedzielnych gazet. W wywiadzie z Bellą po wystawie w Edynburgu. Gazetę przywiozła i pokazała mu Edith, po dniu spędzonym na uczelni.

W lodówce znalazł trochę zimnej pieczonej jagnięciny; została z niedzielnego obiadu. Pokroił ją i zrobił sobie kanapkę. Potem zagotowała się woda i zaparzył herbatę. Mgła już tak zgęstniała, że przez kuchenne okno nie było nic widać. Nawet murku odgradzającego ogród czy stojącej pod drzwiami ciężarówki. Jak to dobrze, że jednak nie wypłynął. Nie miał żadnego zmyślnego GPS-u. Musiałby szukać drogi powrotnej za pomocą kompasu i mapy, a już nie robił tego tak biegle jak kiedyś. Miał nadzieję, że Edith będzie ostrożna, wracając z ośrodka. Przy takiej pogodzie nietrudno zjechać z drogi albo wpakować się pod samochód jadący z naprzeciwka. Po tym, jak zobaczył tego czarnego wisielca, nie opuszczała go myśl o śmierci.

Usiadł w fotelu z talerzem na kolanie i kubkiem herbaty pod ręką na piecu i zaczął słuchać wiadomości radiowych z Sztetlandów. Nie wspomnieli o zmarłym. Ale Jimmy'emu Perezowi nie uda się zbyt długo utrzymać sprawy w tajemnicy. Potem Kenny zmienił stację, żeby wysłuchać morskiej prognozy pogody. Taki nawyk. Gdy skończył jeść, naszła go ochota na drzemkę. Na w pół śpiący przypomniał sobie to lato, kiedy pracując w South Lighthouse na Fair Isle, poznał Jimmy'ego. Wydawało mu się, że to jeszcze dawniejsze czasy, niż kiedy jako chłopiec przerywał rzepe.

Ocknął się nagle i zdał sobie sprawę, że ktoś otworzył drzwi. Od razu oprzytomniał. Jego poobiednie drzemki często bardziej przypominały rozmarzenie niż sen. W pierwszej chwili pomyślał, że to Edith wróciła wcześniej do domu, i uznał, że mogliby iść do łóżka. Najbardziej lubił seks w ciągu dnia. Skradziona, zakazana przyjemność. Gdy jednak się obrócił z ramionami otwartymi na powitanie, zobaczył, że to wcale nie Edith, tylko

Aggie Williamson. W jej włosy zaplątały się strzępki mgły. Miliony maleńkich kropelek tkwiły w pułapce delikatnej, rozwichrzanej płatany. Srebro na szarym tle.

- Aggie! Coś się stało? - Znali się już kawał czasu, ale jeszcze nigdy nie weszła do jego domu bez zaproszenia. Nawet jako dziecko, kiedy chciała się z nimi pobawić, pałętała się na dworze, czekając, aż do niej wyjdą. Nigdy nawet nie zapukała. Bella i Alec po prostu wpadali i siadali przy stole, pewni, że im też należą się mleko i herbatniki.

- Był u mnie ten policjant - powiedziała. - Perez. Podobno w szopie jest ciało.

- Tak. To ja znalazłem tego mężczyznę. - Wolał myśleć o nim jako o człowieku, nie ciele. Przyszła poplotkować? To całkiem do niej niepodobne. Sklep w Biddista Był wylęgarnią plotek, ale Aggie nigdy do nich nie zachęcała. Siedziała za ladą. Otwarta książka leżała grzbietem do góry, ale Aggie tylko czekała, żeby wrócić do lektury. Myślami błądziła w świecie czytanej historii i obojętnie przyjmowała wszelkie próby pogaduszek.

- Nie wiesz, kto to taki? - zapytała.

- Nie widziałem jego twarzy. Miał maskę kłowna.

- Jimmy Perez też tak powiedział. - Utkwiła w nim wzrok.

- To nie Lawrence? - Czekala, aż Kenny rozważy tę możliwość i jakoś zareaguje, ale on milczał, więc ciągnęła dalej. - Martin mi opisał tego mężczyznę. Widział go żywego. Niewykluczone, że jako ostatni. Po prostu nie mogłam przestać myśleć...

- Ten martwy facet to Anglik - oznajmił Kenny. - Mówił z angielskim akcentem. Tak stwierdził Perez.

- Lawrence długo tu nie wracał. Mógł zmienić akcent.

- Mówisz tak, jakbyś chciała, żeby to był Lawrence - rzucił oskarżycielsko.

- Nie!

- Rozpoznałbym go - upierał się Kenny. - Nawet nie widząc twarzy.

- Naprawdę? Jak długo go tu nie było? Lata. Wyjechał, zanim urodziła się Alice, i nie przypominam sobie, żeby wpadał z wizytą.

Kenny próbował przywołać obraz brata. Przypomnieć sobie jego sylwetkę. Pomyślał o mężczyźnie, którego widział poprzedniej nocy biegnącego ścieżką. Czy to mógł być Lawrence?

- Kiedy ostatnio dostałeś od niego wiadomość? - zapytała

Aggie.

Kenny doskonale wiedział, ale nie odezwał się ani słowem. Nie zamierzał się przyznawać, że Lawrence tak mało o niego dba; że jedyna wiadomość od brata pochodziła od Belli. „Lawrence kazał ci przekazać, że znów wyjeżdża”. Za pierwszym razem nawet się nie pożegnał. Kenny'ego akurat nie było w domu. Może Lawrence specjalnie wybrał taki moment. Wiedział, że Kenny przekonałby go, żeby został.

- Mężczyzna w szopie to nie Lawrence - oświadczył.

Spodziewał się, że Aggie będzie obstawała przy swoim, ale nagle się poddała.

- Oczywiście. Masz rację. Jestem niemądra. Coś ze mną dzisiaj nie tak. Po głowie chodzą mi same bzdury. Przecież poznałbyś własnego brata. - Przerwała. - Kiedy policjant wyszedł, zastanawiałam się nawet przez moment, czy to nie Andrew. Nie znaleźli jego ciała, dopiero wiele tygodni później. Straż przybrzeżna przypuszczała, że był wtedy silny przyływ. Pomyślałam, że może jednak przeżył. Przez wiele tygodni nie traciłam nadziei. Była szansa, że przeżył, dopłynął do brzegu i zabunkrował się gdzieś, żeby wytrzeźwieć. A kiedy w końcu wyłowili ciało, to mógł być ktokolwiek.

- Andrew nie żyje.

- Wiem. Czasami jednak myślę, a co jeśli... a potem ponosi mnie wyobraźnia. Opowiedz. - Uśmiechnęła się blado. - Przepraszam, nie powinnam przychodzić.

- Napij się herbaty, skoro już jesteś. - Było mu jej żal, żyła sama. Nie miała nikogo, kto zabrałby ją do łóżka w skradzione popołudnie.

- Nie. Zamknęłam pocztę i przybiegłam tu. Muszę wracać. Może ktoś tam czeka.

- To przez tę porę roku - stwierdził. - Jasne noce. Przez nie wszyscy trochę wariujemy.

ROZDZIAŁ 12

Roy Taylor był szefem zespołu z Inverness. Kiedy zjawi się na Szetlandach, to on przejmie śledztwo. Perez pracował z nim wcześniej i stali się przyjaciółmi. Nie bliskimi. Perez nic nie wiedział o jego życiu prywatnym, nawet tego, czy jest żonaty. Ale w czasie śledztwa dobrze się dogadywali.

Teraz, słuchając zniecierpliwionego głosu Taylora, czuł rozdrażnienie. Nie potrzebuje instrukcji, że najważniejszą sprawą jest ustalenie tożsamości ofiary. Na litość boską, facet oficjalnie został uznany za ofiarę zaledwie pół godziny temu. Sandy powinien dotrzeć już do Lerwick. Pewnie właśnie dzwoni do dziewczyn z biura NorthLink w Holmsgarth i sprawdza w Loganair rezerwacje British Airways. Sandy lubił taką robotę - rutynową i niezbyt wymagającą - i dobrze się spisywał. Perez nie wątpił, że jeszcze dzisiaj poznają nazwisko denata. Na tym etapie niewiele więcej można zrobić. Wiedział, że zniecierpliwienie Taylora niewiele ma wspólnego z dotychczasowym prowadzeniem sprawy. Pewnie był sfrustrowany, bo wciąż tkwił w Inverness, zamiast pędzić do Aberdeen w minutę po odebraniu telefonu. Gdyby pogoda zmieniła się trochę wcześniej, gdyby nie liczyli na ostatni lot z Sumburgh, zdążyliby na prom i przynajmniej dotarliby na Szetlandy jutro o siódmej. Taylor nie cierpiał, gdy coś mu się wymykało spod kontroli. Perez widział oczami wyobraźni, jak Roy się ciska, zły na siebie i wyładowujący tę złość na swoich ludziach.

Perez też już zgłodniał. Gdy wstał, Fran zaproponowała mu grzanki i owoce, ale był już wtedy spóźniony do pracy. Chętnie pojechałby do miasta, zjadł kanapki z bekonem i smażoną rybę z frytkami. Coś ciepłego, tłustego i sycącego. Ale poczucie obowiązku kazało mu porozmawiać z Peterem Wildingiem, Anglikiem, który przejął dom Willy'ego Jamiesona. Będzie mógł zameldować Taylorowi, że przesłuchał wszystkich mieszkańców Biddista. Wytrącić mu broń z ręki.

Wilding siedział w oknie na górze i wyglądał na morze, dokładnie tak, jak opisał to Martin. Z powodu mgły bardzo się ściemniło, więc włączył w pokoju światło. Perez zobaczył go dopiero, gdy doszedł do ostatniego domu, a i tak ledwo co widział. Pomyślał, że Wilding obserwował go od samego początku, od momentu, gdy zatrzymał tu swój samochód. Widział, jak idzie do Skoles i na plebanie, do sklepu i do domu Aggie. Dziwne, że mężczyznę tak bardzo interesują drobiazgi codziennego życia. Doświadczenie Pereza wskazywało, że to kobiety są wścibskie. Czemu ten Anglik jest taki ciekawy życia mieszkańców Biddista? Ale jego obserwacje mogą okazać się przydatne. Niewykluczone, że widział nieznajomego.

Pewnie jedyne, co pisarz teraz dostrzegał, to wylaniająca się z mgły sylwetka mężczyzny. Po co on wciąż tam siedzi, skoro nic nie widać? Gdy tylko Perez zapukał do drzwi, Wilding porzucił punkt obserwacyjny przy oknie. Rozległ się odgłos kroków na deskach podłogi i zgrzyt klucza obracanego w zamku. Drzwi najwyraźniej się wypaczyły, bo zacinają się we framudze. Czyżby fakt, że są zamknięte na klucz, oznaczał, że pisarz dzisiaj wcale nie wychodził? Czy to raczej przywiezione z południa nawyki bezpieczeństwa?

Perez od razu rozpoznał w nim bruneta, z którym rozmawiała Fran na wernisazu. Wysoki, dość przystojny. Miał na sobie bawelnianą koszulę w paski bez kołnierzyka i dżinsy, do tego płócienne buty. Uśmiechnął się. Nie odzywał się, tylko czekał, aż gość wyjaśni cel swojej wizyty.

To milczenie wprawiło Pereza w lekkie zakłopotanie. Powinien okazać policyjną legitymację, ale nie bardzo pamiętał, co z nią zrobił, więc tylko się przedstawił.

- Czy mógłbym zadać panu kilka pytań?
- Och, bardzo proszę. Każdy powód dobry, by przestać gapić się na pusty ekran laptopa - odparł głębokim głosem, jakby rozbawiony sobie tylko znanym dowcipem.

Perez wyobrażał sobie, że pisarz, który śpieszy się, by w terminie skończyć książkę, będzie pogrążony w myślach i zamknięty we własnym świecie, ale się mylił.

Mężczyzna odsunął się na bok.

- Zauważyłem jakiś ruch dziś na molo. W tej sprawie pan przychodzi? - Cisza. - Och, dobrze - ciągnął Wilding - na pewno sam mi pan powie w odpowiednim czasie.

Jego oczy były tak intensywnie niebieskie. Perez podejrzewał, że facet nosi kolorowe szkła kontaktowe. Na myśl o próżności Wildinga poczuł zadowolenie.

W domu, który teraz zajmował Anglik, urodził się Willy Jamieson i mieszkał tu do czasu przeprowadzki do domu opieki społecznej. Willy utrzymywał się z rybołówstwa, a za młodszych lat z dorywczych prac na rzecz gminy. Perez przypomniał sobie, że czasem widywał go na poboczu, jak pomagał kłaść robotnikom nowy asfalt. Nigdy się nie ożenił, a wyprowadzając się, zostawił dom niemal dokładnie w tym samym stanie, w jakim był w dniu, kiedy wprowadzili się tu jego rodzice. Perez przypuszczał, że Willy wykupił budynek od gminy. Pewnie teraz właścicielem jest Wilding, albo go wynajmuje. Na pewno nie mieszka tu jako najemca komunalny.

Stojąc przy drzwiach, Perez dostrzegł korytarz prowadzący do niedużej kuchni wyposażonej w zlew z jednym kranem i kuchenkę na gaz z butli. Złożony pod ścianą stół wyglądał, jakby od czasu wyjazdu Willy'ego nikt go nie używał. Nie było szafek ani pralki. Jedyne udogodnienie to stojąca na blacie mała lodówka i młynek do kawy. Kuchnia wywoływała wrażenie tymczasowości. Prowizorki. Jakby gospodarz nie tyle tu mieszkał, co obozował.

Wildingowi najwyraźniej nie przeszkadzało, że Perez widzi prymitywne warunki domostwa; uśmiechnął się po raz kolejny.

- Chodźmy na górę. Jest trochę bardziej cywilizowana. Zrobić panu herbatę? Pewnie Aggie już pana poczęstowała, ale druga nie zaszkodzi. Albo może kawę? To jeden z niewielu moich tutejszych luksusów. Zawsze świeżo mielona. - Cedził słowa, jakby bacznie oceniał ich efekt. Ale niewykluczone też, że po prostu rozmowa nie przychodziła mu łatwo; tyle czasu spędzał sam w pokoju na górze.

Perez miał wielką ochotę na kawę. Czekał go długi dzień i przydałoby się coś, co go rozbudzi.

- Z przyjemnością napiję się kawy. - Zamilkł, po czym dodał: - To też jeden z moich luksusów.

- Ha! Kolejny nałogowiec! Rozpoznaję oznaki. Wyśmienicie. Proszę wejść i czuć się jak u siebie. Pokój na wprost. Za chwileczkę przyjdę.

Odpowiedział Perezowi do schodów i wrócił do kuchni. Poruszał się niezwykle lekko jak na tak wysokiego człowieka. Ruchy miał płynne i niespieszne. Zupełnie jakby spodziewał się

gościa i z góry zaplanował, co powie i jak się zachowa.

Zgodnie z zapowiedzią gabinet był bardziej komfortowy. Na środku pokoju, na nagich, nielakierowanych deskach leżał tkany dywanik. Stare biurko, z blatem obitym skórą; najwyraźniej jego własne. Na kilku prowizorycznych półkach z cegieł i desek stały książki. Obok nich odtwarzacz płyt kompaktowych, a nad nim półka z płytami. Na jednej ze ścian wisiało duże nieoprawione płótno: skoszona łąka w blasku jaskrawożółtego światła, a na niej kopki zgrabionego siana. Perez uznał, że to wygląda na dzieło Belli Sinclair, i poczuł się śmiesznie z siebie zadowolony, gdy podszedł i poznał jej podpis. Opowie później Fran. Wciąż wpatrywał się w obraz, gdy Wilding otworzył drzwi stopą i wniósł na tacy dzbanek z kawą, dwa kubki i paczkę ciastek. Nauczył się już podejmować gości na wyspiarską modłę. Brak słodkiego poczęstunku uchodził tutaj za wielką niegrzeczność.

- Niestety nie mam mleka - powiedział bez nutki skruchy.
- Ale mogę pobiec do sklepu...

- Piję czarną.

- Wyśmienicie. - Ulubione słowo. - Proszę usiąść w fotelu, inspektorze. Mnie będzie całkiem dobrze na podłodze. - Rozsiadł się na deskach z wyciągniętymi przed siebie nogami; mimo to nadal dominował w pokoju.

Perez chętnie wzięby ciastko, ale odniósł wrażenie, że są raczej na pokaz. Gdyby o nie poprosił, wydałby się zachłanny.

- Martin powiedział, że jest pan pisarzem. - Perez interesował ten mężczyzna, jego zawód. Wprawdzie oświadczenia świadków i ich zeznania były po części fikcją, ale nie umiał wyobrazić sobie wyczarowywania historii ot tak, z kapelusza. - Pi-sze pan pod własnym nazwiskiem?

Wilding się roześmiał.

- Och, jak najbardziej, inspektorze. Ale proszę się nie martwić, jeśli nigdy pan o mnie nie słyszał. Niewielu słyszało. Piszę powieści fantasy, raczej dla wyrobionych czytelników. - Wydawał się zadowolony z tego, że jest nieznany. - Na szczęście znajduję ich w Stanach i Japonii.

Chyba oczekiwał jakiejś uwagi albo gratulacji, ale Perez nie bardzo wiedział, jak zareagować. Sączył więc kawę, delektując się jej smakiem.

- Miał pan ostatnio gości, panie Wilding? Przyjaciół z południa?

- Nie, inspektorze. Przeniosłem się tutaj dla spokoju. Nie tęsknię za ludźmi.

- Wczoraj w Biddista był Anglik. Mógł go pan widzieć.

- W domu nikt mnie nie odwiedził, a spędziłem w nim cały dzień.

- Ale nie wieczór. Wieczorem brał pan udział w wernisazu w Herring House. Podobnie jak ten Anglik.

- I podobnie jak pan! Oczywiście, teraz poznaję. Towarzyszył pan tej atrakcyjnej młodej artystce. Pani Hunter. Wielki nowy talent. Sztuka, muszę przyznać, jest kolejnym z moich luksusów. Kocham prace Belli. To ona zainspirowała mnie do pierwszej wizyty na Szetlandach. Byłem więc zachwycony, gdy dostałem zaproszenie na wernisaż. Przyszło mniej ludzi, niż się spodziewałem. Oczekiwałem, że wystawa stanie się lokalnym wydarzeniem.

- Latem ludzie są bardzo zajęci. - Perez zastanawiał się, dlaczego czuł się zepchnięty na pozycje obronne. Nie pora teraz wyjaśniać, że wernisaż nie udał się z powodu kawału, ale nie chciał, żeby ten człowiek uznał, że nikt na Szetlandach nie interesuje się dziełami Fran. - Pamięta pan mężczyznę, którego trochę poniosły emocje?

- Faceta na czarno? Oczywiście. - Wilding przerwał. Po raz pierwszy porzucił lekki, afektowany ton. - Żał mi go było. Swego czasu też miałem problemy psychiczne. Rozumiałem jego rozpacz.

- Sądzi pan, że on naprawdę się załamał?

- Och, chyba tak, a pan nie? Wydawało mi się to całkiem prawdziwe.

Perez nie odpowiedział.

- I co stało się z tym człowiekiem? - Wilding wykazywał nienaturalne zainteresowanie nieznanym. - Zawieziono go do szpitala? Czasami w przypadku depresji najlepiej robi krótki pobyt w szpitalu.

- Niestety nie żyje - powiedział Perez.

Wilding odwrócił głowę. Gdy znów spojrzął na Pereza, odzyskał panowanie nad sobą, ale głos nadal mu drżał.

- Biedak.

- Jest pan pewien, że go pan nie zna, panie Wilding?

- Najzupelniej, inspektorze. Straszna szkoda. Samobójstwo. Najgorsza tragedia.

- Nie uważamy, że się zabił. Sądzimy, że został zamordowany.

Zapadła cisza.

- Przeprowadzając się tu - odezwał się w końcu Wilding - miałem nadzieję uciec od bezmyślnej przemocy.

Nie jesteśmy wolni od bezmyślnej przemocy, pomyślał Perez. Bójki w barach napędzane alkoholem i frustracją. Ale ta śmierć to zupełnie co innego.

- O której godzinie wyszedł pan z Herring House? - zapytał.

- Wkrótce po panu. Po ataku hysterii tego mężczyzny przyjęcie straciło ducha.

- Wrócił pan prosto tutaj?

- Przez chwilę spacerowałem po plaży. Taka ładna noc. Przeszedłem się do skał i z powrotem. Potem już siedziałem w domu.

- I co pan robił?

- Zaparzyłem kawę i patrzyłem przez okno.

- Widział pan kogoś? Stąd jest dobry widok na molo.

- Nie. Panował spokój. Myślę, że ostatni goście opuścili Herring House, gdy byłem na spacerze. Na plaży też nic nie zauważyłem. Myślałem o swojej książce. Utknąłem z fabułą. Gnębi mnie to już od paru ładnych dni. Koncentrowałem się na powieści.

- Ale o jedenastej już pił pan kawę w domu?

- Nie patrzyłem na zegarek. Ale tak, pewnie tak. Nie spacerowałem długo.

- Roddy Sinclair i Martin Williamson wyszli z galerii około jedenastej. Widział ich pan?

- Nie. Ale to o niczym nie świadczy.

- Roddy zachowywał się dość głośno.

- Cóż... byłem pochłonięty czymś innym, inspektorze.

- Rozważaniem o książce?

- Tak, właśnie.

Stojąc na drodze za domem, Perez próbował się zdecydować, co myśleć o Wildingu. Co tak naprawdę go tu sprowadziło? Jakoś nie pasował mu do Szetlandów. Nie miał przyjaciół ani rodziny, którzy trzymaliby go na południu? Było coś niepokojącego w intensywności jego spojrzenia i przyjemności, jaką czerpał z podglądania sąsiadów.

ROZDZIAŁ 13

Na ostatnim piętrze dawnego zakładu włókienniczego w Denby Dale w West Yorkshire Martha Tyler układała ostateczny harmonogram prób na następny tydzień. Przedstawienie poruszało problem terroryzmu. Następne będzie o rasizmie. Szkoły nie zapraszały interaktywnego teatru edukacyjnego w celu zabawiania swoich uczniów - zawsze musiało być przesłanie. Młodzi aktorzy tuż po studiach przewracali oczami na widok scenariusza gęstego od politycznie poprawnej nowomowy, ale cóż, praca to praca. Mogli marzyć o Royal Shakespeare Company albo lukratywnych reklamach telewizyjnych, ale praca w grupie interaktywnej zaliczała się do dorobku branego pod uwagę przy wyrabianiu legitymacji członka związku zawodowego, a z zarobków dawało się jako tako wyżyć.

Teatr dzielił dawne zakłady z innymi małymi firmami - w piwnicy mieścił się przyzwoity sklep z winem, warsztat srebrnej biżuterii i gabinet akupunktury - ale całe ostatnie piętro zajmował Interact. Mieli tam dużą salę prób, kilka pomieszczeń biurowych i kuchenkę z mikrofalą i czajnikiem. Budynek stanowił przykład niezbyt mądrej adaptacji, które widywało się w innych okęgach Kirklees. Gmatwanina schodów i poziomów, nierówne podłogi, przeciekające okna.

Dwoje aktorów już przyszło. Martha słyszała dobiegające z kuchni głosy. Opowiadali sobie historie o koszmarnym występie w Hull, który stał się już legendą - w trakcie przedstawienia nauczyciel załamał się psychicznie, dzieciaki powyciągały noże, a ciężarna czternastolatka krzyczała, że zaczyna rodzić.

Czysta przesada. Na tym polegał kłopot z aktorami. Mieli skłonność do wierzenia w wymyślone przez siebie historyjki. Nigdy człowiek nie wiedział, kiedy grają. To przywiodło jej na myśl Jeremy'ego. Gdyby brać na serio jego bajeczki, zjeździł cały świat, grał u boku Oliviera i kochał się z co najmniej kilkoma hollywoodzkimi gwiazdkami. Oczywiście nie wierzyła w

ani jedno słowo. Czemu w takim razie skończył, prowadząc nędzny teatrzyk edukacyjny w West Yorkshire?

Martha sprawdziła komórkę. Wciąż żadnego znaku życia. Jej początkowe umiarkowane rozdrażnienie przerodziło się w gniew i niepokój. Jeremy był aroganckim palantem i niepoprawnym kłamcą, ale dzięki Interact zarabiał na życie i zależało mu na reputacji teatru. Martha pracowała tu tylko w ramach praktyk z zarządzania w sztuce. Skończyła z dobrym wynikiem bristolską szkołę dramatu i uznała, że praktyka jest lepszą opcją niż robienie magisterki. To zapewniało skromne stypendium i szansę zdobycia doświadczenia.

Jeremy oczywiście robił ją w bambuko. Praktyka Marthy w Interact nie miała na celu zapewnienia mu darmowego popychadła od wszystkiego, ale już nie pierwszy raz znikał na kilka dni, zostawiając wszystko na jej głowie.

- Zyskasz fantastyczne doświadczenie, skarbie. Tylko pomyśl, jakie wrażenie zrobisz, gdy dodasz to do CV.

Ale teraz już od czterech dni nie dawał znaku życia. Próbowała dodzwonić się na jego komórkę, ale chyba ją wyłączył. Usiłowała sobie przypomnieć, co dokładnie powiedział jej tym razem. Tydzień temu byli w pubie, na zakończenie objazdu środkowej Anglii z programem o narkotykach. Choć raz w życiu okazał się prawie hojny - postawił aktorom kilka kolejek. Widać było, że z trudem kryje podniecenie. Martha przyjechała z Huddersfield pociągiem, więc też mogła się napić. Jakimś trafem znalazła się z nim przy jednym stoliku. Inni z grupy pili całe popołudnie i wyśpiewywali koszmarnie piosenki. Musiała wyteńczyć słuch, żeby dosłyszeć słowa Jeremy'ego.

- Coś się wydarzyło, skarbie. Dostałem wielką szansę. Poradzisz sobie przez chwilę sama, prawda? Zdolna z ciebie dziewczyna. Zapłacę ci, wynagrodzę za ten czas.

Pomyślała, że może Jeremy jedzie na przesłuchanie. Napatrzyła się na aktorów i nauczyła się rozpoznawać ekscytację wywołaną perspektywą zdobycia roli, która może stać się punktem zwrotnym w karierze. Nawet takie stare wygi jak Jeremy traciły wtedy resztki rozsądku. Zupełnie tego nie rozumiała. Sama była odporna na tego bakcyła. Jeremy ogłaszał wszem wobec, że gra to jego życie. Założył Interact, żeby mieć z czego płacić rachunki i dlatego, że czynsz przez pierwszy rok dotowano. Ale jasno dał do zrozumienia, że gdyby trafiła mu się właściwa

oferta, zwinąłby się natychmiast. Zawsze miał na widoku kontrakty. A to przyjaciel pracujący dla Granady nosił się z zamiarem nakręcenia serialu, z rolą napisaną jakby specjalnie dla niego. A to wyskakiwał z informacją, że jakiś scenarzysta uznał go za idealnego odtwórcę głównej roli w sztuce. Oczywiście nigdy nic z tego nie wychodziło.

Martha nie widziała gry Jeremy'ego, ale obserwowała, jak prowadzi próby. Uznała, że facet wypada nieco lepiej niż przeciętny chałturzący aktor. Przyciągnął jej uwagę, a ktokolwiek zdolny tchnąć życie w te koszmarnie drętwe kwestie musiał mieć talent. Ale w teatrze najbardziej liczyło się szczęście i skoro Jeremy'emu nie dopisywało do tej pory, mało prawdopodobne, że teraz się do niego uśmiechnie. Jeśli wybrał się na przesłuchanie, nawet do Londynu, już dawno powinien wrócić. Jeśli pokładał w tej roli wielkie nadzieje, nie zdobył jej i topił smutki w kieliszku, to też już by przyjechał. Jeśli jakimś cudem tę rolę dostał, na pewno by się pochwalił. Gdzie więc się podziewa?

Na drewnianych schodach rozległy się kroki. Zerknęła przez otwarte drzwi z nadzieją, że pędzi po nich Jeremy, przeskakując po dwa schodki naraz. Jak na kogoś, kto tyle pił, kondycję miał fantastyczną. Nie, to Ellie, aktorka. Martha spojrzała na zegarek. Za dziesięć minut trzeba zacząć próbę bez niego.

Późnym popołudniem wiedziała już, że więcej z zespołu nie wycisnie. Zawsze chciała kierować. Jej przyjaciele twierdzili, że jest urodzonym szefem. Ale nawet małe studenckie produkcje na uniwersytecie dostarczyły jej więcej satysfakcji niż praca tutaj. Tylko jeden aktor zdobył się na coś więcej niż przeczytanie scenariusza. W tych warunkach trudno mówić o charakterystyce postaci. Dobrze, że chociaż udało jej się zapanować nad choreografią i wtłoczyć w słowa odrobinę znaczenia. Niewiele więcej może zrobić, dopóki nie nauczą się kwestii.

Odesłała ich do domu z porcją pogrózek i przekupstw. Po powrocie do biura po raz kolejny zerknęła na komórkę. Nadal żadnych wiadomości.

Nie bardzo wiedziała, co robić, kogo poinformować o zniknięciu Jeremy'ego. Obiło się jej o uszy, że kiedyś był żonaty, ale o dzieciach nigdy nie wspomniał. Mieszkał sam w Denby Dale, w małym szeregowym domu niedaleko siedziby teatru. Znała go cała wieś, ale Martha nie sądziła, by miał tu bliskich

przyjaciół. Stali klienci Fleets gawędzili z nim co wieczór, wątpiła jednak, żeby wiedzieli więcej od niej o jego prywatnym życiu czy losach.

Nie przyszło jej do głowy, żeby iść na policję. Jeremy na pewno by nie chciał, by wtykali nos w jego sprawę. Była przekonana, że facet jest na bakier z płaceniem podatku i składek na ubezpieczenie. Niektórym aktorom płacił do ręki. Poza tym to śmieszne. Powiedział, że nie będzie go kilka dni. Minął tydzień. Tak czy inaczej, miała dość poczucia bezsilności. Marzyła, żeby w końcu do niej zadzwonił.

Aktorzy rozeszli się po swoich mieszkaniach we wsi, gdzie kwaterowali na czas prób. Wszyscy byli zamiejscowi. Jeremy do każdego objazdu zatrudniał nowych. Martha zamknęła biuro i na kółku z kluczami zauważyła zapasowy klucz do domu szefa. Któregoś ranka prosił, żeby wpuściła hydraulika - kolejne z doświadczeń zawodowych spoza zakresu obowiązków. Chciała mu oddać klucz, ale powiedział, żeby go zatrzymała.

Cóż, nie zaszkodzi wejść tam i się rozejrzeć. Trochę by się uspokoiła. Może wrócił i się rozchorował.

Tradycyjny dom tkacza - siedziba Jeremy'ego - stał na zboczach blisko wiaduktu, tyłem do rzeczki Dearne. Rząd okien na pierwszym piętrze oświetlał kiedyś krosna włókienników. Budynek był wąski. Na parterze kuchnia i salonik, dwie sypialnie i łazienka na górze. Martha rozejrzała się pobieżnie, gdy czekała na hydraulika.

Przez chwilę walczyła z zamkiem, ale w końcu otworzyła drzwi wychodzące prosto na chodnik. Popchnęła je; odemknęły się opornie, lekko się zacinając.

W środku leżała sterta poczty. Podniosła koperty i rzuciła na stół.

- Jeremy! - zawołała cicho.

Tak naprawdę nie spodziewała się go zastać. Tacy jak on nie chorują. Zwłaszcza bez publiczności. W środku było gorąco i duszno, jakby dom stał od dłuższego czasu zamknięty. Na myśl o obserwujących ją sąsiadach poczuła się głupio. Ale nie mogła wyjść, dopóki nie sprawdzi na górze. Zamknęła drzwi i otworzyła okno. Na wiadukcie zaturkotał pociąg, podłoga zadygotała. Małeńka kuchnia zalatywała słodkawym smrodkiem. Brudna kuchenka gazowa, na patelni warstwa tłuszczu. Ale Martha nie sądziła, żeby to stąd brał się ten zapach. A nawet jeśli, nie posprząta. Zależało jej na dobrej opinii z praktyki, ale

istnieje granica poświęcenia. Zastanawiała się, co będzie, jeśli Jeremy nigdy nie wróci. Zaliczą jej tę praktykę?

Wiedzona impulsem otworzyła lodówkę i zapach niemal zwałił ją z nóg. Napoczęte opakowanie kielbasek już w chwili wyjazdu gospodarza domu musiało być dobrze po terminie przydatności do spożycia, a teraz budziło odrazę. Wsadziła je do reklamówki, wyszła na podwórze i wyrzuciła śmierdzącą paczkę do śmietnika. Jeremy zaciągnął właśnie u niej wielki dług.

Ślady w sypialni wskazywały, że wyjechał w pośpiechu. Z otwartej szuflady wylewały się ubrania. Łóżko rozbebeszone, choć to akurat o niczym nie świadczyło. Jeszcze nie spotkała faceta, który ścieliłby po sobie. Nie potrafiła stwierdzić, czy wziął ze sobą dużo ubrań. Zajrzała do szafy. Nie zauważyła jego ulubionej, czarnej, lnianej marynarki, w której - jego zdaniem - dobrze wyglądał, nawet gdy była pognieciona i brudna. Walizeczka - zawsze ją zabierał w jednodniowe podróże, by sprawdzić, jak idzie przedstawienie - stała oparta o ścianę w kącie. Żadnej większej torby na widoku. Czyżby wyjechał na dłużej? A jej nic nie powiedział, bo bał się, że odmówi przejęcia jego obowiązków, gdy sam będzie obijał się na urlopie? No ładnie, pomyślała. Masz mnie za aż taką frajerkę?

Może powinna zadzwonić do członka komisji sztuki, który nadzoruje jej praktykę. I rzucić Jeremy'ego Bootha w diabły. Ale wiedziała, że tego nie zrobi. Przywiązała się do tego faceta. Bawił ją. Kiedy jednak w końcu wróci, będzie musiał jej to wynagrodzić. Stanie nad nim i podyktuje mu opinię na temat swojej praktyki, a potem podpisaną sama wyśle.

Druga sypialnia, mała, znajdowała się na tyłach domu. Okna wychodziły na podwórze i pojemnik na śmieci, dalej była rzeka, a za nią bardziej okazałe domy wśród drzew i ogrodów. Urządzono w niej gabinet - biurko z komputerem, sekretarzyk, biblioteczka. Na ścianie korkowa tablica. Na niej notatki o próbach, lista rzeczy do zrobienia, recenzje wycięte z regionalnych gazetek i kilka wyblakłych, podniszczonych zdjęć.

Na jednym dość młody mężczyzna. Pomyślała, że to pewnie Jeremy, chociaż trudno o pewność. Miał włosy i brodę. Nosił sweter i dzinsy. Nie wyobrażała sobie Jeremy'ego w tak swobodnym stroju. Ale rysy podobne - długi prosty nos, wysokie czoło. Siedział na plaży, na łodzi odwróconej do góry dnem.

Drugie zdjęcie przedstawiało starszego mężczyznę w granatowym kombinezonie. Miał kręcone siwe włosy i promiennie uśmiechał się do kamery. Stał między małym chłopcem a ładną młodą kobietą o poważnej twarzy. A na fotografii obok ta sama kobieta z innym, trochę starszym facetem. Obejmował ją ramieniem.

Gdy schodziła po schodach, nieprzyjemnie zaskoczył ją dzwonek telefonu. Znalazła aparat na ścianie salonu; zdążyła podnieść słuchawkę, zanim włączyła się automatyczna sekretarka.

- Halo. Tu numer Jeremy'ego Bootha.

Cisza.

- Halo?

- Zastałam Jeremy'ego? - Głos młodej kobiety.

- Nie, przykro mi, wyjechał.

Połączenie zostało przerwane.

ROZDZIAŁ 14

Kiedy Jimmy Perez obudził się następnego ranka, świat nadal spowijała gęsta mgła. Jego dom w Lerwick stał niedaleko portu, odwrócony tyłem do morza - ściany od zewnątrz do linii wysokiej wody pokrywał zielony osad. Mgła rozpraszała światło. Nie odbijało się od wody, zupełnie jak zimą. Pierwsza myśl po przebudzeniu dotyczyła Fran, a kolejna śledztwa.

Chciał ją wczoraj odwiedzić, ale zanim skończył pracę, zrobiło się późno. Zadzwoił i się wytłumaczył. Przepraszał zbyt żarliwie, jak sobie teraz uświadomił. Może wcale nie czekała na jego wizytę. Była wyrafinowaną mieszkanką południa. Tam postępowano inaczej. Popatrzył na budzik. Siódma: pewnie już wstała. Jej córeczka była rannym ptaszkiem. Fran się z tego śmiała. Mówiła, że z rozrzewnieniem wspomina czasy sprzed macierzyństwa, długie wylegiwanie się z niedzielną gazetą, kawą i francuskimi rogalikami, po których w łóżku zostawały okruchy. On miał inne wspomnienia. W zagrodzie na Fair Isle rodzice zawsze wynajdowali mu coś do zrobienia. Pomyślał, że chętnie poleżałby z Fran w niedzielny poranek, gdy Cassie była u ojca. Podałby jej śniadanie do łóżka.

Wstawił wodę na kawę i poszedł pod prysznic. Po powrocie do kuchni, wąskiej jak kambuz, włączył radio. Nadawano rozdzierającą uszy muzykę, potem skrót wiadomości, a w nich pierwsze doniesienie o śmierci nieznanego.

„Wczoraj w Biddista znaleziono zwłoki turysty, który umarł w podejrzanych okolicznościach. Policja próbuje zidentyfikować ofiarę”. Podali krótki opis i poprosili, by osoby rozpoznające zmarłego zadzwoniły do centrum dochodzenia.

Uderzyło go, że wiadomość brzmiałaby zupełnie inaczej, gdyby zmarły pochodził z Szetlandów. Fakt, że od razu podano, iż chodzi o turystę, pozbawił informację wszelkiego dramatyizmu. Zupełnie jakby reporter opisywał zdarzenie, które wydarzyło się gdzie indziej. Jakby śmierć przyjeźdnego była niemal

czymś zabawnym.

Parząc kawę i wkładając do tosterka dwie kromki chleba, wysłuchał prognozy pogody. Mgła powinna ustąpić koło południa. Może Taylor i jego zespół z Inverness przylecą jednak dziś. Taylor by się ucieszył. Trzydzieści godzin na promie to dla niego męczarnia. Czułby się jak tygrys w klatce. Perez wyobraził go sobie, jak leży wyciągnięty na koi w ciemnej kabinie, usiłując się odprężyć i zasnąć. Przy okazji współpracy przy poprzedniej sprawie przekonał się, że Taylor to najbardziej niespokojny człowiek, jakiego w życiu poznał.

Wyszedł z domu i zauważył, że wielki statek wycieczkowy wciąż stoi w porcie. Olbrzymie liniowce zwykle na krótko zatrzymywały się w Lerwick. Pasażerowie wysiadali, łapali bezpłatny autobus do centrum, robili szybką rundkę: ośrodek informacji turystycznej, księgarnie, sklepy z upominkami, potem wracali do luksusowych kabin. Czasem natykał się na jakąś grupkę na Commercial Street. Większość przyjezdnych była ze Stanów Zjednoczonych. Gapili się na maleńkie sklepiki, przechodniów. Czuł się wtedy jak zwierzę w zoo.

Po przyjeździe do biura zadzwonił do kapitanatu. Kiedy odpływa „Island Belle”? Czy Patrick mógłby mu zorganizować wizytę, zanim statek wyjdzie w morze?

- Musiałbyś się pośpieszyć. Startują z południowym przytływem.

- Zaraz przyjadę - odparł Perez. - Tylko uprzedź ich o mojej wizycie.

Pojechał do doków Morrisona, zaparkował przodem do morza i przez chwilę zapatrzył się na fokę wynurzającą z wody obły łeb. Gdy był chłopcem, foki z Fair Isle służyły mu za cel ćwiczeń strzeleckich ze śrutówki ojca, póki matka się nie dowiedziała.

- Zrobiły ci jakąś krzywdę?

- William mówi, że wyjadają ryby i dlatego połowy są takie marne. - Perez słuchał starszego od siebie mężczyzny jak wyroczeni.

- Bzdura. Połowy są kiepskie, bo od lat za dużo się tu łowi.

- Matka, za studenckich czasów członek Greenpeace, wciąż wyznawała teorie na temat środowiska, które jego ojciec uważał za niebezpieczne i skrajne.

Szczerze mówiąc, Jimmy ucieszył się z wymówki pozwalają-

jącej mu zaprzestać strzelania do fok. Nie cierpiał tych rozlewających się po wodzie plam krwi, gdy trafił do celu. Czasami próbował spudłować, ale wtedy musiał znosić drwiny Williama.

Patrick powiadomił załogę statku o przyjeździe inspektora, bo najwyraźniej czekali na Perezę. Natychmiast zaprowadzono go do biura głównego stewarda.

Przy „Good Shepherd”, łodzi pocztowej kursującej między Grutness a Fair Isle, już promy NorthLink wydawały się ogromne. Ale to był statek monstrum, strzelisty biały drapacz chmur, wyższy od najwyższych budynków w Lerwick. Główny steward, Szkot z nizin, chyba niezbyt lubił przystanek na Szetlandach.

- Słyszał pan, że wczoraj w Biddista zamordowano turystę? - zapytał go Perez.

- Nie. - Co miało znaczyć: A co mnie to, u licha, obchodzi?

- Czy któryś z pańskich pasażerów wybierał się tak daleko na zachód?

- Panie inspektorze, zazwyczaj nie stajemy tak długo w Lerwick. To strata czasu. Turyści przyjeżdżają, oczekując malowniczych widoków. A co zastają? Szare domki. Zabieramy ich na wycieczkę do rezerwatu ptaków morskich i warsztatów srebrników, potem wszyscy oddychają z głęboką ulgą i odpływamy na Orkady. Katedra Świętego Magnusa... no, tam warto pstryknąć fotkę. Albo gorzelnia Highland Park. - Na myśl o słodowej whisky wyraźnie poweselał.

Perez chciał bronić Szetlandów, zaprotestować, że mają swój urok i że niektórzy goście zachwycają się rozległymi widokami, wszechobecnym niebem i olbrzymimi nagimi wzgórzami, widział jednak, że raczej nie nawróci głównego stewarda.

- Więc dlaczego tym razem zatrzymaliście się na tak długo?

- Awaria silnika. Ale już naprawiony, dzięki Bogu, więc możemy ruszać.

- Nie zgubiliście żadnego pasażera?

- Nikt nic podobnego nie zgłaszał. Macie jakiś dowód, że zmarły jest od nas?

- Jeszcze go nie zidentyfikowaliśmy.

Główny steward chyba poczuł ulgę. Wstał.

- Czy turyści mogą swobodnie opuszczać statek? - zapytał

Perez. - To znaczy, stosujecie jakieś restrykcje?

- Oczywiście, że nie. Ale większość naszych pasażerów to osoby starsze. Preferują zorganizowane wycieczki. - Znowu usiadł. - Proszę posłuchać, ludzie szukający przygód nie wybrałyby się w rejs z geriatrykami.

- Dokąd zabraliście pasażerów przedwczoraj?

- Rano mieli czas wolny na rozejrzenie się po mieście, a po południu autobusami pojechaliśmy na wycieczkę do rezerwatu maskonurów w Sumburgh Head. Na podwieczorek zatrzymaliśmy się w Scalloway.

- Dziwi mnie trochę, że w programie nie znalazła się wystawa w Herring House. Bella Sinclair to wielka artystka. Przypuszczam, że niektórzy pańscy klienci chętnie by ją poznali.

- Wspomnieli o niej. Gdy okazało się, że musimy zostać noc dłużej, rozważałem nawet, czy nie zorganizować jakiegoś transportu, ale przecież wystawę odwołano, prawda? - Sprawiał wrażenie zadowolonego, że uniknął kłopotu.

- Kto panu powiedział, że odwołano?

- Nikt. W każdym razie nie organizatorzy. Przy trapie stał facet i rozdawał pasażerom ulotki, gdy schodzili na wycieczkę do miasta.

- Widział pan tego człowieka? - nalegał Perez.

- Nie, nie byłem wtedy na służbie.

- Mógłbym porozmawiać z kimś, kto go widział?

Steward zerknął na zegarek i westchnął.

Perez siedział i milczał.

W końcu steward wstał i dał Perezowi znak, żeby za nim poszedł. Na górnym pokładzie jakaś para w podeszłym wieku oparta o reling patrzyła na miasto. Mgła powoli zaczynała się rozwiewać, więc przynajmniej dało się zobaczyć cokolwiek. Byli szczupli, opaleni i trzymali się za ręce.

- Nowożeńcy - oznajmił główny steward, gdy się zbliżyli.

- Można by sądzić, że w tym wieku ludzie mają więcej rozsądku. - Gdy znaleźli się w zasięgu słuchu, zmienił ton. - Przedstawiam doktora i panią Halliday, inspektorze. Myślę, że państwo zdołają panu pomóc. - Pierwszy raz się uśmiechnął.

Pereza trochę speszyła nagle zmiana postawy Szkota. Ale człowiek po prostu wykonywał swoją pracę. Grał narzuconą rolę.

Państwo Halliday pochodzili z Phoenix w Arizonie. Kolekcjonowali współczesną sztukę. Mieli nawet jakiś mały obraz

Belli Sinclair.

- Byliśmy bardzo rozczarowani, że odwołano wernisaż, inspektorze. George zamówił już nawet taksówkę w obie strony.

- Możecie państwo opisać mężczyznę, który rozdawał ulotki?

Para spojrzała po sobie.

- Bardzo by nam to pomogło - dodał, zastanawiając się, skąd to wahanie.

- Hmm... trudno go opisać - odparł mężczyzna. - Był przebrany. Tylko tyle zauważyłem.

- Przebrany?

- Za kłowna. Ale nie takiego z czerwonym nosem i w jaskrawym stroju. Ten był czarno-biały. Z klasą. Jak z komedii dell'arte.

- Miał maskę?

- Właśnie. Maską. Zapamiętałem ją, bo nasze dzieci zawsze uważały te maski za przerażające.



Kiedy Perez zajechał na komisariat, świeciło już słońce. Dzwonił Taylor z informacją, że są na lotnisku w Dyce i zarezerwowali pierwszy lot na wyspę.

- Przyjedziesz po mnie i zabierzesz mnie prosto na miejsce zbrodni. - Nie zapytał, stwierdził.

Perez popatrzył na zegarek. Za pół godziny musi wyruszyć do Sumburgh. Zaszedł do centrum koordynacyjnego. Sandy, zajęty rozmową przez telefon, nie zauważył inspektora. Było jasne, że to prywatne pogaduszki z kumplem z Whalsay. Umawiali się na popijawę, plotkowali o jakiejś kobiecie. Perez wyciągnął rękę i przerwał połączenie. Chłopak parsknął coś z oburzeniem, ale szybko się przyknał.

- Za mało pracy, Sandy? Świetnie się składa, bo akurat mam dla ciebie zajęcie. Przedwczoraj w dokach Morrisona jakiś facet przebrany za kłowna rozdawał ulotki turystom schodzącym ze statku. Przejdź się tam i porozmawiaj ze wszystkimi pracownikami. Może jacyś ludzie z nim rozmawiali? Dowiedz się, kto to i gdzie się zatrzymał.

- Myśli szef, że to nasza ofiara?

- Dwóch przyjezdnych facetów przebranych za kłownów jednego dnia? Trochę za duży zbieg okoliczności, nie sądzisz?

Sandy zmieszał się i uśmiechnął.

- Dzwonił do ciebie jakiś gość. Kenny Thomson.
- I co?
- Nie wiem. Nie chciał ze mną gadać. Powiedział, że to może poczekać. Nic pilnego.

Perez nie skontaktował się więc z Kennym przed wyjazdem. Miał więcej czasu niż trzeba, żeby dotrzeć na południe, i pomyślał, że zadzwoni z komórki, kiedy będzie czekał na lotnisku. Droga do Sumburgh biegła obok domu Fran. W oknie sypialni przerobionej na studio dojrzał jej sylwetkę. Kobieta pracowała. Wyobraził ją sobie, jak stoi ze zmarszczonymi brwiami przed sztalugą i nie widzi świata wokół siebie. Twierdziła, że rysowanie i malowanie polega na koncentracji. Czasami pracowała nad czymś cały dzień, nawet bez przerwy na posiłek. Podziwiał pasję Fran, ale nie bardzo ją rozumiał. Sam nie umiał się skupić dłużej niż na dwadzieścia minut, a potem potrzebował kawy i kontaktu z ludźmi.

Przyśpieszył. W Sumburgh kłębił się tłum ludzi - utkwili na Szetlandach złapani w pułapkę mgły. Teraz rozdrażnieni walczyli o miejsca na pierwszy popołudniowy lot. Między nimi angielska rodzina: mężczyzna i kobieta, brzdąc w wózku spacerowym i niemowlę w nosidełku.

- Co za dziura! - zawołała kobieta głośno, żeby wszyscy ją usłyszeli. - Trochę mgły i nic nie działa. Jeśli tak mają wyglądać twoje wakacje z przygodami, Charles, to ja bardzo dziękuję. W przyszłym roku jedziemy do Toskanii.



Odkładając węgiel, zauważyła przejeżdżający za oknem samochód Pereza. Przerwała na moment; oczekiwała, że Jimmy się zatrzyma, ale pojechał dalej. Z ulgą popatrzyła za znikającym za wzgórzem samochodem. Myśli o Perezie nie opuszczały jej przez cały poranek, ale teraz nie chciała się w nich zagłębiać. Miała tak mało czasu na pracę. Zajęcia w szkole trwały krótko i już za parę godzin musi odebrać Cassie. Wróciła do rysowania; miała pomysł na większy obraz, głowę pełną barw i kształtów. Zapomniała o Perezie.

ROZDZIAŁ 15

Edith wzięła dzień wolny. Miała tyle nadgodzin, że przepałyby, gdyby ich sobie nie odebrała. Jako dyrektorce nie przysługiwała jej dodatkowa płaca. Kenny był zachwycony. Bardzo lubił, gdy cały dzień spędzała w domu. Jak za dawnych czasów. Jego matka nigdy nie pracowała. Edith też, gdy dzieci były małe. Nawet jeśli sam pracował poza domem, czuł się szczęśliwy, wiedząc, że Edith jest w domu.

Ponieważ nie musiała się śpieszyć do pracy, zjedli śniadanie trochę później niż zwykle. Edith zrobiła kawę - tak jak lubiła, wsypała zmielone ziarna do kafeterki, którą postawiła na płycie, żeby trzymała ciepło, i powoli dołąła wody z czajnika. Kenny pomyślał, że później po południu, kiedy skończy z rzepą i wróćą ze spaceru na wzgórze, żeby popatrzeć na owce, będą się kochali.

Obserwował, jak odwrócona do niego plecami sięga do szafki po swój kubek. Najchętniej od razu zaciągnąłby ją do łóżka. Wciąż spięte po prysznicu włosy odsłaniały szyję. Dżinsy ładnie opinały pupę. Lubił ją w dżinsach, o wiele bardziej niż w tych eleganckich ciuchach do pracy. Mimo wieku ciało miała jędrne. Podszedł i pogłaskał stwardniałymi palcami jej szyję. Odwróciła się i uśmiechnęła, wiedząc, co mu chodzi po głowie.

- Nie teraz - powiedziała. - To musi poczekać.

I oczywiście nic innego mu nie zostawało, bo w tych sprawach kobiety zawsze stawiają na swoim. Trzymają w ręku wszystkie atuty. Nie da się ich zmusić. Zakładał, że widocznie tak powinno być, ale czasami uznawał to za niesprawiedliwe.

Siedział przy stole i patrzył, jak Edith je grzanekę. Teraz już zawsze z chleba razowego. Kupowała go w piekarni w Scalloway. Posmarowała grzanekę grubo masłem. Odrobinka topniejącego tłuszczu pociekła jej na rękę; oblizwała palce. Najpierw

całkiem naturalnie, potem zauważyła jego spojrzenie. Uśmiechnęła się znowu i powolutku oblizwała palce drugiej dłoni. Bawiła się nim. Już nie przeszkadzało mu czekanie na moment, kiedy weźmie ją do łóżka. Cały dzień będzie się z nim droczyła, a oczekiwanie jest znacznie przyjemniejsze, niż gdyby od razu dostał to, czego pragnął. Ta myśl go lekko zamroczyła i nie od razu załapał, co Edith do niego mówi.

- To nie w porządku tak przetrzymywać nieboszczyka cały dzień w szopie.

- Mgła zatrzymała policję z Inverness. - Wczoraj wieczorem zaszedł do baru w Middleton i wszyscy rozmawiali tylko o tym. Wstąpił na jedno duże piwo. Podniecenie wywołane bliskością zwłok wydawało mu się chore. Gdyby zginął ktoś znajomy, zachowywaliby się inaczej, a tak niektórzy nawet pozwalali sobie na dowcipy.

- Myślałam, że ten człowiek się powiesił. Ale strasznie dużo zamieszania jak na samobójstwo.

Kenny'emu przypomniało się ciało zwisające z belki. Gdy opowiedział o tym Edith, zachowywała się bardzo delikatnie. Od razu zrozumiała, że musiał przeżyć szok.

- Och, kochanie, tak mi przykro. Że też musiało trafić na ciebie. - W ośrodku opieki co jakiś czas ktoś umierał. Twierdziła, że nigdy nie zdoła do tego przywyknąć, ale nie robiła tragedii.

- Wczoraj przyszła tu Aggie Watt - odezwał się w końcu Kenny. - Zapytała, czy to może być Lawrence.

- Nie może - odparła Edith. A potem dodała: - Czy może? Chyba poznałbyś własnego brata.

- Jestem absolutnie pewny, że to nie Lawrence, ale chciałbym zobaczyć tego mężczyznę jeszcze raz, bez maski. Zastanawiałem się nad tym. - Pół nocy leżał, nie śpiąc. Zamartwiał się, że Lawrence mógł bardzo się zmienić przez tyle lat i że popełnił straszną pomyłkę. Podejrzywał, że Edith też nie spała, ale nie podzielił się z nią obawami, nie czuł się na siłach powiedzieć jej o odwiedzinach Aggie. Musiał uporządkować własne myśli, zanim zdobył się na to, żeby omówić sprawę z Edith.

- Tak się zastanawiam, czy nie poprosić tego faceta z Fair Isle, Jimmy'ego Pereza. Może pozwoliliby mi jeszcze zerknąć? Rozważała przez chwilę jego słowa.

- Tak - przyznała. - Powinieneś poprosić. Co prawda nie sądzę, że to Lawrence, ale odzyskasz spokój.

Kenny uznał, że zadzwoni do Pereza. Nie będzie czekał, aż policjant pojawi się na molo. Nie chciał drugi raz oglądać martwego człowieka w szopie. Poczeka, aż położą go w kostnicy, bez tej okropnej maski na twarzy. Tak będzie lepiej, godniej.

Przez cały ranek, gdy pracował w zagrodzie, co i rusz migała mu przed oczami Edith. Zrobiła wielkie pranie i przyszyła - gdy tylko mgła się podniosła - wywiesić je na linie za domem. Przerwał na chwilę pracę i patrzył na nią, jak wprawnie bierze z kosa pościel, składa ją i prostuje, a potem przypina klamerkami. Czekał, aż może spojrzy w jego stronę i pomacha, ale chyba go nie zauważyła. Gdy wrócił do domu napić się kawy, kończyła właśnie myć podłogę w kuchni. Na klęczkach wycierała ostatni kąt. Stał na ganku w skarpetkach. Na pewno słyszała, jak wszedł, ale dopóki nie skończyła, udawała, że nie dostrzega jego obecności. Wtedy odwróciła się i uśmiechnęła.

- Poczekaj chwilę, niech przeschnie. - Nadal klęczała u jego stóp i musiała unieść głowę, żeby na niego spojrzeć.

- Może wybierzemy się do Herring House? - powiedział. - Napijemy się dobrej kawy Martina. Pewnie już otworzył.

- Nie pójdę tak ubrana - odparła, ale propozycja wyraźnie sprawiła jej przyjemność.

- Czemu nie? Wyglądasz ślicznie. Jak zawsze.

Ruszyli ścieżką, trzymając się za ręce. Kenny też poczuł się, jakby miał wolne. Rzucił szybkie spojrzenie na molo. Zobaczył policyjny wóz, przejście zagradzała taśma, ale poza tym nic się nie działo. Odgadł, że ekipa z Inverness jeszcze nie przyjechała.

Do kawiarni Herring House bez względu na porę wpadało dzienne światło. W ścianie od strony morza wykuto dodatkowe okna. Wewnątrz zastali więcej ludzi niż w zwykły powszedni poranek; Kenny rozpoznał co poniektórych. Jak tych kilka starszych pań z Middleton - wybrały się na wycieczkę do Biddista, licząc, że uda im się coś ciekawego zobaczyć. Zjawiały się za każdym razem, gdy przydarzył się jakiś wypadek. Był też dziennikarz z „Shetland Times”. Kenny uświadomił sobie, że samolotem mającym przywieźć policjantów z Inverness zapewne zabiorą się też reporterzy prasy krajowej. Nagle zrobiło mu się nieswojo. Stwierdził, że nie są z Edith lepsi - też przyszli do Herring House w nadziei, że czegoś się dowiedzą.

Martin Williamson wyszedł z kuchni, by przyjąć od nich zamówienie. Miał lekki, niemal taneczny krok - Kenny'emu przypominał zniecierpliwionego rumaka tuż przed startem. Kenny

wskazał głową gości.

- Zwłoki na moło przyciągają klientelę.

Martin się uśmiechnął.

- Tak. Ale wolałbym, żeby już je zabrano. Trochę to dziwne, że wiszą tam całą noc. Matkę strasznie to denerwuje. Chyba w ogóle dziś nie spała.

- Trudno się dziwić - powiedziała Edith. - Pomyśl, co się stało z twoim ojcem. Pewnie wszystko do niej wróciło.

- Nie wiesz, kiedy zjawi się policja z Inverness? - zapytał Kenny. Kiedy w końcu zabrają zmarłego, będzie mógł go zobaczyć, przekonać się, że to nie Lawrence. Im usilniej starał się przypomnieć sobie rysy brata, tym bardziej stawały się rozmyte i nieuchwytnie.

- Pierwszym lotem z Aberdeen - odparł Martin. - Powinni tu być lada moment.

Kenny poprosił o cappuccino dla Edith i kawę ze skondensowanym mlekiem dla siebie. Zawsze zamawiali to samo. Pod wpływem wakacyjnego nastroju kazał podać jeszcze parę ciastek. Martin oddalił się tanecznie.

Prawie kończyli, gdy wszedł Roddy Sinclair. Stał w drzwiach i wszystkie głowy obróciły się w jego stronę. Od razu go rozpoznano, na chwilę zapadła cisza, po czym goście wrócili do przerwanych rozmów. Wyglądał, jakby dopiero co wstał z łóżka. Był rozczochrany i zdawał się na wpół śpiący. Albo może, przemknęło Kenny'emu przez myśl, nie spał całą noc. Roddy nie znalazł wolnego stolika; kilka minut czekał, aż pojawi się Martin, w końcu podszedł do kuchni, oparł się o futrynę i zawołał:

- Podwójne espresso. Mocne.

Wiele osób przy stolikach też czekało na złożenie zamówienia, ale chyba żadna nie miała Roddy'emu za złe, że wepchnął się w kolejkę. Typowy Sinclair, pomyślał Kenny. Arogancki jak każde z nich. Jedna ze starszych pań z Middleton uśmiechnęła się do chłopaka i pomachała mu ręką. To też typowe. Kobiety pozwalały Sinclairom na wszystko.

Roddy odkleił się od futryny i wyprostował.

- Fantastyczny widok - stwierdził na głos. - Wciąż na nowo mnie zaskakuje. - Podszedł do Kenny'ego i Edith. - Mogę się przysiąść?

- Zaraz wychodzimy - odparł Kenny, ale chłopak i tak usiadł, jakby nie słyszał odpowiedzi.

Na dworze świeciło teraz ostre słońce. Na morzu, gdzieś w połowie drogi do horyzontu, unosiła się zagłówek. Kenny próbował zgadnąć czyja, ale w końcu uznał, że chyba nikogo z miejscowych.

Roddy pochylił się nad stołem.

- Rozumiem, że to ty znalazłeś ciało. - Akcent miał tak silny jak w dzieciństwie.

Ciekawe, czy ćwiczył go wieczorami w swoim mieszkaniu w Glasgow i pokojach hotelowych w egzotycznych miastach, zastanawiał się Kenny. To jego znak rozpoznawczy. Przytaknął.

Martin przyniósł kawę. Roddy skinął mu w podziękowaniu głową, po czym ze wrokiem wbitym w Kenny'ego poczekał, aż Martin odejdzie, i znów podjął rozmowę.

- Jesteś pewien, że to przyjezdny? Nie widziałeś go tu wcześniej?

Kenny pozwolił sobie przez moment napawać się zapachem kawy z ekspresu. Jeśli smakowała równie dobrze, jak pachniała, to może też się do niej przekona. Nie chciał robić scen przy Edith, ale miał wielką ochotę powiedzieć Sinclairowi, żeby zajął się własnymi sprawami. Jakim prawem im przeszkadza? Psuć mu miłe chwile z żoną...

- Nie rozpoznałem tego mężczyzny - odparł w końcu.

- Był na wernisażu Belli - ciągnął Roddy. - Ale nie bardzo mu się wtedy przyjrzałem.

- Widziałeś go żywego?

O mały włos, a zapytałby, czy facet przypominał Lawrence'a, ale co chłopak może na ten temat wiedzieć? Lawrence wyjechał dawno temu. Roddy - wtedy jeszcze smarkacz - mieszkał z rodzicami w Lerwick, a do Biddista przyjeżdżał w odwiedziny do Belli. Już wówczas był nieznośnym, rozpieszczonym urwisem.

- Tak. Żałuję, że z nim nie porozmawiałem. Gdybyśmy wiedzieli, kim jest i skąd się wziął, moglibyśmy wreszcie wrócić do normalności.

Co ty wiesz o normalności?, pomyślał Kenny. To słowo ja-koś dziwnie brzmiało w ustach młodego Sinclaira. Normalność była ostatnią rzeczą, której pragnął Roddy. Potrzebował akcji, co noc innej kobiety. Na pewno bawiło go to małe zamieszanie.

Roddy odwrócił się do Edith.

- A co ty o tym sądzisz?

- Nic - odparła. - Może to zabrzmieć bezdusznie, ale jakoś nie porusza mnie śmierć kogoś, kogo nie znałam.

Roddy miał właśnie odpowiedzieć, gdy przerwał mu odgłos jadącego drogą samochodu. Dwóch samochodów. Uwaga obecnych skupiła się na widoku za oknem. Starsze panie z Middleton wstały, żeby lepiej widzieć. Bez najmniejszego skrepowania. Wbrew sobie, Kenny też obrócił się w krzesło.

Z jednego z wozów wysiadł Jimmy Perez. Towarzyszył mu wysoki, zwalisty, łysy mężczyzna. Nawet z daleka wyczuwało się, że to on jest szefem. Oprócz nich przyjechało dwóch innych facetów po cywilnemu, kobieta i paru mundurowych. Kenny rozpoznał Sandy'ego z Whalsay i młodą Morag. Nagle miał dosyć kawiarni i tych ludzi gapiących się jak dzieci w cyrku. Wstał i czekał, aż Edith ruszy za nim do domu.

ROZDZIAŁ 16

Roy Taylor nie bardzo wiedział, co czuje, wracając na Sze-tlandy. Na pewno był zadowolony, że wreszcie tu dotarł; czekając długo w Aberdeen, myślał, że zaraz wybuchnie. Na szczęście dostali się na samolot. Nie miał ochoty przyznawać się do tego swojemu zespołowi - nie uważał, że przywódcy powinni ujawniać własne słabości; gadki o dzieleniu się uczuciami i wzajemnej trosce to zawracanie głowy - ale na promie czuł się okropnie. Gdyby musieli płynąć tu całą noc, na pewno by wymiotował.

Teraz, stojąc na przedzie kolejki do wyjścia z samolotu, na wspomnienie promu Mersey poczuł nagłą tęsknotę za domem. Przed oczami przewinął mu się sentymentalny film. Kontury Liverpoolu na tle nieba widziane od strony rzeki, gwar przepelnionych pubów, kibicowanie na Kop w sobotnie popołudnia. Zaczął się zastanawiać, czy nie pora w końcu wrócić. Ojciec już nie żyje i więcej go nie skrzywdzi. Po chwili rozważań odepchnął od siebie tę myśl. Teraz trzeba skupić się na czymś innym.

Wyjechał do Inverness, bo żadne bardziej odległe od domu miejsce nie przyszło mu do głowy. Jego emigracji towarzyszyła niejasna masochistyczna przyjemność - wylądował w mieście tak obcym i niepodobnym do tego, co wybrałby w innych okolicznościach. Jakby chciał ukarać siebie i pozostawioną rodzinę. A teraz znów jest na Szetlandach, które leżą jeszcze dalej i są jeszcze dziwniejsze.

Drzwi samolotu się otworzyły. Zbiegł po schodkach, niemal pędem przemierzył asfalt i dopadł do drzwi terminala lotniczego. Kazał ludziom wziąć tylko bagaż podręczny. Już dość czasu zmarnowali i nie chciał czekać jeszcze na odbiór walizek.

Przywitał ich Jimmy Perez. Dobrze im się razem pracowało przy poprzednim śledztwie. Polubili się - może dlatego, że byli tak różni. Gdyby Perez należał do zespołu z Inverness, Taylora

pewnie drażniłoby w nim kilka rzeczy: niekonwencjonalne podejście, długie włosy i brak pośpiechu. Ale tutaj, na Szetlandach, zdawało się, że ten spokój skutkuje. Może aż za bardzo. Taylor - zawsze ambitny - mimo całej sympatii do Pereza czuł urazę, że to miejscowemu inspektorowi przypisano rozwikłanie sprawy Catherine Ross.

Tak czy inaczej, przywitał go ciepło, podał rękę, poklepał po plecach.

- Co tam u ciebie, Jimmy?

Należy dać zespołowi do zrozumienia, że żadna terytorialna rywalizacja nie wchodzi w grę. Poza tym niełatwo musi być Perezowi zaakceptować fakt, że każdą ciekawszą sprawę przejmuje oficer spoza wysp. Taylor chyba nie zniósłby czegoś takiego.

Pojechali na północ, a potem na zachód, omijając Lerwick, jedyne miejsce na Szetlandach, gdzie Taylor czuł się odrobinę jak w domu. W Lerwick przynajmniej były sklepy i bary, frytkarnie i knajpki z curry. Myśl o bezkresnej otwartej przestrzeni przyprawiła go o mdłości i lekki zawrót głowy. To pewnie przez tę bezsenność noc w Holiday Inn w Aberdeen. Ale niech się tylko zabierze do śledztwa, a znów odzyska formę.

Aby dojść do siebie, zaczął zasypywać prowadzącego samochód Pereza gradem pytań.

- Mówisz, że w tej dziurze nikt nie potrafi go zidentyfikować? - Wiedział, że ten ton urazi Pereza, ale nie mógł się powstrzymać.

Perez milczał przez moment.

- Co roku mamy pięćdziesiąt tysięcy gości - odezwał się w końcu. - Większość z nich właściwie nie styka się z miejscowymi. Nic dziwnego, że chwilę trwa ustalenie, kto to taki.

- Tak czy owak, chyba ktoś powinien już zauważyć jego nieobecność. W pensjonacie. Hotelu.

Perez nie zareagował. Nauczył się, że gdy nie ma się nic do powiedzenia, najlepiej trzymać język za zębami. Taylor nie mógł opanować tej sztuczki.

Samochody zwolniły i zatrzymały się obok niedużego moła. Taylor odniósł wrażenie, że znaleźli się w samym środku pustkowia. Tego tutaj nawet nie można nazwać wsią. Kilka domów przy szosie i to wszystko. Po drodze minęli galerię, która stała prawie na plaży. Dziwna lokalizacja, stwierdził w duchu Tay-

lor. Komu się chce jechać taki kawał, żeby obejrzeć kilka obrazów? Perez przerwał milczenie i wyjaśnił, że właśnie w galerii ostatni raz widziano ofiarę żywą.

- Byłem tam - powiedział. - Na przyjęciu z okazji otwarcia wystawy.

Taylor podejrzewał, że Perez ma coś do dodania, ale czeka, aż zostaną sami. Zanotował sobie, żeby go zapytać.

Wysiadł z samochodu i znalazł się wśród wrzeszczących morskich ptaków, zapachu wodorostów i ptasich odchodów. Za rzadkiem niskich domów stromo wznosiło się wzgórze. Czemu ludzie chcą mieszkać w takich miejscach? Przypomniał mu się film dokumentalny o Roddym Sinclairze. Dość długi kawałek nakręcono w Biddista - kamera snuła się za młodym muzykiem, pokazała go, jak rozmawia z farmerami, zachodzi do sklepu, pije z kolegami. Kolejne ujęcia to już Londyn i Glasgow, koncerty i fanki.

Taylor nie wszedł do szopy. Jak wywnioskował ze słów Pereza, miejsce i tak wystarczająco już zanieczyszczono. Niech teraz wezmą się do pracy chłopcy z sądówki. Zamierzał tylko poczuć klimat, zanim zaczną. Dobrze zrobił, że przyjechał. Miał wrażenie, że wpatrują się w niego wszystkie oczy w Biddista. Niemal czuł na sobie te spojrzenia. Nie obejrzał się, żeby sprawdzić, czy ludzie gapią się przez okna; nie musiał. Żeby zrozumieć, jak tu jest, wystarczyła mu pogawędka z Perezem. W Biddista nic nie uchowało się w sekrecie. Nie wierzył, że nikt nie wie, kto zabił mężczyznę. Może wiedzą wszyscy. Może to jeden wielki spisak. Odwrócił się do Pereza.

- Zostawmy tu ludzi, dobrze? A sami pojedziemy do Lerwick. Wprowadzisz mnie w szczegóły. - Postarał się, żeby to zabrzmiało jak propozycja. Ale taka nie do odrzucenia.

Gdy jechali do Lerwick, z prawej strony drogi nieustannie towarzyszyło im morze, ale Taylor całą uwagę skupił na inspektorze.

- Mówiłeś, że widziałeś ofiarę żywą. Co robił?

Kolejna długa pauza. Perez zjechał na pobocze, przepuszczając kobietę w rozklekotanej furgonetce.

- Płakał.

Taylor nie spodziewał się niczego konkretnego. Ale na pewno nie tego.

- Jak to? Dlaczego płakał? Coś go zdenerwowało?

Znów chwila ciszy.

- Nie wiedział. A przynajmniej tak mówił. - Perez opowiedział całą historię. Jak nieznajomy urządził na wernisażu scenę z płaczem, a potem twierdził, że nic nie pamięta.

Taylor nie przerywał. Choć cisnęło mu się na usta mnóstwo pytań, musiał pozwolić inspektorowi opowiadać po swojemu.

- Teraz rozumiesz, dlaczego uznałem, że to może być samobójstwo - zakończył Perez. - Ale nie jestem do końca przekonany.

- Uwierzyłeś, że facet naprawdę stracił pamięć?

Perez się namyślał. Taylor czekał. Chciał krzyknąć: Gadajże, człowieku! Przecież to proste pytanie. Irytacja niemal zapierała mu oddech.

- Nie - odparł w końcu Perez. - Nie naprawdę.

Taylorowi to wystarczyło. Czasami Perez rozwścieczał go do białości, ale na ludziach znał się jak mało kto. Obserwował ich jak David Attenborough zwierzęta.

- Dlaczego udawał?

Tym razem odpowiedź nadeszła szybciej.

- Nie wiem. Myślę o tym, odkąd znaleziono ciało. Może chciał popsuć wernisaż. Ale skąd taki pomysł u przyjeźdnego z Anglii? Co miałyby przeciwko Belli Sinclair czy Fran Hunter?

Taylor rozpoznał nazwisko.

- Czy to nie ta sama kobieta, która znalazła Catherine Ross?

- Tak. - Drobne trzepotanie powiek. - Dlatego tam byłem. Zostaliśmy przyjaciółmi.

Komu innemu Taylor by nie przepuścił. „To znaczy jakimi przyjaciółmi? Takimi, którzy ze sobą sypiają?” Ale Pereza nie chciał urazić. Mowy nie ma, żeby bez tego faceta u boku cokolwiek tu działo.

Perez zmienił temat.

- Niewykluczone, że ofiara próbowała w ogóle nie dopuścić do wystawy. Ktoś chodził po Lerwick i rozdawał ulotki z informacją, że wernisaż odwołano. Też nosił maskę kłowna.

- Ale żadna z artystek go nie rozpoznała?

Cisza.

- Tak powiedziały. - Znowu milczenie. - Na ulotce napisano, że wernisaż się nie odbędzie z powodu śmierci w rodzinie. Zupełnie jakby facet przewidział, że zostanie zamordowany.

Lerwick nie było takie szare jak we wspomnieniach Taylora, ale ostatnim razem przyjechał tu w środku zimy.

Dziś świeciło słońce, a ludzie nie chodzili okutani grubymi okryciami. Światło odbijało się od wody. W porcie cumowała łódź udekorowana jak teatr. Na burcie wisiał brezentowy czerwony transparent reklamujący ostatnią sztukę.

Taylor wskazał głową łódź.

- Coś nowego.

- Nie - odparł Perez. - Przybija tu, odkąd pamiętam, ale tylko latem. Opływa wyspy. Przyjezdnym się podoba.

- Boże - mruknął Taylor. - Umieram z głodu. - W samolocie, czyli wieki temu, zjadł obrzydliwą bułkę.

Kupili smażoną rybę z frytkami i jedli z zatłuszczonego papieru, spoglądając na morze. Taylor przypomniał sobie, że niedaleko stoi dom Pereza.

- Nadal mieszkasz tam, gdzie poprzednio?

Perez przytaknął.

- Czyli jeszcze nie przeprowadziłeś się do zniewalającej pani Hunter? - Tak, wiedział, że to nie jego interes, ale nie mógł się powstrzymać. Cóż, ciekawość to główna cecha charakteru gliniarza. Poza tym odrobinę mu zazdrościł. Perez skończył frytki.

- To nie tak.

Taylor już chciał zapytać: A jak?, ale śledztwo było ważniejsze.

- Jak myślisz, kto go zabił? Ktoś tutejszy?

- W Biddista niektórzy mają co nieco do ukrycia - odpowiedział w końcu Perez. - Ale niekoniecznie morderstwo.

Taylor kiwnął głową. Dobrze to rozumiał. Gdy policja zjawia się pod drzwiami, zawsze jest jakiś powód, żeby czuć się winnym. Przekroczenie prędkości. Oszustwo podatkowe. Romans z żoną najlepszego przyjaciela. Trudno, żeby detektyw na czymś człowieka nie przyłapał. Dlaczego tu miałyby być inaczej?

Perez wytrzepał z papieru okruchy frytek i u jego stóp od razu zjawiły się krzykliwe mewy.

- Muszę zadzwonić - oznajmił. - Już dawno powinienem to zrobić. Kenny Thomson, facet, który znalazł ciało, zostawił mi wiadomość.

Odszedł kawałek i odwrócił się tyłem, żeby Taylor nie sły-

szał rozmowy. Pewnie i tak niczego by nie zrozumiał. Gdy Perez zaczynał mówić w miejscowym dialekcie, dla niego brzmiało to jak chiński. Taylor przypomniał sobie, jak się czuł, gdy matka zostawiła ich i przeniosła się do północnej Walii. Trwało to nie dłużej niż rok, ale podczas tego okresu wysyłano go co miesiąc, żeby spędził z nią weekend. Szedł do sklepu, a tam gapili się na niego i gadali coś w języku, którego za grosz nie łąpał. Orientował się tylko, że plotkują o nim i o jego matce, że urządziła sobie życie na nowo.

Perez wyłączył telefon, wrócił do stolika i czekał na pytanie.

- No i? - zagadnął Taylor.

- Chce jeszcze raz zobaczyć ciało. Nadmiar wyobraźni, moim zdaniem. Myśli, że ten facet może być jego bratem. - Przerwał, po czym się poprawił. Cenił precyzję. - Nie, właściwie pragnie się upewnić, że nie jest.

- Nie poznałby własnego brata?

- Wyjechał lata temu. A teraz Kenny nie przyjrzał się dobrze mężczyźnie. Widział tylko plecy i maskę. Jak powiedziałem, chodzi o wykluczenie. Najwyraźniej to go dręczy.

- Mówiłeś, że to Anglik.

Perez wzruszył ramionami.

- Ludzie zmieniają akcent. Mogą udawać.

- I co odpowiedziałeś?

- Żeby przyjechał wieczorem i sprawdził. Do kostnicy, z nim zabiorą ciało promem na sekcję.

Taylor poczuł dreszczyk emocji. Nadarzała się okazja, by włączyć się do śledztwa. Nie należał do szefów dających ludziom wolną rękę.

- Też tam będę - oświadczył. - Masz coś przeciwko temu?

Perez nie odpowiedział. Tak naprawdę to nie było pytanie.

ROZDZIAŁ 17

Kenny Thomson przyjechał do kostnicy trochę za wcześnie. Przywitało go dwóch mężczyzn: Jimmy Perez, który już zawsze będzie mu przypominać lato spędzone na Fair Isle, i duży Anglik - to on wysiadał z samochodu przy molo.

Usiedli w ciemnej małej poczekalni. W kącie stał wazon ze sztucznymi kwiatami, w powietrzu wisiał ciężki, kwiatowy zapach. Przecież sztuczne kwiaty nie pachną, pomyślał Kenny zdziwiony. Skąd w takim razie ta woń?

Dumał nad tym jeszcze, gdy Perez przedstawił mu angielskiego detektywa, więc nie zapamiętał ani nazwiska, ani stopnia Anglika.

- O co chodzi, Kenny? - Perez miał spokojny, niepewny, pełen namysłu sposób mówienia, jakby rozważał każde słowo.

- Pewnie o nic. Ale pomyślałem, że lepiej sprawdzić niż nie sypiać po nocach i rozmyślać.

- Opowiedz nam trochę o Lawrensie - poprosił Perez. - I tak musimy czekać.

I Kenny zaczął opowiadać o starszym bracie - większym, silniejszym i dominującym.

- Był z tych, co to wystarcza, że wejdą, a wszyscy się uśmiechają. Tęskniłem za nim, kiedy wyjechał. Wszyscy w Biddista tęsknili.

- Dlaczego wyjechał? Za pracą?

Kenny zrozumiał, że nie chcą słuchać o tym, że sama obecność Lawrence'a poprawiała ludziom humor. Potrzebowali tylko faktów i dat. Ale on miał do przekazania znacznie więcej.

- Praca była tutaj. Całe mnóstwo. Ale jego nie ciągnęło do gospodarki. Brakowało mu cierpliwości. Lubił taką robotę, gdzie szybko widać efekty. Doskonale sprawdzał się jako budowlaniec. Najpierw pracował dla Jerry'ego Stouta, nauczył się od niego fachu, a po jego śmierci Lawrence przejął interes. Kiedy Bella wprowadziła się na plebanie, położyli z Jerrym

nowy dach. Potem Lawrence przerobił Herring House. Plan przebudowy przygotowała Eva Eunson, ale to on wykonał całą robotę. Praca dla idei. Tak ją nazywał. Spędzał tam dzień w dzień ponad dwanaście godzin. Czasem w miarę możliwości pomagałem. Bella nie płaciła mu jak należy. Gdy skończył galerię, dostawał oferty pracy z całej Szkocji. Nie musiał wyjeżdżać. Mógł zostać na Szetlandach i co najwyżej dojeżdżać na budowy.

- Dlaczego wyjechał? - powtórzył pytanie Perez.

Kenny zastanawiał się, ile im powiedzieć.

- Nie wiem. Nie było mnie przy tym. Zadurzył się w Belli. Robił wszystko, o co prosiła. Zamierzał się z nią ożenić. Przynajmniej tak myślał. W głębi duszy od zawsze o tym marzył. Żadna się z nią nie równała. Spotykał się od czasu do czasu z innymi kobietami, ale nie traktował ich poważnie. Przez cały czas przeróbek w Herring House Bella prowadziła go jak na sznurku, ale kiedy prace dobiegły końca, chyba jasno dała mu do zrozumienia, że nie ma u niej żadnych szans. Była zbyt samolubna, żeby się ustatkować. To, na czym jej zależało, już dostała. - Kenny czuł gorycz swoich słów, ale co tam. Ilekroć o tym wspominał, wciąż ogarniała go złość.

- Kiedy to się działo, Kenny?

- W tamto lato, kiedy pracowałem przy budowie portu na Fair Isle. Tak naprawdę zwrócono się wtedy o pomoc do Lawrence'a, ale akurat kończył Herring House i załatwił tę pracę mnie. Wiedział, że zamierzam rozwinąć gospodarstwo i pieniądze mi się przydadzą. Nawet nie miałem okazji się z nim pożegnać.

- Nie pytał cię o radę w sprawie wyjazdu?

Kenny uśmiechnął się w duchu. Czy Lawrence kiedykolwiek pytał kogoś o radę?

- To nie w jego stylu - odparł. - Był impulsywny. Nie pierwszy raz wyjechał bez słowa. Gdy miał dziewiętnaście lat, zniknął, zostawił tylko wiadomość rodzicom. Pojechał na wędrówkę z plecakiem po Australii.

- A jakie wtedy miał plany?

- Myślę, że może zaciągnął się do marynarki handlowej. Często o tym napomykał. Dobry sposób, żeby podróżować i na dodatek dostawać pieniądze. Zawsze świetnie radził sobie na morzu. Wiecie, jak to jest z dziećmiakami w Biddista, ledwie po-

stawia pierwsze kroki, zaraz uczyć się pływać. Morze to jego żywioł. - Kenny zamilkł na chwilę. Przypomniawszy mu się pewien bezwietrzny letni wieczór. Wyłynęli z Lawrence'em na mackrele. Zakotwiczona łódź kołysała się na falach. Lawrence stał, balansując, i śmiał się z jakiegoś żartu brata.

Perez spojrzawszy na Kenny'ego, czekając, aż ten podejmie opowieść.

- Poza tym - dodał Kenny - ucieczka na morze to bardzo romantyczny gest, prawda? Lawrence uwielbiał romantyczne gesty.

- Kiedy ostatnio miałeś od niego jakieś wieści?

- Nigdy. Przekazał Belli informację, że wyjeżdża, i nigdy więcej się do nas nie odezwał. - Odwrócił się do Pereza. - Mógł zadzwonić do mnie do hotelu, prawda? Pożegnać się. Owszem, nie było wtedy telefonów komórkowych, ale gdyby chciał, toby mnie znalazł. Pewnie się bał, że go przekonam, żeby został.

- Teraz byś go rozpoznał? - zapytał Perez.

- Zastanawiałem się nad tym. Wyciągnąłem stare zdjęcia. - On, Lawrence, Edith i Bella stali na moście i uśmiechali się do obiektywu. Nie pamiętał, kto zrobił tę fotografię. Może Aggie. Chociaż wtedy na pewno była już mężatką. I nie mieszkała w starym domu. Ale przyjeżdżała do osady, kiedy tylko mogła. Nie potrafiła wytrzymać bez Biddista.

- Tak czy inaczej, to kawał czasu. Poza tym ludzie po śmierci wyglądają inaczej.

- Miał znamię na prawym ramieniu. Nawet jeśli się zmienił, właśnie po nim bym go poznał - wyjaśnił Kenny.

- Możemy to sprawdzić za ciebie. Jeśli wolisz nie patrzeć...

Kenny pokręcił głową. Gdyby to jednak był Lawrence, sam chciał go zidentyfikować. Przecież to jego brat.

W końcu nadeszła pora, żeby iść i obejrzeć ciało. Kenny nie bardzo wiedział, dlaczego nagle tak uznali. Nikt nie wyszedł, żeby im to oznajmić. Pomyślał, że specjalnie kazali czekać, żeby nakłonić go do rozmowy.

Zwłoki leżały na stalowym blacie. W pomieszczeniu był tylko Kenny z policjantami. Perez przystanął obok stołu, gotowy odchylić prześcieradło, żeby pokazać Kenny'emu twarz zmarłego. Policjant z Anglii cały czas milczał, jeśli nie liczyć paru słów na powitanie, kiedy Perez go przedstawiał. Teraz przystanął obok Kenny'ego, choć ten wolałby, żeby oficer trochę się odsunął i zostawił mu więcej przestrzeni. Perez obrócił

się; Kenny skinął głową.

Gdy tylko zobaczył twarz, wiedział, że to nie Lawrence. Nie było najmniejszego podobieństwa. Zastanawiał się, czemu w ogóle zwątpił w swoją pierwszą ocenę. Nie powinien słuchać Aggie Williamson, dać się omotać jej lękom. Lawrence miał wysokie czoło i szerokie usta, nawet wtedy, gdy się nie uśmiechał. Mężczyzna na stole - delikatne rysy i wąskie wargi. Gdyby nie lekki, kilkudniowy zarost i mocne brwi, jego twarz równie dobrze mogłaby być twarzą kobiety. Kenny z trudem powstrzymywał chichot. Nagle wyobraził sobie, że to zwłoki jednej z tych *drag queens*, które widywało się w telewizji, mężczyzny ze sztucznymi piersiami i w blond peruce. Uznał, że ten napad śmiechu to chyba z ulgi, że w ten sposób rozładowuje napięcie. Zdał sobie sprawę, że musi coś powiedzieć.

- Nie - oznajmił. - To nie Lawrence. Na pewno nie on.

- Poszukajmy znamienia, dobrze? Tylko po to, żeby się upewnić. Czasem umysł płata figle. - I Perez po raz drugi odsunął prześcieradło, składając je schludnie jak pielęgniarka albo żołnierz przygotowujący łóżko na inspekcję. Ukazały się ramiona i piersi. Mężczyzna leżał rozebrany. Klatkę piersiową porastały rzadkie siwe włosy. Kenny pomyślał, że facet pewnie był próżny. Gdy posiwiął, ogolił głowę. Co zresztą pasowałyby też do Lawrence'a, ale... żadnego znamienia na ramieniu. To nie on.

- Nie. Nie znam tego człowieka.

- Jesteś pewny? - zapytał spokojnie Perez, trzymając w rękach złożone prześcieradło. Pochylał się nad ciałem. - Czy to może być osoba, którą zauważyłeś, jak biegnie od Herring House w noc przyjęcia?

Kenny się namyślał.

- Tak. Jeśli był ubrany na czarno. Wydaje się podobnego wzrostu i budowy. Ale głowy nie dam. Widziałem go z bardzo daleka.

Perez zaciągnął z powrotem prześcieradło i wrócili do poczekalni z zakurzonymi sztucznymi kwiatami. Kenny uznał, że teraz może już iść. Powinien iść. W domu czeka na niego Edith. Na jazdę i wyczekiwanie zmarnował niemal całe popołudnie.

Ale Anglik najwyraźniej miał inny plan.

- Pozwoli pan, że dopytam się o parę rzeczy?

Kenny nie bardzo wiedział, czy przyjezdny detektyw zwraca się do Jimmy'ego Pereza, czy do niego.

- Długo to potrwa?
- Nie.
- W takim razie wyjdźmy, dobrze?

Miał dosyć tego dziwnego, słodkiego zapachu. Potrzebował świeżego powietrza.

- Jasne. Chodźmy się czegoś napić. Dobrze panu zrobi coś mocniejszego. Mnie zresztą też. Można by po myśleć, że w tej pracy człowiek przywyknął do takich widoków, ale ja chyba nigdy się nie przyzwyczaję.

W hotelu Lerwick Kenny wcisnął się w kąt baru. W restauracji siedziało parę osób, pijąc kawę po późnym lunchu. Pewnie biznesmeni, pomyślał. Od ropy albo turystyki. Nietutejsi. Poza nimi nie było nikogo.

Wrócił Taylor, niosąc trzy whisky i dzbanek wody. Kenny nie przypominał sobie, żeby zamawiał drinka, ale może się mylił. Przeżył duży szok. Pewnie lepiej nie wracać od razu do Edith w takim stanie. Taylor poczekał, aż Kenny niemal osuszył szklaneczkę.

- Ktoś zabił tego mężczyznę - powiedział. - Uduślił, a potem zaciągnął wokół szyi pętlę i powiesił go na krokwi. Przychodzi panu na myśl ktoś, kto byłby w stanie to zrobić?

- Każdy. Nie trzeba do tego znowu takiej siły. - Kenny po raz pierwszy spojrzął na sprawę z praktyczne go punktu widzenia. - To drobny facet. Nie waży dużo. Lina leżała w szopie.

Taylor się uśmiechnął. Jego głowa wyglądała jak obciążnięta skórą czaszka. Gdy się uśmiechał, ukazywał wszystkie zęby.

- Oczywiście, ma pan rację. Ale pytałem nie o to, kto fizycznie by sobie poradził. Tylko psychicznie. Czy którąś ze znanych panu osób stać byłoby na coś takie go? Żeby pójść za mężczyzną albo zwabić go do szopy, zabić i powiesić ciało, aby upozorować samobójstwo. Kto ma tyle zimnej krwi? I odwagi?

Kenny'emu zrobiło się niedobrze. Nie przyszło mu wcześniej do głowy, że morderstwo mogło zostać zaplanowane. Na Szetlandach zdarzały się zbrodnie, ale nie z premedytacją. Czasem rozbuchani alkoholem mężczyźni zabijali się w pubach; najczęściej chodziło o kobietę albo jakąś wydumaną zniewagę.

- Nie mam pojęcia - odparł.

- Naprawdę? - Taylor nachylił się nad stołem i Kenny poczuł zapach whisky w jego oddechu. - Z tego, co zrozumiałem, pan się tu wychował i dorastał wśród miejscowych. Zna ich pan

lepiej niż ktokolwiek. Kto mógł zamordować, a następnego dnia kłamać?

- Nie wiem - powtórzył Kenny. - W takiej małej społeczności człowiek stara się nie wtykać nosa w cudze sprawy, nie zależeć innym za skórę. Trzeba żyć razem, a wszyscy potrzebują odrobiny prywatności. Rozumie pan, co mam na myśli?

- Tak. Tak mi się zdaje.

Taylor nie miał więcej pytań. Podziękował Kenny'emu za pomoc i powiedział, że może wracać do domu.

Kiedy w drodze do Biddista, zjeżdżając ze wzgórza, Kenny zobaczył światło na wodzie, wiedział, co dziś zrobi. Wieczorem po kolacji z Edith wyciągnie łódź i wypłynie na połów. Był doskonały wieczór na ryby. A potem zacznie poszukiwać Lawrence'a.

Za łatwo zaakceptował odejście brata. Przyzwyczał się, że ma go słuchać i wykonywać jego polecenia. „Powiedz mu, że znów wyjeżdżam”, taką wiadomość Lawrence zostawił u Belli.

Ale od tamtego czasu dużo się zmieniło. Bella się postarzała. Dlaczego Lawrence nie miałby wrócić do domu? Poza tym obecnie łatwiej odszukać człowieka. Przez internet. Edith porusza się w nim jak ryba w wodzie i mu pomoże. Poruszyła go myśl o powrocie brata. Wyobraził sobie ich spotkanie w porcie. Lawrence schodzi po trapie, dostrzega czekającego Kenny'ego, odrzuca głowę do tyłu i się śmieje.

ROZDZIAŁ 18

Gdy Perez zajechał do Fran, Cassie leżała już w łóżku. Zadzwo- nił wcześniej i spytał, czy może wpaść.

- Byłbym dość późno. Jeśli wolisz, żeby ci nie przeska- dzać...

Zdziwił ją efekt, jaki wywarł na niej jego głos. Poczuała, jakby podłoga się zakołysała.

- Nie - powiedziała szybko. - Nie szkodzi, że późno. Latem raczej nie chodzę spać przed jedenastą, a i tak trudno usnąć.

Siedziała na białej drewnianej ławie przed domem i patrzyła na Raven Head. Właśnie skończyła pić lampkę wina i uznała, że ma ochotę na drugą, gdy na drodze usłyszała samochód. Pe- rez zatrzymał się na poboczu, ruszył krótką ścieżką do domu i usiadł obok Fran. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Przyniosę ci coś do picia - zaproponowała. - Wolisz piwo czy wino? A może whisky?

- Najchętniej napiłbym się kawy.

W takim razie nie zostanie, pomyślała. Nie sądziła, że to bę- dzie takie skomplikowane. Musiała mieć wzgląd na Cassie. W noc wystawy córeczka została u rodziny swojego ojca. Fran wo- lała uniknąć sytuacji, kiedy mała budzi się i zastaje Jimmy'ego w łóżku mamy. Przynajmniej teraz, dopóki nie wyjaśni córce, jak się sprawy mają. Ale tak czy inaczej, poczuła się zawie- dziona.

Zostawiła go na ławce i poszła wstawić wodę. Kiedy wróciła z kubkiem kawy, siedział w tej samem pozycji, z rękoma na kolanach i lekko pochyloną głową. Jakby był zbyt wyczerpany, żeby się ruszyć.

- Chyba dała mi się we znaki ta bezsenna noc - powiedział.

- Przepraszam. - Stała obok ławki i postawiła na niej ku- bek.

- Och nie - zreflektował się. - Nie przepraszaj. Za nic bym jej nie oddał. Za nic na świecie. - Podniósł głowę.

Dostrzegła cienie pod jego oczami i kilka niezauważonych wcześniej szarych pasemek we włosach, którym przydałoby się strzyżenie.

- Ani ja. - Próbowała znaleźć odpowiednie słowa, żeby wyrazić, ile ta noc dla niej znaczyła, ale uciał jej myśli.

- Muszę zadać ci parę pytań. Sprawy zawodowe. Przykro mi, że mieszają się z prywatnymi.

- Zawsze będą, prawda? - zapytała.

- Może. Sarah nigdy się z tym nie pogodziła. - Jego była żona teraz wyszła za lekarza i wiodła szczęśliwe życie, kręcące się wokół dzieci i psów.

- Nie widzę w tym problemu - powiedziała. - Już bardziej nie rozumiem ludzi, których nie wciąga ich praca.

- A mnie wciąga?

- Och tak. Mogę to poświadczyć.

Roześmiała się, atmosfera trochę się rozluźniła.

- Pytaj - powiedziała. - Ale najpierw przyniosę sobie wino. - Z zadowoleniem stwierdziła, że czuje się przy nim swobodnie, że nic się między nimi nie zmieniło. Wróciła i usiadła obok niego na ławce.

- Chodzi o wystawę - zaczął. - Po co ktoś miałby chcieć ją popsuć?

- Nie mam pojęcia. Może to jakiś nieudany dowcip. A jeśli tak, to chyba nie ja byłam celem.

- Myślisz, że to sprawka Roddy'ego Sinclaira?

- Może. Tylko on przychodzi mi do głowy. Ma wypaczone poczucie humoru.

- Jeśli wierzyć brukowcom - zauważył Perez.

- Racja, oczywiście. - Popatrzała na niego przez szkło. - Nie wolno zakładać, że wszystko, co piszą, jest prawdą. Spotkałam chłopaka parę razy u Belli, ale ani trochę go nie znam.

- Podejrzewamy, że ofiara morderstwa rozdawała ulotki odwołujące wernisaż. Przynajmniej w Lerwick. Widziano go tam, jak wręczał je pasażerom schodzącym ze statku wycieczkowego.

- Ale przecież to nieznajomy. Skąd pomyśl, żeby wszystko nam popsuć?

- Dla ciebie nieznajomy. Ale jesteś pewna, że Bella go nie zna?

- Jeśli zna, to niczym się nie zdradziła.

- Narobiła sobie jakichś wrogów? Może w branży?

- Daj spokój, Jimmy. To śmieszne. Myślisz, że jakiś artysta, którego ewentualnie uraziła, aż tak zawracałby sobie głowę tylko po to, żeby jej zrobić na złość?

- Często zraza ludzi?

Fran ostrożnie dobierała słowa.

- Niezbyt dyplomatycznie wyraża swoje opinie.

- To znaczy?

- Jeśli nie podoba jej się czyjaś praca, wali prosto z mostu. I to każdemu bez wyjątku. Nie przejmuje się.

- Zdenerwowała kogoś szczególnie?

- Hmm... ostatnio chyba nie. W każdym razie nie profesjonalistę.

- Więc kogo?

Gdy nie odpowiadała, wziął ją za rękę.

- Posłuchaj, i tak się dowiem. Przecież wiesz, że sekrety długo się tu nie uchowają.

Już miała na końcu języka, że Duncan dość skutecznie utrzymywał swój romans w sekrecie, ale to nie tak. Ona o niczym nie wiedziała, ale wyspiarze owszem. Oczywiście rozstanie było przez to jeszcze bardziej upokarzające.

- Słuchaj - powtórzył. - Chodzi o morderstwo. Lojalność wobec przyjaciółki nie powinna tu odgrywać roli.

- Nigdy nie myślałam o Belli jako o przyjaciółce. To brzmi okropnie impertynencko. Jakby ktoś stwierdził, że Albert Einstein to świetny kumpel! Przecież ona jest wielką gwiazdą.

- Byłaby zachwycona, gdyby cię teraz słyszała.

Fran pomyślała, że Jimmy zna Bellę lepiej niż ona. Od samego początku wiedziała, że i tak mu powie, więc nie opierała się dłużej.

- Wspominałam ci, że prowadzę zajęcia ze sztuki dla dorosłych. Od Bożego Narodzenia. Niektóre grupy są naprawdę dobre. Wszyscy lubią te lekcje. Postanowiliśmy urządzić letnią wystawę. Tak sobie wymyśliłam, dla urozmaicenia. Żeby rodziny i przyjaciele mieli okazję zobaczyć, nad czym pracowała grupa. Wystawa odbyła się w ratuszu w Sandwick i żeby ją uczcić, urządziliśmy ucztę. Zaprosiłam też Bellę, żeby oceniła prace i dała kilka rad moim uczniom. Niestety, popełniłam błąd. Nie wykazała się taktem.

- Co się stało?

- Oglądała po kolei prace i wyrażała swoją opinię. Wydała mi się zbyt surowa. Oczekiwałam, że wskaże, co i jak można

poprawić, zachęci ich do pracy. Nie sądziłam, że będzie się wyżywać. Czułam się okropnie.

- Zalażła komuś szczególnie za skórę?

- Była taka jedna praca. Akwarela. Może nie do końca w moim guście, ale wcale nie taka zła. Pejzaż. Delikatny i szczegółowy. Belli strasznie się nie spodobała. Powiedziała, że malunek jest okropnie mdły. „Mdły i wstrętny”. Lepiej, żeby artystka dała sobie spokój. Brak jej zmysłu artystycznego. Brak odwagi. Piekliła się na całego. Strasznie zenujące.

- Kto namalował tę akwarełę?

- Nauczycielka z Middleton. Dawn Williamson.

Fran zauważyła, że przez twarz Pereza przemknął cień zainteresowania. Milczał. Pewnie zastanawia się, ile mi powiedzieć, pomyślała.

- To żona Martina Williamsona - odezwał się w końcu.

- Szefa kuchni w Herring House?

- Tak, mieszkają w Biddista. Może to tylko zbieg okoliczności. Bella jest szefem Martina. Myślisz, że Dawn mogła zaatakować z zemsty?

- Wykluczone. Obrazy były niepodpisane. Skąd by wiedziała? - Ale zaraz pomyślała, że w takim miejscu ludzie wiedzą prawie wszystko. Wieści rozprzestrzeniały się niemal w czarodziejski sposób.

- Jak Dawn zareagowała na krytykę?

- Oczywiście zrobiło jej się przykro. Każdy źle by zniósł takie upokorzenie. Ale zachowała się godnie. Nie odcięła się ani nie odgrażała. Okropnie się tylko zaczerwieńiła i podziękowała Belli za czas poświęcony jej pracy.

- Więc Bella poznała autorkę?

- Tak. Dawn ostentacyjnie wstała i oświadczyła, że to jej praca.

- Czy Bella wydawała się zaskoczona? Speszona tym, że skrytykowała sąsiadkę i żonę swojego pracownika?

- Nie. Nie bardzo wiem, co sobie pomyślała. Wiesz, jaka ona jest. Raptem przeobraziła się w wielką artystkę. Powiedziała, że ma kolejne spotkanie. Jej agent przyjechał z Londynu. Musi pędzić. Pewnie chciała w ten sposób zatuszować swoją gafę.

- Kiedy to się wydarzyło?

- Dziesięć dni temu.

- Miałaś od tego czasu lekcje?

- Nie, w tym tygodniu sobie odpuściłam z powodu wystawy. - Wolno popijała wino. Siedzieli teraz w cieniu. Krajobraz był miękki, lekko rozmazany. Jak na przesłodzonym zdjęciu do babskiego czasopisma. Bez kantów. Pewnie przez wino. - Dawn mnie chyba lubi - podjęła. - To znaczy, zdawała sobie sprawę, jak ważna jest dla mnie ta wystawa. Bardziej niż dla Belli. Cała moja klasa o tym wiedziała. Nie sądzę, żeby chciała mi popsuć wernisaż, nawet jeśli wkurzyła się na Belle.

Nie odpowiadał. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie zasnął na siedząco. Wtedy nagle się odezwał:

- Wejdziemy do środka?
- Przepraszam. Chłodno ci tutaj?
- Nie. Siedzimy za bardzo na widoku. W taką noc jak dziś nikt nie śpi.

- Wszyscy wiedzą, że jesteście przyjaciółmi.
- Myślałem, że czymś więcej. - Wyjął kieliszek z ręki Fran i zaprowadził ją do domu.

Zachowywał się bardzo cicho i niemal denerwująco powściągliwie. Poprzednim razem było zupełnie inaczej. Mieli wtedy cały dom dla siebie i szaleli jak rozbrykane dzieciaki. Teraz pytał co chwilę: „Tak dobrze?”, „Na pewno ci to odpowiada?”. Zaciągnęła zasłony, chociaż latem na wyspie nikt nie zasłaniał okien w salonie. Każdy, kto przejeżdżałby drogą i zobaczył samochód Pereza, od razu by się domyślił, co robią. Wiedziała, że Perez jest ostrożny ze względu na dziecko, ale wolałaby, żeby to na niej się skupił, żeby się nią zachłysnął i przestał być taki racjonalny. Poza tym owcze skóry rzucone na podłogę z kanapy i bujanego fotela okazały się nie takie miękkie, na jakie wyglądały. Na łóżku dużo wygodniej.

Ale potem uznała, że było jej bardzo dobrze. Dziwne, pomyślała. Umysły wciąż płatają nam figle.

Nalała sobie jeszcze wina i patrzyła, jak Jimmy się ubiera. Chciała podzielić się z nim swoimi wrażeniami, ale wyczuła, że on nie należy do facetów, którzy lubią roztrząsać po fakcie te sprawy. Nagle uświadomił sobie jej spojrzenie, bo przerwał, z jedną nogą w spodniach, przygarbiony, i uśmiechnął się szeroko.

Żałowała, że nie ma przy sobie aparatu, ale i tak wiedziała, że ten widok zostanie z nią na zawsze.

Minęła jedenasta. Rozsunęła zasłony. Było wciąż na tyle jasno, żeby dostrzec kolory, daleki horyzont i zarys Raven Head.

I wielki kontenerowiec w drodze na południe. Zrobiła kawę, chociaż głowę miała teraz świeższą niż przez cały dzień. Zupełnie jakby przed chwilą się obudziła.

- Myślisz, że Dawn wynajęła kogoś, żeby nam popsuć wystawę? Nie, zbyt skomplikowane. Zupełnie do niej niepodobne. To praktyczna kobieta z Yorkshire.

- Nie wiem. - Nie miał teraz ochoty rozmawiać o pracy.

- A nawet gdyby, co to ma wspólnego z morderstwem? Chcesz powiedzieć, że Bella się o wszystkim dowiedziała, uduśliła tego faceta i powiesiła, żeby dać mu nauczkę? Śmieszne.

Milczał.

- Oczywiście, równie dobrze to ja mogłam to zrobić - drażniła się z nim. - Jeśli odkryłam te ulotki. To była moja pierwsza większa wystawa. Miałam więcej do stracenia niż Bella.

Przerwała. Nie spodziewała się odpowiedzi.

- Oczywiście, że to nie ty - odparł lekko. - Byłem z tobą cały wieczór. - Podeszedł i położył ręce na ramionach Fran, przyciągnął ją do siebie i pocałował w czoło. - Na zawsze go zapamiętam. Nie z powodu morderstwa. To sprawa zawodowa i pewnie nawet okaże się ciekawa, jednak nic ponadto. Ale zostanie mi w pamięci dlatego, że po nim spędziliśmy pierwszą wspólną noc.

Oplukał kubek pod kranem i starannie ustawił na ociekaczu. Stała pod drzwiami i obserwowała, jak idzie do samochodu. Romantyczny głuptas, pomyślała. A potem: Więc jednak traktuje mnie poważnie. Trochę się tego bała. Patrzyła zamyślona na Raven Head, póki Perez nie odjechał.

ROZDZIAŁ 19

Perez zjawił się w szkole w Middleton o ósmej piętnaście. Uznał, że o tej porze powinien już zastać Dawn, a dzieci pewnie jeszcze nie przyjechały. Nie chciał rozmawiać z nią w Biddista, w obecności Martina, choć nie bardzo wiedział dlaczego. Może dlatego, że Martin próbowałby nadać rozmowie lekki ton, nie dopuścić do poważnej dyskusji. Perez znał nauczycielkę z widzenia, ale nigdy z nią nie rozmawiał. W czasach, gdy utonął ojciec Martina, nie należała jeszcze do rodziny.

Budynek był niski i nowoczesny, z boiskiem do gry w piłkę nożną z jednej strony i placem zabaw z drugiej. Stał nad wąską zatoką. Wiała lekka bryza i woda marszczyła się drobnymi falami. Tu uczyły się dzieci z domów rozrzuconych po okolicznych wzgórzach i z nadmorskich osad. Jak wszystkie placówki oświaty na Szetlandach, tak i szkoła w Middleton była zadbana i doskonale wyposażona. Roboty przy złożach ropy niosły ze sobą różne problemy, ale istniały też dobre strony. Rada Szetlandów wynegocjowała z przedsiębiorstwami wysokie opłaty za wydobycie, a dochód przeznaczono na projekty społeczne.

Na dziedzińcu stały już samochody i otworzono drzwi wejściowe. W sekretariacie nikogo nie zastał, więc przeszedł korytarzem do klasy, gdzie młody brodacznik pisał coś na tablicy.

- Szukam pani Williamson. - Perez przystanął w progu. Chociaż szkoła była nieporównanie większa od tej na Fair Isle, w której się uczył, pachniała podobnie.

- Jest pan ojcem? - spytał mężczyzna uprzejmie, ale raczej nie przyjaźnie.

Perez zastanawiał się, czemu w szkołach zawsze czuje się nieswojo. Może jak wszyscy dorośli. Za duzi i niepasujący do miejsca urządzonego z myślą o dzieciach. Podejrzał, że jego środowisko pracy pewnie też peszy osoby z zewnątrz. Potem pomyślał, że chętnie zostałby ojcem. Od dawna tego pragnął. Nie miałby nic przeciw temu, żeby chodzić na wywiadówki,

wieczorki z rodzicami i bożonarodzeniowe jasełka.

Mężczyzna odwrócił się od tablicy i czekał na odpowiedź.

- Nie - odparł Perez. - Nie jestem. - Rozważał, jak wyjaśnić swoją obecność, żeby nie narobić Dawn kłopotów, gdy usłyszał za sobą kroki na korytarzu i zobaczył, że żona Martina właśnie idzie w ich stronę, z kubkiem pachnącej ziołami herbaty. Była trochę starsza od męża, tuż po trzydziestce, miała kręcone rude włosy i szerokie usta. - Pani Williamson. Możemy zamienić kilka słów? Zajmę tylko chwilę. - Nie umiał stwierdzić, czy go rozpoznała. Może też wzięła go za rodzica. Zaprowadziła go do klasy; usiadł na ławce i przez chwilę czuł się jak urwis, bo za jego szkolnych czasów siadanie na ławkach było surowo zabronione. - Jimmy Perez - przedstawił się. - Prowadzę dochodzenie w sprawie śmierci mężczyzny z szopy w Biddista.

Skinęła głową, jakby na znak, że wie, kim on jest.

- Chodzi o tę maskę Alice? Aggie przekazała mi, że pan o nią pytał. Może powinnam wcześniej się z panem skontaktować, zaoszczędziłabym panu jazdy tutaj, bo niewiele mam do powiedzenia. Czy to coś ważnego?

Czemu miałby nie wyjaśnić?

- Uważamy, że popełniono morderstwo. Ofiara miała maskę, taką samą jak Alice. Może dzięki temu uda nam się zidentyfikować mężczyznę. - Zauważył, że nią wstrząsnął. Nagle bardzo pobladła. - Pamięta pani, skąd Alice wzięła maskę?

- Kupiłam ją na herbatce w Middleton.

Niedzielne herbatki stały się na Szetlandach już niemal tradycją, choć Perez nie przypominał sobie niczego podobnego ze swoich chłopięcych czasów. Wtedy niedziela była po prostu dniem przeznaczonym dla Kościoła i rodziny. Teraz w letnie niedzielne popołudnia szetlandzkie panie urządzały w najbliższym klubie podwieczorki z herbatą i domowymi ciasteczkami. Tam można było też kupić rośliny, sprzedać albo wymienić różne rzeczy, spotkać się z przyjaciółmi i poplotkować, a przy okazji zbierano fundusze na pozytywne cele.

- Pamięta pani, kto je sprzedawał?

- Jakaś nieznajoma. Pewnie kupiła tanio na południu, bo miała ich do wyboru, do koloru. Głównie maski zwierząt, ale też kłownów. Próbowałam przekonać Alice, żeby wybrała kota, ale uparła się przy tej.

- Czy był tam jeszcze ktoś z Biddista?

- Nie, pojechałyśmy same. Zwykle wybiera się z nami Aggie, ale nie czuła się dobrze. Martin pracował w Herring House. Miło było spędzić trochę czasu tylko z Alice.

- Pewnie nie najłatwiej się żyje z teściową pod bokiem. - Perez dobrze pamiętał matkę Sarah, budzącą respekt kobietę, która prowadziła Instytut Kobiet i zdobywała nagrody hodowcy na wystawach spanieli. Znow zaczął się zastanawiać, jak Fran ułożyłyby się stosunki z jego matką. Sarah uważała teściową za niekonwencjonalną i trochę się jej bała. Ale Fran może ją polubi.

Dawn uśmiechnęła się lekko.

- Powinam być jej wdzięczna. Nie wróciłabym do pracy na pełen etat, gdyby nie zaoferowała pomocy przy Alice. Ale życie rodzinie nigdy nie jest usłane samymi różami, prawda? Aggie uważa, że zachowuję się apodyktycznie i że powinnam być lepszą żoną dla jej syna. Nigdy tego nie powiedziała, ale wiem, że tak myśli. Martin zbywa to śmiechem. Nie widzi problemu. Ja na ogół też nie, ale cieszyłam się z tej wyprawy z Alice do Middleton.

- Spotkała pani na herbatce jakichś znajomych?

- Kilka rodzin ze szkoły. Ale nikogo z Biddista. Choć to nie znaczy, że nie przyjechali później. My zjawiłyśmy się wcześniej, na samym początku, i nie zabawiłyśmy długo.

Na dziedzińcu szkoły zaczęły pojawiać się dzieci. Perez patrzył przez okno na dwóch goniących się chłopców, łapali się za swetry i przewracali na ziemię. Czy wszystkie chłopiące zabawy zawsze muszą prowadzić do bójk?

- Jak trafiła pani na Szetlandy? - To pewnie nie ma nic do rzeczy, ale zawsze ciekawiło go, co sprowadza ludzi na wyspy.

- Studiowałam w West Yorkshire. Chciałam trochę lepiej poznać kraj. Gdy zobaczyłam ogłoszenie o pracy tutaj, pomyślałam: dlaczego nie? Tylko że planowałam zostać góra parę lat. Teraz wiem, że nigdy stąd nie wyjadę.

- Rozumiem, że z powodu Martina.

- Och... - Zaśmiała się. - Zakochałam się w wyspach, zanim oddałam serce Martinowi. Po przyjeździe wynajmowałam pokój w Scalloway. Aggie i Andy prowadzili tam wtedy hotel, a Martin pracował w barze. Bawił mnie. Zaczęliśmy się spotykać... Ledwo się obejrzałam, a zostałam mężatką z dzieckiem w drodze.

- Dobrze pani z tym.

- Podoba mi się to wszystko. Praca nauczycielki w takim miejscu jest... pewnym wyzwaniem, ale kiedy pomyślę o którejś ze szkół, gdzie miałam praktyki nauczycielskie, tu wydaje mi się bez porównania lepiej. A z kolei Martin sprawdza się jako szef kawiarni w Herring House. Bella daje mu wolną rękę.

- Jest pani z nią w dobrych stosunkach?

Wzruszyła ramionami.

- Obracamy się w innych kręgach. Bella lubi sprawiać wrażenie zżytej ze społecznością Biddista, ale większość czasu spędza gdzie indziej. Dorastały razem z Aggie, ale gdy zajdzie na pocztę, rozmawia z nią jak ze służącą. Protekcyjnalny ton Belli przyprawia mnie czasem o mdłości.

- Rozumiem, że nie jest zbyt taktowna.

Z jego tonu od razu wyczuła, co miał na myśli. Bystra kobieta. Nie trzeba jej wiele słów. Dzieci pewnie dużo wynoszą z jej lekcji.

- Domyślałam się, że słyszał pan, jak skrytykowała mnie przed całą klasą?

Miał nadzieję, że Dawn nie zapyta, od kogo ta informacja.

- W trakcie śledztwa różne rzeczy wychodzą na jaw.

- Zrobiła z siebie głupka. - Dawn odwróciła się do niego plecami i mówiła, pisząc na tablicy. Żałował, że nie widzi jej twarzy i nie może obserwować reakcji. - To była wystawa amatorów. Zabawa. A Bella potraktowała ją śmiertelnie poważnie.

- A pani zdaniem, dlaczego tak się zachowała?

- Bóg jeden wie. Może nie jest taka pewna siebie, za jaką stara się uchodzić, i naszym kosztem zabawiła się w wielką artystkę. Bez sensu. Dobrze wiemy, że nie możemy się z nią równać.

- Poznała, że to pani obraz?

Odłożyła marker i odwróciła się do Pereza.

- Jestem pewna, że tak. Szkic zrobiłam któregoś wieczoru na wzgórzach, gdy Alice poszła już spać. Nagle stanęła za moimi plecami i zajrzała mi przez ramię.

- Coś powiedziała?

- Właściwie nie. Rzuciła tylko jakąś upokarzającą uwagę, jak to dobrze mieć hobby i odskocznnię od domowych obowiązków. - Dawn umilkła. - Wiem, że to brzmi głupio, ale czasami się zastanawiam, czy ona mi nie zazdrości. Mam rodzinę. Nawet z teściową jestem na ogół w niezłych stosunkach. Bella musi czuć się samotna na plebanii. - Zawahała się. - Nikomu

jeszcze o tym nie mówiłam, ale parę tygodni temu dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Strasznie się cieszę. Od dłuższego czasu staraliśmy się o dziecko. Więc tak naprawdę Bella nie mogła mnie zdenerwować tą wredną dziecinną krytyką.

- Gratulacje. - Sarah też była w ciąży. A Perez w siódmym niebie. A potem poroniła i nastąpił koniec świata. Ich świata. I początek końca małżeństwa.

- Dziękuję. - Nie umiała powstrzymać szerokiego uśmiechu.

- Myśli pani, że Roddy zastępuje Belli dziecko?

- Może. Ale nie bardzo ma z czego być dumna, prawda?

- Mnóstwo ludzi uważa inaczej.

- Jest świetnym muzykiem - przyznała. - I potrafi zaczerpnąć publiczność. Słuchając jego gry, łatwo można się nabrać.

- Zdenerwował panią czymś konkretnym?

- Niczym takim. Jeśli pominąć upijanie mojego męża za każdym razem, gdy tu przyjeżdża. Ostatnio Martin spóźnił się przez to na przyjęcie urodzinowe Alice.

Perez chciał zapytać, czy to jednak nie wina Martina. Przecież Roddy Sinclair go nie wiąże i nie wlewa mu alkoholu do gardła - ale czuł respekt przed Dawn Middleton. Pewnie dlatego, że jest w ciąży, pomyślał. I że nie przejęła się wybuchem Belli. Poza tym, co to ma wspólnego ze śledztwem? Zadzwoił dzwonek. Dzieci wbiegły do szkoły i ustawiły się pod drzwiami klasy w gwarnej kolejce.

- Przepraszam - powiedziała. - Chyba nie bardzo panu pomogłam.

- To ja przepraszam, że przeszkadzam w pracy.

Widocznie dała dzieciom znak, bo zaczęły wchodzić i zablokowały drzwi. Musiał poczekać, aż usiądą w ławkach. Podali sobie z Dawn ręce.

- Proszę serdecznie pozdrowić ode mnie Fran - rzuciła na pożegnanie. - Jest fantastyczną nauczycielką. Bardzo podobała mi się jej wystawa.

Ciekawe, co wiedziała o ich przyjaźni. Co Fran jej powiedziała?

- Była pani na otwarciu? - Tego sobie nie przypominał.

- Zajrzałam, zanim zeszli się goście.

- Widziała pani mężczyznę, którego potem znaleźliśmy w szopie?

- A skąd mam to wiedzieć?

Dzieci zaczynały się niecierpliwić. Czekwały na sprawdzenie obecności i lekcję.

Może dlatego Dawn odpowiedziała trochę szorstko. Chciała, żeby już sobie poszedł.

- To ten, który się rozplakał.

- Musiałam wyjść wcześniej. - Podeszła do biurka i wyjęła z szuflady dziennik, otworzyła go i wzięła pióro do ręki. - Nie widziałam tego.

- Jeśli pani wyszła do domu, mogła pani widzieć jego przyjazd. Ogolona głowa, ubrany na czarno. - Położył dłoń na klamce, dając znać, że już sobie idzie, i specjalnie powiedział to niezbyt wyraźnie, jakby mu się śpieszyło. Żeby wiedziała, że odpowiedź na to ostatnie pytanie zabierze jej tylko chwilkę.

Zamarła, jakby się wahała, czy wyczytywać nazwiska dzieci, czy dalej z nim rozmawiać.

- Tak. Chyba tak. Wysiadał z samochodu.

- Prowadził?

- Nie. Ktoś go podrzucił.

- Poznała pani kto?

Pokręciła głową.

- Jakiś młody człowiek. Starym, zdezelowanym autem. Nie widziałam numeru rejestracyjnego, a na markach się nie znam. Chyba biały. Ale cały ubłocony. - Zauważyła, że chce zadać kolejne pytania, ale ucięła krótko: - Przykro mi, naprawdę nie mam nic więcej do dodania. I muszę zacząć lekcję.

Już z korytarza patrzył na nią przez chwilę. Wyczytując nazwiska, uśmiechała się do uczniów. Pod innymi klasami też zbierały się grupki. Brodacz grał na pianinie. Gdy Perez wsiadał do samochodu, usłyszał, jak śpiewają piosenkę.

Wrócił do Biddista. Wczoraj wieczorem Taylor wysłał krajowej prasie szkic twarzy zamordowanego. Powiedział, że bez identyfikacji nie posuną się naprzód. Perez odebrał jego uwagę jako zarzut niekompetencji. Powinien się skupić na ustalaniu tożsamości ofiary, a tak zmarnował dwa dni, pijąc herbatkę w kuchniach gospodarzy. Ale Taylor też chciał poznać mieszkańców.

Jechał na zachód, nie pod słońce, więc dobrze mu się prowadziło. Całe szczęście, że miał co rzucić Taylorowi na pożarcie. Ktoś podwiózł ofiarę zdezelowanym białym samochodem. Zagoni Sandy'ego do poszukiwań. Do wieczora dowie się, czyj to wóz.

Wjechał na małe wzniesienie i zobaczył główną drogę wiodącą z południa, a za nią Biddista. Stąd widział wszystkie domy. Trzy małe przy molo, plebanię i Skoles. Wiedział już o tych ludziach więcej niż o swoich sąsiadach. Nagle uświadomił sobie, że nie rozmawiał jeszcze z Edith, żoną Kenny'ego. Gdy znaleziono ciało, była w pracy, i dziś też pewnie jest. Kolejna rzecz, o którą Taylor może się czepiać.

ROZDZIAŁ 20

Martha zajmowała lokal nad samoobsługową pralnią w zielonej dzielnicy podmiejskiej Huddersfield, niedaleko Royal Hospital. Od czasu ukończenia uniwersytetu mieszkała sama i nawet to lubiła, ale teraz żałowała, że nie ma przy sobie nikogo, z kim mogłaby się podzielić zmartwieniami. Kogoś, kto by jej dodał otuchy i razem z nią obdzwaniał posterunki policji i szpitale. Już piątek, a wciąż żadnych wiadomości od Jeremy'ego. Dziś ostatni dzień prób. Wieczorem - albo po południu, jeśli wszystko pójdzie szybko - obsada rozjedzie się do domów na weekendową przerwę, a w poniedziałek objazd.

Jeszcze nigdy nie zaczęli przedstawień bez Jeremy'ego. To on zawsze nadzorował próbę generalną i wprowadzał ostatnie poprawki. Nawet aktorzy już komentowali jego nieobecność. Jednym z członków zespołu była Liz, aktorka na stałym kontrakcie. Pracowała z nimi dla zabawy i żeby zarobić na drobne wydatki. Dzieci wyjechały na studia, a mąż zanudzał ją na śmierć. Martha domyślała się, że dzięki tej pracy Liz czuje się młoda i wolna. Ona też zadawała pytania.

- Gdzie, do licha, podziewa się Jeremy, kochanie? Czyżby nie zamierzał nam zapłacić, jak sądzisz?

Pieniądze stanowiły kolejny problem. Jeremy zostawił kilkakaset funtów w gotówce na pilne wydatki, ale - biorąc pod uwagę koszty paliwa do furgonetki i utrzymania trupy w trasie - na długo nie wystarczą.

Martha wsiadła do pociągu linii Penistone z Huddersfield do Denby Dale. Miała samochód, ale w dni pracy starała się z niego nie korzystać: należało się liczyć ze smutną możliwością, że auto popsuje się w drodze do domu. Pociąg jechał doliną porośniętą lasem. Stacyjki udekorowano wiszącymi koszami jaskrawych kwiatów. Liz czekała już pod drzwiami Interact. Weszła za Marthą do biura.

- Czy ty coś przed nami ukrywasz, skarbie? Chyba Jeremy

nie dał dyla? W sumie nie byłby to pierwszy raz.

- Co masz na myśli?

- Z tego, co wiem, w młodości prowadził się całkiem przyzwoicie. Żona, dziecko. A potem stuknęło mu dwadzieścia parę lat i któregoś ranka zostawił rodzinę, żeby spróbować szczęścia w teatrze. Zniknął bez słowa. Wstąpił do amatorskiej grupy teatralnej i złapał bakcyła. Od zawsze twierdzą, że tym teatrzykom powinno się przyjrzeć ministerstwo zdrowia.

- Kiedy to było? - W domu Jeremy'ego Martha nie znalazła śladu rodzinnego życia. Nawet jednego zdjęcia. Chyba że jego żoną jest tamta kobieta z plaży. Przecież powinien trzymać zdjęcie własnego dziecka, prawda? Cholerni aktorzy. To zapewne kolejna bajeczka Liz. Sami kłamcy i zmyślacze.

- Och, wieki temu - odparła Liz nonszalancko. Sądząc z tonu, posiadała bardzo wyrywkowe informacje. - Prawie nikt o tym nie wie. W ogóle nie widuje się z rodziną. Nawet z dzieckiem, pewnie już dorosłym. Kto wie, może Jeremy jest dziadkiem. Przerażająca myśl.

- Nigdy słowem nie wspomniał, że...

- Nikomu o tym nie mówi, chyba że upije się na smutno i wtedy wszystko z niego wychodzi. Albo prawie wszystko. - Liz oparła się o drzwi. - Jak sądzisz? Znowu nie wytrzymał stresu? Związał, żeby gdzieś tam zacząć na nowo?

- Jasne, że nie. Tu ma dom. To niemal cały jego majątek. Nie wyjechałby ot tak.

- Nie zdziwiłabym się, gdyby chałupa była obciążona hipoteką po sam dach - stwierdziła Liz.

- Nonsens - odparła pewnym głosem, wbrew temu, co czuła. Widziała księgi. Wie, ile gotowe są zapłacić szkoły, żeby zdobyć kilka punktów na wypadek wizyty inspektorów z Ofsted, ale aktorzy, biuro i mikrobus kosztowały swoje. - To dochodowy interes. A Jeremy lubi pieniądze. Na pewno wróci.

Po południu, kiedy wszyscy sobie poszli, siedziała w biurze sama. Cały dzień odpierała pytania aktorów, nawet dawała niejasno do zrozumienia, iż Jeremy przesłał jej wiadomość, że załatwia kontrakty i z początkiem przyszłego tygodnia wróci z planami nowego projektu. Liz nie wierzyła w ani jedno słowo, ale się nie odzywała, a pozostali dali się oszukać.

Teraz Martha poczuła się wykończona tym robieniem dobrej miny. Podniosła słuchawkę - tylko rozmowy służbowe, zgodnie

z instrukcjami Jeremy'ego, ale gdzie on jest, u licha - i zadzwoniła do swej najlepszej kumpelki Kate.

- Nie napiłabyś się ze mną czegoś na mieście? Za nim w barach robi się tłoczno, zaraz po pracy?

Kate była reporterką, teraz na praktyce w „Huddersfield Examiner”. Lubiła plotki. Może nikogo więcej nie obchodzi zniknięcie podstarzałego aktora, ale Kate na pewno wysłucha jej żalów. Może zrobi mi się lepiej, gdy się przed kimś wygada, pomyślała. Poza tym to piątkowy wieczór.

- Widziałas dzisiaj gazety? - Kate miała ambicje wychodzące poza lokalny dziennik w West Yorkshire. Kupowała renomowane gazety i codziennie je studiowała.

- Nie. - Byłam za bardzo zajęta popychaniem tego cholernego przedstawienia do przodu, uzaliła się nad sobą w duchu Martha.

- Próbują zidentyfikować jakiegoś faceta. Znaleźli ciało gdzieś na północy. „Podejrzane okoliczności”. To oznacza morderstwo. Dali szkic. Wygląda zupełnie jak twój szef.

W jej głosie zabrzmiało rozbawienie. Jakby chciała powiedzieć: „Dziwne, co nie?”. Choć wcale nie sądziła, że to naprawdę Jeremy. Martha zaniemówiła, ledwie mogła oddychać.

Kate wyczuła, że coś jest nie tak.

- Martha, o co chodzi?

- Mój szef, Jeremy. Zniknął.

- O rany! Zaczekaj na mnie. Już do ciebie jadę.

Martha wiedziała, że koleżanka nie śpieszy się, by ją wesprzeć. Kate po prostu na kilometr wyczuła ciekawą historię i chciała pierwsza ją usłyszeć.

ROZDZIAŁ 21

Ospały sposób prowadzenia śledztwa zalazł w końcu Royowi Taylorowi za skórę i zaczął go świerzbic. Tyle jest do zrobienia, a ci faceci tutaj zachowują się, jakby mieli do dyspozycji całą wieczność. U siebie wrzasnąłby, pogonił ich i zaraz wzięliby się do roboty. A on od razu lepiej by się poczuł, gdyby spuścił trochę pary. Ale tu musiał się pilnować, a to wzmagało napięcie i zniecierpliwienie.

Do Biddista przyjechał na kwadrans przed umówionym spotkaniem z Perezem, ale i tak drażniło go, że musi czekać. Na molo usunięto już policyjną taśmę i każdy, kto chciał się wybrać na ryby, mógł korzystać z szopy. Dla Taylora łowienie byłoby torturą. Siedzieć na morzu w małej łódeczce. Nie móc się poruszyć. O razu po odbiciu od brzegu dostałby mdłości. Nie zniósłby tego spokoju. Prędzej dałby w końcu nura w wodę, żeby tylko coś robić. Nagle uświadomił sobie, że obok zatrzymał się samochód Pereza. Pięć minut przed czasem. Przez ułamek sekundy czuł się zawiedziony; wołałby mieć za co krytykować inspektora. Choćby tylko w myśli, bo musiał być w stosunku do Pereza uprzejmy aż do bólu.

Przysiedli na chwilę na murku biegnącym wzdłuż drogi.

- Masz coś dla mnie? - spytał Taylor z przewrotną nadzieją, że usłyszy odpowiedź przeczącą. Kontakty z innymi stanowiły dla niego zawsze okazję do konkurencji. Lubił wygrywać, nawet teraz, kiedy dla dobra śledztwa wskazana była współpraca. Przy poprzednim dochodzeniu na Szetlandach to Perez został miejscowym bohaterem. Taylor za nic by się do tego nie przyznał, ale tamto zwycięstwo inspektora wciąż go bolało. Nie tak miała skończyć się sprawa. To do niego powinno należeć decydujące posunięcie, on powinien rozwikłać zagadkę śmierci dziewczyny. On, obcy, który przybył do miasteczka, żeby zrobić porządek, jak w westernach, które za chło-

piętych czasów oglądał w telewizji. Choć wiedział, że to żałosne i dziecinne wyobrażenia, nie umiał się przed nimi obronić. Fakt, że policja doceniła jego dokonania, był jakąś pociechą, ale nowa sprawa to nowe wyzwanie. Pragnął sukcesu za każdym razem.

- Parę rzeczy - odparł Perez.

- Wspaniale. - Taylor pokiwał głową na dowód zadowolenia. - Wspaniale.

- Jest świadek, który uważa, że chyba widział przyjazd ofiary. Kazałem Sandy'emu znaleźć kierowcę. Ta sama kobieta powiedziała też, że maska mogła być kupiona na niedzielnej herbatce w Middleton w zeszłym tygodniu.

- Niedzielnej herbatce?

Perez się zastanowił.

- Przypuszczam, że angielskim odpowiednikiem tutejszej herbatki będzie wiejska feta.

- Nieczęsto je miewamy w Liverpoolu. - Taylor już sam nie wiedział, gdzie czuje się bardziej obco: tu, na obmywanym przez morze końcu świata, czy na angielskiej wsi z plebanią, starymi pannami na rowerach i stawami. Tak naprawdę chyba nigdzie nie czuł się u siebie. Może powinien wrócić do Merseyside. Choćby tylko na długi weekend. Sprawdzić, jak tam mu będzie. Wciąż się wahał, czy warto rozważać przeprowadzkę na stałe. - Co planujesz na dzisiaj? - Musiał pytać. Cokolwiek sobie myśli o swoim szefowaniu, to gra Pereza, jego teren. Poza tym wszystko jedno, z kim spotkają się najpierw, byleby tylko coś się działo.

Perez zawahał się i Taylor podjął decyzję za niego. Trudno, nie mógł się powstrzymać.

- Przesłuchajmy tę artystkę. Bellę Sinclair. - Wszystko, co do tej pory usłyszał, umieszczało ją w centrum wydarzeń, tkwiła tam jak gruby pajak w sieci. Ofiara przed śmiercią była na jej przyjęciu. A wcześniej prowadziła dziwną kampanię, mającą zniechęcić ludzi do udziału w wernisażu. Taylor nie bardzo wierzył, że kobieta naprawdę nie знаła zmarłego. Popatrzył na Pereza. Oczekiwał odpowiedzi. A może aprobaty. Jak od swoich ludzi. „Świetny pomysł, szefie”. Ale kto wie, co naprawdę myśli Perez.

Szetlandczyk zerknął na zegarek i uśmiechnął się.

- Czemu nie? Pewnie już wstała. Za jakąś godzinkę można też chyba porozmawiać z chłopakiem.

Gdyby Taylor był sam, pojechałby samochodem, żeby jak najszybciej dostać się na miejsce. Ale Perez ruszył piechotą. Po drodze zaznajamiał go z sytuacją.

- Tu jest poczta i sklep. Prowadzi je Aggie Williamson. Panięskie nazwisko Watt, dorastała w Biddista. Jej syn Martin w wieczór wernisazu pracował w Herring House. To właśnie jego żona Dawn myśli, że widziała, jak ofiara wysiada z samochodu.

Taylor słuchał z przejęciem, próbując zapamiętać szczegóły. Musi je sobie wbić do głowy, jeśli chce jakoś ogarnąć to, co się tu działo. Później zrobi notatki, ale teraz trzeba się skupić, żeby zapamiętać informacje. Gracze w tej grze nagle zdali mu się bardziej realni. Powinien poznać tych ludzi lepiej niż własnych przyjaciół i rodzinę. Muszą stać się częścią jego życia. Perez miał przewagę, bo ich rozumiał.

Szetlandczyk ciągnął dalej.

- Ostatni dom wynajął angielski pisarz. Peter Wilding. Też był na przyjęciu. Rozmawiałem z nim. Twierdzi, że niczego szczególnego nie widział ani nie słyszał, choć ciągle wygląda przez okno. - Przerwał.

- Nie wierzysz mu? - zapytał Taylor.

- Nie wiem. Jest w tym gościu coś dziwnego. Może po prostu go nie lubię. Okropnie afektowany.

- A co pisze?

- Mówi, że fantasy.

- Powieści. - Taylor nie widział sensu w takiej literaturze. Sam czytywał tylko książki historyczne albo biograficzne. Lubiał mieć poczucie, że czegoś się uczy. Że nie marnuje czasu.

Kiedy przechodzili obok domu pisarza, podniósł głowę i dojrzał w oknie tors i twarz mężczyzny. Brunet, nawet przy stojnym, jeśli lubiło się ten typ szczupłych romantyków, siedział przy stojącym przy oknie biurku, ale nie patrzył za okno. Wydawał się pogrążony w pracy. Taylor zdał sobie sprawę, że Wilding ich nie zauważył. W takim razie niezbyt bystry z niego świadek. Zastanawiał się, czy Perez też to wychwycił, więc zerknął na niego ukradkiem. Ale inspektor patrzył w drugą stronę, na morze.

- To łódź Kenny'ego Thomsona - poinformował. - Na razie więc z nim nie pogadamy.

Taylor był pod wrażeniem domu Belli Sinclair. Co prawda, jak zwykle przy podobnych okazjach, próbował ignorować przepych i wygodę, wmawiał sobie, że nimi gardzi, ale w głębi duszy zazdrościł luksusów. Zachwyciła go przestrzeń, urzekły piękne widoki. Czasem przyłapywał się na oglądaniu telewizyjnych programów o urządzeniu domów. Nie tych zenujących, o zmianie wystroju w pięć minut za pomocą dekoracyjnych naklejek i innych szybkich sztuczek czy o samodzielnie skleconych meblach, które po paru dniach się rozpadną. Lubił filmy o wielkich projektach, restaurowanych francuskich zamkach, fabrykach albo magazynach przekształcanych w oszałamiające apartamenty. Jeśli kiedykolwiek wróci do Liverpoolu, chciałby zamieszkać w jednym z segmentów obok katedry. Owszem, kiedyś w Toxteth miały miejsce zamieszki, ale nawet wtedy był pod wrażeniem elegancji tamtej okolicy.

Inspektor zadzwonił do drzwi; czekali, aż ktoś im otworzy. Perez niedbale trzymał ręce w kieszeniach. Taylor wyprostował plecy. Nie zdziwiłby się, gdyby otworzyła służąca, ale gdy tylko w progu stanęła kobieta, od razu wiedział, że to właścicielka domu. Pasowała stylem.

- Jimmy, o co chodzi tym razem? - spytała. - Właśnie zabrałam się do pracy. - Miała na sobie dzinsy i luźną niebieską bluzkę pochłapaną farbami. Srebrny naszyjnik, srebrne kolczyki.

Perez nie odpowiedział wprost. Wyczuwało się, że jej nie lubi, choć był niezwykle uprzejmy.

- Poznaj Roya Taylora z Inverness - powiedział. - Jest szefem dochodzenia.

Popatrzyła na Taylora, unieruchamiając go spojrzeniem. Wpatrywała się w niego tak, jak dzieci gapią się na grubasa czy na kalekę - szczerym i jednocześnie zaciekawionym wzrokiem.

- Chodźcie do studia. Tam porozmawiamy, a ja zacznę się przygotowywać.

Studio mieściło się w jednej z narożnych sypialni, i wcale nie było olbrzymie i puste, jak sobie wyobrażał Taylor, ale raczej zagracone. Jedno okno wychodziło na wzgórze na północy, drugie na zachód i morze. Stała w nim wiktoriańska komoda sięgająca prawie do sufitu. W półotwartej szufladzie na dole leżała sterta białego papieru. O jedną ścianę opierała się złożona sztaluga, na drugiej umieszczono zlew ze stali nierdzewnej, który wyglądał na niedawny nabytek. Chociaż Bella czyniła teatralne

przygotowania do pracy, wyraźnie miała w głowie co innego. Chciała zrobić wrażenie, pokazać im, że marnują jej cenny czas, ale tak naprawdę nie mogła się doczekać, kiedy zdradzą, po co do niej przyszlizli.

- Jakies nowe wiadomości? - zagadnęła. - Wiemy już, kim jest ten biedak?

Jedynym miejscem do siedzenia było szetlandzkie krzesło zrobione z kawałka drewna wyrzuconego przez morze. W szufladzie pod siedzeniem wylegiwał się zwinięty w kłębek czarno-biały kot. Wszyscy więc stali i rozmowa się nie kleiła, zupełnie jakby spotkali się na ulicy, by zamienić w biegu dwa słowa i zaraz się rozejść.

- Sądźmy, że ofiara rozgłaszała wiadomość o odwołaniu wystawy - zaczął Taylor. - Trochę to dziwne jak na nieznanego.

Bella obdarzyła go tym samym zaciekawionym spojrzeniem.

- Już wyjaśniałam Jimmy'emu, że nie znam człowieka.

- Więc dlaczego to zrobił? - dociekał wytrwale Taylor. - Można by uznać, że żywił do pani urazę.

- Jeśli już, to nie sądzę, że do mnie.

- Co pani chce przez to powiedzieć?

- To nie była tylko moja wystawa. To wspólny projekt. Pracowałam z nową artystką, Fran Hunter. - Podczas rozmowy ostentacyjnie ani razu nie spojrzała na Perezę. Chciała, żeby Taylor to zauważył. - Fran jest Angielką - ciągnęła. - Nieznajomy chyba pochodził z Anglii. Bardziej prawdopodobne, że to ona go znała.

Na tę uwagę wtrącił się Perez.

- Czy Fran zdradziła cokolwiek, że poznaje tego mężczyznę?

- Nie wiem, czy w ogóle zwróciła na niego uwagę. Tak ją zaabsorbowała rozmowa z Peterem Wildingiem.

Zapadła cisza. Taylor nie rozumiał przyczyny skrepowania. Co Perez przed nim ukrywa?

- Kręci się tu gdzieś Roddy? - Perez zmienił temat. - Detektyw Taylor chciałby z nim pomówić.

- Roddy dziś wyjeżdża - odparła. - Wpadł na krótko. W przyszłym tygodniu leci do Australii.

- Będzie ci go brakowało. - Taylor nie wiedział, czy Perez mówi poważnie. Zabrzmiało to prawie tak, jakby z niej kpił.

Choć Perez wcale nie pytał, Bella odpowiedziała.

- Tak. Nie wiem, kiedy wróci. Z każdym kolejnym wyjazdem czuje się tutaj coraz bardziej obco. Może łatwiej mu być Szetlandczykiem z dala od wysp.

- Gdzie go znajdziemy?

- Pakował się, ale słyszałam, jak wychodzi. - Przerwała. - Poszukajcie go na cmentarzu. Czasami przed wyjazdem idzie pożegnać się z ojcem.

ROZDZIAŁ 22

Roddy'ego Sinclaira zastali tam, gdzie wskazała Bella. Cmentarz okazał się jeszcze bardziej ponury, niż zwykle bywają takie miejsca. Taylor pomyślał, że nie chciałby tutaj skończyć, ochładzany podczas wichrów słoną mgiełką i rozdziobowany przez morskie ptaki. Większość nagrobków - bardzo stara i zwietrzała - przypominała Taylorowi krzywe, połamane zęby. Roddy odszedł od grobu, przystanął przy niskim kamiennym murku i zapatrzył się w morze. Miał na sobie jaskrawo-żółtą sportową bluzę ze wzorem na plecach, który mógł pochodzić z okładki płyty. Taylor od razu rozpoznał chłopaka - proste, jasne włosy i uśmiech. Ciekawe, jak czuje się człowiek rozpoznawany wszędzie, gdziekolwiek się obróci?

Na plaży, dalej na północ, jakiś młody mężczyzna bawił się z dzieckiem, trzymał je za obie ręce i kręcił nim wokół siebie. Para była dość daleko, ale nawet stąd słyszeli ich śmiech. Perez rzucił cicho, że to Martin Williamson, kucharz z Herring House, i ta uwaga na chwilę rozproszyła Taylora. Kolejny podejrzany. Kolejne życie do zbadania. Zdawało się, że Roddy nie słyszy ich rozmowy. Stał zatopiony we wspomnieniach. Odwrócił się i spojrzał na detektywów dopiero, gdy Taylor powiedział:

- Przepraszam, że przeszkadzamy. - Uznał, że najstosowniejszy będzie łagodny ton.

Roddy'ego Sinclaira pierwszy raz zobaczył w telewizji. Skałał po kanałach, szukając piłki nożnej, i właśnie zamierzał znów zmienić program, gdy coś przykuło jego uwagę. Chłopak mówił tak, jakby się zwierzał, dlatego publiczność miała wrażenie, że muzyk zdradza swoje sekrety. Kilka miesięcy później znów widział go w telewizji. W filmie dokumentalnym. Taylor chciałby być gwiazdą. Podobała mu się ta ciągła uwaga, nadskakiwanie i luksusy. I mimowolnie ciągnęło go do sławnych ludzi, czuł też przed nimi trochę przesadny respekt.

- Inspektor Taylor - przedstawił go Perez - prowadzi śledztwo w sprawie mężczyzny, którego zabito na molo. Nie zajmujemy dużo czasu.

- Nie ma sprawy. - Młodzieniec się uśmiechnął. Taylorowi wydał się jeszcze chłopcem, znacznie młodszym, niżby wskazywał jego wiek. Niemal uczniakiem, za młodym na picie i na prawo jazdy. Może tym właśnie ujmował ludzi, którzy kupowali jego płyty. - Przychodzę tu czasami porozmawiać z tatą. Głupie, nie?

- Byliście sobie bliscy?

- Tak. Jestem jedynakiem. Może dlatego. Poza tym długo chorował. Nie mógł chodzić do pracy i przebywał w domu częściej niż matka. Dużo mi czytał. Graliśmy razem.

- Czym się zajmował?

- Był inżynierem. Pracował dla przedsiębiorstwa naftowego. Zanim wrócił na Szetlandy, trochę podróżował. Głównie po Bliskim Wschodzie. Lekarze uznali, że chyba tam nabawił się raka skóry. Bardzo jasna karnacja plus duża dawka słońca. Kiedy postawiono diagnozę, miał już przerzuty. Nastąpiła krótka poprawa, przez pewien czas wydawał się niemal zdrowy. Ten okres pamiętam jako wspaniałe, długie wakacje. Potem bardzo osłabi i wychudł. Ale i tak niemal do końca graliśmy razem.

Taylor chciałby podobnie myśleć o własnym ojcu, z czułością wspominając wspólne przedsięwzięcia. Znów spojrzął na parę na plaży. Odpływ wygładził piasek. Mężczyzna złożył czerwony latawiec i poderwał go w powietrze. Podał sznurek dziewczynce, po czym stanął za nią i pomagał sterować lotem.

- Martin to fantastyczny ojciec - zauważył Roddy. - Mam nadzieję, że też taki będę w odpowiednim czasie.

Taylor przypomniał sobie długonogą aktorkę. Czy mu się zdaje, czy opowiadano, że Roddy się z nią spotyka, a nawet się oświadczył? W brukowcu, który kupił na lotnisku w Aberdeen podczas czekania na opóźniony lot, zamieszczono ich zdjęcie. Oboje wyraźnie pijani wychodzili niepewnym krokiem z klubu nocnego. Trudno było wyobrazić ich sobie na Szetlandach, udających szczęśliwą rodzinę na smaganej wiatrem plaży.

Niewykluczone, że Roddy pomyślał o tym samym.

- Ale na razie nie planuję się ustatkować. Mój tata umarł młodo. Jeśli mnie też zamierzają wcześniej wezwać, chcę wziąć

z życia, ile się da. - Umilkł. - Cieszę się, że ojciec jest pochowany tutaj. W Biddista zawsze czułem się bardziej u siebie niż w swoim prawdziwym domu w Lerwick.

- Dużo spędzałeś tu czasu, zanim zamieszkałeś z Bellą? - Perez zadał to pytanie typowym dla siebie niepewnym tonem, jakby nie chciał się wtrącać, ale pchany ciekawością przeciężył skrupuły.

Taylor lekko się zirytował. Przecież to on prowadził przesłuchanie.

- Tak. Byłem niełatwym dzieckiem. Nadpobudliwym. Mało sypiałem. Mojej mamie musiało być trudno, zwłaszcza że zajmowała się ojcem. Więc większość weekendów i wakacji spędzałem u Belli. Bardzo to lubiłem. Zawsze coś się działo. Przyjeżdżali goście. Artyści. Muzycy. Może wtedy wpadłem w nałóg balowania. Traktowano mnie jak pępek świata, ciągle zabawiano. Pamiętam jednego faceta... fantastyczny magik. Urządził niesamowity występ, z królikami z kapelusza, karcianymi sztuczkami. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że chodziło o Bellę, nie o mnie. To jej chciano sprawić przyjemność. Ale wtedy to mnie bawiło. Poza tym cieszyłem się tu swobodą, jakiej nigdy nie miałem w mieście. Bella nie przejmowała się godzinami spania ani posiłków i na ogół robiłem, co chciałem.

- Po czymś takim prawdziwie życie musiało wydać ci się ciężkie - rzucił Perez.

- Tak. Pewnie przez resztę swoich dni będę próbował odnaleźć tamtą magię. - Roddy uśmiechnął się skromnie. - Na razie nic się z nią nie równa.

- Czy Bellę łączył z którymś z gości poważny związek?

- Tylko zdecydowanie niepoważne. Mogła z nimi sypiać, ale mnie o tym nic nie wiadomo.

- Często widzisz się z matką? - zapytał Perez.

- Teraz się dogadujemy. Dawniej byłem na nią bardzo zły. Miałem żal. Nie potrafiłem zrozumieć, jak mogła zainteresować się innym mężczyzną. Nadal mamy trochę na pieńku z jej nowym mężem, ale dla dobra mamy staramy się być dla siebie uprzejmi.

- Ten Anglik, który zginął... - wtrącił się Taylor. - Uważamy, że to on próbował zepsuć wystawę pańskiej ciotki. Domyśla się pan czemu?

- A czemu w ogóle ktoś miałby ochotę to zrobić?

- Pańska ciotka nie ma wrogów?

- Zastępy wzgardzonych kochanków - prychnął Roddy. - Bella zawsze przyciągała mężczyzn. Jak mówiłem, kiedyś w Biddista ciągle kręcili się faceci, którym zdawało się, że są w niej zadurzeni. Od pryszczatych studentów do poważnych intelektualistów w słusznym wieku. Uważałem to za bardzo zabawne. Dzieci uwielbiają, gdy dorośli robią z siebie palantów. Nawet teraz przyciąga różnych adoratorów. Pochlebia jej męska uwaga. Czasami myślę, że jest bardzo samotna, ale ona nigdy się z nikim nie zwiąże.

- Miała ostatnio jakiegoś wielbiciela?

- Nie wiem. Ale dość długo mnie tu nie było. Mogę nie być na bieżąco.

- O nikim nie wspominała?

- Że napastował ją łysy Anglik lubujący się w publicznym wylewaniu łez? Nie, inspektorze. A nawet gdyby, to nie musiałyby zabijać, żeby się go pozbyć. To asertywna kobieta. Umie sobie poradzić bez uciekania się do przemocy.

Wiatr na plaży nagle zmienił kierunek. Latawiec skręcił i dał nura w piasek. Dziewczynka rzuciła sznurek i pobiegła z wyciągniętymi ramionami w stronę latawca, naśladując jego zygzakowaty lot, zanim rąbnął w ziemię. Kenny Thomson skierował łódź do brzegu.

Roddy mówił dalej:

- Jeśli ta scena na przyjęciu miała sprawić Belli kłopot, raczej minęła się z celem. Wszyscy londyńscy przyjaciele ciotki się zjawili. Napiszą recenzje. Obrazy wrócą do galerii. Pusty gest. Nieudany. - Uśmiechnął się znowu. - Inspektor Perez oskarżył mnie, że to ja wpadłem na pomysł z ulotkami odwołującymi wernisaż, gdybym jednak chciał sabotować wystawę, zrobiłbym to dużo lepiej.

- Podobno planuje pan opuścić Szetlandy?

- Zamierzałem płynąć wieczornym promem, ale się rozmyśliłem. Trudno mi się pozbierać. Zacząłem się pakować, ale nagle wydało mi się to zbyt męczące i przyszedłem tutaj. Może jeszcze wyjadę. Wolę prom. Jeśli nie, to z samego rana polecę samolotem. Dzięki temu spędziłbym tu jeszcze jeden wieczór. Pożegnałbym się jak należy.

- Na południe wzywa pana coś pilnego?

- Oczywiście praca, ale myślę, że bardziej chodzi o to, że nic mnie tu nie trzyma.

Chłopak mówi jak pozbawiony złudzeń i zmęczony życiem

starzec, stwierdził w duchu Taylor. Roddy oparł się o murek i patrzył na nich, czekając na kolejne pytania. Taylorowi żadne nie przychodziło już do głowy.

- Jeśli to wszystko, pójdę się pakować. - Nie czekając na odpowiedź, Roddy przesmyknął się przez prze świt w murze i zbiegł trawiastym zboczem na plażę.

Patrzyli, jak biegnie powoli wzdłuż linii fal i dołącza do Williamsonów. Wziął dziewczynkę na barana i poszli razem w stronę domów.

- To ten. Tu jest pochowany ojciec Roddy'ego. - Perez podszedł do jednego z grobów.

Kamień nagrobny był mniej zniszczony niż inne. Bez trudu dało się odczytać napis: „Dla uczczenia pamięci Alexandra Iana Sinclaira. Umarł za młodo”.

Taylor pomyślał, że to samo można powiedzieć o Angliku leżącym na stole w kostnicy. Ale na razie wszystko wskazywało na to, że po nieznanym nikt nie rozpacza.

ROZDZIAŁ 23

Perez nie bardzo wiedział, co myśleć o rozmowie z Roddym Sinclairem. Przypominała mu gadkę z przestępcą, recydywistą, którego policja przesłuchiwała już tyle razy, że na pamięć wiedział, jak to rozegrać. Nieodłączną częścią życia Roddy'ego było zbywanie krępujących pytań mediów. Umiał wywołać odpowiednie wrażenie i trzymać się swojej wersji. Fran powiedziała, że kilka razy spotkała muzyka, a ma wrażenie, jakby wcale go nie знаła. Może chłopak dał się wciągnąć w świat iluzji i stracił poczucie własnej tożsamości. Perez żałował, że Taylor towarzyszył mu przy spotkaniu na cmentarzu. Odnosił wrażenie, że Roddy chciał coś powiedzieć, ale zniechęcił go uszczypliwy styl przyjezdnego detektywa.

- Idę porozmawiać z Edith Thomson - oznajmił Taylorowi, gdy schodzili do drogi, potem na molo, do samochodów. - Edith jest żoną Kenny'ego. Nie przyszła na przyjęcie do Herring House, ale siedziała tamtego wieczoru w domu. Może coś wiedziała. Poza tym od dawna zna Bellę.

- To ta, która pracuje w domu starców?

- W ośrodku opieki - sprostował Perez. - Spróbuję ją tam złapać. Chcesz się przyłączyć?

- Może lepiej, jak się rozdzielimy - odparł Taylor. - Zostanę tu, pokręcę się, zaznajomię z miejscem. Pogadam z Martinem Williamsonem.

Perez wyczuł w odmowie kolegi strach. Taylor pewnie boi się kontaktu ze starymi i niedołącznymi. Woli, by mu nie przypominać, że też jest śmiertelny. Perez ucieszył się, że zobaczy się z Edith sam na sam. Spotkał ją parę razy w towarzystwie Kenny'ego - to dumna i dostojna kobieta. Jej też może nie odpowiadać podejście Taylora.

Ośrodek opieki wybudowano specjalnie w tym celu - niski, nowoczesny klocek z wysokimi oknami, z których roztaczał się widok na zatokę i morze. Przed budynkiem, obok samochodów

personelu, stał mikrobus z podnośnikiem dla wózków inwalidzkich. Gdy Perez wszedł do środka, owionął go podmuch gorąca i nieodłączny zapach środka dezynfekującego oraz pasty do podłogi. A w tle zadziwiająco apetyczny aromat jedzenia. Dopiero dochodziła dwunasta, ale stoły w jadalni już nakryto do obiadu, a kobieta w nylonowym fartuszkunalewała wodę do kolorowych, plastikowych kubków. Podniosła na chwilę wzrok i uśmiechnęła się do niego. Po drugiej stronie od wejścia zobaczył świetlicę z wysokimi oknami. Na ustawionych pod ścianami krzesłach z wysokim oparciem siedzieli ludzie. Niektórzy chyba drzemali. Przy stole trzech mężczyzn grało w karty. Zdało mu się, że rozpoznaje Willy'ego Jamiesona, który kiedyś mieszkał w domu w Biddista, wynajmowanym teraz przez Petera Wildinga. Pomachał do niego, ale starzec popatrzył obojętnie.

- W czym mogę pomóc?

Odwrócił się i zobaczył Edith Thomson. W czarnych spodniach i niebieskiej bawełnianej bluzce wyglądała bardzo schludnie i profesjonalnie. Zrozumiał, że go nie poznaje. Głos miała uprzejmy, ale chłodny. Wyciągnął rękę.

- Jimmy Perez. Przyszedłem w sprawie morderstwa w Biddista.

- Oczywiście. Jimmy. - Trochę się odprężyła. To wizyta niezwiązana z pracą. Nie był krewnym ani pracownikiem opieki społecznej. - Morderstwo. Więc to już pewne?

- Traktujemy tę śmierć jako podejrzaną.

- Biedny Kenny - powiedziała. - Bardzo się zdenerwował, gdy znalazł ciało. A potem wbił sobie do głowy, że to może być Lawrence.

Najwyraźniej nie podzielała obaw męża. Perez wiedział, że Edith odpowie na pytania szybko i sprawnie, ale nigdy nie uważał, że bezpośrednie dążenie do celu jest szczególnie efektywne. Ludzie byli skłonni powiedzieć więcej, jeśli pozwalało im się swobodnie prowadzić rozmowę. Poza tym łatwiej wtedy zauważyć, co ich absorbuje, a jakich tematów wolą unikać.

- Ma pani interesującą pracę - zagadnął. - Co człowiek, to opowieść.

- Próbujemy je nagrywać. Taśmy zatrzymamy w muzeum. Życie na Szetlandach zmienia się tak szybko.

- Czy to nie Willy? Gdy mieszkał w Biddista i pracował przy budowie drogi, kłanialiśmy się sobie, ale chyba mnie nie

poznał.

- Ma swoje złe dni i wtedy nikogo nie poznaje - wyjaśniła.
- Też ma wiele do opowiedzenia, ale czasami strasznie wszystko płacze. Nie możemy się połapać w tych historiach i okropnie się wtedy irytuje. Alzheimer. Choroba postępuje bardzo szybko. Taka szkoda. Zawsze Był pełny życia, nawet kiedy już zgłosił się tutaj, nieźle sobie radził.

- Mogę z nim później porozmawiać?
- Oczywiście. Ucieszy się z towarzystwa.
- Ale wpierw chciałbym zadać kilka pytań pani.
- Nie ma sprawy. Zapraszam do biura. Kawy?

Gabinet okazał się równie schludny i dobrze zorganizowany jak ona. Bukowe biurko z komputerem - czyste i niezawalone papierami, wysoka szafka na dokumenty. Na ścianie plan upstrzony kolorowymi gwiazdkami. Ciekawe, jak im się układa z Kennym. Ma do niej żal o karierę, o całe dni spędzane poza domem? Pewnie zarabia więcej od niego. Próbuje go ustawiać jak swój personel? Na stoliku w kącie stał ekspres do kawy, dzbanek z pyreksu był do połowy napełniony gorącym napojem. Nalała mu kubek.

- Niech mi pani opowie o wieczorze, kiedy zginął ten mężczyzna - poprosił.

- Nie wiem, kiedy to dokładnie się stało. Dzień przed tym, gdy znalazł go Kenny?

- Przypuszczamy, że w wieczór, kiedy w Herring House odbywało się przyjęcie. A jeśli nie wtedy, to wczesnym rankiem następnego dnia.

- Nie mam nic do powiedzenia. Nie pomogę panu. Nie poszłam na wernisaż. - Usiadła za biurkiem z rękoma na kolanach. Niczego nie utrudniała, wykazywała zainteresowanie, ale nie przejawiała ożywienia, jakim większość ludzi reaguje na dochodzenie w sprawie morderstwa.

- Ale ma pani z domu dobry widok na plażę. Może widziała pani, jak ktoś opuszczał przyjęcie?

- Byłam w ogrodzie. Co roku planuję wyhodować dorodne warzywa, przychodzi jednak zachodni wiatr i sól wszystko rujnuje. Ale nie tracę nadziei, pielę rośliny i podlewam. Nie widać stamtąd Herring House. Później musiałam podgonić pracę. Mam biuro w dodatkowej sypialni. Gdybym całą papierkową robotą zajmowała się tutaj, nie miałabym ani chwili dla naszych pacjentów. Sypialnia jest na tyłach domu. Stamtąd widać tylko

wzgórze.

- Kenny'emu zdawało się, że ktoś biegnie ścieżką w stronę plebanii.

- To pewnie tak było. On nie z tych, co zmyślają. Chodził po wzgórzu. Miał stamtąd dobry widok.

- Dlaczego, pani zdaniem, Lawrence tak nagle wyjechał?

Nagła zmiana tematu zaskoczyła Edith. Lekko zmarszczyła brwi.

- Kenny powiedział, że zmarły to nie Lawrence.

- Wiem. Pytam z ciekawości. To takie dramatyczne. Wyjechać prawie bez słowa i wcale się nie kontaktować.

- Dramaty to jego specjalność. I wielkie gesty. A po jakimś czasie pewnie trudno było mu wrócić. Czułby się głupio.

- Domyśla się pani, dlaczego wyjechał?

- Kenny sądzi, że z powodu Belli - odparła. - Przypuszczam, że ma rację. Choć tacy jak Lawrence nie są skłonni się ustatkować. Poznał go pan?

Perez pokręcił głową.

- Lawrence i Bella mieli romans?

- Nie wiem na pewno. Była atrakcyjną kobietą. Trochę upartą, ale mężczyznom to nie przeszkadzało. Może Lawrence robił sobie nadzieje, a Bella go odtrąciła. Uwielbiała otaczać się wielbicielami. - Przerwała i spojrzała na Pereza z uśmiechem. - Chyba nadal to lubi.

Zastanowił się nad jej słowami.

- Czy Bella ma teraz jakiegoś adoratora?

Edith wzruszyła ramionami.

- Skąd mogę wiedzieć? Za wysokie progi.

- Coś by pani słyszała. - Perez w to nie wątpił. Na wet jeśli Bella nie włączała w swoje życie towarzyskie mieszkańców Biddista, wszyscy o niej plotkowali. Jeśli Edith była za dumna na plotki, i tak powinna usłyszeć to i owo od personelu ośrodka, pacjentów, krewnych.

- Gadano na temat Belli i tego pisarza. Petera Wildinga. Podobno przyjechał tu za nią. Wynajął stary dom Willy'ego, żeby być blisko niej. - Znów zerknęła na Pereza, badając jego reakcję. - Mnie to przyprawia o gęsią skórkę. Nie chciałabym, żeby za mną ktoś tak się włóczył.

- Mówili, jak to przyjęła?

- Schlebiało jej, że zadał sobie tyle trudu. - Siedziała przez

moment zamyślona. - Nie sądzę, żeby Bella zamierzała kiedykolwiek poważnie się z kimś związać. Stałoby to na drodze temu, co dla niej najważniejsze.

- Mianowicie?

Błysnęła krótkim, psotnym uśmiechem.

- Belli Sinclair. Jej pracy i sławie.

- A jak do tego wszystkiego ma się Roddy?

- Poprawia jej samopoczucie. Poza tym nie szkodzi reputacji.

- Chyba pani za nim nie przepada?

- To istotne dla śledztwa?

- Pewnie nie. Ale jestem ciekawy pani zdania.

- Wszystko spadło mu z nieba. Wygląd, talent, pieniądze. Nie sądzę, żeby takiemu młodemu chłopakowi wyszło to na zdrowie. Obnosił się swoim bogactwem i talentem przed naszymi dziećmi. Ale może jestem po prostu zazdrosna. Kenny i ja musieliśmy ciężko pracować.

- Kenny powiedział, że Roddy parę razy zaprosił na randkę waszą córkę.

- Roddy zawsze musi mieć kobietę w odwodzie. Zupełnie jak Lawrence. Zjawiała się ładniejsza i ją odprowadził. Bardzo mnie rozzłościł.

- Stracił ojca, gdy był jeszcze dzieckiem. I matki brakuje mu w pewnym sensie. - Jest samotny, pomyślał Perez. Robią z niego złote dziecko, ale brakuje mu prawdziwych przyjaciół.

Chwilę rozważała jego słowa.

- To prawda. Niezbyt dobrze znałam Aleca. Wyjechał z Biddista, zanim wyszłam za Kenny'ego. Ale racja. Może nie powinnam być dla Roddy'ego taka surowa.

- Gdy zachorował jego ojciec, spędzał w Biddista dużo czasu. Jest mniej więcej w wieku pani dzieci. Mówi pani, że się przed nimi popisywał. Przyjaźnili się w dzieciństwie? Zanim zainteresował się pani córką?

- Wpadał do zagrody się pobawić. Wolałam, żeby dzieciaki nie chodziły na plebanię. Nie chciałam, żeby zapatrzyły się na jego sposób bycia. Poza tym Bella często gościła nieodpowiednie towarzystwo. Czasami Willy zabierał całą trójkę na łódź. - Przerwała. - W ogóle dzieci go lubiły. Był jak szczeniok z Hameln. Gdy zostawał w domu, pałętały się przy nim. Tak, Willy zna mnóstwo historii. Nie miał własnych pociech i lubił zapraszać cudze. To on nauczył pływać łodzią prawie wszystkie

małolaty z Biddista. Kenny'ego też zabierał. I Lawrence'a, choć ten ledwo umiał chodzić.

Za drzwiami gabinetu słycać było ruch, postukiwanie talerzy i brzęczenie sztućców.

- Pora na lunch. Kulminacyjny punkt dnia. Niektórzy pacjenci przychodzą tylko na posiłki. Zjesz z nami, Jimmy? Chociaż talerz zupy?

Perez usiadł przy stole z Willym, kobietą z zespołem Downa o imieniu Greta i Edith. Willy najwyraźniej nie ubierał się sam. W ośrodku było gorąco, a on na koszulę w szkocką kratę miał założony sweter. Rano się ogolił, ale niezbyt dokładnie. Jego włosy - grube i kręcone - zachowały gdzieś dawna czern.

- Gdzie teraz mieszkasz, Willy? - zagadnął Perez.

Mężczyzna podniósł na niego wzrok, z uniesioną łyżką i lekko otwartymi ustami.

- Jestem z Biddista.

- Ale teraz tam nie mieszkasz - powiedziała łagodnie Edith. - Tylko tutaj, w ośrodku w Middleton. - Odwróciła się do Jimmy'ego. - Opiekun odwiedza go dwa razy dziennie.

Willy zamrugał i przystawił sobie łyżkę do ust.

- Opowiedz mi o starych czasach w Biddista - poprosił Perez. - Trzymałeś łódź, prawda?

- Nazywała się „Maria Teresa” - odparł z zapalem Willy, a jego oczy straciły tępy, pochmurny wyraz. - Świetna łajba. Największa w Biddista. W niektóre dni łowiłem tyle ryb, że ledwie dawałem radę wyciągnąć je na brzeg.

- Kogo zabierałeś ze sobą na połów?

- Wszyscy chcieli ze mną łowić. Chłopacy. Kenny i Lawrence Thomson. Alec Sinclair. Dziewczyny też. Bella Sinclair i Aggie Watt. Aggie... taka płochliwa, chłopcy okrutnie jej dokuczali. A Bella silna jak chłop. Niczego się nie bała. - Zapatrzył się w dal. Pewnie wyobrażał sobie letnie wieczory na morzu. Śmiejące się i kłócące dzieciaki, rodzinę, której nigdy nie miał.

- Przyjaźniłeś się z nimi, Willy? Kiedy dorośli?

Willy jakby go nie słyszał. Oderwał kawałek bułki leżącej na talerzu i zanurzył ją w bulionie.

- Był też Roddy Sinclair - ciągnął. - Lubił wypływać na ryby, gdy na dłużej przyjeżdżał na plebanie.

- Ale to później - wtrąciła się Edith. - Roddy jest młodszy

od Kenny'ego i Lawrence'a. Nie pływali razem na ryby.

Willy się zamyślił. Zupa skapywała z kawałka chleba na sweter. Edith nachyliła się i delikatnie wytarła ją papierową serwetką. Willy potrząsnął głową, jakby próbował wyostrzyć pojawiające się w niej obrazy.

- Przyjaźniłeś się z kimś, Willy? - dopytywał Perez.

Starzec nagle uśmiechnął się szeroko.

- Lubilem wypływać z Anglikami. Przynosili kosze pełne jedzenia i piwa. Czasami rozpalaliśmy na plaży ognisko, żeby upiec ryby. I zawsze mieli butelkę whisky. Pamiętasz to, Edith? Powinnaś. To lato, kiedy z Lawrence'em wzięliśmy na łódź Anglików?

- Pamiętam, że Lawrence nie lubił wylewać za kołnierz - odparła.

Willy znów się uśmiechnął.

- Jak nazywali się tamci Anglicy? - zapytał Perez.

- Stare dobre czasy - mruknął Willy. - Dobre czasy. - Wrócił do swojego posiłku, jadł teraz z wielką przyjemnością.

Pewnie czuje smak świeżej ryby upieczonej nad ogniskiem z drewna wyrzuconego przez morze, pomyślał Perez.

Spojrzał na Edith. Nie chciał, żeby Willy wracał do teraźniejszości, do upokorzenia z powodu rozlanego jedzenia i niekończących się karcianych gier.

- Wie pani, o kim on mówi? Jacyś Anglicy regularnie odwiedzali Biddista?

Pokręciła głową.

- Często wypożyczał łódź turystom, ale nie przypominam sobie nikogo obcego, kto regularnie z nim pływał. Może to działa się przed moim przyjazdem.

Willy otrząsnął się z zadumy.

- Któregoś dnia przyjechał Anglik i mnie wypytywał - oznajmił. - Ale nic mu nie powiedziałem.

- O jakim Angliku mówi? - Perez zwrócił się do Edith.

- Może o tym pisarzu. Wildingu. Przyjeżdża tu zbierać leggendy i opowieści. Chyba do książki.

Perez chętnie zostałby na popołudnie, posiedział we wdzierającym się przez okna słońcu i posłuchał opowieści Willy'ego o połowach i dzieciach z Biddista, ale wiedział, że potem nie znalazłby dla siebie wytłumaczenia. Jak rozliczyłby się z tego czasu przed Taylorem? Edith wstała od stołu i podeszła z nim do drzwi.

- Proszę nas jeszcze odwiedzić. Gdy znajdzie pan czas.

W samochodzie komórka odzyskała zasięg. Pikała i pokazywała dwa nieodebrane połączenia, oba od Sandy'ego. Perez zadzwonił do niego. W tle słyszał gwar panujący w centrum dochodzenia. Sandy mówił chyba z pełnymi ustami i dopiero po chwili Perez zrozumiał informację.

- Znalazłem faceta, który podwiózł Anglika. Stuart Leask. Pracuje przy odprawach na terminalu NorthLink i będzie tam całe popołudnie.

ROZDZIAŁ 24

Fran pracowała nad martwą naturą, rysowała wyrzucone przez morze drewno i kawałek sieci rybackiej znalezionej na plaży. Bardziej w ramach ćwiczeń niż na sprzedaż. Ogarnęła ją obsesja, żeby udoskonalić swoje umiejętności. W akademii nie przyłożyłam się do tego jak trzeba, pomyślała.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy zrobiła sobie przerwę i wstawiła wodę na herbatę. To pewnie Perez. Był jej kochankiem; myślała o nim od miesięcy. Mimo to, gdy usłyszała w słuchawce angielski akcent, poczuła przyływ podniecenia lekko zabarwionego wyrzutami sumienia. Wyszukała Wildinga w internecie. Miał własną stronę, przeczytała recenzje. Nie należał do grona popularnych autorów bestsellerów, ale uznawano go za interesującego i oryginalnego pisarza. Na motywach jednej z jego powieści kręcono właśnie film. Był nie mniej sławny niż Roddy i Bella.

- Co porabiasz? - zapytał lekko.

- Pracuję.

- W takim razie nie uda mi się wyciągnąć cię na lunch?

Zaproszenie przypomniało jej spontaniczne spotkania stano-
wiące urok miejskiego życia. Telefony od przyjaciół. Nasia-
dówki przy winie albo przy kawie. Plotkowali i śmiali się, po-
tem biegła do biura kończyć pracę. Może w Lerwick byłoby po-
dobnie. Ale tu, w Ravenswick, w tej głuszy, wszystko wyda-
wało się o niebo trudniejsze. Ludzie spotykali się towarzysko w
domach przyjaciół.

- Wynająłem samochód - oznajmił. - Mogę po ciebie
wpaść. Za pół godziny.

- O trzeciej muszę być z powrotem, żeby odebrać córkę ze
szkoły. - Od razu uświadomiła sobie, że jej słowa zostaną ode-
brane jako akceptacja zaproszenia.

- Nie ma problemu. Do zobaczenia. - I się rozłączył.

No proszę, jakie to proste. Ogarnęło ją przyjemne poczucie

winy, jakby już dopuściła się zdrady.

Wróciła do pracy, ale nie mogła się skupić. Dokąd ją zabierze? Oczywiście zaraz wpadną na kogoś znajomego. Przyjaciela Pereza. Albo Duncana. W myśli zaczęła przygotowywać usprawiedliwienia i wyjaśnienia. Chce zamówić u niej obraz. *Oczywiście musiałam z nim porozmawiać. To tylko obiad służbowy.* Od razu zadzwonić do Pereza i mu o tym powiedzieć? Ale to nadałoby spotkaniu większego znaczenia niż w rzeczywistości miało. I jak się ubrać?

Przyjechał, zanim zdążyła się przygotować. To wytrąciło ją z równowagi. Musiała zaprosić go do domu, żeby zaczekał, i jego oczami zobaczyła, w jakiej dziupli mieszka - uschnięty kwiatek na parapecie, porozrzucane na podłodze zabawki Cassie. Nie skorzystał z zaproszenia i nie usiadł, więc pobiegła do sypialni po torebkę. W sprawie ubrania poszła na kompromis - dzinsy, do tego jedwabna bluzka, kupiona w czasie ostatniego pobytu na południu. Wcześniej zamierzała się umalować, ale teraz nie zdobyłaby się na to, żeby zrobić sobie makijaż w jego obecności.

W szkole w Ravenswick była pora lunchu. Dostrzegła wybiegające na dziedziniec sylwetki dzieci.

Chciała wspomnieć o Cassie. „Tam jest moja córka. Może ją stąd zobaczysz. W czerwonym sweterku”. Ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, poprowadził ją do samochodu i ruszyli. Na szczęście w pobliżu nie mieszkali żadni sąsiedzi, którzy mogliby ją obserwować.

Gdy wyjeżdżali z Ravenswick, poczucie winy zaczęło ją opuszczać. Czemu nie miałyby sobie pozwolić na mały wypad? Przed wernisażem cały czas tylko pracowała.

Wilding skręcił w drogę na południe, w przeciwną stronę niż Lerwick, gdzie są restauracje.

- Dokąd jedziemy?
- Poczekaj, zobaczysz. - Odwrócił się do niej. - Ślicznie wyglądasz. - Naprawdę.

W swoim dawnym życiu umiała zbyć taki komplement nonszalanckim, dowcipnym bon motem. Ale teraz się zaczerwieniła.

Przed Sumburgh włączył prawy kierunkowskaz i skierował się na zachód wąską drogą, którą chyba nigdy jeszcze nie jechała. Minęli ogrodzoną zagrodę, potem podmokły teren z irykami i długim, wąskim jeziorkiem. W oddali stał kwadratowy

kamienny dom. Jak na Szetlandy bardzo okazały. Dwupiętrowy. Teren lekko opadał i budynek wyglądał jak most łączący jezioro z morzem. Fran poczuła ukłucie strachu. Dokąd on ją wywiózł? Gdzie ona miała głowę, żeby wsiąść do samochodu obcego faceta?

- Dokąd jedziemy? - powtórzyła, starając się nie zdradzić niepokoju. - Nie wiedziałam, że tu są jakieś restauracje.

- Trochę cierpliwości. Zaraz zobaczysz.

Może to nowy hotel, chociaż pewnie słyszałyby o jego otwarciu, a poza tym przy drodze nie widziała żadnych drogowskazów. Gdy podjechali bliżej, zobaczyła, że dom jest pusty, niemal opuszczony. Na dachu brakowało łupków, z przegniłych framug farba odłaziła płatami. Z okien zwisały wystrzępione, wyblakłe zasłony.

Uznała, że Wilding czeka na kolejne pytania. Chciał, żeby zapytała o dom, o to, po co tu przyjechali. Nie odzywała się.

Droga kończyła się przy małym ogrodzie. Wiodąca do niego wysoka, podwójna, porzewiała brama była lekko uchylona. Teren za nią porastała zadziwiająco bujna roślinność, oaza, która jakimś cudem przetrwała, choć maltretowana zachodnimi wiatrami. Fran dojrzała irysy, klomb rododendronów.

Zastanawiała się, czy nie skręcił tu przez pomyłkę. Siedziała, czekając, aż zawróci, ale Wilding otworzył drzwi.

- Chodź. Jesteśmy na miejscu. - Nie ukrywał poruszenia. Zachowywał się jak dziecko, które pragnie się popisać nowym osiągnięciem.

Poszła za nim. Cóż innego miała zrobić? Oparł się o bramę, próbując ją otworzyć szerzej, ale wysoka trawa po drugiej stronie nie puszczala. Droga za bramą prowadziła do kolejnej furtki na szczycie niskiego klifu, a dalej - wykutymi w kamieniu schodkami - na maleńką plażę, doskonały piaszczysty półksiężyc. Za nią znajdowała się płaska trawiasta wysepka.

- No i? - zapytał. - Jak ci się podoba?

Zastanawiała się, gdzie w okolicy można coś zjeść. Po co ją tu przywiózł? Czyżby źle zrozumiała jego zaproszenie?

Chyba odgadł, o czym Fran myśli.

- Przyjechaliśmy na piknik - wyjaśnił. - Zaraz przyniosę wszystko z samochodu. Zjemy na plaży. Pasuje?

- Oczywiście - odparła. - Wspaniały pomysł.

- Znalazłem to miejsce zaledwie parę dni temu i bardzo chciałem je komuś pokazać. Doskonałe, prawda?

- Tajemniczy ogród - powiedziała uspokojona zapalem Pe-reza. Nie był obcym facetem, tylko znanym pisarzem. W inter-necie widziała jego zdjęcie i okładki napisanych przez niego książek.

- Tak! Tak! - zawołał rozpromieniony. - Ale może już je znasz? Jesteś przecież tutejsza.

Och nie, pomyślała. Nigdy nie będę tutejsza.

- Widzę ten zakątek pierwszy raz - powiedziała. - Miło, że mnie tu przywiozłeś. - Zgadywała, że pragnął, aby była równie zachwycona jak on, i zdała sobie sprawę, że mówi jak grzeczne dziecko, któremu zafundowano niechcianą przyjemność. Ale ten lunch okazał się tak różny od tego, czego się spodziewała, że nie wiedziała, jak się zachować. Wyobrażała sobie posiłek w dobrej restauracji, rozmowę o sztuce i książkach. Nie piknik na plaży.

Wilding przyniósł z samochodu jedzenie zapakowane w torbę termoizolacyjną. Przez ramię przerzucił sobie kilim. Wy-głądał jak przebieraniec, przez co wszystko stało się dla Fran jeszcze bardziej nierealne.

- Trochę cię oszukałem - przyznał. - Poprosiłem Martina Williamsona z Herring House, żeby coś przy gotował. Mam nadzieję, że zjesz ze smakiem.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył po wykutych w klifie schodkach.

Na plaży, osłoniętej od bryzy, było bardzo ciepło. Takiego ciepła na Szetlandach Fran jeszcze nie zaznała. Pod nogami chrzęścił biały, miałki piasek. Na dalekich skałach wylegiwały się foki. Wilding rozłożył kilim. Położyła się na boku, oparta na łokciu, i przyglądała się, jak Peter rozpakowuje jedzenie. Wyjął butelkę wina, wciąż tak zimną, że na szkle utworzyła się mgiełka, teatralnym gestem wyciągnął z kieszeni korkociąg i ją otworzył. Przywiózł nawet kieliszki. Ale Fran pomyślała, że w tym otoczeniu - gorącym i jasnym - i bez wina czuje się trochę pijana.

- Jak znalazłeś to miejsce?

- Szukałem domu.

- Ten jest na sprzedaż?

- Niezupełnie. - Uśmiechnął się szeroko. - Już nie.

- Kupiłeś go? - Wydawało jej się nie do pojęcia, żeby coś takiego zrobić pod wpływem impulsu. Przecież Wilding od nie-dawna mieszka na Szetlandach. Przyszedł jej na myśl Perez,

jego zdręczanie się przyszłością. Podziwiała Wildinga, że z taką lekkością umiał podejmował życiowe decyzje.

- Od pierwszego spojrzenia wiedziałem, że muszę go mieć. Wytropiłem właścicielkę i złożyłem ofertę. Bardzo dobrą. Nie sądzę, żeby ją odrzuciła. To starsza kobieta, mieszka w Perth, a dom dostała w spadku i bardzo rzadko go odwiedza. Nie mogę cię oprowadzić. Nie mam jeszcze klucza. Dopiero na początku przyszłego tygodnia będę wiedział na pewno, czy jestem właścicielem. Chciałem cię zapytać, jak byś go urządziła. To projekt. Miałem nadzieję, że mi doradzisz.

A więc, pomyślała, będzie pretekst, żeby się spotykać. Wciąż nie bardzo wiedziała, co o tym wszystkim sądzić. Oczywiście nie kupił domu tylko po to, by się z nią widywać, ale mimo to czuła się manipulowana; jakby ona, podobnie jak dom, stanowiła część jego projektu.

Wilding rozstawił potrawy na kilimie. Paszтет, do tego sałata, kurczak, szynka i domowy chleb.

- Och, nie jesteś wegetarianką, co? Szkoda że wcześniej nie zapytałem. - Uśmiechnął się i od razu wiedziała, że jedzenie wybrał pod jej gust.

Pewnie wywiedział się u Belli albo Martina. Powinno jej schlebiać, że tyle wysiłku włożył w przygotowanie pikniku, ale z jakiegoś powodu to planowanie ją zdenerwowało. Poza tym najwyraźniej założył, że ona przyjmie zaproszenie, bo jedzenie musiał zamówić, zanim do niej zadzwonił. Ale upiła tylko kolejny łyk wina i wystawiła twarz do słońca. Nie była w nastroju do wyszukiwania powodu do awantury.

- Co za okropne morderstwo - powiedział. - Policja już doszła, kto to taki?

- Nie mam pojęcia. Nie słuchałam dziś wiadomości.

- Ale ty chyba zawsze wiesz pierwsza? - Sięgnął po butelkę i znów napełnił jej kieliszek. - Wydawało mi się, że przyjaźnicie się z inspektorem.

Sączyla wino. Żałowała, że się położyła. Niełatwo stawiać czoło wyzwaniu, leżąc u czyichś stóp. Podniosła się, usiadła twarzą do niego.

- Hej! - Uniósł ręce w udawanej kapitulacji. - Zapytałem Bellę, czy z kimś się spotykasz. Napomknęła o policjancie. To wszystko.

- Nie przeszkodziło ci to zaprosić mnie na lunch.

- Lunch to lunch. Chciałem podzielić się z kimś swoją radością. Nie musiałaś przyjmować zaproszenia.

Nagle poczuła, że zachowuje się śmiesznie.

- Przepraszam. Nie powinnam pić w porze obiadowej. To zawsze źle się kończy. Ślicznie tutaj.

- Więc to prawda? Że ty i Perez...

Patrzył na nią, mrużąc oczy przed słońcem.

- Nie twój interes - rzuciła ostro.

- Czy to znaczy, że wciąż mam szansę? Zdobyć miejsce w twoim sercu?

Zerknęła na Petera. Nie mogła go rozgryźć. Żartował sobie z niej? To tylko niewinny flirt? Czy coś poważniejszego?

- Nie - zaprzeczyła stanowczo. - Moje serce zdecydowanie jest zajęte.

- Jaka okropna szkoda. Przydałoby ci się w życiu trochę rozrywki, a inspektor Perez nie wydaje się szczególnie zabawny. Z przyjemnością bym o to zadbał.

Nie odpowiedziała. Nałożył pasztet z makreli na owsiany krakers i podał jej kanapkę.

- Perez opowiada o swojej pracy?

- Zwykle nie bardzo ma o czym - odparła. - Niezbyt to interesujące.

- Ale to morderstwo. Wszyscy jesteśmy ciekawi.

- Ja nie. Oczywiście chcę, żeby złapano mordercę. Ale nie znałam ofiary i nie jestem włączona w dochodzenie. To praca Jimmy'ego i mnie nie dotyczy. - Zaczęła się zastanawiać, czy nie zaprosił jej dlatego, by wypytać o śledztwo.

- Mnie to fascynuje. Myślałem, że ciebie też. Byłaś dziennikarką! A przez sztukę również doświadczamy ostateczności, nie sądzisz?

- Za dobrze mi na myślenie. - Uśmiechnęła się, próbując poprawić nastrój.

Chyba zrozumiał, że naciskami nic nie wskóra.

- Gdzieś tutaj mamy wyśmienity czekoladowy tort. - I zaczął zabawiać ją anegdotkami z przyjęć wydawniczych, opowiadać o łózkowych wyczynach sławnych powieściopisarzy.

Prawie zapomniała o napięciu między nimi i to on musiał przypomnieć, że powinni się zbierać, żeby zdążyła odebrać Cassie. Zaskoczyło ją, że czas tak szybko minął. Wstała, otrzępała ubranie z okruszków i piasku, po czym poszła za nim po schodkach w stronę domu.

- Zgadzasz się, prawda? - spytał. - Mówię o domu.
- Nigdy nie zajmowałam się architekturą wnętrz.
- Nie szkodzi. Masz oko artysty. Wiem, że świetnie sobie poradzisz.

Stała i patrzyła na dom, wyobrażając sobie, jak by go urządziła. Zobaczyła gości na parapetówce w odnowionych wnętrzach, do których przez otwarte okna wdziera się odgłos fal i krzyk morskich ptaków. Znowu mignęło jej przed oczami dawne życie. Nie mógł wymyślić niczego lepszego, żeby ją skusić.

Roześmiała się i wymigała od odpowiedzi.

- Wrócimy do tematu, kiedy dom już będzie twój.

ROZDZIAŁ 25

Po wyjściu z ośrodka opieki Perez uznał, że najchętniej wróciłby teraz do Biddista, wstąpił na plebanię i zobaczył, czy nie uda się porozmawiać na osobności z Roddym. Odnosił wrażenie, że teraz trochę lepiej rozumie chłopaka, i wierzył, że Roddy posiada informacje pomocne w dochodzeniu. Ale skoro Sandy wytropił kierowcę ofiary, było to niemożliwe. Jak wytłumaczyłby zwłokę Taylorowi?

Stuarta Leaska znalazł za ladą odpraw na terminalu promowym przy Holmsgart - młody, szczerbaty chłopak z burzą rudych włosów. W cichym terminalu ich głosy niesły się echem. Pasażerowie zostaną wpuszczeni na prom dopiero za trzy godziny.

- Możemy porozmawiać tutaj? - zapytał Stuart. - Chrissie poszła na lunch i chwilowo jestem sam.

Perez oparł się o biurko.

- Podobno podwoziłeś pewnego faceta do Biddista w wieczór przyjęcia w Herring House. Możesz mi powiedzieć, co się wydarzyło tamtego dnia?

- Właśnie kończyłem służbę, gdy wszedł mężczyzna. „Hrossey” już dawno odpłynęła i właśnie zbierałem się do domu, ale zapytałem, w czym mogę pomóc. Chciał wynająć samochód. Wyjaśniłem, że trochę się spóźnił, bo w biurze już nikogo nie ma i otworzą dopiero następnego ranka po ósmej.

- Jak wyglądał?

- Szczupły. Dość miły wygląd. Anglik. Nosił czarne spodnie i czarną marynarkę. Trochę wygniecioną, ale jakby tak właśnie miało być. Łysy, choć to też zdawało się zamierzone.

- Dobrze się czuł? Nie był zdenerwowany ani zdezorientowany?

- Ani trochę. Sprawiał wrażenie raczej rozbawionego, że nawalił mu transport do Biddista.

- Ktoś powinien go zabrać?

- Tak, facet zamówił taksówkę, ale nie przyjechała.
- Wciąż nie rozumiem, czemu w końcu to pan go podwiózł.

Stuart się speszył.

- Wyszedłem z taką propozycją. Wiem, że to głupie. Moja dziewczyna Marie mówi, że jestem frajer i ludzie zawsze mnie wykorzystują. Ale to był miły gość, a ja i tak nie miałem żadnych planów. Poza tym zapłacił jak za taksówkę.

- Ruszyliście prosto stąd?
- Najpierw pojechaliśmy po jego torbę.
- Miał ze sobą torbę?
- Czarną, skórzaną.
- Skąd go zabrałeś? Z hotelu? Pensjonatu?

Stuart się uśmiechnął.

- Z przystani Victoria. Zatrzymał się na tym teatrze na łodzi „Motley Crew”, wie pan?

- Do Biddista jest ładny kawałek. O czym rozmawialiście po drodze?

- To był interesujący facet, aktor. Opowiadał o swoich rolach. W teatrze i filmie. Kto wie, może trochę bajerował, chwając się, kogo to on zna, ale co za różnica? Mówił ciekawie.

- Po co przyjechał na Szetlandy?

- Pytałem. Poszedłbym go zobaczyć, gdyby tutaj grał. Ale powiedział, że odwiedza starych znajomych.

- I cały czas zachowywał się normalnie? Nie narzekał, że źle się czuje?

- Nic takiego. Miło się z nim jechało. Naprawdę przyjemnie zarobiłem tych parę funtów.

- Wziął ze sobą torbę? Jesteś pewny, że nie zostawił jej w twoim samochodzie?

- Na sto procent. Nawet pomyślałem, że to dziwne.

- Niby co? - Perez cieszył się, że sam rozmawia ze Stuartem. Taylor już by się gotował ze zniecierpliwienia.

- W Biddista podjechałem do mołu, żeby zawrócić. I zobaczyłem, że facet upycha torbę pod murkiem na plaży. Była tam pewnie całkiem bezpieczna. Daleko za linią przypiływu i z drogi nikt nie mógł jej zobaczyć. Ale wydało mi się to strasznie dziwne. Skoro odwiedzał przyjaciół, czemu nie wziął jej ze sobą?

- Poszedł na wernisaż w Herring House.

- No to co? Z torbą nie mógł iść? Na pewno miałby ją gdzie

zostawić. - Ten szczegół najwyraźniej fascynował Stuarda bardziej niż powód śmierci nieznanego.

- Mówił, gdzie zatrzyma się na noc?

- Uznałem, że u znajomych. Nie martwił się tym, jak wróci do miasta.

- Co to za znajomi?

Chłopak wzruszył ramionami.

- Zapytałem, bo Aggie, która prowadzi pocztę, jest moją krewną. Kuzynką babci, czy kimś takim. Ale on zaczął opowiadać kolejną historię, więc niczego się nie dowiedziałem.

- Ale chyba powiedział, jak się nazywa?

- Tylko imię. Nigdy takiego nie słyszałem. Pomyślałem, że może na południu jest popularne. Albo to ksywka.

- I jakie to imię? - Perez czuł, że niedługo nawet jego cierpliwość się wyczerpie.

- Jem. Nie Jim, tylko Jem.



Zanim odjechał z terminalu promowego Victoria, zadzwonił do Sandy'ego i zapytał o torbę. Wprawdzie przeszukano teren wokół molo, ale Sandy nie był pewny, w jakim promieniu. Nie sądził, żeby ją przegapili, ale sprawdzi.

Perez pędził do miasta o wiele za szybko. Dopadł go nagły atak paniki, że gdy dotrze do molo, okaże się, że statek-teatr zniknął. Ale nie, wciąż tam stał, przycumowany niemal na samym końcu. Na drewnianym kadłubie rozpięto nowy duży transparent: „Ostatnie przedstawienie w sobotę”. Jutro już by odpłynęli.

Na pokładzie siedziała młoda kobieta i wygrzewała się na słońcu jak kot. Miała na sobie dzinsy do pół tydki i długi czerwony pulower. W jej płaskiej twarzy o zielonych wąskich oczach, wydłużonych jeszcze czarną kredką, też było coś kociego. Opierała się o kabinę, na kolanach trzymała scenariusz, ale nie czytała.

- Przepraszam.

Popatrzyła w górę i uśmiechnęła się.

- Chce pan bilet na dzisiejsze przedstawienie? Chyba jeszcze kilka zostało. Warto zobaczyć.

- Jest pani aktorką?

- Aktorką, scenografką, kierowniczką widowni i co tam

jeszcze trzeba. Proszę zaczekać minutkę, przyniosę bilety.

- Nie. Wierzę, że przedstawienie jest dobre, ale nie o to mi chodzi. - Wszedł na pokład. Śliczny ten stary statek, pomyślał. Wyschnięte deski pokładu i burt miały piękny miodowy kolor.

- Nazywam się Jimmy Perez. Pracuję w szetlandzkiej policji.

- Lucy Wells. - Nie ruszyła się z miejsca.

- Słyszała pani o mężczyźnie, którego na początku tygodnia zabito w Biddista?

- Nie. O cholera!

- Podawano to w wiadomościach. Znaleziono go powieszzonego w hangarze na łodzi. Został uduszony.

- Straszne. My tu żyjemy jak pod kloszem. Za dnia przygotowujemy się, urządzamy próby, wieczorem gramy. Pewnie nawet gdyby wybuchła wojna, nic byśmy nie wiedzieli.

- Nie brakuje wam jednego aktora?

- Ależ skąd!

Pereza zatkało. Był pewny, że nieznajomy należał do zespołu.

- Mężczyzna w średnim wieku. Z ogoloną głową.

- Pasuje do Jema - stwierdziła. - Ale on nie jest od nas. Przebywał tu raczej jako pasażer. To znajomy szefostwa. Poza tym nie zaginął. Uprzedził nas, że odchodzi.

- Sądzymy, że to on jest zmarłym - powiedział Perez. - Rozpoznałaby go pani na zdjęciu?

Skinęła głową. Zobaczył, że kobieta płacze.

- Żle się pani czuje?

- Przepraszam, szok. Właściwie to go nawet nie lubiłam. Trochę zawadzał. Nie jego wina. Miły facet, ale tu jest strasznie ciasno, a jeszcze dowalono nam jego. To straszne, że umarł. Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie pozbędziemy się Jema, więc teraz czuję się winna. Jakby spełniło się moje życzenie.

- A jak się nazywał?

- Booth. Jeremy Booth.

- Skąd się tu wziął?

- Jak mówiłam, to znajomy szefa. Kiedyś należał do zespołu. „Motley Crew” już od lat krąży po szkockim wybrzeżu. Jem potrzebował się gdzieś przytulić i kazano nam go przyjąć.

- Co robił na Szetlandach?

- Kto wie? Nie bardzo się nim interesowaliśmy. Taki egocentryk, przejęty sobą i własnym znaczeniem. Dawał do zrozumienia, że jest tu na jakiejś tajemnej misji. Kontrakt życia.

Uznaliśmy, że to bajeczki. Ulżyło nam, kiedy wreszcie się wymustrował.

- Niech pani sobie przypomni, co dokładnie Booth mówił o tym kontrakcie. Bardzo by nam to pomogło. Nawet najdrobniejszy szczegół może się przydać.

Zapadła chwila milczenia. Dziewczyna ostrożnie odłożyła scenariusz na pokład. Zamknęła oczy.

- Wspomniał coś o niezwykłym zbiegu okoliczności. „Duchy z przeszłości. Feniks z popiołów”. Tak się wyrażał. Odnosił się do siebie z ironią, ale wyczuwaliśmy, że ma się za lepszego od nas. Kawalarz. Z tych, co to bez przerwy sypią dowcipami, choć tak naprawdę nikogo one nie bawią. Powiedział, że chodzi o przyjemny kontrakcik, który ustawi go na kilka lat, jeśli dobrze rozegra sprawę.

- Wymieniał jakieś nazwiska?

Pokręciła głową.

- Dam głowę, że nie. Lubił być tajemniczy.

- Kiedy się u was zjawił?

- Dwudziestego. Dwa dni po tym, jak przybiliśmy do Lerwick.

A na dwa dni przed tym, jak widziano go, gdy rozdawał ulotki odwołujące wernisaż w Herring House, policzył Perez.

- Przybył na Szetlandy samolotem czy promem?

- Promem. Trochę kołysało po drodze i się pochorował. Nie uwierzyłby pan, jakiego narobił zamieszania. Następnego dnia gdzieś wyszedł. Wieczorem wrócił, a potem już go więcej nie widzieliśmy.

Skoro przyplłynął promem, Stuart Leask pewnie ma dostęp do wszystkich danych kontaktowych, pomyślał Perez. Za godzinę będziemy znali imię i nazwisko, adres, numer telefonu i karty kredytowej. Ofiara przestała być anonimowa. Dochodzenie od razu stanie się łatwiejsze. I zwyklesze.

- Mówił, skąd pochodzi? - Pereza ciekawiło, co opowiadał o sobie mężczyzna i na ile trzymał się prawdy.

- Prowadził teatr edukacyjny w West Yorkshire. „Zawsze wierzyłem w teatr społeczny, kochanie. Naprawdę, to najbar dziej interesująca praca, jaką można wykonywać”. Co prawdopodobnie należy tłumaczyć tak, że żaden teatr nie chciał go zatrudnić, więc facet wydebił finansowanie z Rady Sztuki, żeby założyć własny.

- Jest pani bardzo cyniczna - zauważył Perez.

- Taki biznes. Na początku wszyscy wyobrażamy sobie, że będziemy grać w teatrze królewskim, a kończymy, wyrzaskując za minimum socjalne kretyńskie strofki przed garstką głuchych starowinek.

- Może pani rzucić tę pracę. Jest pani młoda.

- Och tak. Ale wciąż jeszcze się łudzę. Widzę swoje nazwisko wypisane neonami na West Endzie.

Nie wiedział, czy kobieta żartuje, czy nie. Oderwał się od relingu i wyprostował.

- Chwileczkę. - Poderwała się i zniknęła pod po kładem. Wróciła z dwoma biletami. - Na dzisiejszy wieczór. Sam pan zobaczy. Jestem naprawdę niezła.

W jej słowach wyczuł dziwną determinację. Jeśli nie weźmie biletów, poczuje się odrzucona. Przyjął je niezgrabnie, po czym wymamrotał, że jest bardzo zajęty, ale przyjdzie, jeśli znajdzie chwilę.

Gdy wsiadał do samochodu, wciąż za nim patrzyła.

Zadzwoił na komisariat i najpierw porozmawiał z Sandym.

- I co z torbą ofiary?

- Na plaży na pewno nie ma.

Perez poprosił, żeby go połączono z Taylorem.

- Zidentyfikowałem ofiarę.

- Ja też - odparł Taylor z wyraźnym wyczuwalnym uśmiechem samozadowolenia. - Jeremy Booth. Zamieszkały w Denby Dale, West Yorkshire. Prowadzi grupę teatralną. Właśnie zadzwoniła młoda kobieta, która z nim pracuje. Zobaczyła zdjęcie w gazecie.

Perez nic nie dodał. Niech Taylor ma swój moment chwały. W sumie to dobrze, że tożsamość ofiary została potwierdzona.

- Myślę, że ktoś powinien tam pojechać, przeszukać dom i porozmawiać ze współpracownikami - ciągnął Taylor. - Chcesz się tym zająć?

Pereza kusiło. Anglia wciąż była dla niego lądem nieznanym. Czekają go emocje odkrywcy. Ale, pomyślał, to jest morderstwo szetlandzkie. Ofiara pochodziła z Anglii, jednak rozwiązanie zagadki jej śmierci znajduje się tutaj.

Taylor oczywiście się znecierpliwiał. Nie znosił czekać.

- No i jak? Czy wolisz, żebym ja pojechał?

Perez zdał sobie sprawę, że Taylor sam się pali do wyjazdu. Przecież właśnie to najbardziej lubił w pracy gliniarza. Pościg. Loty w ostatniej chwili i pośpieszne przygotowania. Nocną

jazdę. Galony kawy na pustych stacjach benzynowych. Poszukiwanie odpowiedzi po przybyciu na miejsce, zarzucanie ludzi gradem pytań, energiczne przedzieranie się przez dżungłę niewiadomych.

- Ty pojedź - odparł. - Załatwisz to lepiej ode mnie.

ROZDZIAŁ 26

Taylor złapał ostatni tego dnia lot z Szetlandów, po czym cudem wcisnął się na pełny samolot British Airways z Aberdeen do Manchesteru. Leciała nim grupa nafciarzy. Skończyli właśnie służbę na platformach, byli hałaśliwi i zdecydowani uczcić koniec pracy. Paru z nich pochodziło z Liverpoolu i Taylora, próbującego złapać godzinę snu, ogarnęła fala starej urazy do rodzinnego miasta, połączonej z dziwnym poczuciem braterstwa. Na lotnisku w Manchesterze wynajął samochód. Gdy znalazł się na drodze M 62, uświadomił sobie, że od domu dzieli go najwyżej pół godziny jazdy. Wystarczy skręcić na zachód i stanie w drzwiach, zanim bracia wrócą z pubu. Ciekawe, jak by go przyjęli, gdyby zapukał z butelką whisky pod pachą i głupkowskim uśmiechem? „Cześć, pamiętacie mnie? Znajdzie się jakieś łóżko na noc?”

To, że został gliniarzem, potraktowali jak zdradę. Stał po złej stronie w walce klas. Nawet teraz, gdy granice lekko już się zatarły, nie sądził, żeby mu kiedykolwiek wybaczyli.

Ruszył drogą na wschód. Panował gęsty mrok. Taylor zgadywał, że wspina się na Penniny, nie dlatego, żeby cokolwiek widział, ale wnioskował to z panującej wokół ciemności. Autostrada była wyjątkowo pusta i Taylor się rozmarzył. O tym, jak wytropi jakiś fakt albo związek, który wyjaśni, czemu Booth znalazł się tak daleko od domu i zginął. A potem jego liverpoolsy krewni zobaczą go w dzienniku telewizyjnym, jak opowiada o aresztowaniu. Wypadnie spokojnie i skromnie, ale wszyscy będą wiedzieć, że ujęcie zabójcy to jego zasługa.

Po drodze na Huddersfield zatrzymał się w Travel Inn i zdobył ostatni wolny pokój. Pobliski pub przestał już serwować posiłki, więc Taylor zjadł wszystkie herbatniki, jakie znalazł w szafce, i poszedł spać. Usnął od razu. Czarna noc była miłą odmianą. Na Szetlandach przyroda stoi na głowie. Ten koszmarny, niekończący się półmrok strasznie go irytował. Pewnie

dlatego poprzedniej nocy tak kiepsko spał. Może to właśnie skrajności - ciemne, długie zimy i bezsenne lata - sprawiają, że Szetlandczycy są tacy dziwni. Sam za nic w życiu by tam nie zamieszkał.

Obudził się bardzo wcześnie i kupił w knajpce dla kierowców kanapkę z bekonem. Ruszył w drogę przed szóstą, a śniadanie zjadł w samochodzie. Podano mu numer telefonu do miejscowego inspektora, pani Jebson, ale wstrzymał się z dzwonieniem do siódmej.

- Nie spodziewałam się pana tak wcześnie - odezwała się szorstkim, niemiłym głosem, choć Taylor dałby głowę, że już nie spała.

- No cóż, ale jestem. Możemy spotkać się w domu Bootha?

- Skoro pan nalega. - Nie przejawiała nadmiernego entuzjazmu. - Ale mogę tam być najwcześniej o ósmej trzydzięci. - W tle usłyszał głosy dzieci. Na tym właśnie polega problem z kobietami w policji, pomyślał. Praca nigdy nie jest dla nich najważniejsza. Na pierwszym miejscu są ich faceci albo dzieci. Już zamierzał to skomentować, ale się rozmyślił. Wystarczy jedna skarga dziewczyny z belką na ramieniu, a jego kariera legnie w gruzach. Znał już takie sytuacje. Teraz, kiedy wreszcie zaczynał się wybijać, nie miał ochoty na kłopoty. - Dobrze - zgodził się. - W takim razie do zobaczenia o wpół do dziewiątej.

Już na miejscu w Denby Dale, korzystając z jej wskazówek, odnalazł dom Bootha. „Dyrektor zespołu teatralnego” brzmiało dość dostojnie i spodziewał się czegoś bardziej imponującego niż szeregowy domek z wejściem wprost z ulicy. Wsiadł z samochodu, żeby rozprostować nogi i rozejrzeć się po okolicy.

Sąsiadka Bootha uchyliła drzwi, żeby zabrać butelkę mleka. Przez wąską szparę zobaczył wysuwającą się z rozchylonego szlafroka gołą nogę. Twarzy nie widział, tylko wyciągniętą za próg rękę.

- Przepraszam. Policja. Mogę zabrać minutę?

Zaskoczył ją. Odstawiła mleko. Otworzyła trochę szerzej drzwi i otuliła się szlafrokiem. Była w średnim wieku, ale dobrze się trzymała.

- Chciałbym z panią zamienić parę słów. Zajmę tylko chwilkę.

Po ulicy za jego plecami przetoczyła się ciężarówka z paszą dla zwierząt, ciągnąc za sobą zapach drożdży.

- Proszę wejść. Nie lubię rozmawiać na ulicy.

Na imię miała Mandy - asystentka biblioteczna w Huddersfield, rozwódka z dorosłymi dziećmi. Dziś zaczynała pracę w południe.

- Proszę mi coś powiedzieć o tym facecie po sąsiedzku. - Taylor siedział przy stole w niedużej kuchni.

Zrobiła mu herbatę, bardzo mocną, i szykowała grzanki.

- Dlaczego pan pyta? Coś mu się stało? - Zapaliła papierosa. - Pierwszy dzisiaj - wyjaśniła, delektując się dymem.

Czasami Taylor żałował, że nie pali.

- Nie widziała pani jego zdjęć w gazecie?

- Już nie czytam gazet.

- Nie żyje. Został uduszony na Szetlandach.

- Gdzie? - Była zaciekawiona, jednak nie sprawiała wrażenia szczególnie zmartwionej śmiercią sąsiada.

- Na Szetlandach. Na północ od Szkocji.

- Och. - Dopaliła papierosa i zgasiła na spodeczku. - Nawet ostatnio sobie pomyślałam, że dawno go nie widziałam, ale nie prowadził zbyt regularnego trybu życia. Pewnie dom wystawią teraz na sprzedaż. Mam nadzieję, że nie wprowadzi się tu jakiś hałaśliwy dupek.

- Pan Booth był hałaśliwy?

- Właściwie nie. Czasami przyjmował gości do późna. Słyszałam rozmowy i muzykę, ale zachowywali się przyzwoicie. Nie miałam powodu do skarg.

- Od dawna tu mieszkał?

- Z pięć lat. Wprowadził się po mnie.

- I przez cały ten czas mieszkał sam? Żadnych dziewczyn ani chłopców?

- Nie był homoseksualistą - oznajmiła poważnie. - W każdym razie nie sądzę. Wcześniej miał żonę. I dziecko. Ale zostawił rodzinę. Tak z dnia na dzień.

- Skąd pani wie?

- Sam mi powiedział.

- Przyjaźniliście się?

- Nie. Nie wtrącaliśmy się w swoje życie. Nie chcę, żeby cała wieś o mnie gadała i on też tego sobie nie życzył. Ale któregoś wieczoru zatrzasnęły mu się drzwi pod nosem. A klucze zostawił w biurze. Jest taka dziewczyna, mieszka w Huddersfield, pracuje dla niego, miała zapasowy komplet, ale trochę zeszło, zanim się do niej dodzwonił, więc zaczekał u mnie. Otworzyłam butelkę wina i wypiliśmy ją razem. Tylko wtedy

tak naprawdę rozmawialiśmy. Opowiedział mi o żonie. Żałował, że ją zostawił, ale nie rozumiała jego marzeń. - Przerwała i popatrzyła na Taylora. - Marzeń! Wszyscy faceci są tacy sami. Samolubne dupki.

Taylor miał już na końcu języka, że to raczej kobiety bujają w obłokach, ale się nie odezwał.

- Rozumiem, że nie uprzedził pani o swoim wyjeździe?

- Nie. Nie byliśmy bliskimi sąsiadami. Po prostu zauważyłam, że od paru dni go nie widać. - Z tosterka wyskoczyły grzanki. Skinęła głową w stronę gościa. - Zje pan?

Ale Taylor nie miał więcej pytań, a nie wyobrażał sobie przesiadywania przy cudzym stole i kurtuazyjnego paplania o niczym. Takie rzeczy pasowały raczej do Pereza. Podziękował za grzanki i rozmowę. Odprowadziła go do drzwi i zapaliła następnego papierosa.

Na ulicę wysypały się z domów nastolatki i ruszyły w stronę przystanków autobusowych. Ile lat może mieć dziecko Boothy? Ciekawe, czy Jebson odszukała żonę, jeśli w ogóle o niej wiedziała. Na przecinający dolinę wiadukt wjechał pociąg. Słońce paliło już tak mocno, że Taylorowi zrobiło się za ciepło w marynarce.

Jebson zjawiła się punktualnie. Siedział w samochodzie i próbował się skupić na czytaniu gazety kupionej u kioskarza. Kobieta była krępa, miała kruczoczarne włosy i ciemne brwi. Na sto metrów poznał, że to ona, choć nie wiedział po czym. Wsiadł z samochodu i ruszył za nią do domu Boothy. Na progu wyciągnęła z torby pęk kluczy.

- Skąd je pani ma?

- Od Marthy Tyler, asystentki Boothy. Wpadła tu niedawno. Martwiła się, że szef nie wraca. Powiedział, że wyjeżdża tylko na kilka dni. Pomyślała, że może zdarzył się jakiś wypadek.

Typowe kawalerskie gospodarstwo. Dość czyste, ale bez przesady. Moje mieszkanie wygląda podobnie, uznał Taylor. Przeszedł szybko przez dom, zatrzymując się pod drzwiami każdego pomieszczenia i zaglądając do środka. Mała kuchnia, gdzie królowała kuchenka mikrofalowa, pokój dzienny z kanapą i stolikiem na tyle wysokim, żeby móc zjeść przed telewizorem.

- Odnalazła pani żonę? - zapytał.

- Czyją?

Poczuł przypływ zadowolenia. Przyjechał zaledwie godzinę temu, a już trafiła się okazja, żeby pokazać tutejszym, jak wygląda porządna robota.

- Sąsiadka powiedziała, że opuścił żonę i dziecko. Przed paru laty. Panna Tyler nic o tym nie wspomniała? Na pewno pytała ją pani o rodzinę zmarłego.

Jebson wzruszyła ramionami.

- Stwierdziła, że nic bliższego o niej nie wie.

Nagle Taylor miał dość tego ciasnego domku. Był zbyt przygnębiający, za blisko jego własnego domu. Gdyby sam nagle umarł, czy ktoś wiedziałby, gdzie szukać jego rodziny?

- Zostawmy to ekipie poszukiwawczej - powiedział. - Nie będziemy wchodzić im w drogę. Teraz trzeba przede wszystkim sprawdzić rozmowy telefoniczne i maile. Komputer w pracy i domowy. Z jakiegoś powodu wyjechał na Szetlandy. Kogoś tam znał, choć na razie nikt się do tego nie przyznaje. I musiał się z tą osobą kontaktować przed wyjazdem. Sprawdźcie też konto bankowe. Nawet jeśli porzucił żonę i dziecko, to pewnie wspierał ich finansowo. W biurze rachunkowym powinien być jakiś ślad.

- Trzeba to uzgodnić z szefem - odparła. - Zapytać, jak on to widzi. To nie nasze dochodzenie.

- Przecież nie przyślę tu ludzi z Szetlandów...

Znów wzruszyła ramionami.

Dopiero gdy wyszli, zdał sobie sprawę, że źle to rozegrał. Ale całe zapasy słodyczy i uroku zużył na Pereza i jego ekipę.

- Przepraszam - odezwał się po chwili. - Nie powinienem się tak szarogęsić. Ale to trudna sprawa. Chyba sama pani rozumie, że musimy jak najwięcej dowiedzieć się o ofierze, a wy jesteście na miejscu.

- Powtarzam, proszę pogadać z szefem. - Popatrzyła na zegarek. - Martha Tyler powiedziała, że dziś wcześniej przyjdzie do pracy. Powinna już dotrzeć. Na wpół do dziesiątej wezwano mnie do sądu, ale pokażę panu drogę do firmy.



Martha Tyler była już w biurze i piła kawę. Włosy zaplotła w sięgający pasa warkocz. Fryzura wydawała się staromodna i dziwna w zestawieniu z dżinsami i kusą zieloną kamizelką.

Dziewczyna zobaczyła Taylora przechodzącego przez salę

prób i wyszła mu na spotkanie. Wyglądała, jakby nie przespała nocy.

- Nie wiem, co zrobić - powiedziała. - W poniedziałek planowaliśmy wyruszyć w objazd po szkołach. Pojechać?

- Pan Booth miał księgowego? Albo prawnika? Może rozsądnie byłoby sprawdzić z nimi sytuację prawną i finansową.

- Nie wiem. Jestem tutaj na praktykach. - Wróciła do gabinetu, zajęła miejsce za biurkiem i skinęła na Taylora, żeby spoczął na krześle obok. - Już sam fakt, że tu siedzę, jest dziwny. To królestwo Jeremy'ego.

- Proszę mi o nim opowiedzieć. - Zagadnął w stylu Pereza, choć ta metoda doprowadzała go do szalu, bo traciło się mnóstwo czasu, żeby uzyskać odpowiedź na istotne kwestie.

- Był aktorem - zaczęła. - Nie należy o tym zapominać. Cokolwiek mówił, nigdy nie miało się pewności, czy nie gra. Co nie znaczy, że świadomie kłamał. Tyle tylko, że przywiązywał się do własnych wersji wydarzeń. Zabawny i uprzejmy facet, ale zawsze krył się za maską. Nigdy nie było do końca wiadomo, co mu chodzi po głowie.

- Czym się zajmował przed założeniem firmy?

- Chyba grał. Potrafił godzinami wymieniać nazwiska ludzi, z którymi pracował. Może z niektórymi naprawdę występował. Aktorstwo to ciężki kawałek chleba. Nawet jeśli ktoś jest dobry, bez szczęścia daleko nie zajdzie. Najbardziej żał właśnie tych dobrych, ale niedocenionych.

- A wcześniej? Szkoła teatralna?

- Nie wiem. Nie sądzę. Nie miał najlepszego zdania o młodych, którzy zjawiali się tu z aktorskimi dyplomami, ale bez żadnego doświadczenia w prawdziwym teatrze.

- Wspominał coś o swoim życiu prywatnym?

- Nigdy. Tylko o pracy.

- Żadnych związków?

- Pewnie było kilka krótkich szaleństw. Z aktoreczkami, bo za dużo wypily i dały się oczarować jego historyjkom. Lubił się z nimi pokazywać. Pewnie podbudowywał tym swoje ego. Ale te przygody nigdy nie trwały długo.

- W końcu dziewczyny przeglądały na oczy?

- Nie. To on zawsze zrywał. Niektóre durzyły się w nim na amen. Był bardzo miły i miał styl.

Zabrząca komórka. Taylor przeszedł do sali prób, żeby odebrać.

- Sprawę sądową odroczone, więc podzwoniłam tu i tam - odezwała się Jebson. - Sprawdziłam historię zatrudnienia. Od piętnastu lat pracował na własny rachunek. Czekam na informację ze skarbowki o jego dochodach.

- A wcześniej?
- Był nauczycielem. W szkole w Chester.
- Wielkie dzięki.
- I jeszcze jedno. Udało mi się znaleźć żonę.

ROZDZIAŁ 27

Kenny bardzo lubił piątkowe wieczory. Edith w weekendy nie pracowała i kiedy wracała do domu z ośrodka opieki, wiedział, że przez dwa dni będzie miał ją tylko dla siebie.

Dotarła późno, jak często w piątki; wyglądała na zmęczoną i trochę spiętą. Powiedziała, że całe popołudnie spędziła poza ośrodkiem na wizytach domowych. Nieraz wspominała, że krewni sprawiają więcej kłopotów niż pacjenci. Kiedy usłyszał jej samochód, wyjął z lodówki wino. Gdy weszła, pełny kieliszek już na nią czekał. Piątkowy rytuał. Rzuciła torbę na podłogę, zdjęła żakiet, lekko pocałowała męża, po czym wzięła wino i poszła napuścić wodę do wanny. Kolejny rytuał. Kenny słyszał szum płynącej wody. Gdy znów się pojawiła, była dawną Edith - w dzinsach i swetrze, spokojniejsza i zrelaksowana.

Wcześniej tego dnia obdzwoił przyjaciół z prośbą, żeby pomogli mu spędzić owce ze wzgórz na strzyżenie. Na jutro zapowiadała się doskonała pogoda. Ogarniała go radość na myśl o święcie, jakim było strzyżenie. To ono wyznaczało apogeum lata - szli tyralierą przez wzgórza, spychając zwierzęta na wał, żeby potem sprowadzić je na dół do zagrody. Te dni przypominały mu dzieciństwo, kiedy wiele prac wykonywało się wspólnie. Z sympatią wspominał docinki i żarty podczas zawodów, kto pierwszy zetnie strzyżę. Należało pracować rytmicznie, nie kaleczyć zwierząt, żeby jak najszybciej uporać się z pracą. A wieczorem wracali razem do domu na piwo i parę głębszych, czasem urządzali też potańcówki. Do kuchni weszła Edith: zaróżowiona po kąpielii, zawinięta tylko w duży, biały ręcznik. Miała szczupłe ramiona i smukłą szyję. Dopiła wino i nałała sobie kolejną lampkę.

- Tak myślę i nie wiem - mruknęła. - Czy opłaca mi się ubierać?

Na te słowa Kenny poczuł się najszcześliwszym facetem na

świecie.

Później usmażył na grillu złowionego wczoraj czarniaka. Usiadła przy stole, już ubrana, i patrzyła na niego z uwagą, gdy skrobał rybę, odkroił jej głowę, przeciął brzuch i wypatroszył.

- Miałaś w pracy zły dzień? - Wyczuwał w niej napięcie.
- Martwię się o Willy'ego. Z jakiegoś powodu jest okropnie niespokojny, wytracony z równowagi. I miesza mu się w głowie.

- Może dlatego, że Jimmy go przesłuchiwał.
- Nie sądzę. Jimmy zachował się fantastycznie. Umie słu-chać i obszedł się z nim bardzo łagodnie. - Przerwała. - Nie pa-suje mi na policjanta. A tobie?

Kenny pomyślał, że matka Jimmy'ego też czule obchodziła się z ludźmi. Ale nie chciał teraz o niej myśleć ani o tej dziwnej namiętności, która zawładnęła nim tamtego lata, gdy pracował na Fair Isle.

- Dziś po południu odwiedził Willy'ego Peter Wilding - powiedziała nagle Edith.

Kenny stwierdził, że to pewnie wizyta pisarza nękała ją cały wieczór.

- Miło z jego strony.
- Czy ja wiem... Czego on chciał? Męczył i męczył go py-taniami, a Willy tak łatwo się denerwuje.
- Może zamierza opisać staruszka w książce.
- Może, ale wysysa z niego życie jak pasożyt. - Umilkła i Kenny z zaskoczeniem zauważył, że cała drży. - Wilding poch-walił się, że złożył ofertę kupna domu w Bunes - ciągnęła. - Pragnie zostać na Szetlandach, ale dom Willy'ego w Biddista mu nie wystarcza. „Szetlandy są moim natchnieniem”. Tak po-wiedział.

Kenny milczał. Któregoś dnia razem z Martinem William-sonem zabrał Wildinga na ryby. Uznał, że to słaby, niezbyt od-ważny mężczyzna - siedział poblądły i trzymał się kurczowo burty. Nie zmartwiłby się, gdyby pisarz wyniósł się na południe wyspy. Wtedy do domu Willy'ego mogłaby się wprowadzić ja-kaś młoda szetlandzka rodzina. Dobrze byłoby mieć w Biddista więcej dzieci. Alice Williamson, która pewnie czuła się okropnie samotna, przydałoby się towarzystwo.

Edith poszła do ogrodu wykopać do ryby trochę młodych ziemniaków. Przyniosła je w durszlaku, przykryte sałatą. Opłu-kała pod kranem pobrudzone ziemią ręce.

- Chciałabyś, żebym odwiedził Willy'ego? - zapytał, gdy zasiedli do kolacji. - Dawno go nie widziałem. Pogadalibyśmy sobie o starych czasach. Poza tym Willy lubi posłuchać o połowach i o tym, jak sobie radzę na łodzi. Nie wyszę z niego życia. Obiecuję.

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

- Doskonały pomysł. Dobry z ciebie człowiek, mój mężu.

Pokropiła rybę sokiem z ćwiartki cytryny i jadła ją teraz z powagą i namaszczeniem.

Tak robi wszystko, pomyślał.

Po posiłku zapytał, czy nie wybrałaby się na spacer na wzgórze. Czasem szła z nim wieczorem, a on zawsze cieszył się z jej towarzystwa. Miał nadzieję, że przechadzka pomoże jej zapomnieć o kłopotach w pracy. Zawahała się, więc przypuszczał, że da się skusić, ale w końcu pokręciła głową.

- Wolałbym skończyć robótkę dla Ingirid. Na wszelki wypadek.

Córka spodziewała się dziecka, ich pierwszego wnuka. Ma przyjść na świat za dziesięć dni. Edith zamierzała wykorzystać zaległy urlop i polecieć do Aberdeen, gdy tylko zacznie się poród. Robiła dla dziecka chustę. Robótka była niezwykle miśтерна, przypominała ślubny welon z czasów jego dziadków. Kobiety mówiły wtedy, że powinien być tak delikatny, żeby dał się przeciągnąć przez obrączkę.

- Może do niej zadzwonię - ciągnęła Edith. - Zapytam, co słychać.

Kenny to rozumiał. Im bardziej zbliżał się poród, tym mocniej Ingirid tęskniła za domem. Wcześniej nie zauważyli, żeby było jej żal Szetlandów. Na południu miała nowe życie, przyjaciół i mężczyznę. Teraz czasem wieczorami dzwoniła smutna. Edith twierdziła, że to przez hormony, ale Kenny uważał, że córka pewnie chciałaby, żeby dziecko urodziło się na wyspach.

Założył pod drzwiami buty i zawołał Vaila. Zamyślony ruszył ścieżką. Z góry zanurkował wydrzyk, o włos mijając czapkę Kenny'ego. O tej porze roku ptaki są zawsze agresywne, bo mają młode. Ale przywykł do wydrzyków i nawet nie zwolnił kroku. Zawsze stąpał pewnie. Znał wzgórze na pamięć i co dzień szedł tą samą ścieżką. Gdybym miał farbę na podszwach, pomyślał, pewnie nawet po tygodniu ślad byłby tylko jeden, bo zawsze tak samo stawiam kroki.

Wieczór był bezchmurny i tak spokojny, że Kenny'emu zdało się, iż słyszy fale rozbijające się o skały u stóp wzgórza. Pod Herring House stały samochody. W piątkowe popołudnia Martin serwował obiady. Popelnione nieopodal morderstwo najwyraźniej nie odstraszało gości.

Dziś wieczorem przejdę się chyba kawałeczek dalej, stwierdził Kenny. Odstąpię od codziennej rutyny i sprawdzę, ile owiec pasie się nad Wyrwą. A ponieważ znał wzgórze na wylot, znów oddał się rozmyślaniom.

O mały włos nie zdradziłem żony z matką Jimmy'ego Pereza. Trzymałem ją za ręce na białej plaży przy North Haven na wyspie Fair. Wargi miała ciepłe i słonawe. Wyznaliśmy sobie, że się w sobie zakochaliśmy.

Wyrównał oddech. Jak niewiele brakowało, żeby rzucił Edith. Zostawiłby osobę, która teraz jest mu najdroższa na świecie.

Mogłem zostać ojczymem Jimmy'ego Pereza.

Przez wiele lat w ogóle nie myślał o tamtym lecie, ale teraz, po śmierci nieznanego przybysza, Jimmy Perez znów zjawił się w jego życiu i wspomnienia wróciły. Nigdy nie powiedział Edith. Przez krótki czas zastanawiał się, czy powinien, ale po tylu latach nie miało to żadnego znaczenia. Po co sprawiać jej ból?

Doszedł już na sam szczyt wzgórza i stał tuż przy klifie. Powietrza nadal nie poruszał nawet najdrobniejszy wietrzyk i szło się bardzo lekko. Mimo to Kenny dostał lekkiej zadyszki, a w kolanie czuł tępy ból, który pojawiał się od czasu do czasu. Pięć lat temu taki spacerek zabierał mu mniej czasu. Przystanął, żeby popatrzeć na swoją ziemię i choć dobrze znał ten widok, poczuł dumę.

Trawa na wzgórzach była króciutko wygryziona przez owce i króliki. Tu i ówdzie stały kopczyki z kamieni; nie wiedział, czy to twory naturalne, czy pozostałości po jakimś starożytnym ludzie. Wszedł na skalisty most łączący morze z Wyrwą. Wielkie wyżłobienie w klifie ciągnęło się aż do plaży. W dzieciństwie Willy wyjawiał im historię powstania tej dziury. Powiedział, że zrobił ją olbrzym, który zakochał się w szetlandzkiej dziewczynie. Ale ona się go bała, nie wiedziała, że chciał dla niej dobrze, i uciekając, runęła z klifu do morza. Olbrzym z rozpaczy i wściekłości wyrwał kawał skały, a okruchy cisnął do morza, z którego do dziś wystają jak wielkie filary. Kenny'emu

dziura przypominała wydrążone jabłko, ale usychający z miłości olbrzym bardziej przemawiał do dziecięcej wyobraźni. Willy zabawiał swoimi historiami całe pokolenia.

Zbocze rozpadliny nie z każdej strony wyglądało tak samo. O ile od strony morza stanowiło skalny, niemal pionowy klif, z wystającymi gdzieniegdzie półkami, na których gnieździły się trójpalczaste mewy, to od strony lądu opadało łagodniej, porośnięte do samego dna trawą, różową od kwiatów zawciągu i poznaczoną króliczymi tropami. Na dole, w skale od strony morza, wyżłobiony był tunel prowadzący na plażę. Przy wysokiej wodzie morze wdzierało się tamtędy, skłębione i spienione, rozpylając się i plując wodą niemal na sam szczyt. W dzieciństwie często bawili się nad Wyrwą, zjeżdżali trawiastym stokiem, od czego mieli poplamione na zielono spodnie i ubłocone kolana. Ale nigdy w czasie przyływu. Potem kładli się na brzuchach i gapili w dziurę.

Teraz spojrział w nią i zobaczył, że jakimś sposobem znalazła się tam owca. Utkwiła w potrzasku na półce, za głupia, żeby po prostu się odwrócić i wejść na górę. Czasami myślał, że owce to najdurniejsze istoty na świecie. Runo miała grube i potargane, tak ciężkie, że niemal odpadało od jej boków. Jutro powinna zostać ostrzyżona wraz z innymi.

Zaczął powoli opuszczać się po zboczu. Spróbuje się tam dostać i nakłonić ją do powrotu. Choć trawa była dość sucha, stopy się na niej ślizgały; na szczęście duże kępy zawciągu stanowiły dobry punkt oparcia. Nagle Kenny poczuł się niewytłumaczalnie szczęśliwy. Zapomniał o bólu w kolanie. Pogoda piękna, a przed nim jeszcze całe dwa dni w domu z Edith. I nadal umiał zejść do Wyrwy jak za chłopięcych czasów. Poruszał się wolno, żeby nie spłoszyć owcy. Dobrze wiedział, że jeśli zjeździe niżej, za żadne skarby nie zdoła sprowadzić jej na górę. Stał już za nią, na tej samej półce, z wyciągniętymi ramionami, żeby mu nie umknęła.

- No dalej, mała, no już.

Nagle ruszyła, nie po ścieżce, ale prosto pod górę, jakimś cudem znajdując w trawie punkty oparcia. Widział tylko jej ubłocony zadek i zwisające loki runa. Dotarła na szczyt i zniknęła mu z oczu.

Przystanął i spojrział w rozpadlinę. Pograżona była w cieniu, bo słońce stało już za nisko, żeby sięgnąć w czeluść. Zaledwie garstka ludzi na świecie znała ten widok. Z dzieci w Biddista

mieszkała teraz tylko Alice Williamson, ale rodzina nie pozwalała jej bawić się samej na wzgórzach. Martin i Dawn dostaliby chyba zawału, gdyby tu zeszła, choć Bella miała niewiele więcej lat od Alice, kiedy zrobiła to po raz pierwszy. Była równie lekkomyślna jak chłopcy. Dojrzał naniesione przez przypyływy ogromne otoczaki w kałużach słonej wody zostawionej przez odpływ.

A potem wśród szarości kamieni zobaczył kolorową plamę. Ponieważ przed chwilą myślał o Alice Williamson, przez krótką straszną chwilę podejrzewał, że to ona. Może jednak wymknęła się spod kontroli rodziców, wbiegła na wzgórze, straciła równowagę i runęła w dół. Oczami duszy zobaczył, jak mała stacza się po stoku, uderza głową o głaz i jej czaszka rozłupuje się jak skorupka jajka.

Ale to raczej nie dziecko. Kształt jest za duży. Oczy płatają mu chyba figla.

Edith ciągle mu powtarza, że powinien nosić okulary, i sam też dobrze o tym wiedział. Nie może być taki dumny. Dobrze by zrobił, gdyby w końcu wybrał się do Lerwick zbadać wzrok. Nie, to chyba niebieski plastikowy worek po nawozie. Kusilo go, żeby się odwrócić i ruszyć w górę, gdzie na trawie czekał na niego pies.

Rozmyślając, ześlizgiwał się niżej. W rozpadlinę docierało coraz mniej światła. Poczul zapach gnijących morskich wodorostów.

Roddy Sinclair nie żył. Kenny mógł to stwierdzić i bez okularów. Ciało leżało dziwnie skrzycone, z głową roztrzaskaną o kamień, niemal dokładnie tak, jak podpowiedziała mu nękana strachem wyobraźnia, gdy pomyślał, że to Alice Williamson. Wiedział, że musi jak najszybciej wrócić na górę, dotrzeć do domu i zadzwonić do Jimmy'ego Pereza. Ale jak? Nogi miał miękkie i czuł się strasznie wyczerpany. W końcu jednak przeżalenie ogarniające go na myśl o bliskości roztrzaskanego ciała pomogło mu wdrapać się na górę.

ROZDZIAŁ 28

Perez spędził dzień w Lerwick. Sfrustrowany usiłował za pomocą telefonów i maili prześledzić posunięcia Bootha po jego przybyciu na Szetlandy. W centrum koordynacyjnym było duszno i nieznośnie gorąco, i choć identyfikacja ofiary nadała wreszcie impet śledztwu, późnym popołudniem uznał, że niewiele udało się osiągnąć. Po pracy wyruszył do Ravenswick, do domu Fran. Nie zapowiedział swojej wizyty i czuł się żenująco podenerwowany. Cały dzień nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy Fran, i jak zwykle zamartwiał się, że nie dorasta do jej oczekiwań.

Cassie siedziała przy stole kuchennym i czytała podręcznik. Marszczyła w skupieniu brwi. Na policzku miała smugę farby. W miarę jak dorastała, coraz bardziej przypominała matkę. Stała się nieśmiała w progach, niepewna, czy się nie narzuca, nie chcąc popełnić gafy.

- Przyszedłem nie w porę?
- Ależ skąd. - Fran odsunęła się, żeby go wpuścić. - Herbatki? Piwa?

Usiadł obok Cassie i zapytał, co słychać w szkole, ale nie mógł się opędzić od myśli, że Fran też wydaje się trochę nie-swoja. Zawsze uważał ją za pewną siebie i zastanawiał się, dlaczego jest zdenerwowana. Wstawiła wodę, po czym oznajmiła Cassie, że na dzisiaj dość nauki. Pozwoliła córce obejrzeć film.

Gdy Cassie zasiadła przed telewizorem, wyszli z drinkami na dwór.

- Znamy już tożsamość ofiary morderstwa - po wiedział Perez. - Jutro podadzą to w wiadomościach. Chciałem, żebyś wiedziała. To aktor. Jeremy Booth.

Pokręciła głową.

- Nic mi nie mówi to nazwisko.
- Pochodził z Yorkshire.
- Przykro mi. Chyba o nim nie słyszałam.

Siedzieli, milcząc. Na wzgórzu za nimi nawoływał kulik.

- Spotkałam się dziś na lunchu z Peterem Wildingiem - wyznała w końcu. Przekreślała w dłoniach kubek z herbatą.

Pewnie dlatego jest taka spięta, pomyślał Perez. Nie wiedział, jak zareagować, i w końcu wcale się nie odezwał.

- Planuje osiedlić się na Szetlandach. Złożył ofertę kupna domu w Bunes. Na dużej działce tuż przy plaży.

- Bardzo przyjemny domek. - Wyczuł, że Fran oczekuje czegoś więcej, więc dodał: - Trzeba będzie się napracować, żeby doprowadzić go do stanu używalności. - W głowie buzowały mu pytania. Przede wszystkim: dlaczego poszła na lunch z Wildingiem? A może to nie jego sprawa.

- Nie bardzo wiem, dlaczego poprosił mnie o spotkanie. Myślę, że chyba miał nadzieję dowiedzieć się czegoś o śledztwie. Tak to wyglądało.

- Podoba mu się twoje malarstwo. Może o to chodziło?

Uśmiechnęła się szeroko.

- Może. Ale kryło się za tym coś więcej. Natarczywie zadawał pytania.

- Sądzisz, że mógł się przyczynić do śmierci Bootha?

- Nie - zaprzeczyła szybko. - Tego nie powiedziałam. To pisarz. Jest ciekawski z natury. Pewnie nic więcej.

Perezowi przemknęło przez myśl, że bardzo by się ucieszył, gdyby Wilding okazał się mordercą. Nie zachwycało go, że facet zamieszka w Bunes, tak niedaleko Fran. Ale wiedział, że to niebezpieczny sposób myślenia. Jeśli w dochodzeniu miało się z góry upatrzony wynik, traciło się perspektywę, gonilo za nieistniejącymi cieniami, pomijając inne scenariusze.

- Jadłeś już? - zapytała. - Jeśli zaczekasz, aż położę Cassie do łóżka, przygotuję nam kolację.

- Chętnie bym coś przegryzł.

Właśnie siedzieli przy stole, gdy zadzwonił telefon - stacjonarny, więc Perez nie przypuszczał, że do niego. Fran poszła odebrać, a on pokroił chleb i nałożył sobie sałatki. Ze zmarszczonymi brwiami podała mu słuchawkę.

- Sandy. Do ciebie.

To był Sandy w swoim najgorszym wydaniu. Infantylny. Zadużany.

- Próbowałem złapać cię w domu, szefie. I nie mogłem się dodzwonić na twoją komórkę. Pomyślałem, że może znajdzie cię u pani Hunter.

- O co chodzi?
- Fran stroiła do niego głupie miny.
- Mamy kolejnego trupa. - Sandy przerwał. Widocznie postanowił dozować napięcie.
- Kto?
- Roddy Sinclair. Kenny Thomson znalazł go na dole Wy-rwy. Wysłałem Roberta, nowego posterunkowego z Whiteness, żeby to potwierdził. Ale to Sinclair bez dwóch zdań. Mógł zdarzyć się wypadek.
- Dziwny zbieg okoliczności. - Perezowi przypomniało się wrażenie, że Roddy chciał mu coś wyznać, i był pewien, że to nie wypadek. Pamiętał też spacer z chłopakiem tamtego po-ranka, kiedy znaleziono ciało Bootha. Roddy dorastał w Biddi-sta. Tutejsi nie spadają ze skał. Przed oczami stanął mu obraz, jak chłopak gra na skrzypcach na wernisażu w Herring House, tańcząc w promieniach zachodzącego słońca. Giętki i zwinny jak dzikie koty zamieszkujące klify. Polubił chłopaka i ogarnęło go poczucie straty.
- Bella już wie?
- Jeszcze nie - odparł Sandy. - Uznałem, że lepiej najpierw skontaktuję się z tobą.
- To dobrze, sam jej powiem. - Bella uwielbiała bratanka. Jego śmierć będzie dla niej ciosem. Zrobiło mu się żal, ale skupił się na obowiązkach. Bella kręciła od samego początku śledz-twa. Może wstrząs wywołany śmiercią pupila skłoni ją wreszcie do mówienia.
- No to niech się szef pośpieszy. Wiadomo, jak tu błyska-wicznie roznoszą się wieści.
- Nie sądzę, żeby Kenny do niej zadzwonił. Nie są z Bellą w bliskich stosunkach, poza tym nie jest gadułą. Ale nie wysyłaj nikogo na wzgórze, zanim z nią nie porozmawiam. Każ ludziom zaczekać.
- Poleciałem Kenny'emu, żeby zatrzymał wiadomość dla siebie. - Sandy zdawał się niesłychanie dumny, że o tym pomy-słał.
- Perez się uśmiechnął.
- Dobrze. Doskonale - pochwalił chłopaka.
- Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do pana Taylora. Będzie wściekły, że utknął w Anglii, gdy tu dzieją się takie rze-czy.
- Ano - przyznał Perez. - Chyba by nie zaszkodziło.

Fran zaczęła jeść, ale zastygła z uniesionym widelcem.

- Musisz jechać, prawda? I pewnie nie możesz mi zdradzić, co się stało.

- Zginął Roddy Sinclair. Kenny Thomson znalazł go w Wyrwie.

- Biedna Bella! - Fran miała łzy w oczach. - Kocha Roddy'ego jak syna.

- Jadę na plebanię. Mogę powiedzieć Belli, że jesteś, gdyby potrzebowała twój towarzystwa? Wiem, że urodziła się i wychowała na Szetlandach, ale chyba nie ma tu wielu przyjaciół.

- Oczywiście.

Poznał, że jest zadowolona, że tyle jej powiedział. Już chciał ją ostrzec, żeby nic nie mówiła Wildingowi, ale w porę się powstrzymał.

- Roddy tryskał życiem. - Pokręciła głową. - Żywe srebro. Trudno sobie wyobrazić, że nie żyje. - Przerwała. - Kolejna śmierć. Co się tutaj dzieje? Prasa dostanie kociokwiku. Był gwiazdą, na południu też. Zjadą się tu zastępy dziennikarzy.

Perez pomyślał, że miejscowi też zaczną się niecierpliwic. Roddy pochodził z Szetlandów. Reprezentował je przed światem. Ludzie zażądają natychmiastowego znalezienia zabójcy. Tu już nie chodziło o obcego Anglika zwisającego z krokwi.

- Jimmy?

Odwrócił się od progu.

- To nie wypadek, prawda?

- Nie. Nie sądzę.

- Samobójstwo? Zabił Anglika i przestraszył się konsekwencji?

- Może. - Przypomniał sobie, jak Roddy stał na szczycie klifu, z ramionami rozłożonymi jak skrzydła głuptaka. Chłopak lubił wielkie gesty. Rzucić się z klifu, zabić się, wzlatując w powietrze. Pofrunąć. Ale do tego trzeba publiczności. Inaczej nie ma przedstawienia.

- Przyjeźdź, kiedy skończysz pracę - poprosiła. - Nawet późno. Jeśli będziesz chciał.

Bella siedziała na tarasie przy stole z kutego żelaza. Światło było rozproszone, mleczone i Perez uświadomił sobie, że już dziesiąta. Na stole leżała otwarta książka, ale Bella nie czytała. Może przysnęła. Obok książki stała duża lampka wina i w połowie opróżniona butelka.

- Jimmy! - Otworzyła oczy. - Śliczny wieczór, prawda? Taki spokojny. Nieczęsto można tu posiedzieć na dworze. Napij się ze mną!

Usiadł na murku.

- Kiedy ostatnio widziałas Roddy'ego?

- W porze obiadu. Zrobił rezerwację na ostatni lot na południe. Planował wyjechać wczoraj, ale wiesz, jacy są młodzi. Czas nie gra dla nich roli. Jakby mieli przed sobą wieczność. Myślałam, że zadzwoni, ale widocznie spotkał jakichś przyjaciół.

Perez pomyślał, że nie ma sposobu, żeby Bellę nie zabolalo to, co ma jej do powiedzenia. Gdyby sam stracił bliską osobę, wołałby, żeby przekazano mu tę wiadomość jak najprościej. Bez komunałów i uników.

- Roddy nie żyje, Bello. Jego ciało znaleziono dziś wieczorem w Wyrwie.

Jej oczy się rozszerzyły.

- Nie. Nie - zaprzeczyła. - To pomyłka. Dzisiaj poleciał.

- Odwiozłaś go do Sumburgh?

- Po południu musiałam być w Lerwick. Pojechał sam.

- Samochodem?

Przystanęła, a potem z kieliszkiem w ręce zaczęła przemierzać taras.

- Sądziłam, że tak właśnie zrobi, ale po powrocie zobaczyłam jego auto, więc uznałam, że podwiózł go jakiś znajomy.

- Mogę zajrzeć do samochodu?

- Oczywiście.

Jest pewna, że to ona ma rację, zauważył Perez. Bella Sinclair nie zwykła przyznawać się do pomyłek. Wmówiła sobie, że Roddy siedzi w barze w Aberdeen, otoczony gronem wielbicieli. Dlatego do niej nie zadzwonił i nie dał znać, że bezpiecznie doleciał.

Samochód, stary, odrestaurowany garbus, prawdopodobnie kosztował więcej niż nowy Pereza. Był otwarty. W bagażniku stały walizki zapakowane pewnie poprzedniego dnia, kiedy to nagle Roddy poczuł, że ma wszystkiego dość, i poszedł odwiedzić grób ojca. Na wierzchu leżały skrzypce. Perez usłyszał za sobą kroki Belli, potem gardłowy krzyk, tak cichy, jakby tylko próbowała złapać oddech.

- Więc to prawda - wymamrotała. - Nie żyje. Nigdy nie zostawiłby swoich skrzypiec. - Skrzyżowała ramiona, zgięła się

w pół i zaczęła płakać.

Perez zaprowadził ją do kuchni. Panował tu półmrok. Usiadła na ciemnej drewnianej ławce. Wydawała się mała i bardzo wątła, jak dziecko w szkółce niedzielnej.

- Co tu się dzieje, Bello? Głupi dowcip na otwarcie wystawy to jedno, ale teraz zginął Roddy. Kto aż tak cię nienawidzi?

Odsunęła dłonie od twarzy i zobaczył duże oczy, czerwone i mokre od łez.

- Nie wiem - szepnęła. - Naprawdę nie wiem.

Został z Bellą do czasu, dopóki z Lerwick nie przyjechała Morag, żeby z nią posiedzieć. Artystka odmówiła odpowiedzi na pytania.

- Powiedziałam ci, Jimmy. Nic nie wiem.

- Jeśli chcesz, zawiozę cię do Fran - zaproponował.

- Wolę zostać tutaj.

Poczuł się rozczarowany. Miał nadzieję, że może Fran dopuści do swoich tajemnic.

Kiedy wszedł na wzgórze, najbardziej szara pora nocy już mijała i słońce znów zaczynało wylaniać się zza horyzontu. Świt. Opuszczając dom Belli, usłyszał w ogrodzie śpiew strzyżyka. Jego ludziom udało się wjechać land roverem nad samą krawędź klifu i już z daleka widział ich sylwetki nad skrajem rozpadliny. Liczył na to, że nie będzie musiał iść na dół. W końcu to miejsce zbrodni. Nie wolno zacierać śladów. Co prawda zejście wydawało mu się mniej przerażające niż stanie nad krawędzią, w otoczeniu bezmiaru przestrzeni i powietrza, ale mimo to chętnie by tego uniknął.

Sandy rozmawiał z młodym lekarzem, tym samym, który uznał, że Bootha zamordowano. Zamachał, widząc zbliżającego się Pereza.

- Wezwałem straż przybrzeżną, żeby pomogli nam wydstać ciało - zameldował. - W porządku?

Perez usiłował nie okazać zaskoczenia inicjatywą Sandy'ego.

- Jasne, niech tylko najpierw skończą.

- Zszedłem do rozpadliny z lekarzem - oznajmił Sandy. - I znalazłem to. Owinąłem folią, żeby nie zostawić odcisków palców, ale leżała w żlebie schodzącym do morza i pomyślałem, że może zmyje ją woda. - Popatrzył z niepokojem na Pereza niepewny, czy nie dostanie reprymendy za ruszanie dowodów.

- Też bym tak zrobił.

Sandy trzymał czarną skórzaną torbę, dokładnie taką, jaką według opisu Stuarta Leaska miał ze sobą Jeremy Booth.

- I co szef na to?

- Myślę, że ktoś zabił Bootha, upozorował samobójstwo, potem zrzucił torbę na dół w nadziei, że go nie zidentyfikujemy.

- A Sinclair?

- Mógł być mordercą. Schodził na dół, żeby zabrać torbę albo lepiej ją schować, i spadł.

- Ale szef w to nie wierzy?

- Nie. Myślę, że morderca się z nim tu umówił. Roddy lubił stawać na krawędzi. Nietrudno było go zepchnąć. Nie wiem, dlaczego musiał zginąć. Pewnie wiedział coś o morderstwie Bootha. Tak to widzę. - Stał przez chwilę cicho, wyobrażając sobie, jakie to wrażenie. Poczucie popchnięcie, uświadomić sobie w panice, że nie ma czego się chwycić, potem lecieć, oczekując plaśnięcia o ziemię. Zobaczył, że Sandy wpatruje się w niego. - Teraz trzeba jeszcze tego dowieść.

ROZDZIAŁ 29

Roy Taylor ze Stellą Jebson poszli złożyć wizytę żonie Jeremy'ego Bootha. Kobieta mieszkała w Wirral, daleko od rewiru Jebson, ale detektyw chciała pojechać z Taylorem. Może podobnie jak ich wszystkich, zaintrygował ją ten mężczyzna, który z niewyjaśnionych powodów zginął tak daleko od domu. Pewnie pragnęła poznać rozwiązanie zagadki.

- Oddzwonili ludzie z urzędu skarbowego - poinformowała. - Jeśli wierzyć zeznaniom podatkowym Bootha, jego interes był bliski bankructwa.

Trzeba się temu przyjrzeć, pomyślał Taylor. Wprawdzie to stara sztuczka, że ludzie pracujący na własny rachunek przyznają się do ułamka swoich dochodów, jeśli jednak Booth nie miał pieniędzy, po co pojechał na Szetlandy, zostawiając biznes pod opieką studentki?

Miał nadzieję zarobić na wyspach?

Taylor był już kiedyś w Wirral. Jako małe dziecko, jeszcze z matką, zanim uciekła z kochasiem do północnej Walii. Wybierali się na wycieczki na wybrzeże do Hoylake i West Kirby, szczęśliwy okres. Pikniki i lody, łowienie ryb w skalnych sadzawkach małymi siatkami na bambusowym kijku. Ojciec nigdy z nimi nie jeździł. Taylor nie przyznał się Jebson do swoich myśli. Nie ma nic równie nudnego jak cudze wspomnienia.

Żona Bootha, Amanda, wyszła powtórnie za mąż za niejakiego Stapletona, nauczyciela. Taylor nie bardzo wierzył, że podróż okaże się warta zachodu. Booth porzucił Amandę dawno temu. Dlaczego po tylu latach kobieta miałaby angażować się w dochodzenie? Ale Booth opuścił dom nagle i na zawsze. Całkowicie zmienił swoje życie i zerwał wszelkie kontakty z dzieckiem. Taylor dobrze wiedział, co to rodzinna udręka, że urazy rosną z czasem. Ciekawe dlaczego stosunki urwały się tak dramatycznie?

Rodzina mieszkała w przyjemnym budynku z lat pięćdziesiątych niedaleko Arrowe Park Hospital. Na cichej, prostej, wysadzonej drzewami uliczce bliźniaczych domów. Dobre miejsce, żeby się zaszyć, stwierdził Taylor. Gdy parkowali, zauważył, że ich przyjazd nie umknął uwadze kobiety pracującej w ogrodzie naprzeciwko. Więc jednak nie tak łatwo się tu ukryć.

Był już wczesny wieczór, mimo to Amanda Stapleton siedziała w domu sama. Wydawała się z tej samej epoki co dom. Spokojna blondynka w letniej sukience bez rękawów i sandałach przywodziła Taylorowi na myśl kobiety w obszernych spódnicach i z trwałą ondulacją. Jego matka uwielbiała stare filmy, całymi popołudniami oglądała je w telewizji. Amanda z powodzeniem mogłaby zagrać w nich drugoplanową rolę.

- Dziękujemy, że zechciała pani się z nami spotkać - zaczęła. - Mamy nadzieję, że nie przeszkadzamy.

- I tak jestem w domu - odparła. - Czasem myślę, że powinnam poszukać pracy, skoro dzieci już podrosły, ale uwielbiam czekać, aż wrócą ze szkoły. John awansował w zeszłym roku na wicedyrektora, więc możemy sobie na to pozwolić.

Wiedziała o śmierci Bootha, ale nie wydawała się nią poruszona. Taylor zastanawiał się, czy sama podejmie temat. Zaprosiła ich do salonu na tyłach domu. Drzwi wychodziły na ogród.

- Zaparzę herbatę, dobrze?

Wróciła z tacą - talerz domowych ciasteczek, dzbanek z herbatą, dzbanuszek mleka i cukierniczka.

- Chłopcy trenują dziś wieczorem krykieta - wyjaśniła. - John odbierze ich po pracy. Zwykle nie jest tu tak spokojnie.

- A córka?

- Och, Ruthie sama wraca do domu. Chodzi do ostatniej klasy. Jest już prawie dorosła, w każdym razie tak sądzi. Niedługo się pojawi. Jeszcze nie słyszała, że jej ojciec nie żyje. Nie wiem, jak to przyjmie. - Usiadła na krześle, postawiła spodek z filiżanką na kolanie, nogi grzecznie skrzyżowała w kostkach. - Nie widziałam Jeremy'ego od chwili, gdy opuścił dom w środku nocy ponad szesnaście lat temu. Spakował się w jedną walizkę. Zostawił mnie z córką. I liścikiem, z którego dowiedziałam się, że bardzo mu przykro, ale nie tak wyobrażał sobie życie. - Podniosła na nich wzrok. - Nie oczekujcie, że będę po nim rozpaczając.

- Nie uprzedził pani, że odchodzi?

- Ani słowem.

- Miał inną kobietę?
- Nie wspominał o tym w liście. Ale to możliwe. Cóż, uchodził za atrakcyjnego mężczyznę. Przecież w końcu się w nim zakochałam. - Umilkła. - Był miłością mojego życia.

Taylor nie wiedział, gdzie ukryć spojrzenie. Poczuł, że poczerwieniał ze wstydu. Nie cierpiał, gdy ludzie zdradzali swoje uczucia, a ta kobieta wydawała się tak opanowana, że w ogóle się nie spodziewał po niej takich zwierzeń.

Jebson pochyliła się ku Amandzie.

- Niech nam pani opowie o Jeremym - poprosiła. - Nie spotkaliśmy nikogo, kto by go naprawdę znał.
- Nie jestem pewna, czy zdołam wam pomóc. Nie wiem, czy sam Jeremy znał siebie. Żył marzeniami i fantazjami. Grał we własnych sztukach. Oczywiście w myślach. Nic, tylko iluzje. - Zapatrzyła się na nieskazitelnie utrzymany ogród. - Bardzo to lubił. Być w centrum uwagi.

- Jak się poznaliście?

- W pracy. On uczył angielskiego, a ja prowadziłam zajęcia praktyczno-techniczne. Co w sumie nieźle nas podsumowuje. Ja byłam od rzeczy przyziemnych, on żył iluzją i słowami. Porwał mnie nimi. W wolnym czasie prowadził kółko teatralne. Kochał teatr. Za studenckich czasów dużo grał, dostał się nawet do londyńskiej szkoły dramatu, ale nie udało mu się zdobyć stypendium, więc jej nie skończył. Był z tego powodu bardzo rozgoryczony.

- Nie zdołaliśmy odszukać żadnej rodziny. Zna pani kogoś, kogo powinniśmy poinformować o jego śmierci?

Pokręciła głową.

- Jedynek. Bardzo typowy: rozpuszczony jak dziadowski bicz i przyzwyczajony do stawiania na swoim. Jego rodzice byli już dość starzy, gdy się pobieraliśmy. Teraz pewnie nie żyją.

Taylor czuł, że traci kontrolę nad rozmową. Przywiózł Jebson w charakterze obserwatora, nie po to, żeby przejęła jego obowiązki.

- A zatem nie widziała pani Bootha po tym, jak szesnaście lat temu wyjechał - wtrącił. - Kontaktowaliście się ze sobą?

- Płacił alimenty na Ruth. Niewielkie. Nigdy nie miał stałej pracy. Po tym, jak założył tę edukacyjną spółkę, wiodło mu się trochę lepiej. Nie chciałam handryczyć się o pieniądze i nie kontaktowaliśmy się bezpośrednio. Zachowywał się, jakby wołał o nas zapomnieć.

- Próbowała go pani odnaleźć po jego zniknięciu?
- Oczywiście! Bardzo go kochałam. Ale pracę w szkole też rzucił. Po prostu odszedł. Bez wypowiedzenia, bez prośby o referencje. Myślałam, że może przechodzi kryzys, szukałam po szpitalach psychiatrycznych, na policji, w przytułkach. Wyobrażałam sobie, że śpi na ulicy albo w jakimś okropnym hotelu.

- Dowiedziała się pani, dokąd uciekł?

- Do mamusi i tatusia. - Jej słowa zabrzmiały gorzko. - Nieźle, co? Zwiął do domu jak wystraszony dzieciak. Oczywiście zadzwoniłam do nich, ale powiedzieli, że nie mieli od niego wiadomości. Namówił ich, żeby skłamali.

- I naprawdę nie zdarzyło się nic takiego, co przyspieszyło jego odejście?

- Narodziny Ruth. Wtedy wszystko zaczęło się zmieniać.

Umilkła i Taylor czekał, kiedy kobieta rozwinie wątek. Jebson chyba wyczuła jego zniecierpliwienie, bo wtrąciła się z pytaniem. Jak na taką dużą, niezgrabną osobę glos miała bardzo łagodny.

- Co zaczęło się zmieniać, pani Stapleton?

- Nie wiem, czego się spodziewał. Bardzo się cieszył, gdy się dowiedział, że jestem w ciąży. Może jakiejś rodzinnej sielanki. Dziecka, które będzie go uwielbiało. Zapewne nie pieluch i płaczu, i powrotów do wyczerpanej żony z wymaganiami. A poza tym Ruth nie odpowiadała jego wyobrażeniom.

- To znaczy?

- Urodziła się z rozszczepem podniebienia. Teraz nikt by nie poznał. Jest piękną dziewczyną. Ale wtedy bez przerwy dośtawała napadów bezdechu. Była małym, brzydkim potworkiem. Chyba go odrzucała. I wzbudzała odrazę do samego siebie, że w taki sposób to odczuwa. Może to o wszystkim zdecydowało. Nie umiał stawić czoła rzeczywistości, tym razem nie udało mu się wymyślić stosownej fabuły, którą mógłby się otulić. Więc po prostu zwiął. Udawał, że w ogóle się nie urodziła.

- Przychodzi pani do głowy ktoś, kto chciałby go zabić?

- Sama pewnie bym go zabiła. Gdybym go wytropiła w domu rodziców. Gdybym go tam dorwała, gdy u nich przeczekiwał, podczas gdy ja musiałam się zmagać ze wszystkimi problemami.

- Miał jakąś rodzinę czy znajomych na Szetlandach?

- Rodziny nie. Znajomych też nie. Chyba że poznał ich już

po naszym rozstaniu.

Zaproponowała im kolejną herbatę, częstowała ciasteczkami, uśmiechając się, by pokazać, że już ją to nie boli. W drzwiach zazgrzytał klucz.

- Cześć, mammo.

- Może wyjdziemy, żeby porozmawiała pani z córką na osobności - zaproponował Taylor.

- Nie. Odpowiedz na jej pytania lepiej ode mnie.

Ruth rzeczywiście okazała się piękną dziewczyną. O ciemnych włosach, pełnej piersi i wspaniałym uśmiechu. Stała w drzwiach i patrzyła na nich. W dżinsach i luźnej białej bluzce wyglądała bardzo zgrabnie. Pewnie ciekawiło ją, kim są, ale z uprzejmości nie pytała.

- Państwo z policji - wyjaśniła Amanda Stapleton. - Mają wiadomości o twoim ojcu.

Ruth popatrzyła na nich przerażona.

- Co z nim? Zrobił coś złego?

Stella Jebson podeszła do dziewczyny.

- Usiądź, proszę. Mamy złe wieści.

Ruth przysiadła na poręczy najbliższego krzesła.

- Co się stało?

- Twój ojciec nie żyje - wyjaśniła Jebson. Widocznie uznała, że Amandzie niełatwo przyjdzie wypowiedzieć te słowa. - Bardzo mi przykro, skarbie.

- Dlaczego umarł? Chorował?

- Został zamordowany. Jesteśmy tu, bo próbujemy się dowiedzieć, kto to zrobił.

Dziewczyna zaczęła szlochać, łapczywie połykając powietrze. Nie wiadomo, czy pod wpływem żalu, czy szoku. Taylor pomyślał, że to trochę przesadna reakcja, biorąc pod uwagę, że Ruth nie widziała ojca od urodzenia. Ale taki już urok nastolatki. Mają skłonność do dramatyzowania. Matka wstała i niezgrabnie wzięła córkę w ramiona, przytuliła do siebie i pogłaskała po włosach.

- Powiedziałam już państwu, że w niczym nie możesz pomóc - mówiła czule. - Ale prosiłam, żeby poczekali na wypadek, gdybyś zamierzała o coś zapytać.

Taylor znów poczuł się zażenowany tym nieskrępowanym okazywaniem uczuć.

- Pójdziemy już - oznajmił. - Zostawię swój numer. Proszę zadzwonić, jeśli coś się paniom przypomni.

Stali już przy samochodzie, gdy z domu wybiegła do nich Ruth. W oknie dojrżeli sylwetkę Amandy.

- Chciałabym porozmawiać - wysapała dziewczyna. Oczy miała bardzo czerwone. - Ale nie tutaj. Nie przy matce.

- Więc gdzie?

- Przy głównej ulicy w Heswall jest kawiarnia. Otwarta do siódmej. Przyjdę tam za godzinę. Powiem mamie, że umówiłam się z chłopakiem.

Snucie się po Wirral przez kolejną godzinę nie było czymś, o czym Taylor szczególnie marzył, ale nie potrafił odmówić Ruth - prosiła tak żarliwie.

Dziewczyna zjawiła się dziesięć minut po czasie, znękana i mizerna. Kawiarnia należała do sieci, wszystkie były podobne: brązowe skórzane kanapy, sącząca się z głośników mdła muzyka i syczenie ekspresów. Taylor wstał, żeby kupić Ruth kawę. Gdy wrócił z cappuccino, zastał ją zatopioną w rozmowie z Jebson.

- Ruth widziała się ostatnio z ojcem - poinformowała Jebson. - To chciała nam przekazać.

- Dlaczego się z tobą skontaktował? - zapytał Taylor.

- Nie on. To ja go znalazłam.

- Jak?

- Interact, jego zespół teatralny, występował w mojej szkole. Akcja antynarkotykowa. Wiecie, o co mi chodzi. Ojciec nie grał, ale na plakatach zobaczyłam jego nazwisko i numer telefonu. Wiedziałam, że zajął się teatrem. Przypuszczałam, że to pewnie tylko zbieg okoliczności, ale i tak zadzwoniłam. Zebrałam się na odwagę któregoś wolnego popołudnia, kiedy zostałam sama w domu. Matce nie wspomniałam o tym ani słowem. Bałam się, że się wścieknie. Martwiłaby się, że ojciec mnie odrzuci... I nie chciałam sprawić bólu Johnowi, mojemu ojczymowi. Bardzo go kocham.

- I co mu powiedziałaś? - Jebson wydawała się autentycznie zaintrygowana.

- „Myślę, że jest pan moim ojcem”. Coś w tym stylu. Uznałam, że im prościej, tym lepiej.

- Ucieszył się?

- To chyba nim wstrząsnęło, ale tak, stwierdził, że się cieszy. Gadaliśmy bardzo długo. To połączenie kosztowało mnie fortunę. Dzwoniłam ze swojej komórki, a on nie wpadł na to, żeby oddzwonić. Cały tata.

- O czym rozmawialiście?
- Och, no wiecie, o tym, co u nas słychać. Czym się zajmuje tata. Gdzie chodzę do szkoły. Plany na przyszłość, takie tam.
- I jakie miał plany na przyszłość? - podchwycił Taylor.
- Powiedział, że wyjeżdża. Na Szetlandy. Zapytał, czy tam byłam. Hmm... szczerze mówiąc, nawet nie bardzo wiedziałam, gdzie leżą. Później obejrzałam wyspy w komputerze. Mówił, że są piękne. Bardzo ponure, ale piękne. Nie mógł się doczekać, kiedy tam wróci.
- Zdradził ci, po co tam jedzie?
- Głównie w interesach. Miał coś zrobić. Nie całkiem to, czym zwykle się zajmował, ale nadarzała się okazja, żeby spotkać starych znajomych.
- Wspomniał ich nazwiska?
- Raczej nie. Zresztą i tak bym nie zapamiętała. - Do tej pory bardzo szybko odpowiadała na pytania Taylora, ale teraz się zawahała. - Umówiliśmy się na spotkanie. Obiecał do mnie przyjechać po powrocie. Powiedział, że chciałby się zrehabilitować jako ojciec, pomóc mi w realizacji planów. - Podniosła wzrok i uśmiechnęła się. - To tyle. Wysłałam mu mailem swoje zdjęcie. A jego fotografię znalazłam na stronie internetowej. Dziwnie było w końcu go zobaczyć, po tych wszystkich latach wyobrażania sobie, jak wygląda. Jesteśmy chyba podobni do siebie, prawda? Można poznać, że to mój ojciec. - Przerwała. - Kilka dni temu zadzwoniłam do jego domu. Pomyślałam, że powinien już wrócić. Odebrała jakaś kobieta.



W drodze powrotnej do Yorkshire Taylor odebrał telefon od Sandy'ego Wilsona, który poinformował, że zginęła kolejna osoba. Wysadził Jebson w Huddersfield i ruszył na północ. Podniekowany tym, że znów się coś dzieje, ale wściekły, że nie ma go na miejscu zdarzeń i nie może kontrolować dochodzenia.

ROZDZIAŁ 30

Perez prosto od Fran pojechał na lotnisko w Sumburgh odebrać Taylora. Dzień był wietrzny i deszczowy, z krótkimi przebłykami słońca, podczas których po płycie lotniska przemykały cienie chmur. Lekko wzburzona woda w Grutness pieniała się tysiącami małych fal rozpraszających światło, ale nie wiało na tyle mocno, żeby samolot miał opóźnienie. Przyjechał trochę za wcześnie, więc wstąpił na kawę. Nieopodal niego czekała na lot grupa japońskich turystów.

Został w Biddista, dopóki z Wyrwy nie wydobyto na noszach Roddy'ego. Czuł, że jest to winien chłopcu. A kiedy rozsunął czarny worek, żeby spojrzeć na ciało, doznał dziwnego uczucia, że pierwszy raz widzi prawdziwego Roddy'ego Sinclaira. Wcześniej widywał tylko błyszczący wizerunek, nierealny jak reklama w czasopiśmie. Gdy dotarł do Ravenswick, była już czwarta nad ranem i jasno niczym w południe. Fran spała, musiała mieć koszmary, bo odrzuciła nakrycie i leżała naga na pościągany prześcieradle. Okno sypialni zasłaniały białe żaluzje, w przesączającym się przez nie świetle kształty Fran zdawały się trochę rozmyte, jak u postaci z jej obrazów.

Wyglądził prześcieradło i okrył ją, potem wsunął się do łóżka. Niewybaczalne natręctwo. Ale nie chciał jej budzić, a padał z nóg. Skórę miała chłodną i gładką. Poruszyła się, uśmiechnęła i przytuliła do niego. Spali jak kamień i gdy obudziły ich dźwięki telewizora z sąsiedniego pokoju, leżeli prawie w niezmięnionej pozycji. Cassie śpiewała razem z dziećmi z sobotniego porannego programu.

- Zdajesz sobie sprawę, że w poniedziałek dowie się o tym cała szkoła w Ravenswick? - spytała Fran.

- Przepraszam, powinienem mieć to na uwadze. - Nie wiedział, co o tym sądzić. Przecież sama go zaprosiła. Nie chciała, żeby inni dowiedzieli się o ich spotkaniach?

- Nie przejmuj się. I tak uważają mnie za ladacnicę. - Naciągnęła džinsy i sportową bluzę i poszła zaparzyć herbatę.

Później zjedli na śniadanie naleśniki z syropem klonowym i sosem czekoladowym. Cassie, wciąż w piżamie, zaczęła się wygłupiać, podniecona niecodziennością sytuacji. Ale Perez nie opuszczała myśl o tym, że wolałby wiedzieć, czego pragnie Fran. Ich związek wiele dla niego znaczył, nie chciał popełnić błędu. Może powinienem ją poprosić, by za mnie wyszła, pomyślał nagle. Przynajmniej orientowałbym się, na czym stoję. Pomysł był zarazem kuszący i niedorzeczny, więc Perez przyłapał się na tym, że się uśmiecha. Fran zapytała, co go tak rozbawiło.

- Nic. Jestem szczęśliwy. Tak po prostu.

Kiedy Taylor pojawił się na lotnisku, zdawał się zadziwiająco żwawy i pełen energii. Powiedział, że przespał się parę godzin w hotelu w Dyce i teraz do pełni formy potrzebuje tylko kawy i porcji węglowodanów. Perez zabrał go do Sumburgh Hotel. Bar był niemal pusty - barman, chudy Anglik, który mieszkał na Szetlandach już tak długo, że mówił jak tubylec, rozmawiał cicho z jakimś starym facetem siedzącym na wysokim barowym stołku. Taylor zamówił hamburgera i colę, a kiedy już się posilił, zaczął gadać jak nakręcony. Przypominał Perezowi Cassie miotającą się po kuchni w Ravenswick, opchaną słodyczami.

- Odnalazłem żonę Bootha. I córkę. Miła dziewczyna. Nie widziała go od urodzenia, ale ostatnio nawiązali ze sobą kontakt. Bez wiedzy matki.

- Na pewno matka się o tym nie dowiedziała? - zapytał z wahaniem Perez. - Zabójstwo byłoby drastycznym sposobem powstrzymania ojca od kontaktów z dziewczyną, ale powinniśmy to wziąć pod uwagę.

Taylor na chwilę się przymknął. Na jego twarzy, niczym cienie chmur na dworze, odbijały się przemykające mu przez głowę myśli.

- Nie wiem - odparł w końcu. - Nie rozważyłem takiej możliwości. Ale jeśli matka jest zamieszana w tę zbrodnię, o niebo lepsza z niej aktorka od Bootha. Osobiście na pewno tego nie zrobiła. Siedziała w domu i zajmowała się rodziną.

- Czego jeszcze dowiedziałeś się od córki?

- Że Booth na pewno kogoś znał na Szetlandach. Tak powiedział dziewczynie. Łączył przyjemne z pożytecznym, miał

wykorzystać okazję, żeby spotkać tu starych znajomych.

- Może chodzi o kogoś, kogo spotkał w tym pływającym teatrze - spekulował Perez. - Skontaktowałem się z szefostwem statku. W połowie lat dziewięćdziesiątych Booth odbył z nimi kilka rundek po północnych wyspach. Pewnie wkrótce po tym, gdy zostawił żonę. Potem się wypisał. Ale pozostawał z nimi w kontakcie.

- A może miał romans z Bellą Sinclair? - zastanawiał się głośno Taylor. Ten pomysł najwyraźniej do niego przemawiał. Perez wyobraził sobie, jak podczas lotu Taylor układa różne scenariusze. - Sprawdzisz to? - spytał z naciskiem. - Są mniej więcej w tym samym wieku. Oboje podobnie pretensjonalni. Związek nie wypalił, ale może to nasz ślad.

- I dlatego Booth próbował sabotować wystawę? - zagadnęła spokojnie Perez. Taylor łatwo się obrażał i nie lubił sprzeciwu. - Tak długo trzymał w sercu urazę?

- Zdarza się - odparł Taylor. - Choć oczywiście masz rację. Musiało się zdarzyć coś, co nakłoniło go do powrotu. Ale co?

- Wpadliście na ślad kontaktu z Szetlandów? Rozmowy telefoniczne? Maile?

- Na jego telefon stacjonarny nikt stąd nie dzwonił. Tyle udało nam się ustalić. O mailach nie wiem nic. Trzeba zapytać. - Taylor odchylił się w krzesło i wystukał numer na komórce.

Perez patrzył na niego, wysłuchując speszony, jak piorunuje jakiegoś bidulka w West Yorkshire, żeby migiem przesłał im informacje. Pewnie skończy się tak, pomyślał, że trafimy na koniec kolejki. Przez czystą złośliwość. Ludzie nie lubią być tak traktowani.

- A jak do tego wszystkiego ma się Roddy Sinclair? - zagadnął Perez.

Taylor oklapł na krzesło, nagle dziwnie cichy.

- Gdy Booth przybył tu ostatnim razem, Roddy był jeszcze dzieckiem - ciągnął Perez.

- To pewne, że został zamordowany?

- Absolutnie - odparł Perez, uświadamiając sobie poniewczasie, jak arogancko to zabrzmiało. - Z punktu widzenia medycyny sądowej nie da się orzec, czy to morderstwo, samobójstwo, czy też wypadek. Spadł i rozbił czaszkę. Ale klify znał na pamięć. Dorastał na nich. I w południe miał lecieć. Sam słyszałeś. W samochodzie czekały bagaże. Ktoś musiał wyciągnąć go na wzgórze.

- Morderca umówił się z nim na spotkanie?
- Tak mi się wydaje.
- Nikt go nie widział tego popołudnia?
- Nikt się nie przyznaje. Sandy pytał ludzi w Biddista dziś rano.

- Chciałbym jeszcze raz spróbować. Wciąż nie czuję tego miejsca. - Taylor pochylił się do przodu, po dawnemu pewny siebie. - Chodź ze mną, Jimmy. Z tobą więcej z nich wyciągnę.

Więc Perez znów znalazł się w Biddista, zaparkował przy Herring House i całą uwagę skupił na trzech zwykłych rodzinach i Peterze Wildingu, do którego czuł irracjonalną niechęć.



Sobota była w Herring House najbardziej ruchliwym dniem. Przed galerią stał autokar, wysypała się z niego grupa starszych Amerykanów i teraz wchodzili do kawiarni. Widocznie do Lerwick przybił kolejny prom wycieczkowy, stwierdził Perez. W kawiarni kłębił się tłum. Zerknęli do środka i uznali, że teraz raczej nie pogadają z Martinem Williamsonem. Perez spodziewał się, że z powodu żałoby zamkną galerię, ale podejrzewał, iż Bella nie miała do tego głowy, a Martin pewnie doszedł do wniosku, że skoro tyle ludzi zgłosiło przyjazd, prościej będzie ją otworzyć.

Pocztę przed chwilą zamknięto. Aggie zastali w ogrodzie, ściągająca z linki pranie. Perez pomógł kobiecie składać pościel i przez chwilę stali w milczeniu, rozciągając prześcieradła. Taylor patrzył na nich, jakby wykonywali rytualny taniec. Gdy weszli do domu, Aggie postawiła na płycie imbryk.

- Słyszałaś już o Roddym, prawda? - zaczął Perez. Wydała mu się bardziej zmęczona, wypłoszona i podobna do szarej myszki niż kiedykolwiek.

- Tylko tyle, że zginął. Bez szczegółów. Chłopak z Whalsay przyszedł dziś rano ze mną porozmawiać. Mnóstwo pytań i żadnych odpowiedzi.

- Roddy'ego znaleziono w Wyrwie. Nie mamy pojęcia, skąd się tam wziął. A musimy się dowiedzieć. Rozumiesz, Aggie?

- Tak. Biedna Bella. Wiem, co znaczy żyć w niepewności. Ale zdarzają się rzeczy, które pozostają niewyjaśnione.

- Widziałas go wczoraj?

- Nie na wzgórzach. Rano na poczcie.
- Czego chciał?
- Kupić słodycze na lot. Łakomczuch. Jak małe dziecko.
- Rozmawialiście?
- Zapytałam, kiedy wróci. Trochę tu sobie nagrabił. Dawn się wściekała, że wyciągał Martina na bibki do Lerwick. Na Roddy'ego leciały panny i pewnie się obawiała, że do Martina też któraś może się przykleić. Uspokoiliam ją, że niepotrzebnie się martwi. Martin jest rozsądny i bardzo ją kocha. I że to dobrze, że chłopak ma kumpla. Brak mu towarzystwa. Roddy odpowiedział, że wróci za półtora miesiąca na występ w lerwickim ratuszu. Był cichy i zamyślony, ale nie wyglądał naprzygnębionego. Uznałam, że może zaczyna dorastać. - Przerwała.
- Widziałeś się z Bellą?
 - Wczoraj wieczorem.
 - Jak ona to zniesie? - wyszeptwała Aggie. - Traktowała go jak syna.

Zostawili ją na bujanym fotelu w kuchni, nad powieścią, której okładka przedstawiała zapatrzoną w dal młodą kobietę, z głową okrytą szalem.

W sąsiednim domu Dawn ślęczała nad stertą prac domowych, a Alice bawiła się na podłodze domkiem dla lalek. Dużym i bez frontu, dzięki czemu widać było wszystkie pokoje. Dziewczynka trzymała w ręce maleńką lalkę i przenosiła ją z pokoju do pokoju, mamrotała przy tym coś do siebie, prowadząc zmyśloną rozmowę. Perez i Taylor obserwowali ją chwilę przez wychodzące na chodnik okno. Dawn marszczyła brwi nad pracą jakiegoś ucznia. Nagle uświadomiła sobie ich obecność i zamachała, żeby weszli. Wstała, by się z nimi przywitać. Perezowi wydało się, że dostrzega pierwsze oznaki ciąży.

- Pewnie przyszlście w sprawie Roddy'ego - po wiedziała.
- Wszyscy mówią tylko o tym. Telefon się urywa. Chodźcie do kuchni. Nie chcę, żeby Alice nas słyszała.

Poszli do pomieszczenia identycznej wielkości i kształtu jak kuchnia Aggie, tylko o pięćdziesiąt lat nowocześniejszego. Na blacie stały kuchenka mikrofalowa, sokowirówka i ekspres do kawy. W tej kuchni pewnie nikt nie piecze, pomyślał Perez.

- Myślicie, że Roddy'ego też zamordowano? - odezwała się Dawn, gdy tylko zamknęli drzwi. W jej pytaniu słychać było strach. - Co się dzieje? Naprawdę jestem coraz bliższa decyzji, żeby wywieźć stąd Alice, póki nie dowiemy się, o co tu chodzi.

Nie czuję się bezpieczna. Chciałabym, żeby semestr już się skończył. Mogłabym pojechać do rodziców.

- Nie wiemy - odparł. - W każdym razie nic pewnego.
- Dobija mnie ta niepewność.
- Booth, facet, którego powieszono, pochodził z tego samego regionu co ty - wypalił Perez. Nagle przyszło mu to do głowy. Nie rozważył, jak Dawn może to odebrać.
- Nie znam go! Yorkshire to duże hrabstwo.
- Prowadził mały zespół teatralny, mieli siedzibę w Denby Dale.

Dawn tylko wzruszyła ramionami.

- Widziałas wczoraj Roddy'ego?
- Sandy już mnie o to pytał. Skończyłam pracę po piątej, przyszedłam do domu, przygotowałam kolację, położyłam Alice spać, a potem oglądałam telewizję, dopóki Martin nie wrócił z pracy. Cały wieczór spędził w Herring House, na wypadek gdyby to też was interesowało.

Wydawała się rozdrażniona i wytrącona z równowagi. Pewnie czuła się chora i zmęczona. Sarah miała tak samo w pierwszym okresie ciąży. Wszyscy mówili, że to dobry znak, że hormony działają jak należy. A potem w czternastym tygodniu straciła dziecko. Perez chciał uspokoić Dawn, wyjaśnić, że każdego pytają o to samo. Ale w obecnej sytuacji jej uczucia chyba nie były najważniejsze.

- Wiesz, czemu ktoś chciałby zabić Roddy'ego? - zapytał.
- Przyjaźnili się z Martinem. Chłopak chyba by mu się zwierzył, gdyby coś go gryzło?
- Może. Po pijaku. Ale do wszystkiego, co mówił, trzeba podchodzić z rezerwą. Zawsze się popisывał jak mały chłopiec.

ROZDZIAŁ 31

To Taylor zdecydował, że popołudnie spędzą w Biddista, ale teraz sam nie bardzo wiedział, co dobrego miało z tego wyniknąć. Na pewno opili się herbaty za wszystkie czasy. Kiedy w końcu wróci do hotelu, będzie sikał co pięć minut. Nie wydawało mu się, żeby dwie pierwsze rozmowy cokolwiek wniosły do śledztwa. Aggie i Dawn prowadziły takie spokojne życie, skoncentrowane na rodzinie. Uznał, że Perez marnuje z nimi czas.

Po wizycie u Dawn Williamson poszli do domu pisarza. Perez stał chwilę pod drzwiami, zanim zapukał. Niezdecydowanie Szetlandczyka działało Taylorowi na nerwy. Zupełnie jakby facet nigdy nie był pewny swego. Niechże wreszcie się ocknie, pomyślał. Z takim podejściem nie miałby szans w prawdziwym świecie za zatoką Pentland. Ale po chwili przyszło mu do głowy, że tu, w tym dziwnym i ponurym kraju pozbawionym drzew, nietypowe metody Pereza mogą okazać się skuteczne.

Wilding zaprowadził ich na górę, do gabinetu. Obok komputera leżała sterta papieru i zabazgrany notatkami maszynopis. Gospodarz wydawał się nadal pochłonięty pracą nad powieścią. Co prawda zaproponował im kawę, ale bez cienia życzliwości. Zupełnie jakby chciał, żeby sobie poszli i dali mu spokój.

- Tak się zaplątałem w szczegóły książki, że straciłem z oczu całościowy obraz, historię, którą chcę przedstawić - powiedział.

- Przyszliśmy porozmawiać o Roddym Sinclairze - oznajmił Taylor. Ależ z niego egocentryk!, pomyślał. Zginął młody chłopak, a on rozwodzi się nad jakimiś bajeczkami. Taylor sam był maniakiem i doskonale rozpoznawał oznaki tej przypadłości u innych.

- W czym mogę pomóc? - Wilding wreszcie obdarzył ich uwagą. - Taka straszna wiadomość. Wyobrażam sobie, przez co

przechodzi Bella. Zastanawiałem się, czy jej nie odwiedzić. Jak panowie sądzą? Nie znam tutejszych zwyczajów.

- Pewnie ucieszyłaby się z pańskiego telefonu - odparł Perez. - Ale może lepiej to przełożyć na inny dzień.

- Rozmawiałem już dziś rano z panów kolegą. Nie sądzą, żebym miał coś więcej do dodania.

- Pewnie pytał, czy widział pan wczoraj Roddy'ego.

- Tak, rano. Z tego okna. Szedł na pocztę.

- A widział pan, jak wracał?

- Nie. Pewnie wdał się z Aggie w pogawędkę, a potem skupił się już na pisaniu. I na problemie, który dręczy mnie od kilku dni. - Jego wzrok znów powędrował w stronę maszynopisu. - Musiał wrócić. Nie ma innej drogi na plebanie, ale ja go nie zauważyłem.

- Zidentyfikowaliśmy mężczyznę, którego zabito na molo - poinformował Perez. - To Jeremy Booth.

Taylor odniósł wrażenie, że przez twarz Wildinga przemknął błysk rozpoznania.

- Zna go pan?

Wilding zmarszczył brwi.

- Nazwisko wydało mi się przez chwilę znajome. Ale kiedyś miałem agenta Bootha. Pewnie dlatego. Musiałem z niego zrezygnować. Na imię miał Norman. Nie sądzą, żeby był spokrewniony z ofiarą.

- To poważna sprawa. - W głosie Pereza pojawiła się ostrość, która zaskoczyła Taylora. - Jest pan pewny, że go pan nie zna?

- Tak. To znaczy, nie wydaje mi się, żebym o nim słyszał. Przepraszam. Nie chciałem, żeby to zabrzmiało nonszalancko.

Taylor pomyślał, że przeprosiny też nie brzmiały jak przeprosiny.

- Dlaczego zamieszkał pan w Biddista?

- Wyjaśniłem to już poprzednim razem. Od zawsze podziwiałem prace Belli. Napisałem do niej przed laty, żeby wyznać, ile przyjemności czerpię z oglądania jej obrazów, i tak zaczęliśmy korespondować. - Przerwał, zobaczył, że detektywów nie zadowalało to wyjaśnienie. - Niedawno rozstałem się ze swoją partnerką. Zostawiła mnie. Zupełnie niespodziewanie, przynajmniej dla mnie. Myślałem, że jesteśmy razem szczęśliwi. Ale ona spotykała się z kimś innym. Załamałem się. Nawet kilka tygodni spędziłem w szpitalu. - Umilkł i spojrzął w ich

stronę. - Może już to wszystko wiecie. Podejrzewam, że sprawdzacie historie ludzi mających jakiś związek z dochodzeniem w sprawie morderstwa.

Niezbyt dobrze, pomyślał Taylor. Jak widać. Znow się wkurzył, że partolili robotę.

Wilding ciągnął dalej.

- Przypuszczam, że zachowywałem się niezbyt właściwie. Śledziłem ją. Wysłałem kwiaty i prezenty. Próbowałem przekonać do zmiany zdania. Jej prawnik uznał moje starania za nękanie, ale ja widziałem to inaczej. Nie zostałem oskarżony o przestępstwo, ale sąd wydał postanowienie nakazujące mi trzymać się od niej z daleka. Uznałem, że najlepiej się wynieść. - Uśmiechnął się lekko do Taylora, który sprawiał wrażenie bardziej współczującego słuchacza. - Wyprowadziłem się najdalej, jak mogłem, na Szetlandy.

O obsesji i nakazie sądowym opowiadał z dziwną powściągliwością. Jakby mówił nie o sobie, ale o kimś innym.

- Jak nazywa się pańska dziewczyna? - Taylor usiłował nie zdradzać poruszenia; w końcu to był jakiś motyw.

- Helen. Helen Adams.

- A jej nowy partner?

- Jason Doyle. Niezbyt wyszukane nazwisko, moim zdaniem. Zdziwiłem się, że jest prawnikiem. Przykro mi pana rozczarować, inspektorze. Nie nazywał się Booth i wiedzie żywot typowego mieszczaucha. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek wpadł na pomysł odwiedzenia Szetlandów. Nikogo nie zabiłem.

- Jakie ma pan plany na przyszłość, panie Wilding? - Pytanie znow zadał Perez, ostro i krótko.

No proszę, umie być konkretny, zauważył Taylor. Może dlatego, że kiedy ma do czynienia z przyjezdnym, mniej się angażuje.

Pisarz odpowiedział natychmiast.

- Chciałbym się tu osiedlić. Zacząć od nowa. Nie mam dzieci. Nic mnie nie trzyma w dawnych stronach.

- Jak doszło do tego, że wynajął pan dom należący do Willy'ego? - Perez rzucił to pytanie, jakby dopiero teraz przyszło mu do głowy.

- Nie wie pan? Dom należy do Belli. Ileś lat temu gmina sprzedała wszystkie komunalne budynki. Willy'emu zaproponowano kupno, ale był już wtedy na emeryturze i nie miał

szansy na kredyt hipoteczny. Dała mu pieniądze. Staruszek zyskał poczucie bezpieczeństwa i nie musiał płacić czynszu, ona zrobiła inwestycję. Willy nie ma rodziny. Niedawno przeprowadził się do ośrodka opieki społecznej. Gdy napisałem Belli w mailu, że szukam na Szetlandach jakiegoś tymczasowego lokum, zaproponowała mi ten dom.

Taylor zastanawiał się, dlaczego ten fakt nie wyszedł na jaw wcześniej. Perez podobno znał tutejszych i wiedział o nich wszystko. Ale z drugiej strony, jakie to ma znaczenie? Kolejna lokalna ciekawostka. Prawdopodobnie nijak nie łączy się z moralstwem. Pora się zbierać.

Jednak Perez nie spieszył się z odejściem.

- Wychodził pan wczoraj wieczorem?
- Nie na wzgórze. Tylko na spacer po plaży. - Wilding popatrzył mu w oczy. - Pomógłbym panu, inspektorze, gdybym mógł. Lubilem Roddy'ego. Trochę szalony chłopak, ale nie na dęty. Przynosił ludziom uśmiech. A co najważniejsze, Bella go kochała, a ja zrobiłbym wszystko, żeby była szczęśliwa. - Jego twarz złagodniała.

Taylor pomyślał, że facet chyba znów się zakochał. Popada w kolejną obsesję.

Wilding usiadł przed komputerem, dając im znać, że pragnie wrócić do pracy.

Gdy wyszli, Perez oświadczył nagle, że musi jechać do Lerwick. Na spotkanie, którego nie może odwołać. Ale załatwi samochód, który później stąd zabierze Taylora, jeśli ten chce kontynuować przesłuchiwanie miejscowych. Oczywiście, Sandy już ze wszystkimi rozmawiał. Co znaczyło, że Taylor najprawdopodobniej nie dowie się niczego nowego i tylko straci czas.

Taylor zapomniał, że niedawno sam uznał, iż rozmowy z mieszkańcami Biddista niewiele wniosą. Dostrzegł szansę pokonania Pereza na jego własnym terenie. Podniecała go rywalizacja.

- Jeszcze tylko wpadnę do panny Sinclair - oznajmił. - Wiem, że już wczoraj z nią rozmawiałeś, ale może trochę doszła do siebie, coś sobie przypomniała.

Było późne sobotnie popołudnie. W Inverness Taylor nie cierpiał weekendów wolnych od pracy. Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Z nikim się nie zaprzyjaźnił; jakoś zawsze wiedział, że

mieszka tam tylko tymczasem, i trzymał się na dystans. Nagle ta emigracja na wyżyny wydała mu się bezcelowa. Co za sens robić ojcu na złość, gdy ten już nie żyje?

Tak się nad tym zamyślił, że nie wiedząc kiedy znalazł się pod plebanią. Zadzwonił do drzwi i usłyszał w środku brzękliwy dzwonek. Otworzyła jakaś nieznana mu kobieta. Szczupła i starannie ubrana. W pierwszej chwili pomyślał, że gospośnia albo sprzątaczką, ale szybko zmienił zdanie, gdy spokojnie i z pewnością siebie oznajmiła:

- Jeśli jest pan dziennikarzem, to panna Sinclair z nikim nie rozmawia.

Taylor stwierdził, że kobieta na pewno należy do ekipy Pereza, pewnie jakaś funkcjonariuszka, której jeszcze nie poznał. Przedstawił się i zaprosił go do środka. Jakby wyświadczała grzeczność, nie jakby miał prawo tam wejść.

- Jestem Edith Thomson - powiedziała. - Uznałam, że Bella powinna teraz mieć kogoś obok siebie.

- Oczywiście. W takiej sytuacji potrzebuje się przyjaciół.

Edith spojrzała na niego z namysłem.

- Nie nazwałabym nas przyjaciółkami. Ale nie mogłam zostawić jej samej w tych okolicznościach. Wyobrażam sobie, jak ja bym się czuła, gdybym straciła dziecko.

- Roddy był jej bratankiem - sprostował Taylor. - To niezupełnie to samo.

- Dla niej to samo.

- Pani mąż znalazł ciało, prawda? Oba ciała.

Popatrzyła na niego. A raczej przeszła wzrokiem na wylot. Postanowiła nie zareagować na zaczepkę czającą się w jego słowach.

- Tak. Już zawsze będzie go to dręczyło. Ma koszmary.

- Mogę porozmawiać z panną Sinclair?

Wzruszyła ramionami.

- Proszę próbować. Pije.

Weszli do pokoju, którego Taylor jeszcze nie widział. Okazały salon od frontu, z widokiem na morze. Złożone francuskie okiennice obramowywały wysokie okna. Meble były stare i trochę zużyte. Bella na wpół siedziała, na wpół leżała na szeszelongu. Obok stał stolik, na nim butelka i szklaneczka. Piła whisky.

Na widok Taylora uniosła się, usiłując wykrzesać z siebie trochę dawnego wdzięku, ale zaraz opadła z powrotem.

- Pan inspektor.
- Wyjść? - zapytała Edith.
- Nie, zostań. - Bella ekstrawagancko machnęła ręką. - Znamy się od zawsze, prawda, Edith? Pamiętasz, jak przyjechałaś do Biddista? Wszyscy się wtedy przyjaźniliśmy, całą szóstką.

- Szóstką? - Taylor wciąż z trudem orientował się w tutejszych relacjach. Powinien sobie zrobić porządne notatki. Rozpiskę. Listę. Taką, jaką z postaciami swojej książki miał na biurku Wilding.

- Mój brat Alec, Aggie Watt, Kenny i Edith, Lawrence i ja. Taylor odwrócił się do Edith.

- Kto to Lawrence? - Kojarzył imię, ale nie umiał go umiejscowić.

- Brat Kenny'ego. Przed laty opuścił Szetlandy. Straciliśmy ze sobą kontakt.

- Ach, no tak. Pani mąż sądził, że to brat mógł być tym wisielcem z szopy. Dlaczego zostawił Szetlandy? Rodzinna kłótnia?

- Nie - odparła z zakłopotaniem. - Nic podobnego.

- Uważają, że Lawrence wyjechał przeze mnie - powiedziała głośno Bella, jakby wygłaszała teatralną kwestię. - Myślałam, że szaleńczo się we mnie kochał, że go odtrąciłam i popadł w taką rozpacz, że porzucił wyspy.

- A nie było tak? - wtrąciła się Edith. - Kenny nigdy nie zrozumiał, dlaczego Lawrence nagle i niespodziewanie wyjechał. Nadal za nim tęskni. Za każdym razem, gdy dzwoni telefon, ma nadzieję, że to brat. Nic nie mówi, ale wiem, że tak myśli.

Taylorowi przypomniała się kostnica, wyraz ulgi na twarzy Kenny'ego Thomsona, gdy okazało się, że to nie zwłoki Lawrence'a.

- Nie - zaprzeczyła Bella. - Wcale tak nie było.

- W takim razie proszę nam opowiedzieć swoją wersję - zaproponował Taylor.

- Kochałam Lawrence'a. Gdyby mi się oświadczył, przyjąłabym go. Nawet już wymyśliłam sobie suknię ślubną i wybrałam hymn na mszę. On jednak tego nie zrobił. Bardzo się przyjaźniliśmy, ale nie paliło mu się do żeniaczki. Pragnął zobaczyć kawałek świata, a ja nie zamierzałam zostawiać Szetlandów.

Wyspy dostarczały mi natchnienia, poza tym musiałam zaopiekować się Roddym. Skoro Lawrence tak za mną szalał, jak wszyscy twierdzą, dlaczego nie chciał się ustatkować i założyć rodziny?

Popatrzyła na nich z rozpaczą, którą tylko w części tłumaczył wypity alkohol. Taylor zastanawiał się, ile kosztowało ją robienie dobrej miny przez te wszystkie lata. Odpowiadało jej, że ludzie sądzą, iż to ona odrzuciła Lawrence'a Thomsona. Dzięki temu zachowała przynajmniej dumę.

- Z tobą też się nie kontaktował? - spytała Edith.

Bella pokręciła głową. Zaczęła płakać.

- Nie tylko Kenny ma iskierkę nadziei za każdym razem, gdy dzwoni telefon.

Otarła oczy. Taylor przyłapał się na myśli, że pewnie odrobinę bawi ją ten dramatyczny występ. Wiele by dał, żeby się dowiedzieć, na ile prawdziwa jest jej rozpacz.

- Proszę mi opowiedzieć o pani stosunkach z Peterem Wildingiem.

- Nie ma żadnych stosunków.

- Wynajmuje mu pani dom?

- Tak.

- Przecież to dom Willy'ego - zdziwiła się Edith.

- Owszem, ale to ja dałam mu pieniądze, gdy gmina zaoferowała mu wykup. Po przeprowadzce do ośrodka przepisał budynek na mnie. Wszystko odbyło się jawnie i legalnie. Chciałam zapewnić starszskowi odrobinę bezpieczeństwa. Nie potrzebowałam jego czynszu. Powiedziałam mu, że dogląda mojej inwestycji.

- Nic o tym nie wiedziałam.

- Mnóstwa rzeczy o mnie nie wiecie. - Bella osuszyła oczy chusteczką. - Dzięki moim pieniądzom skorzystał z prawa pierwokupu. Bał się, że go wyrzucą. Chciał mieszkać tam do końca życia. To takie przykre, że teraz nie może już sam się sobą zająć. Właściwie to Roddy wpadł na pomysł, żeby dać gotówkę na zakup domu. Kochał Willy'ego. Pewnie traktował go jak dziadka, którego nigdy nie miał. Wiesz, jaki Willy był dobry dla dzieci.

- To prawda - przyznała Edith. - Dla Kenny'ego i Lawrence'a, a potem dla naszych dzieciaków. Może dlatego, że on sam cały czas miał w sobie coś z dziecka.

- Dlaczego zaproponowała pani Wildingowi, żeby tam zamieszkał?

- Willy się wyprowadził i nie wiedziałam, co zrobić z domem. A sprzedawać nie chciałam. Nie za życia Willy'ego. Zawsze mu mówiłam, że kiedy lepiej się poczuje, może wrócić. Poza tym miałam nadzieję, że pewnego dnia Roddy zechce osiaść na Szetlandach. Ten dom byłby dla niego w sam raz na początek. No i któregoś dnia dostałam maila od Petera Wildinga z pytaniem, czy nie wiem, kto by wynajął mu na krótko jakieś lokum. Nie czuł się najlepiej i szukał czegoś w spokojnej okolicy. Pomyślałam, czemu nie? - Przerwała. - Poza tym Peter jest moim fanem. Gdy człowiek się starzeje, dobrze mieć pod ręką wielbiciela. Od czasu do czasu podbuduje nasze ego.

- Jak przyjął go Roddy?

- Nie wydaje mi się, żeby darzył Petera szczególną sympatią. Czasami zrażał się do ludzi bez wyraźnej przyczyny. Twierdził, że smutno mu na myśl, że Willy już tam nie mieszka, ale żadna w tym wina Petera. Roddy kochał staruszka i po każdym powrocie z tournée go odwiedzał. Brał butelkę whisky i gadali do późna w nocy o dawnych czasach. Choć tysiąc razy słyszał już opowieści Willy'ego, nigdy mu się nie nudziły. Utrzymywali kontakt nawet po tym, jak „dziadek” się wyprowadził. Tego faktu z życia Roddy'ego prasa nigdy nie wywąchała. - Nagle wstała, trzeźwiejsza niż można by się spodziewać. Odstaawiła butelkę do kredensu. - Idę zrobić kawę - oznajmiła. - Ma ktoś ochotę? Edith, nie musisz ze mną zostawać. Przywykłam radzić sobie sama.

ROZDZIAŁ 32

Spotkaniem, którego Perez nie mógł opuścić, było ostatnie przedstawienie na „Motley Crew”. Zaprosił na nie Fran z Cassie, zanim znaleziono ciało Roddy'ego. Fran zrozumiałaby, gdyby odwołał wspólne wyjście, ale nagle, gdy siedział i słuchał Dawn, zdecydował, że powinien pojechać. Gdyby się wycofał, pokazałby, jak duży wpływ na jego życie ma praca. A przecież chciał mieć rodzinę.

Wstąpił po nie do Ravenswick. Cassie ubrała się w nowy różowy sweterek, Fran umalowała i założyła kolczyki, które podarował jej na urodziny. Ja też powinienem bardziej się postarać, pomyślał.

Czuł się, jakby od tygodnia nie zmieniał ciuchów.

Przedstawienie odbywało się messie; było ciasno i widzów posadzono na blisko zestawionych krzesłach. Zgodnie z zapowiedzią Lucy Wells publiczność dopisała. Składała się głównie z rodzin i przyjezdnych. Pachniało łodzią, smołowanym drewnem. Pod stopami czuło się lekkie kołysanie wody.

Tematem przedstawienia adresowanego do dzieci było środowisko. Składały się na nie piosenki o deszczowych lasach i topnieniu lodowców, ale poprzetykane akcją na tyle wartką, że Cassie patrzyła zafascynowana. Lucy grała zielonego elfa, jej ciało opinała szmaragdowa lycra, a z pleców wyrastały delikatne, rozłożone skrzydełka. Perez przyłapał się na tym, że nie może oderwać od niej wzroku. Na chwilę zatopił się w erotycznych fantazjach i rozmyślaniu o okazjach, które staną się zakazanym owocem, gdy zwiąże się z Fran. Po przedstawieniu aktorzy zeskoczyli z niskiej sceny i dołączyli do publiczności, zachęcając do dyskusji o poruszonych w sztuce problemach. Lucy podeszła do Pereza.

- A więc jednak pan przyszedł. Nie spodziewałam się. - Wydawała się ucieszona jego widokiem.

Pewnie tak już jest z aktorami, stwierdził w duchu zakłopotany. Wszystko wyolbrzymiają. Bawiła się szklanymi koralikami zielonego naszyjnika, dłonie miała pulchne i miękkie.

- Podobało się panu?

- Bardzo. - Przerwał, badając, jak przyjmie komplement. - Świetnie pani grała.

- Rola nie wymagała głębokiej analizy postaci - odparła z uśmiechem. - Ale wspaniale się bawiłam.

Schlebiało mu zainteresowanie dziewczyny. Wokół kręciło się tyle ludzi, a ona wybrała jego. Za jej plecami dojrzał Cassie i Fran, rozmawiały ze znajomymi.

- Kiedy wypływacie? - zapytał.

- Jutro po południu.

Coś w jej odpowiedzi szepnęło mu, że chyba nie odrzuciłaby zaproszenia na wspólny wieczór. Może nawet przyjęłaby je z dużą przyjemnością. Był przerażony, że takie myśli w ogóle przychodzą mu do głowy.

- Powodzenia. Mam nadzieję, że wszystko się pani świetnie ułoży. Gdy zostanie pani sławna, będę się chwalił naszą znajomością. - Odszedł od niej, otoczył Fran ramieniem i zapytał cicho, czy mogą już jechać.

Później zastanawiał się, czy porzucając młodą, spragnioną jego towarzystwa kobietę, wykazał się cnotą, czy tylko tchórzostwem.

Tę noc też spędził u Fran. Przygotowywała kolację, a on czytał Cassie bajkę na dobranoc. Zasnęła, zanim skończył. Posiedział przy niej jeszcze chwilę, rozmyślając, jak mała przyjmuje nowego mężczyznę w życiu jej matki. I jak sam będzie się czuł, dzieląc się dziewczynką z Duncanem Hunterem, jej ojcem, facetem, który go teraz ani grzał, ani ziębił, choć kiedyś się kumpłowali.

Gdy wszedł do kuchni, Fran z poczerwieniałą twarzą odsącała ryż. Zdjęła zakiet i została tylko w białej koszulce bez rękawów. Spod bawelny prześwitywała koronka stanika. Zmieszany wrócił do tematu jej eksmeża.

- Duncan nie wybrzydza na to, że się widzujemy?

Nałożyła ryż do brązowej ceramicznej miski.

- Ja nie wybrzydzam na to, co widuję, wręcz przeciwnie.

Więc jeśli...

- Nie żartuj, pytam serio.

- Och, zawsze jesteś taki poważny. Próbuję cię rozchmurzyć. Poza tym, kogo obchodzi, co myśli Duncan? Nasze spotkanie to nie jego sprawa.

- Cassie jest jego sprawą.

- Nie bronię mu widywać się z córką i ty też nie.

Najwyraźniej uznała, że Jimmy doszukuje się problemów tam, gdzie ich nie ma. W Londynie żyło wiele niekonwencjonalnych rodzin. Opowiadała mu o przyjaciółkach lesbijkach, które zaadoptowały syna; jej znajomi rozwodzili się i powtórnie pobierali, weekendy spędzali w domach dzieci albo gościli pasierbów. Przywykł do bardziej tradycyjnych relacji, ale nie chciał krytykować innych, żeby nie pomyślała, że jest ograniczony.

Chyba jednak przez cały wieczór ten temat siedział jej w głowie, bo wróciła do niego pod koniec kolacji. Podeszła do Pereza i wzięła go za rękę.

- To właśnie z powodu Cassie tak zwlekałam. Stanowimy pakiet. Rozumiesz, prawda? Jeśli pragniesz mnie, ją też musisz przyjąć.

Odparł, że oczywiście rozumie. Zamierzał wyznać, że bardzo mu zależy, aby stworzyć rodzinę z nią i Cassie, ale ostatecznie uznał, że to zbyt sentymentalne. Nie cierpiała ckliwości.



Następnego ranka o świcie wrócił do Lerwick, do swojego wąskiego domu na nadbrzeżu. Pomimo ładnej pogody, gdy otworzył drzwi, uderzył go zapach wilgoci. Jakby od tygodni nikt tu nie zaglądał. Kochał ten dom, i całe szczęście, bo gdzie by znalazł podobnego do siebie głupka, który zechciałby kupić budynek za takie pieniądze. Otworzył wszystkie okna, wpuszczając do środka słońce powietrze, i sprawdził automatyczną sekretarkę. Matka nagrała wiadomość - paplała radośnie o najnowszych wydarzeniach na Fair Isle. Kiedy w końcu odważę się zaprosić Fran do rodzinnego domu, żeby poznała moich bliskich i sąsiadów?, zastanawiał się Perez. I jak oni ją odbiorą? Nieczęsto mieli do czynienia z miastowymi. Zrobił sobie dzbanek kawy i usiadł przy otwartym oknie, obserwując rybitwy nurkujące w płytkiej wodzie. Później udał się na posterunek sprawdzić, czy przysłano raport na temat torby Jeremy'ego Bootha, którą wyciągnęli z Wyrwy razem z ciałem Roddy'ego Sinclaira.

Sandy właśnie wychodził, wyszorowany i odpicowany. Wybierał się jak co tydzień na Whalsay, na niedzielny obiad u rodziców.

- Widział szef dziennik telewizyjny? - zapytał. - Podali informację o Roddym Sinclairze.

- Nie. - Perez go nie zatrzymywał. Wiedział, że chłopak spieszy się do Vidlin na prom. Poza tym Sandy nie potrafił przekazywać informacji. Nie miał talentu do szczegółów.

Centrum koordynacyjne było ciche, zalane południowym słońcem. Taylor siedział przy biurku w kącie, pijąc kawę. Wyglądał, jakby nie ruszył się stamtąd przez całą noc.

- Udał się wieczór?

Perez nie wiedział, czy Taylora naprawdę to interesuje, czy tylko sobie pokpiwa.

- Przepraszam, że zostawiłem cię samego w Biddista. Ale naprawdę nie mogłem tego odwołać. Jak poszło z Bellą?

- Wstawiła się. Opowiadała o starych czasach. I utraconej miłości.

- A dokładniej?

- O Lawrensie, bracie Kenny'ego.

- A ja słyszałem, że to on ją kochał, nie odwrotnie.

- Bella Sinclair twierdzi inaczej. - Taylor zgniótł plastikową filiżankę i cisnął ją do śmietnika w przeciwległym kącie pokoju. Uderzyła w kosz z taką siłą, że odbiła się i wypadła. - Mówiła, że poślubiłaby go w te pędy, gdyby się oświadczył. Ale tego nie zrobił. - Wstał i wrzucił filiżankę do kosza. - W końcu poznałem żonę Kenny'ego. Edith. Też wydawała się zaskoczona tą nową wersją starej historii. Chyba za sobą nie przepadają, te dwie, mam rację?

- Mieszkańcy małych społeczności jednoczą się w obliczu tragedii - odparł machinalnie Perez, myśląc o czymś innym.

- Śmiercią Bootha nie za bardzo się przejęli.

- Cóż, przyjezdny. To zupełnie coś innego.

- Tak czy owak, te stare historie nic nie wnoszą - oznajmił Taylor. - Jeśli ktokolwiek poznał Jeremy'ego Bootha, gdy przed laty przyplłynął tu na „Motley Crew”, to się nie przyznaje.

- Może nie pamiętają. Ludzie zmieniają się po piętnastu latach. - Perez nadal wierzył, że właśnie przeszłość jest kluczem do tej sprawy.

- Może. - Taylor nie wydawał się przekonany.

- Coś ciekawego odnośnie do torby Booth'a?

- Raport potwierdza, że to nasz Jeremy rozdawał ulotki odwołujące wystawę. Znaleźli strój i torbę wyszywaną cekinami, opisaną przez jednego ze świadków. Poza tym nic istotnego. Trochę ubrań i przybory toaletowe. Żadnego listu, notesu. Ani komórki.

- Nie miał przy sobie telefonu w Herring House - zauważył Perez. - Sprawdziłem jego kieszenie, gdy szukałem dowodu tożsamości.

- Może wrzucono ją do tej dziury luzem? - zasugerował Taylor.

- Albo wpadła do tunelu. Albo zmyło ją morze.

- Wyślijmy na dół ludzi, żeby przeczesał teren. Nawet jeśli aparat się uszkodził, istnieje szansa, że zachowała się karta SIM. Lepiej tak niż szukać konta w firmach telekomunikacyjnych, zwłaszcza że telefon mógł być na kartę.

- Znam ludzi od wspinaczki - powiedział Perez. - Poproszę ich, żeby zeszli do rozpadliny. Mogłbym przejść się z boczem, ale nie zaryzykuję przedzierania się tunelem. Poza tym niewykluczone, że komórka utkwiała na jakimś skalnym występie. - Wiedział, że sam powinien pomyśleć o telefonie. Za dużo uwagi poświęcał sprawom osobistym. To go rozpraszało.

Żeby nie zapomnieć, od razu poszedł do biura i zadzwonił do znajomej, która udzielała się w ochotniczym ratownictwie. Nie mogła zejść do rozpadliny dzisiaj, ale obiecała, że jeśli im pasuje, zrobi to w poniedziałek. Przypląwy są teraz niskie, więc jeśli telefon tam leży, to nie zniknie.

Gdy wrócił do centrum koordynacyjnego, Taylor nadal tkwił przy biurku, gapiąc się w ekran komputera, jakby siłą swojej woli chciał z niego wycisnąć odpowiedź.

- Musimy znaleźć związek między Boothem a kimś z Bidista - oświadczył. - To punkt wyjścia. - Obrócił się na krześle twarzą do Pereza. - Nie napiłbyś się piwa? Wariuję od tego siedzenia tutaj.

Perez się zawahał. Podczas poprzedniej wspólnie rozpracowywanej sprawy lubił ich nieoficjalne spotkania, niepohamowaną energię Taylora. Ale teraz czekała na niego Fran.

- Pomyślałem, że pojedę rozejrzeć się na herbatce w Midleton. Zobaczą, może da się odszukać dziewczynę sprzedającą maski. To nie jest teraz najważniejsze, ale pomogłoby powiązać wszystko w całość.

Czekał, aż Taylor powie, że do niego dołączy. Facet był jak

nadpobudliwy chłopiec, potrzebował ciągłych bodźców. Ale niedzielna herbatka wydała mu się zbyt nudna. Znow odwrócił się do monitora.



Zanim wybudowano nowy, piękny budynek, szkoła w Middleton mieściła się w ratuszu. Perez zaparkował na dawnym boisku, niedaleko stołów na kozłach, przy których jakaś potężna kobieta sprzedawała rośliny. Towarzyszyła mu Fran. Cassie spędzała popołudnie z Duncanem.

Wczoraj wieczorem zapytał Fran, czy ma ochotę wybrać się z nim na herbatkę. Nie spodziewał się, żeby uznała tę propozycję za porywającą. Podczas nieobecności Cassie zwykle pracowała. Poza tym pewnie przywykła do bardziej wyrafinowanych rozrywek.

- Chyba żartujesz? Jasne, że chcę. Przecież tam można zrobić zakupy, prawda? Jestem nałogowym zakupoholikiem na ciągłym głodzie od chwili przeprowadzki na Szetlandy.

Ledwie wysiedli z samochodu, zaciągnęła go do stoiska z roślinami, chociaż w Ravenswick nie miała ogrodu. Jej dom ze wszystkich stron otaczały wzgórza.

Wewnątrz sali było jeszcze więcej straganów. Z tandetą, starzyzną i dziwacznymi swetrami. Na drugim krańcu ustawiono stoły z herbatą i talerzami domowych wypieków. Kobiety w fartuchach serwowały herbatę z olbrzymich metalowych dzbanków. Syczały termosy. Sceneria przypomniała mu potańcówki na rodzinnej wyspie. Wspólne pieczenie ciast, rozgorączkowanie kobiet usługujących mężczyznom do stołu. Ciekawe, co by na to powiedziała Fran?

Znow zniknęła wśród straganów, podnosiła porcelanowe bibeloty, oglądając stemple producentów, rozkładała swetry, żeby sprawdzić, czy pasują na Cassie, wdawała się w pogaduszki ze sprzedawczyniami. Pojawiła się Dawn Williamson, trzymając za rączkę Alice. Zauważyła Fran i od razu do niej podeszła. W sali panował już taki szum, że Perez nie miał najmniejszej szansy usłyszeć, o czym kobiety rozmawiają. Zupełnie jakby patrzył na pantomimę. Nagle Fran chwyciła żonę Williamsona w ramiona. Pewnie Dawn powiedziała jej o ciąży, pomyślał. Co czuje Fran? Potem się rozeszły. Dawn posadziła

Alice przy jednym ze stolików z kartonikiem soku i ciasteczkami, a Fran wróciła do niego.

- Dawn jest w ciąży - oznajmiła.
- Wiem. Powiedziała mi, kiedy pojechałem do szkoły.
- Szczęściara - rzuciła Fran. Ale bez szczególnej pasji, więc nie poczuł się przytłoczony presją oczekiwań.

- Dziewczyny z maskami ani widu, ani słyhu. - Był zawiadziony, ale uznał, że skoro znaleźli bagaż Bootha, nie miało to już większego znaczenia. Maskę mógł kupić wszędzie. Pewnie przywiózł ją w torbie, którą przed imprezą w Herring House ukrył na plaży. Morderca ją znalazł i nałożył mu na twarz. Dlaczego to zrobił, to już całkiem inna kwestia.

- Rzeczywiście - potwierdziła Fran. - Była tu raz, w tamtym tygodniu. Handlowała różnymi zabawnymi rzeczami. Nie mieszka na Szetlandach. Przyjechała na parę dni odwiedzić krewnych. Pozwolili jej rozłożyć stragan, bo zbierała pieniądze na hospicjum dziecięce. Jej teściową jest tamta pani, która robi swetry na drutach, i jeśli poprosisz, da ci do dziewczyny numer telefonu. Ale twierdzi, że synowa nie zdoła podać nazwisk ludzi, którzy coś u niej kupili. Nie jest stąd i ich nie zna. Ale dowiedziałam się czegoś ciekawego. Dziewczyna mieszka w Yorkshire. Niewykluczone więc, że to tam Booth kupił maskę.

- Skąd to wszystko wiesz?
- Zapytałam - odparła Fran. - A teraz napiłabym się herbaty. I zjadła bezę.

ROZDZIAŁ 33

Kenny przełożył strzyżenie owiec na poniedziałek. Nie mógł się zabrać do roboty w sobotę, po tym jak znalazł Roddy'ego. Nie miał o chłopaku najlepszego zdania, ale chodziło o szacunek. Edith też postąpiła właściwie, spędzając dzień na plebanii. Nie wolno było zostawić zrozpaczonej Belli samej sobie. A z mieszkańców Biddista tylko Edith mogła ją uspokoić. Aggie, sama słabowita i nerwowa, nie nadawała się do tego, a Dawn, choć pewnie by sobie poradziła, nie pochodziła stąd i mogła nie wiedzieć, co i jak.

Gdyby strzyżenie przełożył na niedzielę, pewnie udałoby mu się zwołać więcej osób do pomocy, ale nie lubił pracować w niedzielę. Dawniej w dzień pański odpoczywano. Kobiety nawet prania nie ośmielały się wywiesić i obiad też przygotowywało się dzień wcześniej. A już praca w zagrodzie była całkiem nie do pomyślenia. Kenny nie uważał się za zbyt religijnego, ale trzymał się tradycji. Gdyby Willy mieszkał jeszcze w swoim domu, na pewno zrobiłoby mu się przykro, gdyby w niedzielny poranek zobaczył mężczyzn pracujących na wzgórzach. Willy regularnie uczęszczał do kościoła w Middleton. W każdą niedzielę podrzucał go któryś z parafian. Willy, wystrojony w wyświecony ze starości garnitur, czekał gotowy pod drzwiami. Ciekawe, czy teraz, po przeprowadzce, ktoś zawozi go do kościoła. Kenny miał nadzieję, że tak.

Na poniedziałek zebrał mniej chętnych - większość potencjalnych pomocników pracowała. Ale jeśli nawet przegapią parę owiec, nic się nie stanie, za tydzień i sam je sprowadzi. Zresztą Edith mu pomoże. Umówiła się, że weźmie dzień wolny. Był jej wdzięczny. Wiedział, że żona gromadzi wolne dni, żeby pojechać na południe, gdy urodzi się ich wnuk.

Nadszedł Martin Williamson. W sobotę otworzył Herring House, bo zwałił się tłum, a Bella nie uprzedziła go, że ma coś przeciwko temu. Ale kiedy się dowiedziała, wściekła się i

uparła, żeby na resztę tygodnia zamknąć galerię i kawiarnię. Martin stwierdził, że jemu wszystko jedno, skoro Bella i tak płaci, i cieszył się, że będzie mógł pomóc przy owcach. Kenny'ego zdziwiła jego nonszalancja. Wydawało mu się, że Martin i Roddy się przyjaźnili. Ale może po prostu miał już taki charakter - Martin zawsze traktował życie lekko. Stawili się też emeryci z Unst; od czasu do czasu pomagali przy pracy w zagrodach w ramach hobby. Zjechali się i teraz stali pod domem z ziejącymi psami u nóg, nie do odróżnienia w identycznych czapkach i kombinezonach, i rozprawiali o starych czasach. Też cieszyli się z przyjazdu. Pogoda dopisywała i byli zadowoleni, że na coś się przydadzą.

Chociaż ułożył sobie dokładny plan działania - miał nie mniej doświadczenia niż oni - radził się ich, poważnie kiwając głową podczas ustalania najlepszego rozstawienia. Z domu wyszła Edith i dołączyła do zebranych. Też założyła kombinezon i wysokie buty, spięła włosy. Przez ostatnie tygodnie trochę się opaliła - w miejscach, gdzie jej twarz zwykle zakrywały włosy, widać było jaśniejszą skórę. Niosła ze sobą kij, którego zawsze używał jego ojciec.

W ostatniej chwili pojawił się Peter Wilding. Właśnie ruszyli w drogę, gdy ich dogonił.

- Dowiedziałem się od Martina o strzyżeniu owiec. Może przyda się dodatkowa para rąk.

- Pewnie. Im więcej osób, tym lepiej - odparł Kenny. Rzeczywiście, liczniejszą grupą łatwiej otoczyć wszystkie owce. Mniejsze szanse, że któraś się wymknie. Ale nie bardzo lubił tego faceta i żałował, że ten się przypalał. Uważał pisarza za pasożyta. Wybierał się z nimi tylko po to, żeby potem móc to opisać. Pierwszy zgrzyt tego dnia.

Drugim okazał się widok Perezera i dwójga młodych ludzi nad krawędzią Wyrwy. Nie dlatego, że wystraszą owce - będą zaganiane w przeciwną stronę - ale dlatego, że zburzyli spokój Kenny'ego. Miał nadzieję, że przynajmniej dziś uda mu się zapomnieć o wisielcu w szopie na molo i roztrzaskanym ciele Roddy'ego Sinclaira.

Podczas gdy ludzie rozstawiali się tyralierą, Kenny podszedł porozmawiać z Perezem. Młodzi mieli sprzęt wspinaczkowy. Nie rozumiał po co. Skoro chcieli dostać się na dół, czemu po prostu nie zjechali trawiastym stokiem? Tacy młodzi i wysportowani.

- Co robicie?

Perez odwrócił się wolno. Kenny pomyślał, że pewnie zastanawia się, ile mu powiedzieć. Ale on w ogóle zignorował pytanie.

- Spędzasz dziś owce - powiedział. - Przyjdę ci pomóc, gdy tu skończymy.

- Co robicie? - Przypuszczał, że Perez znów nie odpowie. Ale się pomylił.

- Musimy dokładnie przeszukać skały i tunel. Wciąż brakuje paru rzeczy.

- Długo to potrwa? - nalegał Kenny. - Kiedy w końcu dacie nam spokój?

- Kiedy dowiemy się, co się stało. I kto ich zabił.

Młodzi ludzie nie zwracali uwagi na ich rozmowę i przygotowywali się do zejścia. Dziewczyna stała już nad krawędzią klifu, wychylona, utrzymywana na nylonowej linie. Kenny odwrócił się. Może, nie patrząc w tamtą stronę, będzie mógł udawać, że nikt nic tu nie robi.

Pobiegł do sunących wolno wzgórzem towarzyszy. Między ludźmi ganiały psy, wypełniając luki w tyralierze. Szli z rozłożonymi ramionami, pohukując, żeby pogonić owce. Idący na samym końcu zdawali się bardzo daleko, ich głosy ginęły w rozrzedzonym powietrzu. Kenny stanął przy Edith; wymachiwała kijem i wołała razem z innymi.

- Co tam się dzieje? - krzyknęła, żeby ją usłyszał w tym harmiderze głosów ludzi, psów i owiec.

- Szukają czegoś. Nie wiem. Mam tego dość. Że też wszystko musiało zdarzyć się tak blisko naszego domu.

Odkrzyknęła chyba jakieś słowa pociechy, ale nie usłyszał ich w hałasie.

Zagonili owce do kolistej kamiennej koszary i wypuszczali na strzyżenie po jednej. Emeryci siedzieli, mocno trzymając za nogi przewrócone na plecy zwierzęta, i strzygli je pewnymi, zdecydowanymi ruchami, dopóki nie odeszło całe runo. Potem puszczały wolno biedne łyse nieboraczki. Ręce mieli brązowe, brudne i stwardniałe. Kenny popatrzył na własne. Wyglądały niewiele lepiej. Dłonie Edith były miękkie, a choć pewnie do wieczora dorobi się paru pęcherzy, strzygła nie mniej dokładnie od mężczyzn, a i siłą też dorównywała większości. Z wprawą posługiwała się nożycami i umiała utrzymać owcę nieruchomo.

Ale była wolniejsza. Co jakiś czas oglądali się na nią i żartowali, że się ślamazarzy, ale tylko śmiała się w odpowiedzi, nie sobie nie robiąc z docinków.

W południe wyjęła butelki z herbatą i zrobione przez siebie grube kanapki z serem i szynką. Jedli, ściskając chleb w wytłuszczonych lanoliną dłoniach. Wcześniej tylko je otarli o krótką trawę z najgorszego brudu. Peter Wilding usiadł trochę na uboczu. Też próbował ostrzyc owcę, ale trzymał ją na odległość, jakby się bał. W końcu Edith odebrała mu ją i dokończyła strzyżenie. Kenny wiedział, że pisarz dołączył do nich po to, żeby posłuchać rozmów. Pewnie wszystko notował w pamięci. Potem Wilding położył się na plecach na trawie i zamknął oczy. Chyba nie nawykł do fizycznej pracy.

Otwarto bramkę i wypuszczono kolejne zwierzę. Edith skończyła strzyc czarną owcę i uniosła strzyżę, żeby pokazać Kenny'emu.

- Chyba ją zgrępluję i spróbuję zrobić przędzę - powiedziała. - Świetnie nadawałaby się na zabawkę dla dziecka. Nie sądzisz?

Zawsze myślała, co by tu zrobić dla dzieci, jak przypomnieć im o domu. W szopie w Skoles leżała skóra, którą przygotowała do sypialni wnuka. Najpierw wtarła ałun, żeby ją zakonserwować, później wycesała do miękkości. Na podłodze salonu leżały trzy chodniki - też własnej roboty.

Skończyli późnym popołudniem. Z miejsca, gdzie pracowali, nie widać było Wyrwy i wspinaczy. Wracając do domu, Kenny spodziewał się, że nie zastanie ani ich, ani Pereza. W końcu nie trzeba dużo czasu, żeby zejść i wrócić. Nie potraktował poważnie obietnicy Jimmy'ego, że pomoże przy owcach. Ale gdy wspięli się na wzgórze i ujrzeni klif, policjant wciąż tam stał. Teraz na dodatek pojawił się też policyjny land rover. Wjechał prawie na sam szczyt. Zgromadzeni tkwili nad rozpadliną, jakby na coś czekali. Między nimi rozpoznał angielskiego detektywa z Inverness.

Postanowił uparcie udawać, że nic się nie dzieje, i ruszył w stronę domu. Emerycy podążyli za nim, choć zerkali co i rusz w stronę klifu i coś między sobą poszeptywali. Do Kenny'ego się nie odzywali.

Wścibstwo Wildinga nie pozwoliło mu tak po prostu minąć ekipy. Przez chwilę wpatrywał się w policjantów, po czym podszedł do nich arogancko, jakby miał takie samo prawo tam być

jak oni.

Pozostali dotarli już do połowy zejścia, więc nie mogli do-
słyszeć słów, ale zatrzymali się, obserwując rozwój wypadków.
W końcu Kenny też się odwrócił. Wyglądałby głupio, gdyby
poszedł dalej sam.

Anglik odłączył się od grupy i zatrzymał pisarza, zanim ten
zbliżył się do krawędzi rozpadliny. Zamienili kilka zdań i Wil-
ding został odprawiony. Utarli mu nosa, pomyślał nie bez sa-
tisfakcji Kenny.

- No i? - zapytał Martin. - Co ten tłum tam robi? Polują na
olbrzymkę?

Wilding najwyraźniej nie znał tej historii, bo popatrzył na
Martina jak na idiotę. Starcy zachichotali.

- Nic mi nie powiedzieli - odparł. - Miejsce zbrodni, wstęp
wzbroniony. I tyle. Facet potraktował mnie dość niegrzecznie.



Zwykle po dniu spędzonym na wzgórzach Kenny zasypiał
szybko i mocno, mimo białych nocy. Ale tym razem było ina-
czej. Edith też kręciła się niespokojnie, jak zawsze, ale w końcu
sen ją zmorzył. Bojąc się, że obudzi żonę, rzucając się na łóżku,
wstał. Wciągnął ubranie i buty i wyszedł na dwór. Nastąpiła naj-
ciemniejsza pora nocy, okolica tonęła w szarości. Wyszedł ka-
wałek na wzgórze.

Nocami o tej porze roku w powietrzu śmigały nawałniki bu-
rzowe i burzyki, które wiły gniazda w opuszczonych króliczych
norach. Kiedyś Willy zabrał go na klify, żeby mu pokazać ptaki.
Kenny wyobraził sobie maleńkie nawałniki i mknące w mroku
małe nietoperze, podobne do duchów. Chętnie by teraz je poob-
serwował. Ale kiedy zbliżył się do klifu, wychwycił docho-
dzące z Wyrwy ciche miarowe buczenie. Generator. A więc po-
licja nadal tam jest. Wieczorem słyszał wjeżdżające i zjeżdża-
jące drogą samochody. Nie miał ochoty na nich patrzeć i wrócił
do domu. Burczenie generatora nie było głośne, ale irytujące.
Nawet w domu się od niego nie uwolni. Wiedział, że przez całą
noc nie zmruży oka.

ROZDZIAŁ 34

Perez z zazdrością patrzył na przecinających wzgórza Kenny'ego z pomocnikami. Spęd owiec na strzyżenie przypomniał mu rodzinne strony - Fair Isle, leżącą najdalej na południu i najbardziej oddaloną od innych wysp Szetlandów. Słyszeła z wyrobów wełnianych i prognoz pogody dla statków. Kiedy pracował w mieście, nie spał czasem nocą i słuchał w radiu rytmicznego głosu. „Fair Isle, Wyspy Owcze, południowo-wschodnia Islandia. Wiatr wschodni pięć do sześciu, lekkie opady, morze spokojne”. I wyobrażał sobie Dave'a Wheelera, farmera z Field. Na wyspie osiadł po służbie na południowym Atlantyku i pełnił służbę meteorologiczną. Zanim przeszedł na emeryturę, odpowiadał też za utrzymanie pasa ładowniczego i był strażakiem.

Dawniej Perez myślał, że jego przyszłość też jest na Fair. Że zbuduje tam zagrodę, a kiedy ojciec przejdzie na emeryturę, zostanie po nim szyprem na „Good Shepherd”, łodzi pocztowej. Jego dzieci będą tam dorastały i poznają wyspę tak dobrze jak on. I niedawno nadarzyła się okazja powrotu. Zwolniła się zagroda i miał duże szanse, żeby ją przejąć. Matka bardzo pragnęła jego powrotu, ale w końcu nie złożył wniosku. Może to letarg. Niechęć do porzucenia domu nad wodą. Ale chyba nie tylko. Nie był gotowy zrezygnować z pracy. Uświadomił sobie, że pociąga go służba w policji, nawet na Szetlandach. I choć dopiero niedawno poznał Fran, marzył, że zostaną razem. Nie żałował tej decyzji.

Zaofiarował Kenny'emu pomoc przy strzyżeniu pod wpływem impulsu, ale naprawdę miał taki zamiar. Lubił trochę się fizycznie pomęczyć po stresie dochodzenia. Wysiłek pomagał mu oczyścić umysł, uwolnić nagromadzone w mięśniach napięcie. Odwrócił się do wspinaczy z nadzieją, że szybko uporają się z zadaniem. Jeśli komórka Booth'a leżała na dole, powinni ją znaleźć raz dwa. Obszar poszukiwań nie był zbyt rozległy.

Wspinacze, małżeństwo Sophie i Roger Moore'owie, przyjechali na Szetlandy jako studenci, spodobało im się i zostali. Sophie pracowała jako księgowa w Radzie Szetlandów; Perez nie bardzo wiedział, jak na życie zarabiał Roger. Patrzył, jak kolejno znikają za krawędzią rozpadliny. Schodzili wolno, zatrzymując się, żeby przesunąć ręką po półkach, na których wśród zarośli albo pozostałości po ptasich gniazdach mógł utknąć poszukiwany telefon. Po przyjeździe na miejsce uznali, że zejście nie będzie trudne, ot, dobre ćwiczenie. Choć Perez i tak nie wątpił, że tylko marnują czas. Ściągnął ich, żeby zadowolić Taylora. Nie wierzył, że cokolwiek znajdą. Poza tym w takich chwilach bywał przesądny, wołał nie oczekiwać zbyt wiele. Cieszył się, że Taylor postanowił spędzić dzień przy biurku i doprowadzić do porządku zgromadzone informacje. Czekanie doprowadzało Anglika do szału. Perez niemal wiedział, jak Taylor, niecierpliwiąc się, przytupuje nad krawędzią i rzuca wspinaczom śmieszne, nieprzydatne instrukcje.

Kiedy Sophie i Roger zniknęli z oczu, obszedł Wyrwę, żeby dojść do trawiastego stoku od strony łądu, skąd powinien ich widzieć. Nie słyszał ich rozmowy. Zeszli już dość nisko i choć w rozpadlinie gnieździło się tylko kilka mew, robiły straszny harmider. Poniewczasie przyszło mu do głowy, że pewnie istnieją jakieś przepisy, które zabraniają zakłócać spokój ptaków w okresie lęgowym. Pewnie powinien wystąpić o pozwolenie. Zamyślił się nad tą kwestią - liczebność gniazdujących ptaków morskich spadała, a on nie chciał przysparzać im problemów. Kiedy znów spojrzął w dół, para stała już na samym dnie. Ostrożnie przysunął się bliżej krawędzi i usiadł, nie spuszczać wzroku ze wspinaczy. Nawet tutaj czuł lekkie zawroty głowy. Pierwsze objawy paniki. Regularnie śniły mu się koszmary, w których spadał w niekończące się tunele albo rozpaczliwie czeptał się skalnych krawędzi.

Roger i Sophie kierowali się do tunelu łączącego Wyrwę z plażą. Poziom wody teraz znacznie opadł, więc nie istniało niebezpieczeństwo, że fala zmyje ich do morza. Tunel był wąski, ale na tyle wysoki, żeby móc nim przejść bez pochylania się. W środku lekko się wybrzuszał i z miejsca, w którym siedział Perez, wyglądał jak olbrzymie ucho igielne. Kamienny most, spinający klif i oddzielający rozpadlinę od plaży, miał ze dwa metry grubości, więc tunel był tej samej długości. Wspinacze mu-

sieli rozpraszać ciemności latarkami. Perez z dwojga złego wołał już klaustrofobię od lęku wysokości, ale i tak bardzo się cieszył, że został na górze. Zamachali do niego, dając znać, że wchodzą.

Czekając na nich, gryzł się dochodzeniem. Słońce przygrzewało. Z oddali dobiegało go czasem pokrzykiwanie pomocników Kenny'ego. Aby pchnąć śledztwo do przodu, trzeba znaleźć motyw zabójstwa Bootha. Śmierć Roddy'ego daje się wyjaśnić tym, że albo był świadkiem pierwszego morderstwa, albo czegoś, co do niego doprowadziło. Ale po co ktoś z Szetlandów miałby zabijać Anglika, który od lat nie postawił stopy na wyspach? To bez sensu. Mimo to Perez wiedział, że mordercą jest mieszkaniec Szetlandów. Sprawdzili wszystkich przyjezdnych obecnych tamtego wieczora w Biddista. Jego ludzie w centrum koordynacyjnym w Lerwick wydzwaniali całymi godzinami. „Podobno w noc świętojańską odwiedził pan Herring House. Kto panu towarzyszył? O której godzinie pan wyszedł? Widział pan coś niezwykłego?” Potem porównano zeznania. I każdy odpadł. Każdy przyjezdny.

Perez musiał się zdrzemnąć, bo ocknął się przestraszony okrzykiem z dołu. Zdał sobie sprawę, jak blisko jest krawędzi, i poczuł galopujące tętno. Położył dłonie płasko na trawie, żeby się nie ześliznąć.

- Jimmy! Lepiej, żebyś tu zszedł - wołała Sophie.

Widział tylko jej głowę. Krzycząc, szeroko otwierała usta. Potwór z głębin. Kochanka olbrzyma, pomyślał, przypominając sobie legendę.

- Po co? - Dał im rękawiczki i plastikowe woreczki na dowody, na wypadek gdyby jednak znaleźli telefon.

- Naprawdę, Jimmy, musisz. Chyba poradzisz sobie na tej trawie, powinienes. Tędy da się zejść bez liny.

Gdy znaleziono Roddy'ego Sinclaira, udało mu się uniknąć wyprawy w rozpadlinę. Wtedy Sandy zajął się miejscem zbrodni. Teraz nie miał wyboru. Sophie wciąż na niego patrzyła. Zdjął marynarkę, złożył ją starannie i położył na trawie, czując się trochę jak ktoś, kto właśnie postanowił się utopić. Potem ześliznął się po zboczu do pierwszej króliczej ścieżynki przecinającej stok. Pochylał się możliwie nisko, tak żeby cały czas jedną ręką dotykać trawy. Zbocze nie było niebezpieczne - Sophie zwyczajnie by po nim zbiegła. W wyobraźni ujrzał, jak kobieta lekko i pewnie przeskakuje z jednej króliczej dróżki na

następną, wyprostowana, patrząc przed siebie, utrzymując się na zboczu samymi piętami. Wiedział, że sam okropnie się guzdra. Od czasu do czasu zatrzymywał się i zerkał w górę, sprawdzając, ile się zsunął. Uznał, że na dół rozsądniej nie patrzeć. Poznał, że zbliża się do podstawy zbocza, bo usłyszał Sophie wykrzykującą coś do Rogera w tunelu. Jej słowa dobiegły go zniekształcone przez echo, ale musiała być już niedaleko. Odwrócił się i zobaczył, że do dna zostały raptem ze dwa metry. Ślizgiem wylądował przy Sophie, wpadając prosto do wypełnionego wodą zagłębienia. Słońce tu nie dochodziło. Wokół roznosił się zapach gnijących morskich wodorostów, organiczny i stony. Jak w prehistorycznej jaskini. Wolał nie myśleć, jak zdoła wrócić do realnego świata.

- Co znaleźliście?

- Woleliśmy tego nie dotykać. Tędy. - Poprowadziła go do wejścia do tunelu.

Podłoże było nierówne - pokryta kamyczkami lita skała, pełna lodowych szczelin, kałuży i małych otoczków, które woda naniosiła z plaży. Trochę za późno przypomniał mu się rozesłany kilka miesięcy temu okólnik w sprawie oceny ryzyka. Ciekawe, co na to wszystko powiedziałyby ich behapowiec. Roger i Sophie nawet nie pracowali w policji.

Tunel wyglądał stąd jak jaskinia. W głębi chyba się zakrzywił i zwęził, bo od strony plaży nie przebiegała do środka ani odrobina światła. Roger włączył latarkę i czekał na nich otoczony żółtym blaskiem. Siedział na kamiennym występie i zjadał czekoladę.

- Przepraszam - powiedziała Sophie. - Jimmy troszkę się ślimaczył.

- Macie telefon Booth'a? - Perez podejrzewał, że postanowili splatać mu figła. Dobrze wiedzieli, że cierpi na lęk wysokości, i podstępem ściągnęli go na dół. Zaraz wyciągną jakiś śmieszny przedmiot wyrzucony przez morze - sztuczną szczękę albo stary but - i potraktują to jako świetny żart.

- Nie - powiedział Roger. - Ale znaleźliśmy to. - Oświetlił latarką stertę śmieci naniesionych na kamienną półkę. Skrawki rybackich sieci, muszle i wodorosty, dwa plastikowe pierścienie po czteropaku piwa i gładki, kremowy kawałek kości.

- Bardzo zabawne - mruknął. Jakaś owca złapała się w pułapkę Wyrwy i padła z głodu. Niedługo trzeba czekać, żeby w wodzie nastąpił rozkład ciała, a potem pożarły je ryby i inne

żyjątką. Z kolei na powietrzu wydrzyki albo szczury raz dwa zjadłyby szczątki. Przyszedł przyptyw i zaniósł odłamek kości na półkę.

- Jak myślisz, co to jest?

- Owca? Albo pies?

- Przyjrzyj się - powiedział Roger. - Chyba nie zgadłeś. Jeśli się nie mylę, to ludzka kość udowa.

- Roger jest fizjoterapeutą - wyjaśniła Sophie. - Zna się na anatomii człowieka.

Perez zauważył, że chyba wciągnęła ją intrygująca zagadka niewyjaśnionej śmierci.

- Musiała być bardzo wysoka woda, żeby kość została na półce. - Roger poświecił latarką wzdłuż ściany tunelu, pół metra pod skalnym występem. - Tu widać zwykły poziom przyptywu.

- Więc pewnie przyniosło ją morze - założył Perez. Ile ludzi zginęło już na tych wodach? Prądy bywały tu tak gwałtowne, że często w ogóle nie odnajdywano ciał z zatopionych wraków. Kość, błyszcząca i gładka, najwyraźniej długo pływała w morzu.

- Woda szybko ją wypolerowała - stwierdził Roger, jakby czytał w myślach inspektora. - To wcale nie trwa lata. Nie zawsze. Nie w tej dziurze. Weź pod uwagę te kamyki i piasek.

- Kiedy ostatnio był wysoki przyptyw? Jak myślicie, kiedy znalazła się na półce? - Perez nagle poczuł, że jego myśli ruszyły z miejsca. Jakby wypił dużą czarną.

- W tym roku - odparła szybko Sophie. - Podczas przesilenia wiosennego. W „Shetland Timesie” opublikowali fantastyczne zdjęcia fal w Scalloway, nie widziałeś? Kość mogła tu leżeć wcześniej, ale na półkę zniosło ją pewnie wtedy.

- Muszę się dostać na koniec tunelu. - Perez na dobre zapomniał o ocenie ryzyka. - Trzeba zobaczyć, jak duży jest wlot od strony morza.

Poszli gęsiego: Roger na przedzie, Perez w środku i na końcu Sophie. Od strony rozpadliny w tunelu dało się rozprostować ramiona, ale w miarę jak się posuwali do przodu, stawał się coraz węższy. Przed sobą widzieli smugę dziennego światła i czuli rześkie podmuchy słonego morskiego powietrza. Wdrapywali się teraz po litej skale. W końcu się zatrzymali, bo dalej nie zdołaliby się przecisnąć. Przez pionową szczelinę na krańcu przejścia przeświecało słoneczne światło, wydobywając z kamienia kolorowe, mieniące się pasy.

- Ciało nie dostałoby się przez szczelinę - stwierdził Perez.
- Nawet popychane przez fale. Za wąska. - Sandy mógł spokojnie zostawić torbę na dole. Nie ma mowy, żeby zmyło ją do morza przez ten mały prześwit.

- Może rozkład nastąpił na morzu? A ten kawałek kości został zassany do środka.

Perez szybko analizował sytuację.

- Jasne. Ale jeśli trafimy na kolejne fragmenty, to już nie będzie przypadek. Pomyślcie o tych kilometrach wybrzeża, gdzie mogły wylądować. Gdy znajdziemy kość większą niż ten odłamek, stanie się oczywiste, że nie dostała się z zewnątrz. - Popatrzył na nich. - Dobrze kombinuję. Szczelina jest wąska. A zatem jeśli natkniemy się na jeszcze jakieś kości albo na większą część szkieletu, z powodzeniem możemy uznać, że ciało zrzucano ze szczytu. Jak Roddy'ego Sinclaira. A to oznacza kolejne, wcześniejsze morderstwo.

ROZDZIAŁ 35

W poniedziałkowe popołudnie Fran pojechała odwiedzić Bellę. Cały weekend dręczyło ją poczucie winy. Nie bardzo wiedziała, w czym jej przyjazd mógł pomóc, ale śmierć człowieka tak młodego i pięknego potrzebowała oprawy. Domagała się rytuału. Fran wiedziała, że Bella widzi to podobnie. Pewnie majestatycznie czeka na plebanię na kondolencje. Co nie znaczy, że nie odczuwa ogromnej straty. Roddy'ego kochała jak własne dziecko, nie mniej niż Fran swoją Cassie - ale pewnie zapragnie udramatyzować jego odejście, utrwalić w sztuce, uczynić niezapomnianym.

U wejścia na plebanię stała grupka reporterów. Nie wyglądali na miejscowych. Siedzieli zadowoleni ze słońca, z teledziurkami wycelowanymi w plebanię. Obok stał umundurowany policjant, umilając sobie czas pogaduszkami z dziennikarzami. Powiedziała mu, że przyszła odwiedzić Bellę, i ją przepuścił. Chyba już go kiedyś widziała na jednym z przyjęć Duncana. Tamte czasy zdawały się takie odległe.

Drzwi otworzyła jej Bella, zgodnie z przewidywaniami Fran wystrojona na przyjęcie gości. Jej ubiory zawsze trochę przypominały teatralne kostiumy. Dziś założyła długą, suto marszczoną spódnicę ze śliwkowego muślinu i haftowaną białą bluzkę z bawełny. W efekcie wyglądała nieco egzotycznie - jak tancerka flamenco albo Cyganka. Fran poczuła się podle, że zajmują ją tak błahe sprawy jak ciuchy, ale Bella lubiła, gdy doceniano jej starania. Zastanawiała się, czy wypada pochwalić gospodynię, że ładnie wygląda, ale uznała, że nie. Poza tym ona i bez tego to wie.

- Chciałam cię zobaczyć - zagadnęła. - Niewiele mogę pomóc. Jeśli wolisz zostać sama, po prostu powiedz.

- Nie. - Bella cofnęła się, stała teraz obramowana światłem wpadającym przez wysokie okno. - Towarzystwo dobrze mi zrobi. Oderwie mnie od rozmyślań. Jadłaś już lunch? Aggie

Williamson podrzuca mi jedzenie. Gotuje sama albo przynosi smakołyki od Martina, ale nie mogę nic przełknąć.

Rzeczywiście chyba schudła. Oczy miała zapadnięte, pod cienką skórą rysowały się kości policzkowe. Mimo wszystko się umalowała - delikatny podkład, muśnięte cieniem powieki. Zrobiłabym to samo, pomyślała Fran. To pomaga obronić się przez całkowitym załamaniem.

- To co, napijemy się herbaty? - spytała Bella. - Mam też ciasto. Możemy usiąść w kuchni?

Fran przypomniało się, jak ostatnio rozmawiały tam o akcji odwołującej wystawę. Bella była wtedy porywcza i rozgniewana. Jak ważne to się wtedy wydawało.

- Policja już wie, po co Jeremy Booth rozdawał te ulotki? - zapytała.

- Przecież jesteś lepiej zorientowana ode mnie. - Na mgnienie oka wróciła dawna Bella, rozbawiona, uszczypliwa. - Nie widziałas się z Jimmym Perezem?

- Nie informuje mnie o dochodzeniu.

- Usiłowałam sobie przypomnieć, czy mogłam gdzieś spotkać Bootha - oznajmiła Bella. - W ostatnich dniach dużo rozmyślałam o przeszłości. Niespodziewanie nabrała ostrości, ożyła. Jest o wiele przyjemniejsza od terażniejszości, a po odejściu Roddy'ego przyszłość właściwie nie istnieje. W każdym razie nie warto się nią zajmować. Możliwe, że go znałam.

- Masz jeszcze pracę. - Mnie pomogłaby się nie rozpaść, pomyślała Fran. Praca i duma nakazująca zachować pozory.

- O tak, ta będzie zawsze.

- I wiesz, gdzie poznałaś Bootha?

- Sporadycznie gościłam różnych ludzi - odparła niejasno. - Zjawiali się w moim życiu na parę tygodni, po czym znikali. Studenci i artyści. Lubiałam energię, jaką wnosili, i czasami prosiłam ich, żeby zostali. Kupiłam duży dom. I uwielbiałam przyjęcia. Jak twój były mąż, kochanie. Więc czemu nie?

- Sądzisz, że Booth mógł być jednym z twoich zabłąkanych gości?

- Możliwe. - Skubnęła kawałek keksa. - Tak jak i Peter Wilding. Nie uświadamiałam sobie tego wcześniej. Ale po śmierci Roddy'ego uciekłam w przeszłość, powtórnie przeżywałam stare czasy. Jeśli to ten mężczyzna, który mi się przypomina, to nawet bardzo się nie zmienił. Ale lato, kiedy wydaje mi się, że tu przebywał, nie było dla mnie szczęśliwym czasem.

Usiłowałam je zapamiętać. Poza tym nie mam pewności. - Chyba zdała sobie sprawę, że mówi chaotycznie, bo spojrzała na Fran i uśmiechnęła się szelmowsko. - Powtórzysz wszystko Jimmy'emu?

- Wołałabyś, żebym mu nic nie mówiła?

Wzruszyła ramionami.

- Tylko dodaj, że mogę się mylić. A Wilding ani razu nie wspominał o swoim wcześniejszym pobycie. Dziwne, prawda? Kiedy pierwszy raz napisał, twierdząc, że zachwyca się moimi obrazami, w ogóle nie podjął tego tematu. Jego list oczywiście bardzo mi pochlebiał. Wszyscy lubimy pochlebstwa. Ale można by sądzić, że powinien coś napomknąć, jeśli u mnie gościł. Wtrąciłby jakiś skromny, pełen nadziei zwrot. „Nie sądzę, żeby pani to pamiętała, ale któregoś lata miałem szczęście gościć w pani domu”. Nie jestem pewna, na ile dokładne są moje wspomnienia. Może to tylko urojenia. Rozpacz czyni człowieka trochę szalonym. Rozpacz i te białe noce.

- Myślisz, że Jeremy Booth i Peter Wilding przyjechali tu w tym samym czasie?

Bella milczała dłuższą chwilę.

- Tak mi się wydaje - odparła w końcu. Była ta sama pora roku co teraz. Wyjątkowo ciepłe lato. Dom pełen ludzi. Rodzice Roddy'ego mieszkali wtedy jeszcze w Lerwick, ale on prawie co weekend wpadał w odwiedziny. Poza tym Alec leżał kilka tygodni w szpitalu. Przypominam sobie, jak pływałam z Roddym na tej plaży. Nauczyłam go pływać. Niewiele dni w roku jest na tyle ciepłych, żeby zażywać morskich kąpiei. A wieczorem urządzaliśmy przyjęcia na plaży. Przy ognisku i muzyce. Zwykle trafiał się ktoś, kto umiał grać. Alkohol i narkotyki, za dużo jednego i drugiego. Wszystko to oczywiście działo się znacznie później niż w latach sześćdziesiątych, ale chyba próbowaliśmy odtworzyć tamtą atmosferę. Twórczej inwencji i wolności. Chcieliśmy wierzyć, że jesteśmy młodzi. - Przerwała. - A ja byłam zakochana w Lawrensie Thomsonie. Kochałam się w nim, od kiedy skończyłam trzynaście lat. A kto wie, czy nie wcześniej. Pamiętam, jak w przedszkolu w Middleton bawiliśmy się w polowanie na całusy. A ci przewijający się faceci... cóż, żaden z nim się nie równał.

Fran cisnęły się na usta pytania, ale zatrzymała je dla siebie. Bella potrząsnęła głową, jakby chciała się zmusić do powrotu do teraźniejszości.

- Oczywiście, gdy tylko pogoda się zmieniała i zaczynało padać, wszyscy odchodzili. Nie pragnęli życia na prawdziwych Szetlandach. Tyle mówili o autentycznej kulturze, ale niczego autentycznego nie potrafili doświadczyć. - Znów zamilkła. - Nawet Lawrence odszedł.

- Pewnie nie masz zdjęć z tamtych czasów?

Bella jakby tego nie słyszała.

- Ale był Roddy - powiedziała. - Z nawiązką wynagradzał mi stratę sezonowych amantów. A potem umarł Alec, matka chłopca uciekła z naciarzem i miałam go tylko dla siebie. Czy zrekompensował mi stratę Lawrence'a? Tego nie jestem pewna.

- Masz jakieś zdjęcia? - Bella znów potrząsnęła głową, odpędzając obrazy z minionych czasów.

- Chyba jakieś są - odparła. - Roddy niedawno je oglądał.

- Mogłabyś mi je pokazać? Czy to dla ciebie zbyt przykre?

- Nie bardzo wiem, gdzie leżą. I szczerze mówiąc, nie wiem, czy starczy mi siły, żeby ich szukać.

- Ja poszukam - zaproponowała Fran. - Jeśli powiesz, gdzie z grubsza mogą być. - Zafascynowała ją opowieść o letnich przyjęciach. Długie, jasne noce. Artyści, aktorzy i pisarze przyciągani przez Szetlandy, a jeszcze bardziej przez Bellę. Jak łączyli się do płomienia świecy, lecieli do kobiety, której byli obojętni. Pragnęła Lawrence'a, swojego ukochanego z dzieciństwa, swojego złotego chłopca. Doskonała fabuła filmu. Wspaniali ludzie, olśniewająca sceneria.

- Są w starym pudełku po butach - odparła Bella tak szybko, jakby tak naprawdę od początku chciała pokazać zdjęcia. Była tylko zbyt ospała, a może za ważna, żeby po nie sięgnąć. - Pewnie znajdziesz je w szafce w gabinecie. Trafisz tam? - Odchyliła się w krześle i machnięciem ręki wskazała kierunek.

Fran z przyjemnością sama szła przez dom, zaglądając przez uchylone drzwi do mijanych pokoi. W takich chwilach odnosiła wrażenie, że kradnie obrazy i zachowuje je, żeby później wykorzystać we własnym malarstwie.

Fotografie znalazła dokładnie tam, gdzie powiedziała Bella - w wygniecionym pudełku po butach na półce wysokiej szafki z ciemnego drzewa. Zastanawiała się, czy Bella je oglądała. Zdjęcia leżały luzem i bez żadnego widocznego porządku. Wiele było w kiepskim stanie - z obszarpanymi brzegami, pozaginаныmi rozkami - wyblakłych i odbarwionych. Fran kusiło, by usiąść na podłodze i je rozłożyć, poszukać jakiegoś klucza

czy znajomej twarzy. Ale należały do Belli, więc zachowały się okropnie wścibsko.

Gdy wróciła do kuchni, Bella uprzątnęła już ze stołu dzbanek z herbatą, kubki i keks od Aggie Williamson.

- No dobrze. - Westchnęła. - Zobaczmy, co tutaj mamy.

Fran najchętniej wysypałaby zdjęcia i ułożyła w wachlarz, jak karty do gry, ale Bella wyjmowała po jednym. Na pierwszym mały Roddy, zawinięty w ręcznik, z zapiaszczoną, brązową od słońca buzią. Był też na wielu kolejnych fotkach i przy każdej Fran musiała wysłuchać odpowiedniej historii. W pewnej chwili Bella się rozplakała. Fran podeszła i otoczyła ją ramieniem.

Wracając na swoje krzesło, ukradkiem zerknęła na zegarek. Bardzo współczuła Belli, ale niedługo powinna wyjść. Cassie została po szkole u koleżanki, zbliżała się jednak pora podwieczorku i trzeba ją odebrać. Zadzwoń do Pereza i powie mu o zdjęciach. To przecież i tak nie jej interes. Jeśli ma się im ułożyć, musi nauczyć się nie wtrącać w jego pracę, nie zadawać pytań.

Wtedy na stosie w pudełku zobaczyła fotografię grupki dorosłych. Elegancko ubrani - kobiety w długich sukniach, mężczyźni w koszulach i marynarkach. Zdjęcie pstryknięto w ogrodzie, na tle domu. Wyglądali sztywno i oficjalnie. Na niebie ani jednej chmurki. Trzymali w rękach fantazyjne, przymocowane do kijków maski. Fran przeszył nagły chłód.

Zdawało się, że Bella nie dostrzegą ich znaczenia. Wpatrywała się w zdjęcie.

- Pamiętam tamten wieczór - podjęła. - Następnego dnia prawie wszyscy wyjeżdżali. Urządziliśmy prawdziwe pożegnalne przyjęcie. Poprosiłam, żeby elegancko się ubrali, nakryłam do stołu w jadalni. Chciałam czegoś specjalnego i wpadłam na pomysł z maskami. Ależ musiałam się wydać pretensjonalna! Uważałam, że to bardzo wyrefinowane. Wspominam tamten okres jako czasy swojej młodości, ale to nieprawda.

- Skąd wzięliście maski?

- Wypożyczyłam w teatrze. Tym na statku, który co roku cumuje w Lerwick. Zaprzyjaźniłam się z jednym z aktorów.

- Jak dawno to było?

Bella zapatrzyła się w dal.

- Piętnaście lat temu? Następnego dnia Roddy obchodził szóste urodziny. Przyjechał na wyspę po prezent ode mnie, a

my mieliśmy straszego kaca.

- Znasz wszystkich na tym zdjęciu?

Bella uniosła je do oczu. Było większe niż pozostałe fotki, niemal wielkości przykrywki od pudełka.

- To ja. Na samym przedzie. Jakżeby inaczej.

Miała na sobie czerwoną jedwabną suknię bez pleców. Króciutko obcięte włosy, niemal w tym samym stylu co teraz. Fran przypomniał się autoportret, który przyciągnął uwagę Jeremy'ego Bootha na wernisażu w Herring House.

- Ślicznie wyglądasz.

- Postarałam się. Och, i to jak! Wbiłam sobie do głowy, że tego wieczora Lawrence mi się oświadczy.

- Jest na zdjęciu?

- Nie - odparła krótko. - Zaprosiłam go, ale nie przyszedł.

- Czy to nie Peter Wilding? - Fran odwróciła zdjęcie w swoją stronę. - Ten facet obok ciebie. - Był bardzo opalony, czarnowłosy, przystojny i pochmurny.

- Myślisz? Trochę mu się przytyło od tamtego czasu, jeśli to on. Całkiem możliwe, nos podobny.

- Naprawdę go nie rozpoznałaś, gdy przyjechał wynająć dom? Nie zmienił się tak bardzo.

- Nie wierzysz mi? Jasne, że go nie poznałam. Już wyjaśniałam, nie chciałam pamiętać tamtego lata. Poza tym nie czułam potrzeby wracania do przeszłości. Dzięki Roddy'emu miałam przyszłość.

Fran pomyślała, że Bella złożyła wielki ciężar na barkach chłopca - odpowiedzialność za jej szczęście.

- Jest tu Jeremy Booth?

Bella przyjrzała się fotografii.

- Trudno powiedzieć. Widziałam go bardzo krótko w tamten wieczór w Herring House. O, czy to nie ten?

- Który?

- Ten tutaj. Smutna mina, wąski nos. Ma oczywiście więcej włosów. Niemodnie długie, nawet jak na tamte czasy. I brodę. Bardzo artystyczny wizerunek.

- Naprawdę nic sobie nie przypominasz? Nawet imienia?

- Nie wydaje mi się, żeby długo tu zabawiał. Najwyżej kilka dni. Zdarzało się. Goście wpadali na chwilę i odjeżdżali. Spędzałam wtedy dużo czasu w Glasgow, prowadziłam wykłady na akademii sztuki. Upijałam się na przyjęciach i zapraszałam ludzi na Szetlandy.

Odchyliła się w krzesło z półprzymkniętymi oczami. Pewnie znów przeżywała tamto lato.

- Chyba był magikiem - powiedziała. - Dał przedstawienie dla Roddy'ego. Miło z jego strony, choć tak naprawdę wystąpił dla mnie. Wyznał, że się we mnie zakochał. - Jakby opowiadała o czymś najzwyczajszym pod słońcem, niewartym uwagi. Przerwała. - Pamiętam, że lubił robić kawały, nie zawsze w dobrym guście. Tamte ulotki pasują do jego stylu. Może to zemsta. Ale dlaczego tak długo zwlekał? - Zamyśliła się. - Przecież chyba nie przyjechał na Szetlandy tylko po to, żeby zrobić mi na złość - dodała z nutką zadowolenia. Spodobała się jej myśl, że tak długo dręczyła wielbiciela.

- Zdarzyło się wtedy coś szczególnego? - zapytała Fran. - Coś, co po tylu latach mogło doprowadzić do zbrodni?

- Nie. Tamten wieczór, kiedy zrobiono zdjęcie, okazał się totalną kląpą. Wystroiliśmy się i zjedliśmy obiad. Następnego ranka zostałam z kacem i stertą brudnych naczyń. Żadnych dramatów. Nic.

- Mogę wziąć to zdjęcie i pokazać Jimmy'emu?

- Czemu nie?

Wydawała się bardzo zmęczona, jakby już nic naprawdę się nie liczyło.

ROZDZIAŁ 36

Taylor od ósmej siedział przy biurku, ale w ogóle nie mógł się skupić. Już jako dziecko był niespokojny i powoli zaczynał rozumieć, że musiał doprowadzać ojca do szału tym swoim wierceniem się i nieustanną potrzebą uwagi. A ojciec, brygadzysta w dokach, przywykł do odrobiny szacunku. Taylor nawet nie próbował się dostosować.

Od czasu podróży do Wirral częściej myślał o rodzinie. Powinien się z nimi skontaktować, a przynajmniej dać znać, że wszystko u niego w porządku. Jeremy'ego Bootha wszyscy mieli za samolubnego łajdaka, który porzucił żonę i dziecko. Może to samo mówili o Royu Taylorze. „Mógłby chociaż odezwać się do matki?”. Ta sprawa nosiła zbyt wiele podobieństw do jego życia. Wszystko wskazywało na to, że Lawrence Thomson też po prostu odszedł. Uciekł przed nudą lub obowiązkami związanymi z opieką nad żoną i rodziną. Albo po prostu potrzebował swobody, możliwości podejmowania samodzielnych decyzji i życia własnym życiem.

Taylor wyszedł na ulicę. Potrzebował ruchu, świeżego powietrza i filiżanki dobrej kawy. Do portu wpływał kolejny olbrzymi liniowiec, zasłaniając Bressay i górując nad miastem. Taylor stwierdził, że chyba nic nie odzwierciedla lepiej jego wyobrażenia piekła niż statki. Człowiek jest uwięziony tam z ludźmi, których towarzystwa sobie nie wybierał; musi być dla nich miły i nie może uciec. Jak w rodzinie. A potem pomyślał jeszcze, że choć wiele lat nie kontaktował się z krewnymi, tak naprawdę wcale przed nimi nie uciekł. Uraza do ojca nadal w nim buzowała, napędzając jego ambicję i odpychając od niego ludzi.

Zaszedł do Peerie Café. Był tu z Perezem za ostatnim pobytym na Szetlandach. Pili kawę i rozmawiali o śledztwie, zjednoczeni sprzeciwem wobec powszechnego mniemania, że mordercę już znaleziono. Brakowało mu tamtej komitywy. Chyba

nawet się śmiali. Zachowywali się raczej jak przyjaciele, nie rywale. Dlaczego Perez tak go teraz drażnił, bardziej niż poprzednio? Czyżby dlatego, że inspektor zaprzyjaźnił się z Fran Hunter? Zazdrości Jimmy'emu, że ma kobietę?

Atrakcyjną kobietę.

W kolejce przed nim stały dwie panie w średnim wieku - ubrane na sportowo angielskie turystki. Usiłował powściągnąć zniecierpliwienie, gdy deliberowały, czy wielkim zbytkiem będzie zafundować sobie do ciasteczek bitą śmietaną. Taylora kusilo, by odwrócić się i wyjść, ale powstrzymywał go aromat kawy.

Właśnie złożył zamówienie, gdy zadzwonił Perez.

- Jestem w Biddista. Może uznasz, że lepiej tu przyjechać.
- W głosie Szetlandczyka nigdy nie było pośpiechu, ale tym razem Taylor wyczuł, że chodzi o ważną sprawę. - Wspinacze coś znaleźli...

Angielki wróciły do lady, kręciły się tuż pod bokiem, robiły zamieszanie z serwetkami. Gadały jak najęte i Taylor prawie nie słyszał, co mówi Perez.

- Już jadę. Powiesz mi na miejscu.

Poprosił, żeby podano mu kawę na wynos, w papierowym kubku, i poczuł się prawie szczęśliwy. W każdym razie na tyle, na ile się mógł, odkąd dorósł. Miał zadanie, powód do działania. Chociaż przez kilka godzin nie będzie się nudził. W samochodzie włączył Led Zeppelinów tak głośno, że muzyka zagłuszyła wszelkie myśli; prowadził jedną ręką, w drugiej trzymał kubek wciąż za gorącej kawy. Uświadomił sobie, że jego życiem kieruje strach przed nudą.

Wjechał ścieżką najwyżej, jak się dało, zaparkował na trawie i ruszył piechotą. Perez i wspinacze czekali na niego nad krawędzią rozpadliny. Na ich widok, leżących na trawie z twarzami do słońca, znów dopadła go straszliwa irytacja. Nie mają nic do roboty? Czyżby dochodzenie w sprawie morderstwa było dla Pereza tylko okazją do oderwania się od rutyny i średnio porywającego zajęcia utrzymywania porządku na tej smaganej wiatrami wyspie na końcu świata?

- Co tam? - Poczuł się na gorszej pozycji, zadyszany i spocyny po podejściu na wzgórze. - Znaleźliście komórkę Bootha?

- Nie - odparł Perez.

- To co?

- Ludzką kość. - Perez zmarszczył brwi. - Starą. W każdym

razie nie świeżą. Potrzebujemy opinii biegłego. Ale najpierw chciałem poznać twoje zdanie. Uznałem, że należy wstrzymać się z działaniem, dopóki nie uzgodnimy, co dalej.

Taylor z trudem powstrzymywał furię. Z radością by sobie pofolgował i wybuchnął, wygarnął Perezowi niekompetencję. To Szetlandczyk odpowiadał za miejsce zbrodni, gdy znaleziono ciało Roddy'ego Sinclaira. Dlaczego od razu porządnie nie przeszukał terenu? Dlaczego dopiero on musiał zagonić ich do roboty? Poczul, jak opromienia go aureola nieomyślności. Jednak dzień kończy się nie najgorzej.

- A według ciebie co tu się zdarzyło? - zapytał, próbując się uspokoić i zachowywać przyzwoicie. Na tym polu też rywalizował.

- Chyba morderstwo - oznajmił Perez. - Powód albo zapalnik ostatnich wydarzeń. Z początku przypuszczaliśmy, że kość naniósł morze. Niejeden człowiek stracił życie na tych wodach. Ot, wypadek, nic niezwykłego. Ale znaleźliśmy kolejną. Chyba fragment голени. Pewnie jest ich więcej.

Taylor spojrział na inspektora. Niezłe salto logiczne, wywieść morderstwo z kilku kosteczek. Perez stworzył teorię, był przekonany, że zna przebieg wydarzeń. Co nie znaczy, że ma rację.

- A może ciało przyniosła woda, rozłożyło się na dole, ale nikt tego nie zauważył?

- Nikt by nie zauważył, to pewne. - Perez kiwnął głową. - Ludzie nieczęsto schodzą do rozpadliny. Kiedyś dzieciaki ciągle biegały po wzgórzach. Teraz nie.

- Więc to możliwy scenariusz?

- Nie. Szczelina w tunelu jest za wąska. Ciało by tamtędy nie przeszło. Nawet dziecka, a to jest dorosły.

- Do czego zmierzasz, Jimmy? Nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości. Mów jaśniej, jeśli laska?

- Myślę, że to kości człowieka, którego najpierw zabito, a potem zrzucono. Podobnie jak Roddy'ego Sinclaira. - Zmrużył oczy przed słońcem. - Co by wskazywało, chyba się zgodzisz, na tego samego mordercę.

- Ale Jeremy'ego Bootha zabito zupełnie inaczej. Podejrzewasz, że jego udusił ktoś inny? Dwóch morderców?

- Nie wiem. Tak to widzę.

Jesteś tego pewien, uznał w duchu Taylor. Ale się nie przyznasz.

- Powinniśmy gruntownie przeszukać teren po znalezieniu ciała Sinclaira. - Chyba na tyle mógł sobie pozwolić. Wyważona i umiarkowana uwaga, ale Perez wychwyci krytykę.

- Rzeczywiście. Powinniśmy. - Perez przerwał. - Ale co teraz? Czekamy na specjalistyczną ekipę poszukiwawczą z lądu? Nie zapowiadają wysokiego przypływu. Raczej nie stracimy więcej, niż już zostało stracone.

Taylor usiłował obliczyć, jak długo potrwa znalezienie właściwych ludzi i ściągnięcie ich tutaj.

- Jakaś alternatywa?

- Jesteśmy do usług! - odezwała się dziewczyna. Wspinacze siedzieli trochę na uboczu i udawali, że nie podsłuchują. - Nigdzie nam się nie spieszy. Powiedzcie, co zrobić, i to zrobimy. Jeśli chcecie, możemy wszystko uzgodnić z waszym specjalistą.

Miała mocno kręcone jasne włosy; mówiąc, przechyliła do tyłu głowę. Taylor z trudem oderwał wzrok od jej piersi, osłoniętych tylko kamizelką.

- Gdyby nie my, nawet nie wiedzielibyście, że tam leżą kości.

Zgodził się, bo nie mógł znieść myśli o kolejnej zwłoce. Poza tym ekipa poszukiwaczy przyjechałaby z własnym szefem, wtedy straci kontrolę. Dla tej dwójki to on Był specjalistą. Zrobią, co im każe.

- Dobra. Czemu nie?

Młoda kobieta uśmiechnęła się do niego, podniecona jak mała dziewczynka. Taylor odwrócił się do Pereza i mrugnął porozumiewawczo. Znow było tak jak zimą, oni dwaj kontra system.

Później musiał przyznać, że szetlandzcy wspinacze wykazali się solidnością i drobiazgowością godną profesjonalistów. Stał z Perezem na górze i obserwował, jak w uprzężach penetrują podnoże rozpadliny, przeczesując palcami kamyki i morskie zielsko. Szybko znaleźli kolejną kość. Znow tylko fragment. Perez zastanawiał się, czy nie jest zwierzęca, ale Roger upierał się, że ludzka. Potem przez dłuższy czas nic się nie działo.

- Żyjecie? - zawołał Taylor.

- Jeszcze tak, ale zaraz umrzemy z głodu.

Taylor czuł się rozdarty. Nie chciał niczego przegapić, ale okropnie się nudził.

- Przejdę się po jakąś kawę i jedzenie dla nich - powiedział.
- I dla nas.

- Ja pójdę.

- Nie. Jesteś stąd. Zostajesz.

Herring House zamknięto dla gości, usłyszał jednak ruch w środku i zastukał w drzwi. Nikt nie odpowiadał, ale Taylor się nie poddawał.

- Na litość boską, człowieku. Nie umiesz czytać? Zamknięte.

Spodziewał się Martina Williamsona, ale to Aggie, matka chłopaka. Pierwszy raz widział ją w Herring House, więc dopiero po chwili połapał się, kim ona jest.

- Wiem - powiedział.

Zarumieniła się na jego widok i najwidoczniej uznała, że powinna wytłumaczyć swoją obecność.

- W poniedziałki poczta otwarta tylko do południa. W dni, kiedy kawiarnia jest nieczynna, pomagam tu trochę w wiosennych porządkach.

- Dziwi mnie, że panna Sinclair myśli w takiej chwili o biznesie.

- To nie Bella mnie poprosiła, tylko Martin. Ma wolną rękę w prowadzeniu knajpy. Dziś go tu nie ma, poszedł do Keny'ego Thomsona strzyc owce. Dobra pora na porządki.

Taylorowi kobieta wydała się bardzo wytrącona z równowagi. Może wystraszyło ją walenie w drzwi. Podejrzewał, że dopóki nie znajdą zabójcy, wszyscy w Biddista będą się bali hałasu i niespodziewanych gości.

- Mogłaby pani zrobić mi kilka termosów z kawą? I kanapki. Oczywiście zapłacę.

- Nie wiem. To lokal Martina.

- Chyba nie pożałuje nam paru kanapek.

Obruszyła się na ostrość jego słów.

- Pewnie coś się znajdzie - mruknęła.

Nie zaprosiła go do środka, ale i tak wszedł za nią do kawiarni, a potem do kuchni. Odniósł wrażenie, że Aggie nieźle już się tu zadowowiła.

- Często pomaga pani Martinowi?

- Jeśli jest zajęty przygotowaniem do imprez.

- A przed wernisażem panny Sinclair?

- Tylko nakrywałam stoły, składałam serwetki, takie tam.

Wieczorem nie. Kiedyś pomagałam też Belli, gdy wydawała na

plebani przyjęcia, ale zawsze za kulisami.

Uznał, że nieśmiałość nie pozwoliłaby jej obsługiwać gości.

- Jakie one były? Pewnie wielkie fety.

- Różnie. - Uśmiechnęła się lekko. - Czasami myślałam, że Bella zamówi szampana i kanapki, a kończyło się na grzankach z fasolką przy kuchennym stole. Nie wiem, jak to odbierali jej goście.

- Pamięta ich pani?

- Nie, stare dzieje. Bella już od dawna nie urządza hucznych przyjęć.

Odpowiedziała tak szybko, że nie wiedział, czy jej wierzyć.

- Ludzie z Biddista też przychodzili?

- Tylko za zaproszeniem - wyjaśniła. - Alec, gdy czuł się lepiej. Brat Belli. Kenny, ale jemu się nie paliło. I Lawrence. Bella wolała towarzystwo mężczyzn.

- Proszę mi powiedzieć, jak to jest dorastać w takim miejscu? Nie umiem sobie tego wyobrazić. Wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą.

- Och nie! Bronimy skrawków prywatności. Inaczej byśmy zwariowali.

Nagle chyba spieszyła się swoją otwartością i uchyliła drzwi dużej lodówki.

- Mogę przygotować z żółtym serem i szynką. Mam też pasztet, jeśli lubicie.

- Niech pani zrobi po kilka z każdego rodzaju. Jest nas tu więcej.

- Sądziłam, że już skończyliście na wzgórzu. - Kroiła chleb na kromki i zastygła z uniesionym nożem, czekając na odpowiedź.

- Nie całkiem - odparł. Potem dodał, ciekawy jej reakcji: - Coś znaleźliśmy.

- Co takiego? - zapytała szybko.

- Przykro mi, nie mogę rozmawiać o śledztwie. - Próbował pokrzepić Aggie uśmiechem. Choć sam sprowokował pytanie, tak się zdenerwowała, że pragnął ją uspokoić. Niemal fizycznie czuł ogarniające kobietę napięcie, jak zakażenie, które przeniosło się też na niego. - Chciałaby nam pani coś powiedzieć?

Pochyliła głowę nad kanapkami, kryjąc twarz.

- Nie. Ależ skąd. Po prostu modlimy się, żeby to się już skończyło.

Wahał się, czy naciskać, znów odniósł wrażenie, że cała dolina zjednoczyła się w zmowie milczenia. Aggie tak się zamknęła w sobie, że nie sądził, żeby dalsze dociekania przyniosły jakiś efekt.

Zrobiła butelkę herbaty i drugą kawy, owinęła kanapki w aluminiową folię i odkroiła pół keksu. Odmówiła wzięcia pieniędzy.

- Bella na pewno życzyłaby sobie, żebym wam pomogła. - Stała w drzwiach galerii i patrzyła, jak detektyw odchodzi ulicą, jakby zamierzała się upewnić, że naprawdę już poszedł.

Kiedy wrócił na wzgórze, okazało się, że znaleziono fragment szczęki. Z dwoma zębami. Ale wspinacze wyjaśnili, że dopiero co zaczęli. Perez wisiał na telefonie, organizował generator i oświetlenie. Uznali, że zejdzie im do późnych godzin nocnych.

ROZDZIAŁ 37

Perez dotarł do Ravenswick dopiero o wpół do pierwszej, ale Fran jeszcze nie spała. Powiedziała, że na niego zaczeka. Zadzwoiła, gdy tkwił na wzgórzach. Prawie nie miał zasięgu, odbiór był kiepski, na dodatek obok stał Taylor.

- Musimy porozmawiać - oświadczyła. - Choćbyś wrócił bardzo późno. Widziałam się z Bellą. To bardzo ważne.

Gdyby poprosił, na pewno powiedziała mu przez telefon, co ją gnębi, ale nie chciał. Uważnie śledził przeszukiwanie dna rozpadliny i wolał nie przeciągać rozmowy. Taylor i bez tego ciągle go opierniczał. I miał rację. Po znalezieniu Roddy'ego Perez powinien zarządzić gruntowne przeszukanie klifu i jaskini. Nie pora na osobiste pogaduszki.

Gdy przyjechał, czytała przy stole. W domu panowała cisza. Popatrzył przez okno na profil Fran oświetlony lampą stołową. Chyba usłyszała samochód, ale czytała dalej, marszcząc brwi, skupiona na książce. Odwróciła się dopiero, gdy zapukał i wszedł.

Wstała, zarzuciła mu ramiona na szyję i przyciągnęła go do siebie.

- Ale zmarzłeś. Weź kąpiel, jest gorąca woda.

- Przepraszam, nie mogłem rozmawiać. - Przez całą drogę zastanawiał się, o co chodziło Fran. Jej słowa zabrzmiały złowieszczo. „Musimy porozmawiać”. Dokładnie tak wyraziła się też Sarah, kiedy postanowiła powiedzieć, że go opuszcza. Ta wiadomość spadła na niego jak grom z jasnego nieba. Może powinien rozpoznać oznaki, ale nawet nie przyszło mu to do głowy. Widział, że chodzi smutna, ale sądził, że to z powodu poronienia. Potrzebuje czasu, żeby się z tym uporać, myślał. Nie zdawał sobie sprawy, że to on stanowi problem.

- Chodzi o śledztwo - wyjaśniła Fran. - Przypuszczam, że to coś istotnego.

Poczuł ulgę, a zaraz potem rozdrażnienie. Łudził się, że choć

w nocy uwolni się od pracy.

- Spotkałam się z Bellą. Doszła do wniosku, że chyba jednak знаła Jeremy'ego Bootha.

- Przypomniała sobie nazwisko?

- Po części tak. Bardziej dlatego, że teraz żyje przeszłością. Uciekła od śmierci Roddy'ego we wspomnienia. Stwierdziła, że chyba widziała Bootha. Ma wzrokową pamięć i choć facet się zmienił, coś w jego twarzy nagle wydało jej się znajome.

- Gdzie go poznała?

- Na Szetlandach. W Biddista. Któregoś lata na plebanii utworzyła się taka niby komuna artystów. Po prostu się zjawiał i został. Nie sądzę, żeby pamiętała, skąd się wziął. Magik, lubił robić kawały. Tyle powiedziała. Nic więcej.

- Kiedy to było?

- Z piętnaście lat temu. Nie wdawała się w szczegóły.

- Dlaczego po takim czasie postanowiłby zepsuć wernisaż? Domyśla się?

- Wyznał jej miłość, jakżeby inaczej! Ale od wtedy nie miała od niego wieści. Zresztą nie rozpoznała go na wystawie.

- Wierzysz jej? Trochę to dziwne, że dopiero teraz wspomniała tamto lato.

- Bella w ogóle jest dziwna, nie sądzisz? A już zwłaszcza po stracie Roddy'ego. Stwierdziła, że wyparła je z pamięci. Chyba z powodu odejścia Lawrence'a. Sama nie wiem. Teraz na nowo przeżywa szczęśliwsze czasy: dzieciństwo Roddy'ego i swoją dawną świetność. To, jak wszyscy w niej się kochali. Ucieka przed rozpaczą.

- Ale tylko ona jedna z Biddista przypomina sobie Bootha.

- Minęło piętnaście lat. Wtedy na plebanii roiło się od dziwaków. Dlatego ludzie go nie rozpoznali.

Z zaskoczeniem uświadomił sobie, że wcale nie pada ze zmęczenia. Jadąc do Fran, poczuł, że umysł ma świeży, jakby wieczór dopiero się zaczynał, jakby nie spędził w pracy pół nocy.

- Zrobiłabyś mi drinka?

- Jasne. Na co masz ochotę? Wino, piwo, whisky?

- Poproszę białe wino. - Napój letnich popołudni. Wyobraził sobie dawne przyjęcia na plebanii. Goście Belli siedzą w ogrodzie i piją schłodzone białe wino, rozmawiają o malarstwie i polityce.

- To jeszcze nie wszystko. - Fran znalazła w lodówce otwartą butelkę wina. Nalała sobie i jemu. - Myśli, że Peter Wilding też u niej był tamtego lata.

- Czy ta kobieta oszalała? Bawi się z nami w ciuciubabkę?

- Nie wydaje mi się - odparła Fran.

- No nie wiem. To niedorzeczne. Nagle okazuje się, że ci faceci, do tej pory niczym niepowiązani, gościli jednocześnie w jej domu. A ona, choć zeznała, że ich nie zna, cudem sobie wszystkich przypomina.

- No tak - zgodziła się Fran. - Ale przyjmuję jej wyjaśnienia. Dopóki żyła terażniejszością, nie widziała powodu, by wracać do dawnych czasów. Wiesz, jaka jest pochłonięta sobą. Ja mam tak samo, gdy pracuję. Myślę wtedy tylko o sztuce, nawet kiedy czytam coś Cassie, nawet gdy jestem z tobą, cały czas tkwi mi w głowie. Zresztą ty zachowujesz się podobnie, gdy pracujesz nad dużą sprawą. Po co miała myśleć o przeszłości? Teraz wspomnienia ożyły. To jej sposób, żeby nie pograżyć się w rozpacz po śmierci Roddy'ego.

- Dla mnie to bez sensu. - Upił wina. - Jak dziecięca gra. Albo Up Helly Aa po pochodzie. Tłumy przebierańców przevalają się z sali do sali. Co i rusz na kogoś wpadam, ale nigdy do końca nie wiem na kogo, choć wydaje mi się znajomy. Dokładnie to samo czuję teraz. Gubię się w tym, co jest prawdą, a co iluzją.

- No tak - powtórzyła.

- Plotę bzdury?

- Chyba rozumiem, o co ci chodzi. - Umilkła. - Zobacz, przyniosłam zdjęcie. Może tak będzie łatwiej. Maski też są. - Położyła na stole wyblakłą kolorową fotografię i skierowała na nią światło lampy. - Założyli wieczorowe stroje na uroczystą kolację - wyjaśniła. - W pewnym sensie też się przebrali. Te maski muszą coś znaczyć.

Zapewne, ale co?, zastanawiał się Perez. A potem pomyślał, że powolutku zbliża się do rozwiązania. Czyżby się mylił?

- To Wilding. - Wskazał bruneta. - Prawie się nie zmienił. Jak mogła go nie rozpoznać?

- Dawne dzieje, inne okoliczności. Ale on powinien pamiętać, że tutaj był. Dlaczego nic Belli nie wspomniał, gdy ją poprosił, by wynajęła mu dom? Mnie to się wydaje strasznie dziwne.

- A tu stoi Bella. Lubiała czerwone rzeczy. To element jej

wizerunku.

- Znałeś ją wtedy?
- Na pewno o niej słyszałem. Już wtedy cieszyła się lokalną sławą.

- Bella sugeruje, że ten tutaj to Booth.

Mężczyzna w drugim rzędzie, z długimi włosami, brodą i pociągłą twarzą, wyglądał jak renesansowy wizerunek Jezusa. Ostatnia Wieczera, skojarzył Perez.

- A pozostali?

Fran wzruszyła ramionami.

- Bella nie powiedziała, a ja się nie dopytywałam. Na pewno nie ma tu Lawrence'a. Oczekiwała, że on przyjdzie. Liczyła na to, że poprosi ją o rękę tamtego wieczoru. Ale się nie pojawił. Czy to nie smutne?

- Jeśli prawdziwe.

- Nie wierzysz jej ?

- Widzisz, nie wiem komu ani w co wierzyć. - Upił kolejny łyk wina, a raczej haust. - Powinienem powiadomić Taylora.

- Nie śpi o tej porze?

- On chyba wcale nie sypia. - Dołał sobie do kieliszka. - Mogę go tu zaprosić? Nie zabawimy długo.

- Jasne - odparła bez wahania.

Taylor odebrał po drugim dzwonku, jego głos brzmiał wyraźnie jak zwykle, tylko akcent wydawał się przez telefon mocniejszy. Perez postarał się zwięźle nakreślić mu sytuację, łapiąc się na tym, że trochę się jąka.

- Mam zdjęcie - powiedział. - Interesujące. Może poczekać do rana, ale jeśli chciałbyś wpaść teraz, będziesz mile widziany. Wiesz, gdzie mieszka Fran.

Chwila wahania. Perez przygotował się na odmowę. Wtedy usłyszał zdecydowany głos Taylora.

- Przyjadę. Za pół godziny. - Kolejna pauza. - Dzięki.

Fran poszła spać przed jego przyjazdem. Przygotowała im małą przekąskę - ser, ciasteczka owsiane i puszkę domowych herbatników.

- Nie trzeba. - Perez dotknął jej dłoni.

- Wystarczająco długo mieszkam na Szetlandach, żeby wiedzieć, jak się podejmuje gości.

Słyszał kroki Fran w sypialni. Wyobrażał sobie, jak się rozbiera, zdejmując długie kolczyki, sięga do tyłu, żeby rozpiąć za-

mek naszyjnika. Potem stanęła w drzwiach w długiej białej koszuli nocnej, której jeszcze nie widział.

- Chyba zasnę, zanim przyjdiesz się położyć. Przepraszam.

- Moja wina. Nie powinienem ściągać tu Taylora.

Uznał, że niezbyt mądrze rozgrywają początek ich związku. Spotykali się zbyt wyczerpani, by nadać tym spotkaniom sens. Niczym dwa duchy snujące się w białe noce. Sarah za nic na świecie nie zgodziłaby się na podobny układ. Domagała się jego uwagi i energii. Fran też pewnie zbrzydnie to jego zaabsorbowanie pracą. Ale może łatwiej zrozumie, ma własną obsesję.

Chyba się zdrzemnął, bo nie usłyszał samochodu, dopiero pukanie do drzwi. Na dworze robiło się coraz jaśniej. Szare światło na wschodzie wydobywało czarną sylwetkę Ravens Head. Nalał wody do imbryka i zaparzył kawę. Starali się mówić szeptem. Perez położył na stole zdjęcie Belli.

- Popatrz na te maski.

Taylor zmarszczył brwi.

- A więc maska ma znaczenie. Wiadomość?

- Ale od kogo? Od Bootha, który założył ją, rozdając ulotki? Czy od mordercy?

Zastanawiali się nad tym przez chwilę w milczeniu, ale nie doszli do żadnych wniosków.

- Jak myślisz, ten tutaj to Jeremy Booth? - zapytał Perez. - Mnie tak się zdaje, a Bella jest prawie pewna. Sprawdziłem daty na statku teatralnym i Był tutaj tamtego lata. Raczej się nie dowiemy, jak trafił do Biddista, chyba że Bella nam powie. Może poszła na przedstawienie. Są adresowane do publiczności rodzinnej. Roddy jeszcze wtedy z nią nie mieszkał, ale dużo czasu spędzali razem. Dobra ciocia wzięła bratanek do teatru. Znając ją, nietrudno sobie wyobrazić, że ściągnęła na plebanię pół obsady. Na obiad albo na dłużej, jeśli trafiła na ostatni występ. - Przypomniała mu się Lucy, młoda aktorka. Pewnie też będą bawować. Koniec nerwów. Chwila odpoczynku. - Powiedziała Fran, że maski wypożyczyła właśnie w tym teatrze. Kolejny związek.

- Warto pokazać zdjęcie szefostwu łajby - zaproponował Taylor. - Może uda im się zidentyfikować resztę towarzystwa. Potwierdzimy, że to Booth.

- A ten to na pewno Wilding. - Perez wskazał bruneta. -

Nie zmienił się tak bardzo jak Booth.

- Więc panna Sinclair kłamała?

Perez wzruszył ramionami.

- Albo naprawdę zapomniała. Nie musiała opowiadać Fran o tamtym lecie. Po co by to robiła, jeśli chciała coś ukryć?

- Ale Wilding powinien pamiętać - zauważył Taylor. - Na upartego mogę zrozumieć, że Belli wyleciał z głowy facet, który wpadł na krótko z tłumem innych ludzi. Ale przyjechać na Szetlandy po to, by spędzić parę dni w towarzystwie podziwianej artystki... Nie ma mowy, żeby Wilding o tym zapomniał.

Podniósł głos. Perez bał się, że zaraz w pokoju zjawi się obudzona hałasem Cassie.

Wyszli dokończyć rozmowę na dworze, jedzenie postawili na ławce między sobą, kubki z kawą na ziemi. Było jeszcze zimno, kulili się otuleni kurtkami.

- Jak sądzisz, co zdarzyło się tamtego lata? - nalegał Taylor. - Dlaczego tych dwóch zginęło?

- Morderstwo. - Perez nie miał ani cienia wątpliwości. - Te kości w dole... Przydałoby się określić wiek. Zrobią to w laboratorium?

- Nie jestem pewien, czy się uda. Ale przynajmniej powinni ustalić tożsamość. Może dzięki analizie DNA znajdziemy krewnych. No i mamy zęby.

- Myślę, że wiem, kto to - oświadczył Perez. - Tamtego lata zniknął Lawrence Thomson. Powiedział Belli, że wyjeżdża, ale potem nikt nie dostał od niego żadnej wiadomości. Słuchając Kenny'ego, można odnieść wrażenie, że jego starszy brat był święty, ale miał na koncie parę bójek. - To też już sprawdził.

- I co? Zalali się, wdali w burdę, sprawy wymknęły się spod kontroli, a później zepchnęli ciało do dołu? I zmówili się, że będą milczeć?

- Może? - Dla Pereza brzmiało to całkiem prawdopodobnie. Mieszanka wybuchowa. Upalne lato. Podniecenie wywołane obecnością egzotycznych przybyszów. Popisujący się przed Bella mężczyźni. Plemienna wrogość między tutejszymi a przyjezdnymi. Na koniec zmowa milczenia.

- I co takiego się zmieniło? Wykręcili się od kary. Jeśli nawet znaleziono kości, ludzie uznałyby, że przyniosło je morze. Że to jakiś marynarz. Gdyby nie te dwa morderstwa, nikt nie miałby wątpliwości.

- Ktoś zrobił się chciwy? - zasugerował Perez.

- Szantaż?
- Niewykluczone.
- To by nawet pasowało do Jeremy'ego Bootha. Wyglądał na cwaniaka. Ale znowu: dlaczego teraz? Problemy finansowe miał od zawsze. Firma była jednak wypłacalna. Przejrzałem księgi rachunkowe. Poza tym właśnie odnalazła się jego córka. Po co by tak ryzykował? Roddy'emu Sinclairowi też chyba nie brakowało kasy. Nie musiał się uciekać do szantażu.

- Chyba że ten ciąg zdarzeń zapoczątkowało przybycie Wildinga - snuł domysły Perez. - Jego przyjazd to jedyna zmiana w Biddista ostatnimi czasy.

- Racja. Poza tym brał udział w otwarciu wystawy w Herring House. Widział historię Bootha. - Zamilkł. - Co on chciał przez to osiągnąć? To miało być ostrzeżenie? Groźba? Czyżby ulotki z tekstem o śmierci w rodzinie odnosiły się do znalezionego w dole biedaczyska? Przecież Lawrence nie należał do rodziny.

- No nie. - Perez przerwał. - Trochę później tego samego lata umarł ojciec Roddy'ego. Brat Belli. Oto śmierć w rodzinie. Ale chorował na raka. Więc co w tym podejrzanego? Widzieliśmy jego grób na cmentarzu za Herring House. Mój ojciec był jego krewnym i przyjechał na pogrzeb. - Właśnie mu się to przypomniało. Ojciec ubrany w czarny garnitur czeka na lot. Czasami wspomnienia śpią, ale wystarczy bodziec, żeby się obudziły. Czuł się teraz swobodniej w towarzystwie Taylora, pierwszy raz od momentu, gdy w Sumburgh odebrał go z lotniska. Może dlatego dodał niespodziewanie: - Nawet się ucieszyłem, że wyjeżdża na kilka dni. Mieliliśmy trochę spokoju. Zawsze wszystko od razu lepiej się układało, gdy nie kręcił się w pobliżu.

- Mój ojciec też był starym dziwakiem.

Milczeli przez chwilę, zjednoczeni podobnym do świadczeniem.

- No i co robimy? - Taylor wstał.

Choć dochodziła dopiero czwarta rano, Perez widział, że Anglik najchętniej od razu stukałby do drzwi, krzyczał w słuchawkę telefonu, zaczął działać. Ale mimo tego rozbłysku energii wyglądał na zmęczonego, ledwie trzymał się na nogach.

- Spimy - odparł. - Nie możesz jechać do hotelu. Zostań na kanapie. Fran się nie pogniewa. - Dziś wieczorem udało mu się zbudować kilka mostów. Z Fran też lepiej się teraz rozumieli. -

Rano odwiedzimy Wildinga i zapytamy, dlaczego nas okłamał.

- Ty z nim pogadasz - oświadczył Taylor. - Trzeba go podejść delikatnie. Jesteś w tym dobry, umiesz przekonać ludzi, że przyszedłeś po przyjaźni. Lubią cię, Peter.

Ale nie Wilding, pomyślał Perez. On mnie nie lubi.

Mimo to kiwnął głową. Był zadowolony, że nadarza się okazja porozmawiania z Wildingiem w cztery oczy.

ROZDZIAŁ 38

Rano zadzwonił do pisarza, żeby umówić się na spotkanie. Oficjalna zapowiedź powinna napędzić mu strachu, pomyślał. Co prawda da mu też czas na spreparowanie jakiejś bajeczki, ale oczekiwanie go zmiękczy. Na pewno dotarli już do niego wieści o kościach w dziurze. A jeśli jeszcze nie słyszał plotek, dziś o wszystkim przeczyta w gazetach. Komunikat był ogólnikowy, ale wystarczył, by przed wizytą Pereza Wilding zyskał pewność, że znaleziono zwłoki. Jeśli coś wie o zabitym.

Taylor wyszedł, zanim Perez i Fran się obudzili. Padł na sofę, gdy tylko Jimmy zaciągnął go z chłodnego świtu do domu. Obaj trzęśli się z zimna, ale czuli ulgę i radość. Znow między nimi się układało. Taylor natychmiast zasnął: myjąc zęby, Perez słyszał jego ciche chrapanie. Gdy położył się obok Fran, prawie się nie poruszyła. Nie chciał jej budzić. To podniecające leżeć obok niej, nie pozwalając sobie na dotyk. Ale sama myśl o tym, pełna oczekiwania, przez chwilę nie pozwalała mu zasnąć. Z głową pełną erotycznych fantazji obserwował, jak światło za żaluzjami zmienia barwę z szarego na mlecznożółte. Potem zasnął.

Taylor wymknął się po cichutku, bo ani on, ani Fran nic nie słyszeli. Na stole w kuchni zostawił wiadomość. „Dziękuję. Powodzenia”.

Wilding odebrał prawie od razu po pierwszym sygnale.

- Tak? - Jakby się go spodziewał.

- Tu inspektor Perez. Czy mógłbym wpaść do pana? Pojawiło się kilka nowych pytań...

W słuchawce zapadła cisza. Chyba nie tego telefonu oczekiwał.

- Obawiam się, że dziś jest nie najlepszy dzień, inspektorze. Zaraz wychodzę. Kupiłem dom w Bunes. Wybieram się tam z budowlancem, żeby ocenić, co trzeba zrobić, żeby budynek nadawał się do zamieszkania.

- Więc spotkajmy się tam - zaproponował Perez. - Znam to miejsce.

- Oczywiście, że pan zna, inspektorze. Powiniennem wiedzieć. Przecież na Szetlandach nie ma tajemnic. - Zaśmiał się krótko. - Bardzo dobrze, w takim razie do zobaczenia w moim nowym domu. Będzie pan pierwszym prawdziwym gościem. Ale proszę dać mi godzinkę lub dwie, żebym najpierw omówił co trzeba z majstrem i hydraulikiem. Nie chcę, żeby się rozeszło po okolicy, że przesłuchuje mnie policja. - Wyraźnie czekał na odpowiedź, może na bagatelizujący śmieszek albo zapewnienie, że nie jest podejrzanym, że chodzi tylko o rutynowe czynności. Perez się nie odezwał. - A zatem czekam. - Wilding niezgrabnie zakończył rozmowę.

Gdy Perez odłożył słuchawkę, do domu weszła Fran; właśnie odwiozła Cassie do szkoły. Od spaceru pod górkę zarumieniły się jej policzki.

- Dobrze, że jeszcze jesteś - powiedziała. - Bałam się, że już pojechałeś. Na Hill Head natknęłam się na Magnusa, a wiesz, jak trudno się go pozbyć.

Zamknął jej usta pocałunkiem i zaprowadził z powrotem do sypialni.



Później zaparzył kawę i zaniósł do łóżka.

- Co masz dzisiaj w planach?
- Pracę - odparła. - A ty?
- Pracę - zawahał się, ile jej powiedzieć. - Jadę spotkać się z Wildingiem w jego nowym domu.

- Bądź ostrożny. To dziwny człowiek. Jakiś taki obsesyjny. Z tych, co nigdy nie dorastają, niezdolni do prawdziwych relacji, tylko do porywczych zadurzeń.

- Zadurzył się w tobie?
- We mnie. W Belli. Może w każdej kobiecie, która w danej chwili pasuje do jego fantazji. Prawie dałam się skusić, żeby zająć się nowym domem. Urocze miejsce.



Jadąc na spotkanie, Perez próbował oddzielić osobiste uprzedzenia od faktów na temat Wildinga. Pisarz. Autor powieści fantastycznych, dziwacznych, ciekawych, ale ponurawych. Perez przeczytał jedną recenzję na portalu Amazon. Inne dane też sprawdził. Wilding zaliczył krótki pobyt w szpitalu na oddziale psychiatrycznym, po tym jak zostawiła go dziewczyna. Nękał ją swoim natręctwem, prześladował. Nigdy jednak nie uciekał się do agresji. Taylor rozmawiał z policjantami, którzy przyjęli skargę eks-partnerki. Młoda kobieta nie bała się go, irytował ją tylko i denerwował. Uznali, że facet ma słabą psychikę i jest nieprzystosowany, ale nie obawiali się, że może zrobić jej krzywdę.

Kiedy indziej taka historia nastawiłaby Pereza przychylnie. W poprzedniej pracy niemal słynął ze swojej słabości do wariatów. Ale Wildinga polubić nie umiał. Może odstręczały go pieńiądze. Trudno współczuć bogaczowi. W jednym z artykułów znalezionych w internecie wymieniono kwotę, jaką pisarz dostał tytułem zaliczki za ostatnią książkę. Nie musiał się uciekać do szantażu.

Perez skręcił z głównej drogi na południe, minął zagrodę dla bydła i jechał brzegiem wąskiej, wcinającej się w łąd zatoki. Dzień był prześliczny. Całe lato zapowiadało się gorące i suche. Wrócił myślą do zdjęcia zrobionego w ogrodzie plebanii - panowie w koszulach z krótkimi rękawami, Bella w seksownej czerwonej sukni. Bezchmurne niebo. Wtedy też pogoda dopisywała. Po raz pierwszy uderzyło go, że Bella była na zdjęciu jedyną kobietą. Oczywiście zauważył to, ale uznał za naturalne. Nawet teraz wciąż otaczali ją mężczyźni.

Z naprzeciwka jechała biała furgonetka. Perez zjechał na pobocze, żeby ją przepuścić, i pomachał kierowcy. Davy Cloustone, budowlaniec, najwidoczniej Wilding zatrudnił go do remontu domu. Dobry wybór. Cloustone to świetny fachowiec. Nie tani, ale niezawodny. Perez zastanawiał się, jak Wildingowi udało się tak szybko namówić majstra.

Teraz pisarz pewnie siedzi sam w nowym domu, gotowy na powitanie gościa. Mógł się umówić później w Biddista, ale może chciał się pochwalić imponującym nabytkiem.

Kuta żelazna brama stała otwarta, więc ruszył podjazdem. Żwirowa droga zarośnięta chwastami i kwiatami wyglądała jak skalny ogródek. Zaparkował przed domem. Wilding czekał na

niego na schodach. Jak angielski ziemianin, pomyślał. Oczywiście do pełni wizerunku nie brakowało sztruksowych spodni i tweedowej marynarki.

Mężczyzna uśmiechał się promiennie. Jeśli wizyta go niepokoiła, dobrze to ukrywał.

- Proszę - zawołał z daleka. - Tak się cieszę, że zdobyłem ten dom. Od razu się z nim zakochałem. Wiem, że to okropne cieszyć się, gdy inni rozpaczają, ale marzyłem o własnym domu na Szetlandach od chwili, gdy pierwszy raz zobaczyłem obraz Belli. Nie spodziewałem się, że uda mi się znaleźć coś tak wspaniałego. - Otworzył dwuskrzydłowe drzwi i zaprosił Pereza do dużego holu. W słońcu wirowały pyłki kurzu. - Przyniosę co trzeba. Kawę i herbatniki, mam już prąd.

Zaprowadził Pereza do pokoju, pustego, jeśli nie liczyć jednego zakurzonego mebla bliżej nieokreślonego przeznaczenia. Dom wcale nie jest taki wielki, zauważył Perez. Dwa pokoje dzienne wychodzące na morze, na tyłach kuchnia i łazienka. Na górze pewnie trzy sypialnie. Mniejszy od plebanii. Wilding pochylał się nad czajnikiem podłączonym do wiekowego gniazdka nad podłogą. Nasypał kawy do dzbanka, nalał powoli wodę.

- Pija pan czarną, prawda, inspektorze? Widzi pan, zapamiętałem. - Wytarł kubek koszulą i przecedził gotowy napój przez drobne sitko. - Na więcej w tych okolicznościach mnie nie stać, ale powinna panu smakować. Szkoda pogody, pójdziemy na dwór, dobrze?

Usiedli na murze, przodem do plaży i płaskiej wyspy u wylocu zatoki.

- Dlaczego nie powiedział mi pan, że był wcześniej w Bid-dista? - Perez wpatrywał się w horyzont.

- Nie wydaje mi się, żeby pan pytał.

- Nie przyznał się pan Belli, że już się spotkaliście w jej domu?

- Cóż, uznałem to za niezbyt szarmanckie. - Wilding z uśmiechem odwrócił się do Pereza. - Mogłaby to odebrać jako sugestię, że ma kiepską pamięć. Albo że próbuję uzyskać w jej oczach znaczenie, którym najwyraźniej mnie nie zaszczyca. Poza tym pomyślałem, że woli nie pamiętać tamtego lata.

- Dlaczego?

- Szalone czasy. Trochę spowaźnieliśmy od tamtej pory.

- Jak pan trafił na plebanię?

- Zaprosiła mnie. Poznaliśmy się w pociągu. Sypialnym. Kursował wtedy z Londynu do Aberdeen. Może nadal kursuje. Jechałem do Dundee na spotkanie literackie, a ona wracała do domu. Oboje nie mieliśmy rezerwacji, więc całą noc piliśmy i rozmawialiśmy. To jedno z tych pamiętnych, dziwnych spotkań, które odmieniają życie. „Przyjedź i pobądź u mnie trochę. Uwielbiam twórczych ludzi”. Była taka charyzmatyczna, ciągle jest, nie sądzi pan? Zauroczyła mnie. Więc po występie w Dundee pojechałem do Aberdeen i wsiałem na prom na północ, wziąłem ją za słowo. Płynąłem staruszką „St Clare”: w barze pili nafciarze, a na pokładzie zalegała młodzież w śpiworach. Gdy zjawiłem się na plebanii, odniosłem wrażenie, że chyba zdążyła mnie zapomnieć. W pociągu mocno się wstawiła. Wydumałem sobie romans, łudziłem się, że zostałem zaproszony, bo wyczuła we mnie bratnią duszę, a tu patrz: dom pełen ludzi.

- Znow się uśmiechnął. - Poczułem się trochę upokorzony. Sta-

nałem w progu z szampanem i bombonierką, a ona z początku nawet nie wiedziała, kim jestem. Więc chyba pan rozumie, że

nie bardzo miałem ochotę na powtórkę z rozrywki. Skoro nie poznała mnie po dwóch dniach, to raczej marne szanse, że przypomni sobie po piętnastu latach.

- Kto jeszcze mieszkał u niej tamtego lata?

Wzruszył ramionami.

- Paru młodzieńców, studentów akademii sztuk pięknych z Glasgow.

- I Jeremy Booth - dodał Perez.

- Mężczyzna, który zginął na moło w Biddista? - Wilding wydawał się autentycznie zaskoczony. - Też był na plebanii?

- Nie pamięta go pan?

- Nie.

Perez położył na murze zdjęcie Belli.

- Może to odświeży pana pamięć.

Wilding zapatrzył się na fotografię.

- Dobry Boże, nawet nie mam pojęcia, kiedy ją zrobiono. Nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek to widział. Czy Bella nie wygląda pięknie? Ale chyba jest nieszczęśliwa.

- To pan, prawda? - Perez wskazał na bruneta w pierwszym rzędzie.

- Tak, oczywiście. Nadal właśnie takim siebie pamiętam. Za każdym spojrzeniem w lustro przeżywam szok.

- A te maski po co?

- Kaprys Belli. Jej pomysł na wyrafinowany wieczór. Perez ponownie postukał w zdjęcie.
- Sądzymy, że to Jeremy Booth. Rozpoznaje go pan? Wilding się zastanawiał.
- Być może. Hmm... gdy pierwszy raz wymienił pan nazwisko, wydało mi się znajome. Był aktorem, i rzeczywiście tamtego lata gościł na plebanii. Ale krótko. Szalałem za Bellą i za nic nie wyjechałbym, zostawiając ją z innymi, ale Booth spędził tam tylko kilka dni. Zjawił się pod koniec mojego pobytu. Bella zaprosiła go niemal dokładnie tak samo jak mnie. I pewnie też miał nadzieję na romans, a co najmniej na seks, i podobnie się rozczarował. Biegał za nią jak usychający z miłości szczeniak, ale nikt nie brał go na poważnie. Wyglądał wtedy zupełnie inaczej niż na zdjęciu w gazecie i niż mężczyzna, który dostał ataku hysterii w Herring House. Nosił długie włosy. Przedstawiał się jako Jem. Byliśmy raczej w dobrych stosunkach. Nie do wiary, że Bella go zapamiętała. Miała tyłu wielbieli.
- Zdjęcie przywołało wspomnienia.
- Pstryknięto je na pożegnalnej kolacji - ciągnął Wilding. - Zapewnialiśmy się wzajemnie, że nie chcemy wyjeżdżać, ale chyba większość czuła ulgę, że to koniec.
- A jednak pan wrócił, po piętnastu latach. Coś pana tu ciągnęło.
- Ach, tym razem przywiozłem na Szetlandy całkiem inne oczekiwania. Pragnąłem spokoju i ucieczki od swojej dziewczyny. A przynajmniej od obsesji na jej punkcie. Helen poznałem wkrótce po pobycie na plebanii. Jest zupełnie inna niż Bella. Krucha, nieśmiała. Chociaż też mnie udręczyła.
- Nie wygląda pan na szczególnie udręczonego. - To był bardzo nieprofesjonalny komentarz, ale siedzący na murku Wilding, z herbatnikiem czekoladowym w jednej ręce i kubkiem kawy w drugiej, z tą swoją pewnością siebie, precyzyjnym, aroganckim sposobem wysławiania się, nie przypominał ofiary Amora.
- Musiałem stwardnieć, inspektorze. Uznałem, że to jedyne wyjście, żeby przetrwać.
- Dlaczego Biddista? Szetlandy są duże.
- Już to panu wyjaśniałem. Niezmiennie kocham malarstwo. Z czasem prace Belli stały się jeszcze lepsze, mocniejsze, odnowiłem z nią kontakt przez e-mail. Nie ukrywam, liczyłem

na to, że rozpozna moje nazwisko, ale stało się inaczej. Gdy powiedziałem jej, że chcę odpocząć na Szetlandach, zaoferowała mi wynajęcie domu w Biddista.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Perez odezwał się pierwszy.

- Odwiedzał pan Willy'ego w ośrodku opieki. Rozmawialiście o tamtym lecie?

- Oczywiście, że nie. Willy nie pamięta nawet, co zdarzyło się przed tygodniem. Lubię słuchać jego opowieści, to wszystko.

- A co zdarzyło się tamtego wieczoru przed piętnastu laty? Gdy zrobiono to zdjęcie?

- Doprawdy, czy to rzeczywiście ma związek z pańskim dochodzeniem?

- Tak sądzę. Może dać odpowiedź na pytanie, po co wrócił Jeremy Booth.

- Piliśmy na umór i wygłupialiśmy się. - Przerwał. - W pewnej chwili Bella się rozpląkała. Nigdy wcześniej nie widziałem, by straciła panowanie nad sobą. Łzy ciekły jej po policzkach, twarz miała czerwoną i pokrytą plamami. Wyglądała brzydko. Okropnie. Chyba ten widok skłonił mnie, żeby wyjechać razem z innymi. Nie chciałem przyjąć do wiadomości, że była zwykłą śmiertelniczką.

- Dlaczego płąkała?

- Nie wiem. Może ktoś ją uraził. Łatwo się obrażała.

- Doszło do jakiejś kłótni? Sprzeczki?

- Nie. Byliśmy zbyt pijani i naćpani, żeby się bić. - Umilkł.

- Następnego dnia się nie pokazała. Została w łóżku. Żartowaliśmy, że pewnie leczy potężnego kaca, ale tak naprawdę chyba czuła zakłopotanie, że zobaczyliśmy, jak się rozkleiła. Wyjechaliśmy bez pożegnania.

- Nikt nie wpadł na pomysł, żeby sprawdzić, czy nie jest chora?

- Towarzyszył jej Roddy. Zdaje się, że przyjechał już poprzedniego wieczoru, ale poszedł spać, zanim zaczęliśmy balować. Albo może rodzice podrzucili go rankiem. Nie pamiętam. Wtedy często bywał na plebanii. Rozgarnięty dzieciak. Wysłaaliśmy go, żeby sprawdził, jak się czuje Bella. Sami stchórzyliśmy! Nie mieliśmy odwagi przed nią stanąć. Wrócił do kuchni, gdzie siedzieliśmy. „Ciocia powiedziała, żebyście się odpie-

przylili!” Cała Bella. Z czystym sumieniem się zmylił. Zawsze robiliśmy to, co nam kazała.

- Booth też wyjechał?

- Nie razem z nami. Willy podwiózł go do Lerwick swoją furgonetką. Ja miałem już okazję jechać nią wcześniej. Z tyłu brakowało siedzeń. Do dziś pamiętam te siniaki. Postanowiłem opuścić Biddista z fasonem i zamówiłem taryfę z Lerwick.

- Znaleźliśmy kolejne ciało w dziurze.

Wilding obrócił się gwałtownie.

- Słyszałem, że kości. Może leżą tam od wieków?

- Domyśla się pan, kto to może być?

- Ależ skąd!

- I jest pan pewien, że nie rozpoznał Bootha w Herring House?

- Czy to naprawdę takie dziwne, że nie skojarzyłem osoby, którą kilka razy widziałem piętnaście lat temu? Poza tym bardzo się zmienił.

- Kontaktował się jakoś? Jest pan teraz sławny, o wyjeździe na Szetlandy pisał pan na swojej stronie internetowej. Może przysłał maila. „Też będę na Szetlandach, spotkajmy się, pogadamy o starych czasach?” Wiemy, że miał się tu zobaczyć ze znajomymi.

- Nie ze mną, inspektorze.

Perez uznał, że Wilding będzie obstawał przy swojej wersji. Może nawet mu wierzył. Może to i prawda. Wstał.

- Dziękuję, że zechciał mi pan poświęcić swój czas, panie Wilding. Proszę się odezwać, jeśli coś się panu przypomni.

- Naturalnie. - Wilding znów wszedł w rolę dobrodusznego gospodarza. Odebrał od Pereza kubek, odprowadził gościa do samochodu. Tam przystanął na moment i obdarzył go złośliwym uśmiechem. - Poprosiłem Fran Hunter, żeby zajęła się architekturą wewnątrz w tym domu. Nikt lepszy nie przychodzi mi do głowy, a panu?

- Nie. Mnie też nie.

ROZDZIAŁ 39

O odkryciu w Wyrwie Kenny dowiedział się z radia, gdy zmywał naczynia po śniadaniu. Edith wyszła już do pracy. Teraz rozumiał, skąd te tłumy na klifie poprzedniego wieczoru. Po tym, jak usłyszał radiową informację, cały dzień spędził w domu, czekając na przyjazd policji. Bo nie miał wątpliwości, że kości należą do Lawrence'a. To tłumaczyłoby jego nagłe zniknięcie. Mógł powiedzieć Belli, że wyjeżdża, ale zanim wszedł na prom czy do samolotu, coś mu się przytrafiło. Nie wypadek. Lawrence dorastał na klifach, był najbardziej zwinny z nich wszystkich. Nie było to też samobójstwo. Kenny za dobrze znał brata, żeby w to uwierzyć. Akt przemocy. To by wyjaśniało jego nieobecność, lata bez listu ani telefonu.

Kenny niemal się ucieszył, że znaleziono te kości. Co prawda robiło mu się niedobrze na myśl, że z brata zostało nie więcej niż z padłej w rowie owcy, ale odczuwał ulgę. Bo najbardziej bolało go to, że nie obchodził brata na tyle, żeby ten się z nim skontaktował. W wyobraźni widział Lawrence'a w obcym mieście, a nawet w obcym kraju, z nową rodziną. Z jasnowłosą żoną, bo Lawrence lubił blondynki, z dwoma synami. Teraz starszy, z posiwiałymi włosami, ale nadal gęstymi i kręconymi. Siedzą razem przy stole, jedzą kolację, śmieją się z dowcipów Lawrence'a i ani im w głowie rodzina na Szetlandach. Jeśli jednak brat umarł, a nie odjechał, nie ma żadnej doskonałej rodziny, żadnego śmiechu.

Dochodziła dziesiąta, a nikt z komisariatu się nie pojawił. Więc sam zadzwonił na policję w Lerwick i poprosił o rozmowę z Jimmym Perezem.

Jakaś młoda kobieta poinformowała go, że inspektor jest w terenie. Czy może mu pomóc ktoś inny? Kenny usiłował sobie wyobrazić rozmowę o Lawrensie na przykład z tym dużym Anglikiem, ale wzdrygnął się na ten pomysł. Kazał dziewczynie przekazać Perezowi prośbę, żeby jak najszybciej oddzwonił.

Podał numer stacjonarny do Skoles i numer komórki. Upewnił się, że poprawnie zapisała.

- To pilne - dodał.

W południe nadal nie miał wiadomości od Pereza. Wyszedł na krótko, dokończyć przerywanie rzepy na drugim polu, bo tam jest zasięg i widok na drogę przecinającą dolinę. Może Perez, zamiast dzwonić, przyjedzie porozmawiać. Jeśli odkryją, że kości należą do Lawrence'a, będą chcieli mu to powiedzieć. Kenny nie bardzo rozumiał, dlaczego czuł się taki poruszony. Zupełnie inaczej niż kiedy poprosił, żeby pokazali mu zwłoki wisielca. Wtedy w głębi duszy wiedział, że to nie Lawrence, ale nawet gdyby, to nadal żyłby w przekonaniu, że brat go porzucił. Tym razem instynkt mu podpowiadał, że zbliża się koniec wieloletniego oczekiwania, wypełnionego poczuciem odrzucenia.

Wrócił do domu z zamiarem ponownego zadzwonienia na komisariat, ale ostatecznie wykręcił numer do Edith.

- Edith Thomson, słucham - odezwała się swoim spokojnym, rzeczowym tonem.

Niemal widział, jak żona siedzi w gabinecie za biurkiem, na parapecie za nią stoi zdjęcie Ingirid i Erica. I jego, jej ulubione, na którym spycha łódź do wody.

Nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

- Może zjadłabyś ze mną lunch? - Nagle zapragnął ją zobaczyć. Był roztrzęsiony i zdenerwowany jak chłopak zapraszający dziewczynę na randkę. Trochę tak, jak czuł się przy matce Jimmy'ego Pereza.

- Co się stało? - W jej głosie zabrzmiał niepokój. Jeszcze nigdy nie zaproponował jej wspólnego lunchu w godzinach pracy. Nawet w urodziny czy rocznicę ślubu. Wiedział, że Edith lubi jeść posiłki z pacjentami ośrodka. Twierdziła, że dzięki temu łatwiej jej trzymać rękę na pulsie.

- Nie słyszałaś wiadomości w radiu?

- Nie. Jestem dziś bardzo zajęta. Prawie nie wychodzę z biura.

Wyobraził ją sobie, jak ze zmarszczonymi w skupieniu brwiami stuka w klawiaturę komputera.

- Znalaziono kolejne zwłoki - powiedział. - Stare.

Milczała przez chwilę.

- I myślisz, że to Lawrence?

- Prawie na pewno.

- Nie mogę się stąd ruszyć - odparła. - Ale jeśli chcesz,

przyjdź tutaj. Jasne, wpadaj.

Ale już sama rozmowa z nią uspokoiła Kenny'ego.

- Może później. Nie chcę ci teraz przeszkadzać. - Odłożył słuchawkę. Wreszcie koniec zmartwień. Nic się nie zmieniło, poza jego domysłami związanymi ze zniknięciem Lawrence'a. Zajrzał do lodówki, szukając czegoś do zjedzenia, ale na nic nie miał ochoty. Stwierdził, że pójdzie do sklepu i coś kupi. Pasztecik albo hamburgera. I ciasto. Aggie nie zamyka przed pierwszą, więc powinien zdążyć. Dobrze mu robi, gdy na chwilę wyrwie się z zagrody.

W sklepie poza Aggie nie było nikogo. Czytała, jak zawsze, kiedy siedziała sama. Jego widok ją zaskoczył.

- Kenny. Czego sobie życzysz? - Znali się od dzieciństwa, a mimo to zawsze utrzymywała dystans. Zachowywała się oficjalnie. Nawet jako mała dziewczynka.

- Mam ochotę na coś smacznego na obiad - odparł. - Edith kupuje zdrową żywność. Ale dziś zachciało mi się czegoś innego.

- Czegoś na pociechę. - Uśmiechnęła się.

Wiedział, że Aggie myśli o tym samym co on, o kościach znalezionych przez policję.

Popatrzyła na zegarek.

- Już chyba nikt nie przyjdzie. Wpadniesz do mnie? Zrobię ci kielbasę, jajko i frytki. Masz ochotę?

Zaproszenie go zdziwiło. Czasem przychodziła do Skoles na przyjęcie w Boże Narodzenie albo Nowy Rok, ale jeszcze nigdy nie zaprosiła ich do siebie. Aggie i Edith kiedyś się lubiły, ale więzi się rozluźniły po tym, jak odszedł Lawrence. To on spajał towarzystwo mieszkańców Biddista.

- Bardzo chętnie. Jeśli to nie wielki kłopot.

- Jaki tam kłopot. - Uśmiechnęła się i zauważył, że właściwie jest całkiem ładna. - Sama czasem lubię zjeść coś smacznego.

O Lawrensie wspomniała dopiero przy robieniu frytek. Przyrządzała je na staroświecką modłę, w koszu zanurzonym w oleju w dużym garnku; w czasie smażenia pięknie skwierczały. Stała odwrócona do niego plecami, więc trudno było zgadnąć, o czym myśli. Kielbaski na patelni pachniały smakowicie. Zrobiła mu duży kubek herbaty, siedział w skarpetkach przy stole i pił. Właśnie pomyślał: szkoda, że nie wyszła powtórnie za męża. Wtedy spytała:

- Policja kontaktowała się z tobą?
- W sprawie kości? Nie. Dzwoniłem rano do Jimmy'ego, ale go nie zastałem.
- Myślisz, że to Lawrence?
- Za dużo w tym zbiegów okoliczności, by mogło być inaczej.

- Pewnie będą umieli to stwierdzić - zauważyła. - Teraz tyle się o tym czyta. Medycyna sądowa.

- Chcę tylko wiedzieć - powiedział.

Rozbiła trzy jajka o patelnię i dodała je do kielbasek. Podniosła druciany koszyk z frytkami, żeby ociekły nad olejem, i odwróciła się do Kenny'ego.

- Zupełnie jak ja, wtedy gdy utonął Andrew - wyznała. - Ale czasem myślę, że nadzieja lepsza.

- Pamiętasz tamto lato, gdy zniknął Lawrence? Mnie tu nie było. Pracowałem na Fair Isle.

Wzięła z pieca dwa podgrzane talerze, ostrożnie przerzuciła na nie jajka - dwa dla niego i jedno dla siebie - potem kielbaski, a na końcu otrząsnęła frytki z resztek oleju i wysypała na talerze.

- Mnie też nie było. Wyjechałam do Scalloway. - Podsunęła mu nóż i widelec. Nie wiedział, co pomyślała o jego pytaniu. W ogóle nie wiedział, co myślała. - Jedz, póki gorące.

- Ale pewnie słyszałaś, co się dzieje. Co mówili ludzie?

- To, co zwykle. Że poprosił Bellę Sinclair o rękę, ona go odrzuciła, więc się wściekł i wyjechał. - Wzięła w palce frytkę, podmuchała, zanim włożyła do ust. Zmarszczyła brwi. - Łatwo wpadał w złość. Sam przecież wiesz. Pamiętasz, jak się tłukł z chłopakami na szkolnym boisku. Nauczyciel musiał ich rozdzielać. Lawrence zawsze musiał być najlepszy, najsilniejszy. Rywalizował nawet z tobą.

Kenny'emu przypomniało się wspólne przerywanie rzepy na wyścigi. Lawrence pracował szybciej, ale on porządniej. Może nie rywalizowali, ale rzeczywiście, Lawrence lubił wygrywać.

- Nigdy nie słyszałaś nic więcej? Na przykład, że się pokłócił przy pracy? Nie zadarł z nikim?

Przyszło mu do głowy, że powinien przeprosić Bellę, kiedy to wszystko się skończy. Może nie miała nic wspólnego ze zniknięciem jego brata.

- Nie - odparła Aggie. - O niczym takim nie słyszałam.

ROZDZIAŁ 40

Po powrocie do domu usiadł w fotelu i się zdrzemnął. Nie przywykł do tak obfitych posiłków w porze lunchu. Nagle obudziło go brzęczenie telefonu. Pobiegł do przedpokoju, myśląc, że to Jimmy Perez, ale nie - Edith. Spojrzał na zegarek. Trzecia.

- Wszystko dobrze, Kenny? Jakieś wiadomości?

Miał lekkie wyrzuty sumienia. Powinien do niej za dzwonić. Martwiła się o niego całe popołudnie.

- Żadnych - odparł. - Ale wszystko w porządku. - Nie opowiedział jej o obiedzie u Aggie. Tak mu smakował, że teraz czuł się jak grzesznik skrywający słodki sekret. Wiedział, że Aggie nikomu o jego wizycie nie powie.

- Wciąż chcesz wpaść?

- Tak. - Przeszedł mu już podły nastrój, a lunch z Aggie rozbudził w nim apetyt na towarzystwo.

Pchnął duże, dwuskrzydłowe drzwi i wszedł do ośrodka opieki. Zobaczył ludzi siedzących w nasłonecznionej sali, drzemających albo zatopionych w rozmowach. Może wcale nie byłoby tak źle spędzić tu ostatnie dni swojego życia, pomyślał. Wśród swoich - osób, z którymi przeżył młodość. Pomachał do Willy'ego. Staruszek siedział trochę na uboczu i wyglądał przez okno. Odmachał z szerokim, głupawym uśmiechem. Kenny pokazał, że później przyjdzie z nim pogadać.

Edith wyszła mężowi na spotkanie. Podejrzewał, że pewnie sprawia jej kłopot, czasami zachowywał się bardziej jak dziecko niż jak mężczyzna.

- Chodźmy do mnie - zaproponowała. - Poprosiłam Sandrę, żeby zrobiła nam herbatę.

Usiadł naprzeciwko Edith w głębokim fotelu przy biurku. Przypuszczał, że siadywali w nim krewni pacjentów ośrodka opieki. A czasem kogoś, kto umarł. Pewnie wtedy też prosiła o herbatę. Nalewała ją ze stojącego na tacy porcelanowego dzbanka. Edith też uważa, że to kości Lawrence'a, pomyślał.

Traktuje mnie jak pograżonego w żałobie członka rodziny.

- Naprawdę wolałbym, żeby Perez już zadzwonił i powiedział, co się dzieje - wyznał.

Wyciągnęła rękę i uściśnięła jego dłoń.

- Może czeka, aż dowie się czegoś pewnego. To nie takie proste zidentyfikować ciało na podstawie paru kosteczek.

Kenny się zamyślił. Czasami oglądał policyjne programy. Tam wyniki przychodziły w parę godzin. Ale w telewizji nie pokazywali Szetlandów. Na wyspach pewnie nigdzie nie robią testów. Próbkę trzeba wysłać na południe, a to trwa.

Powoli popijał herbatę, filiżanka wydawała się bardzo krucha w jego dużej dłoni. Na talerzyku leżały kwadratowe, obsypane cukrem ciasteczka. Wziął jedno i zamoczył w gorącym napoju. Smakowały kokosem.

- Pamiętasz cokolwiek z tego okresu, gdy zniknął Lawrence? - zapytał.

Nalała sobie herbatę.

- Myślę o tym od twojego telefonu. Na plebanii u Belli przewalały się tłumy. Czasami Willy zabierał kogoś na morze. Po powrocie rozpalali ognisko na plaży i smażyli ryby. Dużo pili. Lawrence spędzał z nimi większość czasu. Lubiał imprezować.

Kenny skinął głową.

- Byłam wtedy bardzo zajęta - ciągnęła. - Miałam na głowie dzieci, twojego ojca i gospodarstwo. Ty pracowałeś na Fair Isle. Niełatwo mi się żyło.

- Nie powinienem wyjeżdżać. Teraz to rozumiem.

Zaśmiała się.

- Potrzebowaliśmy pieniędzy. Nie pamiętasz naszych planów? Musiałeś zarabiać. Kupiliśmy śliczny dom.

Kenny pomyślał, że chętnie oddałby ten śliczny dom za to, żeby być w Biddista, gdy zniknął Lawrence. Na Fair Isle wyjechał za namową Edith. Chciała, żeby ich dzieci miały rzeczy, na które jej rodzice nie mogli sobie pozwolić.

- Po prostu trzeba czekać - powiedziała. - Perez odezwie się, gdy się czegoś dowie. Po tylu latach parę godzin nie robi już chyba różnicy.

Wiedział, że Edith ma rację, ale odstręczała go myśl o powrocie do Skoles i wyczekiwaniu na dzwonek telefonu.

- Pogadam z Willym, może go trochę rozweselę.

- Pogadaj. Ale dziś jest zupełnie zmieszany. Rozkojarzony. Nie przejmuj się, jeśli cię nie pozna.

- Wilding odwiedzał go jeszcze?

Zmarszczyła brwi i przypomniało mu się, jak zmartwiła ją wizyta pisarza w ośrodku.

- Ja go nie widziałam, ale mógł przyjść w weekend.

- Myślisz, że powinienem go zapytać, dlaczego zawraca staruszkowi głowę?

- Chyba niepotrzebnie się przejmuję. To pewnie nic takiego. Zwykła pisarska ciekawość. Wolałabym wiedzieć, o co chodzi, ale nie chcę, żebyś spotykał się z nim sam. Nie po tym wszystkim, co od jego przyjazdu się tu się wydarzyło. Poczekaj na Martina, wybierze się z tobą.

- Wilding to słaby człowiek. Nie widzę go w roli zabójcy.

- Różnie bywa - odparła. - Nie wydaje ci się, że właśnie słabi są najbardziej agresywni?

Ktoś zastukał w drzwi.

- Przepraszam. - Uśmiechnęła się do męża. - Muszę lecieć. Mam spotkanie. Nie mogę go odwołać. Mój szef przyjechał z Lerwick.

Nachylił się nad biurkiem i cmoknął ją w policzek.

- Do zobaczenia w domu.

Usiadł obok Willy'ego. Personel rozwoził na wózku kubki z herbatą, zatrzymując się po kolei przy wszystkich. Willy dostał już swoją, ale stała nietknięta na stole. Brodę opuścił na pierś, oczy miał przymknięte. W sali było bardzo ciepło, więc Kenny zaczął rozumieć, dlaczego niektórzy drzemali przez większość dnia. Sam też poczuł się senny. Poklepał niedołęznego mężczyznę po dłoni - zaskakująco zimnej - żeby go obudzić. Ale staruszek właściwie nie spał, tylko się zamyślił.

- Cześć, Willy. To ja, Kenny. Pamiętasz? Jestem z Biddista. Nauczyłeś mnie pływać na łodzi.

Willy odwrócił się powoli, otworzył oczy i uśmiechnął się.

- Oczywiście, że cię pamiętam.

- Wpadłem zobaczyć, jak się czujesz.

- Nie najlepiej. Ostatnio mam taki zamęt w głowie. Nie starzej się, człowieku. To żadna przyjemność.

- Świetne czasy, prawda, Willy? Tamte lata, gdy zabierałeś nas na ryby. Całą grupę. Bellę i Aleca Sinclairów, Aggie Watt, moją żonę Edith, która się tu tobą zajmuje, Lawrence'a i mnie.

Willy siedział nieporuszony, zapatrzony w dal z jakimś wytężonym skupieniem.

- Przypominasz sobie Lawrence'a? Mojego brata?

Nadal patrzył w dal.

- Zostawił Szetlandy - ciągnął Kenny. - Myśleliśmy, że wyjechał, bo Bella Sinclair nie chciała go na męża.

- Nie - zaprotestował stanowczo Willy. - Jest tutaj. - Uniósł drżącą rękę i chwycił kubek z herbatą. - Nigdzie się stąd nie ruszył.

- Gdzie jest?

Ale zdawało się, że Willy nie dosłyszał pytania.

- Świetnie się z nim łowi ryby - stwierdził.

I zaczął opowiadać, jak wypłynęli z Anglikami. Bella wydawała wielkie przyjęcie i zamierzała podać gościom ryby. Willy poucinał głowy i je wypatroszył. Opisywał tę czynność tak szczegółowo, jakby jego słuchacz nigdy tego nie robił. Kenny jednym uchem wpuszczał tę gadaninę, drugim wypuszczał.

- Lawrence też tam był tego wieczoru? - zapytał w końcu. Zaczęło mu się spieszyć do domu, na wypadek, gdyby Jimmy zadzwonił do Skoles.

- Oczywiście. Też chciał wypłynąć. - Znow zamknął oczy, potem powoli je otworzył. - Przyszedł do mnie ten Anglik. Wypytywał mnie. Ale nic nie powiedziałem.

Kenny już miał znow go dotknąć, sprowadzić do teraźniejszości, gdy w kieszeni zadzwoniła mu komórka. Szarpnął się, żeby odebrać, zdążył tuż, zanim włączyła się sekretarka. Dzwonił Jimmy Perez. Kenny wyszedł na parking. Willy jakby nie zauważył jego wyjścia, inni też nie zwracali na gościa uwagi. Na dworze fruwało kilka mew, hałaśliwie walczyły o kawałek chleba, Rozproszony tym Kenny przez chwilę nie bardzo wiedział, co Perez do niego mówi. Ale szybko zrozumiał, że niczego nowego się nie dowie.

- Przepraszam, że tak późno oddzwaniam.

- Słyszałem, że znaleźliście jakieś kości.

- Powinienem wpaść ci powiedzieć, Kenny. Ale wczoraj wieczorem skończyliśmy tak późno, że nie chciałem ci przeszkadzać. A dziś od rana pracujemy nad sprawą.

- To Lawrence?

- Jeszcze nie wiadomo. - Zamilkł.

Kenny wyczuł, że Jimmy zamierza jeszcze coś dodać, ale wszedł mu w słowo.

- Nie możecie zrobić testu DNA?
- Do standardowego testu potrzeba szpiku, a ze względu na miejsce znalezienia kości go nie mamy. Jest za to ząb i możliwe, że zachowała się zębina. Ale istnieje inny test. Mitochondrialnego DNA. Przekazywanego po linii matki. Czyli u ciebie i Lawrence'a występuje takie samo.

Kenny usiłował się skupić, żeby to wszystko ogarnąć, ale jego myśli się rozprasały. Pewnie tak właśnie czuje się Willy. Trudno mu się połapać, co się wokół niego dzieje. Zmusił się, żeby słuchać dalej:

- Możemy pobrać od ciebie próbkę DNA? Rozumiesz, Kenny? Żeby zidentyfikować Lawrence'a, potrzebujemy twojego DNA.

- Pewnie. Oczywiście - odparł śmiesznie zadowolony, że się na coś przyda.

- Przyjadę dziś wieczorem wziąć wymaz. Ale to może być późno. Albo kogoś wyślę...

- Nie ma problemu, Jimmy. Wolałbym, żebyś to był ty. Poczekać. Nieważne, kiedy się zjawisz.

- To chwilę potrwa, zanim dostaniemy wyniki. Ze dwa tygodnie, to nie jest typowy test. Bardzo mi przykro.

Kenny stał przez chwilę na dworze. Kusilo go, żeby wrócić do ośrodka i wypytać Willy'ego. Potem uświadomił sobie, że w Biddista też są ludzie, którzy powinni coś wiedzieć.

ROZDZIAŁ 41

Po spotkaniu z Wildingiem w Bunes wrócił na komisariat. Zadzwoił do patologa w Aberdeen, żeby sprawdzić, czy zidentyfikowali fragment kości. Potem pojechał do Thomsona.

Nikogo nie zastał. Kiedy w końcu dodzwonił się na komórkę, wyczuł, jak niecierpliwie Kenny wyczekuje odpowiedzi.

- Żałuję, ale nie da się tego przyspieszyć. - Perez był bezradny, bo nie miał żadnego wpływu na to, jak szybko zrobią test. Nie opuszczało go jednak przeświadczenie, że tak naprawdę to nie ma większego znaczenia. Odnosił wrażenie, że wydarzenia same nabierają rozpędu bez jego udziału. Był przekonany, że w śledztwie nastąpi zwrot, zanim dostaną wyniki analizy mitochondrialnego DNA.

Taylora zastał przy biurku, okupowanym przez niego w centrum koordynacyjnym. Anglik właśnie odłożył słuchawkę, teraz pochylał się nad zabazgrany notatnikiem.

- Skontaktowałem się z Jebson z West Yorkshire.

Pytałem, czy mają jakieś nowe wiadomości w sprawie poczty elektronicznej Bootha. I zwyklej. Wysłali do domu ekipę. Śmieci nie były wyrzucane od jego wyjazdu, mieli nadzieję, że znajdą w koszu list.

- I co?

- Maila nie znaleźli. Ale Jebson trafiła na namiar w książce adresowej. Kobieta nazywa się Rita Murphy i zarządza agencją teatralną. Przed chwilą z nią rozmawiałem. Od lat prowadziła kontrakty Bootha. Pochodzi z Liverpoolu, tak jak ja. Zgadaliśmy się i okazała się cholernie pomocna. - Pociągnął łyk puszkowej coli.

Perez pomyślał, że Taylor pewnie jest wykończony, trzyma się na nogach dzięki kofeinie i sile woli.

- W ostatnich latach Booth nieczęsto korzystał z jej usług - podjął Taylor. - Zajmował się głównie własnym biznesem, Ale

Rita twierdzi, że starał się utrzymać związek z teatrem i grał za każdym razem, gdy nadarzyła się okazja. W każdym razie pozostawali w kontakcie. Chyba się zaprzyjaźnili.

- Reprezentowała go piętnaście lat temu, gdy najął się na „Motley Crew”?

- Tak, wtedy rozkręcała działalność. Zobaczyła go w jakimś amatorskim teatrze. Uznała, że jest dobry, i zaproponowała, że się nim zaopiekuje.

Perezowi przypomniał się występ Bootha w Herring House, Łzy. Fakt, był dobry, pomyślał.

- A jak zaczął pracować na statku?

- Studiowała z facetem, który wpadł na pomysł pływającego teatru i poprosił ją, żeby znalazła mu aktorów. To był pierwszy zawodowy kontrakt Bootha. Dlatego to zapamiętała.

- Nie sądzę, żeby potem jej opowiadał o tamtej pracy. A jeśli nawet, to pewnie nie pamięta.

- Nie w szczegółach. Spotkali się po jego powrocie. Powiedziała, że podobało mu się granie, podróż wokół wybrzeża. Ale wydawał jej trochę przygnębiony. Oczekiwała entuzjastycznej relacji, on jednak nie rozwodził się zbyt. Złożyła to na karb niedawnego rozstania z żoną i córką. Ale chyba bardziej chodziło o to, że Bella odesłała go z kwitkiem.

- Wspominał coś o planach powrotu na Szetlandy?

- Kilka tygodni temu wyjechał do Liverpoolu. Mniej więcej wtedy, gdy odezwała się do niego córka. Może chciał zobaczyć dziewczynę, zanim obieca jej spotkanie. Nie zdziwiłbym się, gdyby kręcił się pod szkołą ciekawo, jak Ruth wygląda.

I co by zrobił, gdyby mu się nie spodobała?, zastanawiał się Perez. Wymówiłby się? Kolejny raz uciekł? Taylor dalej kreślił prawdopodobny scenariusz.

- Podczas pobytu w Merseyside umówił się z panną Murphy. W barze na lunchu. Rita powiedziała, że Booth zalał się w pestkę. Zdaje się, że urządzili większą popijawę. Wtedy jej wyznał, że zamierza popracować na Szetlandach. „Nie martw się, skarbie. To fucha, ale dostaniesz swoje dziesięć procent”.

- Zdradził, co to za praca?

- „Promocyjny teatr uliczny”.

Cudzysłów w głosie Taylora brzmiał wyraźnie i Perez uznał, że to dobre określenie na pantomimę przed statkiem wyciecz-

kowym i akcją w Lerwick. Nie wiedział jednak, czy obejmowało też dramatyczny występ w Herring House.

- Rita lekko się zdziwiła, że podjął się takiej pracy - ciągnął Taylor. - Zwykle był dość wybredny. Lubił prawdziwy teatr, nie przedsięwzięcia teatropodobne. Stwierdziła, że to chyba coś w rodzaju teatru konceptualnego, cokolwiek to znaczy, bo wyjaśnił, że wystąpi przy galerii sztuki. Kiedy wytłumaczyłem jej, na czym to w rzeczywistości polegało, stwierdziła, że nie rozumie, czemu tego nie rzucił i nie wrócił do domu. Co to za granie? Pierwszy lepszy dzieciak może się przebrać i rozdawać ulotki. A Booth w sprawach pracy zachowywał się wybitnie upierdliwie.

- Więc sądziła, że zatrudniła go galeria?

- Tak z początku utrzymywał. Dodał też, że to wspaniała okazja, żeby pobyć obok prawdziwej sławy. „Może to moja wielka szansa, skarbie. Strzał w dziesiątkę. Łut szczęścia. I pomyśleć, że przeszlaby mi koło nosa, gdybym nie oglądał wczoraj telewizji”. Był bardzo tajemniczy. Nie traktowała tego poważnie. Od lat mówił o zdobywaniu szczytów. Jak wszyscy aktorzy.

Perez milczał przez chwilę, dopasowując usłyszane informacje do swoich wyobrażeń o sprawie.

- Domyślasz się, o jakim programie mówił?

- Czy przypadkiem nie o filmie dokumentalnym o Roddym Sinclairze?

Perez rzadko oglądał telewizję, ale nagle tłukące mu się po głowie niesprecyzowane teorie na temat przyczyny śmierci Roddya wysunęły się na pierwszy plan i zaczęły nabierać ostrości.

- Co to za film?

- Nadawali taką serię. Mniej więcej coś w stylu: przybliżamy współczesnych artystów. Nakręcili tydzień z życia młodego muzyka.

- Chyba czytałem coś w „Shetland Timesie” - powiedział Perez. - BBC filmowała Roddy'ego w trakcie zeszłorocznego festiwalu muzycznego. - Przypomniało mu się też, że Kenny coś o tym wspominał i że jego również sfilmowali.

- Kręcili głównie w Glasgow. Jak baluje w klubie, spotyka się z przyjaciółmi, opowiada o swojej muzyce. Ale było też kilka scen z Londynu i dość długi kawałek nakręcony na Szeotlandach. Herring House, wywiad z Bellą. Poszli nawet za Roddym do sklepu w Biddista. Pokazali, jak przekomarza się z

klientami. I jak dał występ w szkole, do której chodził.

- Liceum?
- Nie, dzieciaki były małe. Pewnie w miejscowej podstawówce.
- W Lerwick?
- Raczej gdzieś na prowincji.
- Uda się zdobyć kopię filmu? - zapytał Perez.
- Jeśli uważasz, że to ważne.

Perez nie odpowiedział, ale miał przeczucie, że film potwierdzi jego przypuszczenia dotyczące mordercy trojga ludzi. Ale udowodnienie tego to zupełnie inna historia.



Perez dotarł do szkoły w Middleton akurat na koniec zajęć. Zapytał Taylora, czy by się z nim nie przejechał. Pomyślał, że Anglikowi dobrze by zrobiło, gdyby wyrwał się na chwilę z centrum, łyknął świeżego powietrza, przestał się faszerować kofeiną. On by prowadził, a Taylor mógłby się nawet chwilę zdrzemnąć. Ale rozmowa z agentką Bootha dziwnie na faceta wpłynęła. Usiadł przy biurku pograżony w myślach. Znieruchomiał. Jakby wreszcie zdołał zapanować nad wiecznym niepokojem i nadpobudliwością. Nawet nie zapytał, po co Perez chce jechać do Middleton. Wydawał się zaabsorbowany własnymi problemami.

- Dobrze się czujesz?

Taylor odwrócił się i błysnął uśmiechem, który zaraz zgasł.

- Tak, świetnie. Zadumałem się. Nic związanego z naszym dochodzeniem. Myślę o pracy, o czymś, co zdarzyło się w Inverness.

Perez uznał, że lepiej nie drążyć tematu. Udało im się osiągnąć delikatną równowagę we wspólnych relacjach. Nie chciał tego zepsuć.

Pogoda tego dnia była typowo szetlandzka - wietrzna, z przebłyskami jaskrawego słońca. Gdy wysiadał z samochodu, ze szkoły wypadła gromadka dzieci; z rozłożonymi ramionami biegały na wietrze, śmiejąc się i krzycząc. Pozazdrościł im energii. Począł, aż dziedziniec opustoszeje, i wszedł do środka. Dawn Williamson zastał w szkolnej bibliotece, siedziała na małym krzeselku przed komputerem. Obserwował ją przez chwilę, ale zasłaniała sobą ekran, więc nie widział, czym się zajmuje.

- Nie ma pani komputera w domu? - Wszyscy już mieli. Większość mieszkańców robiła zakupy poprzez internet. Kiedyś, gdy ktoś wybierał się na południe, znajomi wręczali mu listę dóbr niedostępnych na wyspach. Teraz zamawiali przez internet płyty, książki, ubrania, a nawet artykuły gospodarstwa domowego.

Obróciła się zaskoczona. Gdy go rozpoznała, uśmiechnęła się.

- Padł twardy dysk - wyjaśniła. - Kupiłam go zaledwie pół roku temu. To naprawdę niewygodna. Martin potrzebuje komputera do pracy. Nawet Aggie się nawróciła. Bardzo interesuje się historią rodziny, a w sieci można znaleźć mnóstwo ciekawych rzeczy. Odesłałam dysk do producenta. Był na gwarancji, a nie udało mi się ściągnąć nikogo, kto naprawiłby go na miejscu.

- No to rzeczywiście kłopot - przyznał. - Chciałbym zadać pani jeszcze kilka pytań.

Wstała, oparła się o biurko i popatrzyła na inspektora. Coś w jego wyrazie twarzy chyba ją przestraszyło.

- Stało się coś złego? Co tym razem?

- Nic nowego - odparł. - Chodzi tylko o parę pytań.

- Wszyscy jesteśmy już mocno zdenerwowani. Słyszałam, że znaleźliście kolejne ciało. Okropne, nie do wiary. Co powiem Alice? Miałam nadzieję, że to bezpieczne miejsce.

Perez pomyślał o terrorze, którego doświadczył, gdy ze szkółki na Fair Isle przeniósł się do internatu w Lerwick. Dzieci potrafią być okrutne, bez względu na to, gdzie mieszkają. Nie wydawało mu się, żeby tutaj ludzie byli inni tylko dlatego, że to Szetlandy. Czy dzieci, czy dorośli.

- Chodzi mi o film dokumentalny o Roddym Sinclairze. Pamięta pani?

- Nigdy nie zapomnę. Nawet pan sobie nie wyobraża, jakim przeżyciem był przyjazd BBC do szkoły. Spędzili tu trzy dni, chociaż w końcu cała scena trwała raptem z pięć minut. Dzieci szalały z zachwyty.

- Ale Roddy chyba tutaj się nie uczył? W czasach podstawówki mieszkał w Lerwick.

- Konwencja filmowa, tak sędzę. Middleton jest po prostu bardziej malownicze. Poza tym coś mi się zdaje, że przychodził tu na lekcje przez kilka tygodni. Wtedy, gdy zdiagnozowano raka u jego ojca i zabrano go do szpitala w Aberdeen. Matka też pojechała, a Roddy został z Bellą. Kiedy zaczął już nagrywać

plyty, wpadł tu kiedyś i zagrał z dziećmi. Oczywiście go uwielbiały. Przemawiała do nich łobuzerska postawa chłopaka.

- Jak długo BBC kręciła w Biddista?
- Och, długo. Więcej niż tydzień. W efekcie powstał film w równej mierze o Roddym, jak o tutejszej społeczności.

- I co na to mieszkańcy?
- Niby udawali obojętnych, ale pchali się przed kamerą.
- Wszyscy?
- Cóż, Aggie zawsze była raczej nieśmiała. Tego dnia, gdy kręcili kawałek w sklepie, namówiła Martina, żeby stanął za ladą. Ale przekonaliśmy ją: nich udaje klientkę, żeby na filmie znaleźli się wszyscy.

- Willy mieszkał jeszcze wtedy w Biddista?
- Tak. Też został utrwalony na taśmie. Film pokazywali całkiem niedawno, ale nakręcono go zeszłej wiosny.

- W takim razie zanim Peter Wilding wprowadził się do domu Willy'ego?

- Zgadza się. Willy jeszcze nieźle radził sobie sam. - Zajrzała Perezowi w oczy. - Po co te wszystkie pytania? Chyba nie sądzi pan, że to ktoś z nas jest zabójcą.

Nie odpowiedział. Rozciągnął się i poczuł napięcie w mięśniach pleców. Potrzebna mi długa kąpiel, pomyślał. Długa i gorąca. I porządne jedzenie. Doprawdy nie wiem, czemu wydaje mi się, że lubię tę robotę.

- Przykro mi, że znów przeszkodziłem pani w pracy.
- Tylko tyle? - rzuciła ostro. Widział, że kobieta nerwy ma zszargane i z trudem nad sobą panuje. - Żadnego wyjaśnienia, dlaczego pan wypytuje?

- Przykro mi - powtórzył.

Wyraźnie pragnęła, żeby już sobie poszedł, ale się zawahał. Czy zaryzykować jeszcze jedno, ostatnie pytanie? To, które nurtowało go od chwili wejścia do szkoły?

- Domyśla się pani, kto może być mordercą?

Wpatrywała się w niego.

- Nie do wiary, że pyta mnie pan o coś podobnego.

Posunął się za daleko, ale brnął dalej.

- Mogła pani coś słyszeć. Jakieś plotki. Oczywiście, pani nie jest w to zamieszana. Nie było pani jeszcze na Szetlandach, gdy to wszystko się zaczęło. Ale ktoś w Biddista wie.

- Przepraszam, chcę już wrócić do domu i zająć się córką. Jeśli ma pan jeszcze jakieś pytania, proszę odwiedzić mnie w

Biddista, późno, kiedy Alice pójdzie spać. I wolałabym, żeby towarzyszył mi Martin. Jakkolwiek pan to oceni, wolę nie rozmawiać z panem sama.

Na odchodnym pomyślał, jak bardzo różni się obecna Dawn od tej, którą spotkał poprzednio. Silnej i pewnej siebie kobiety. Oto, co przemoc robi z ludźmi. Wszyscy padamy jej ofiarą.

ROZDZIAŁ 42

A nawet i lepiej porozmawiać z obojgiem naraz, stwierdził w duchu Perez. Wyjechał kawałek za Middleton, szosą na Lerwick, żeby Dawn, wychodząc ze szkoły, nie zobaczyła go na placu zabaw. Już i tak była zdenerwowana, nie chciał wystraszyć jej jeszcze bardziej; i żeby nie pomyślała, że ją śledzi. Zatrzymał się na poboczu, obok kępy skarłowaciałych drzew, kiedyś pewnie zasadzonych jako wiatrochron, i zaczął planować, co dalej. Może, zanim Dawn położy Alice do łóżka, wybrać się do Kenny'ego. Pobrałby wymaz do testu DNA. Ale uznał, że brak mu teraz siły na rozmowę z Thomsonem. Musi zjeść coś ciepłego i się wykąpać. Zebrać myśli. Po omacku zbliżał się do rozwiązania, ale nie miał dowodów. Wciąż nie wiedział, jak zdobyć ten wystarczający, żeby dokonać aresztowania.

Wrócił do Lerwick i zaparkował w uliczce pod domem. Wszedł do środka i otworzył okna. Bryza wdarła się do pokoju, wzduła zasłony i szarpała drzwiami. Sąsiad słuchał radia i razem z podmuchami wiatru wdzierą się muzyka. Perez rozpoznał utwór z ostatniego albumu Roddy'ego Sinclaira. Zrobił sobie jajecznicę, grzanki i kawę i z talerzem na kolanach jadł na ławeczce pod oknem, patrząc na przybliżający się do wyspy prom z Bressay. Potem wziął gorącą kąpiel. Leżał w wodzie, prawie drzemiąc, przewijając w myśli prawdopodobne scenariusze. Nie zaliczał się do zwolenników teorii spiskowych, ale tym razem dopuszczał nawet najbardziej niedorzeczne możliwości. Całe dochodzenie polega przecież na wymyślaniu: „A co, jeśli...”. Wilding pewnie bawi się w to samo, pisząc książki.

Przed wyjściem z domu zadzwonił do Taylora - na komórkę, bo uznał, że do tej pory partner na pewno opuścił już komisariat. Anglik zatrzymał się w tym samym hotelu i pokoju co podczas poprzedniego śledztwa. Perez wpadł kiedyś po niego, zastał porządek jak w koszarowych barakach. Łóżko wyglądało na nie-

używane, ubranie złożone w kostkę. Na toaletce w idealnie równym rzędzie pióro, szczotka i notatnik. Czasem miał poważne wątpliwości, czy Taylor kiedykolwiek się relaksował.

Jeśli tak, to na pewno nie teraz, bo odgłosy w tle wskazywały, że nadal siedzi w pracy.

- Co tam?

- Czy twoi kumple z West Yorkshire znaleźli jakieś zdjęcia w domu Booth'a? - Perez wrócił na ławeczkę pod oknem. - Tamtego lata ktoś je pstrykał, bo jest to z Bellą i chłopakami. Pomyślałem, że może było więcej.

W słuchawce zapadła cisza. Taylor próbował nadać za tokiem rozumowania Szetlandczyka.

- Czy ty czegoś przede mną nie ukrywasz, Jimmy?

Teraz zawahał się Perez.

- Muszę jeszcze raz porozmawiać z Williamsonami - odparł wymijająco. - Potem idę do Kenny'ego pobrać wymaz. Chciałbyś później spotkać się ze mną w Biddista? Czy kładziesz się spać?

- To bez sensu - odparł Taylor. - Myślałem, że nie ma nic gorszego niż tutejsza zima, ale mniej mi się dała we znaki niż te zwariowane białe noce. Wiem, że tym razem trochę załatwem wam za skórę. Złóż to na karb bliskości koła podbiegunowego i niewyspania. Jeśli dowiem się czegoś o zdjęciach, każę je zeskanować i przysłać mailem. Wydrukuję i przywiozę.

- Udało ci się namierzyć kopię filmu?

- Zdaje się, że matka Sandy'ego nagrała ten program. Ze względu na Szetlandy. Sandy pojechał na Whalsay złapać ostatni prom.

- Super.

Krótkie wahanie.

- Jimmy?

- Tak?

- Nieważne. Chciałem poprosić cię o radę w pewnej sprawie. Ale to może poczekać. Teraz masz co innego na głowie.

Perez odłożył słuchawkę, po czym uświadomił sobie, że nie ustalili miejsca spotkania. Trudno. Biddista nie jest duże. Jakoś się znajdą. Poza tym sam nie bardzo wiedział, gdzie będzie.

Gdy dotarł do domu Williamsonów, Alice leżała już w łóżku, a dorośli czekali na niego. Razem z Aggie. Perez się jej nie spodziewał. Trochę się obawiał, że obecność matki Martina popsuje mu szyki, ale niby jak miałby odesłać kobietę do domu?

Lepiej nie zaczynać rozmowy od starcia. Zresztą, z nią też musiał porozmawiać.

Siedzieli rządkiem na kanapie. Martin otworzył mu drzwi i wrócił na miejsce.

- O co chodzi, Jimmy? Nie podejrzewałem cię o takie łobuzerskie zagrywki. Nie powinieneś jeździć do szkoły i nękać mojej żony.

- Muszę zadawać pytania. Taki zawód.

- Oskarżyłeś Dawn, że wie, kim jest morderca.

- Nie - zaprzeczył Perez. Bardzo nie chciał, żeby go wzięli za drania. Przez chwilę nie odzywał się, rozważając, czy mógł to rozegrać inaczej, ale uznał, że należy jasno dać do zrozumienia, że sprawa jest poważna. - Zapytałem tylko, czy się domyśla. A to nie to samo. Gdybym sądził, że wie, aresztowałbym ją za utrudnianie dochodzenia. - Przerwał. - Zależało mi na opinii Dawn, bo jest w Biddista stosunkowo nowa, bardziej obiektywna. Tylko tyle.

Dawn siedziała cicho podczas tej wymiany zdań. Teraz się odezwała.

- Przepraszam. W szkole zareagowałam przesadnie. Ale to okropne. Te zbrodnie tuż za drzwiami. Stały się prawie sprawą osobistą, jakby przemoc na trwałe wrosła w nasze życie. Ktoś aż tak nas wszystkich z Biddista nienawidzi?

- Nie - zaprotestował Perez. - Nie w tym rzecz.

Milczeli przez chwilę.

- A ty, Aggie? - zapytał. - Może ty mi powiesz, co tu się dzieje?

Usiadła jeszcze sztywniej i pokręciła głową. Jej ciało здавало się skamieniałe i ten ruch wypadł bardzo nienaturalnie. Jak u mechanicznej lalki.

- Co robiłaś piętnaście lat temu?

- Byłam z mężem w Scalloway, prowadziłam hotel i opiekowałam się Martinem.

- Twoja matka mieszkała w Biddista?

- Tak, w tym domu. Ojciec już wtedy nie żył. Wróciłam tu po jej śmierci.

- Więc dość często wpadałaś do Biddista?

- Owszem. W Scalloway nigdy nie czułam się jak u siebie. Może to moja wina, że mąż był, jaki był. Nie miałam serca ani do małżeństwa, ani do hotelu.

Perez spojrział na Martina, oczekując reakcji - bagatelizującej uwagi albo żartu - ale nic takiego nie nastąpiło.

- A ty, Martin? Dużo czasu tu spędzałeś?

- Jako nastolatek pałętałem się z kolegami, grałem w nogę, słuchałem muzyki. Nie bardzo ciągnęło mnie do Biddista. Lubiliśmy hotel w Scalloway, rozmowy z gośćmi i pracę z ojcem w kuchni. To mi odpowiadało.

Perez wrócił do Aggie.

- Z Bellą też się kontaktowałeś?

- A owszem. Odwiedzałam ją na plebanii. Zawsze miała mnie na podorędziu, gdy lepsza publiczność nie dopisała. Pyszniła się swoim domem i meblami. Moja obecność uświadamiała jej, jak wiele osiągnęła.

- Gorzko to zabrzmiało.

- Doprawdy? - Wydawała się zaskoczona tym stwierdzeniem. - Nie, nigdy nie zazdrościłam Belli. Nieszczęśliwa kobieta. Niczego jej nie dość. I nie ma dzieci. A wiem, że ich pragnęła. Fizycznie, jak ktoś spragniony albo uzależniony. Sama mi o tym mówiła. Otaczały ją tłumy nowych przyjaciół, hordy wielbicieli, ale zwierzała się starym kumplom. W dzisiejszych czasach łatwiej zdobyłaby upragnione dziecko. Jakoś by to zorganizowała. Ale wtedy na Szetlandach panowały bardziej staromodne zwyczaje, Bella natomiast chciała żyć z nimi w zgodzie. Najpierw mąż, potem dziecko, a ona nie mogła go zdobyć. W każdym razie nie takiego, który by jej odpowiadał. Przyciągała zastępy mężczyzn, ale żaden nie chciał jej poślubić i dać dziecka.

- Bella zapraszała cię na przyjęcia?

- Nie jako gościa. - Aggie się uśmiechnęła. - I dobrze. Rozmowa z nieznanymi nigdy nie przychodziła mi łatwo, a w przyjęciach Belli brali udział prawie sami obcy. Zupełnie jak w hotelu w Scalloway, tylko gorzej. Po prostu jestem nieśmiała.

- Ale bywałaś wtedy u niej?

- Tak, czasami przygotowywałam jedzenie, potem sprzątałam.

- Usługiwałaś Belli Sinclair? - Martin wydawał się wstrząśnięty.

- Cóż, synu, czy nie robisz tego samego w kawiarni w Her-ring House? To nie była praca. Pomagałam jej w wolnych chwilach. - Aggie się uśmiechnęła. - Nawet mi nie płaciła, w każdym razie nieczęsto. Zamiast tego przywoziła mi prezenty z wojaży.

Różne ładne rzeczy, których i tak nie miałam okazji założyć; albo wsuwała dwadzieścia funtów w kartkę z podziękowaniami. Chodziłyśmy razem do szkoły. Potem każda poszła swoją drogą, ale się przyjaźniłyśmy.

- A inni mieszkańcy doliny - zapytał Perez. - Ich Bella też zatrudniała?

- Od czasu do czasu, gdy odbywało się wielkie przyjęcie, przychodziła Edith, ale rzadko. Nigdy nie zbliżyły się z Bellą. Edith miała dwójkę dzieci, jedno po drugim, i choć wtedy były już trochę starsze, wciąż miała przy nich pełne ręce roboty. Wtedy żył też jeszcze ojciec Kenny'ego. Upierdliwy starzec.

- Ktoś jeszcze?

- Oczywiście najmowała Lawrence'a i Kenny'ego do pracy przy Herring House. Mieli mnóstwo roboty. Gdy kupiła budynek, z początku uznaliśmy, że zwariowała. Pusta rudera przykryta zardzewiałą stalową blachą, dużo mniejsza niż teraz. Właściwie zbudowali go od nowa, wykorzystując stary kamień i drewno. No i proszę, jaki śliczny, z galerią i kawiarnią.

- Kawiarnia jest od niedawna - wtrącił Martin. - Otworzyła ją pięć lat temu.

- A galeria? Kiedy ją ukończono? - dociekał Perez.

- Chłopcy pracowali nad nią etapami - wyjaśniła Aggie. - Bo mogli dłużyć przy niej tylko wieczorami. Kenny miał zagrodę, a Lawrence w dzień stawiał inny budynek. Dla klientów bardziej skłonnych do płacenia. Gdy Lawrence zostawił Szeotlandy, galeria była już prawie gotowa. Stwierdziliśmy, że czekał z wyjazdem, aż skończy pracę. Pewnie nie zniósłby myśli, że zostawił ją rozgrzebaną.

- Powiedział ci, że wyjeżdża?

- Nie, ale jego zniknięcie wcale mnie nie zaskoczyło. Całe lato chodził jakiś niespokojny.

- Czy to było tamto gorące lato, kiedy Bella tak często wydawiała przyjęcia?

- Tak. Kenny na jakiś czas wyjechał daleko do pracy. Nieczęsto wpadał do Biddista. Ale Lawrence siedział tutaj. Bella zapraszała go na te bibki.

- I co on na to?

- Zachowywał się jak błazen. Nie mogłam na to patrzeć. Dobry chłopak, ale zwariowany. Powinien mieć więcej godności. Zdawało mu się, że ci wszyscy artyści i pisarze uważają go za mądrego, dowcipnego faceta, a oni nabijali się z niego za

plecami. Przezywali go od kłownów.

- Chyba bardzo go lubiłaś, Aggie.

Zarumieniła się tak nagle, jakby ją tym zdaniem uderzył i zostawił na twarzy czerwoną pręgę.

- Robił z siebie głupka, trudno. Lepsze to, niż gdy by wszczynał burdy. Ale dla mnie nie wysiłał się tak jak dla Anglików.

- Łączyło was coś więcej niż przyjaźń?

Pomyślał, że kobieta znów się zarumieni, ale ona odpowiedziała z godnością.

- Przyjaźniliśmy się. Tylko tyle. Nie podobały mi się te wygłupy, a poza tym miałam męża. - Przerwała. - Zawsze było mi trochę żal Kenny'ego. Grał w rodzeństwie drugie skrzypce. Cicha woda. Lawrence śmiał się, promieniał, wszystko na pokaz. - Spojrzała na Pereza. - Nie słuchaj mnie. Jestem niemądra.

Ale tamtego lata Kenny pracował na Fair Isle, pomyślał Perez. Oddalony o podróż łodzią albo samolotem.

- Powiedz mi, Aggie, czy Roddy dużo czasu spędzał wtedy w Biddista? Ile miał lat? Sześć? Siedem? W tygodniu chodził do szkoły w Lerwick, ale może przyjeżdżał na weekendy.

- Prawie na każdy. I czasami też w ciągu tygodnia. Już wtedy umiał owinąć sobie Bellę wokół małego palca. „Boli mnie brzuszek, ciociu. Nie mogę iść na lekcje”. A kiedy Alec leżał w szpitalu, chłopak przez pewien czas uczył się w Middleton. Tak, często przyjeżdżał, wciąż pałętał się po plebanii, płatał mi się pod nogami, gdy przygotowywałam dom dla gości.

- Pamiętasz kogoś, Aggie? Z tych Anglików, którzy pomieszkiwali u Belli?

- Tak naprawdę nigdy ich nie poznałam. Byli tacy pewni siebie i przemądrzali, że nie wiedziałam, o czym z nimi rozmawiać.

- Nigdy nie spotkałaś żadnego z nich ponownie?

- Jakim cudem?

- Dwóch wróciło - oznajmił Perez. - Jeden to Peter Wilding. Mieszka w domu po sąsiedzku. Przychodzi na pocztę. Nie zmienił się zbyt bardzo. Nie rozpoznałaś faceta?

- Nie - odparła natychmiast Aggie. - Jak miałabym sobie przypomnieć po tylu latach?

- I nigdy słowem o niczym nie wspomniał? Żadnej aluzji do starych czasów?

- Ani słowa. Zresztą, pewnie nie zwracał na mnie uwagi.

Ja tylko nalewałam drinki i zbierałam talerze. Pamiętałbyś twarz kelnerki, która obsługiwała cię przed piętnastu laty?

- Nie - przyznał Perez. - Raczej nie.

- A ten drugi gość, co wrócił? - wtrącił nagle Martin. Nie wyglądał teraz na żartownisia, który śmiał się na pogrzebie ojca.

- To Jeremy Booth, wisielec z szopy na molo. Też był tu tamtego lata.

ROZDZIAŁ 43

Perez wyszedł z domu Williamsonów i przystanął na ulicy. Było tak spokojnie. Wiatr przycichł z przyływem. Na wodzie niedaleko brzegu unosiła się rodzina edredonów. Cofnął się w stronę Herring House. Tam biegła dróżka, która prowadziła na wzgórze i potem do Skoles. W ten sposób uniknie paradowania pod domem Wildinga; nie chciał być obiektem podglądactwa pisarza. Ale może faceta wcale nie było w domu. Bo wybrał się na przykład do Buness, żeby nadzorować prace w nowym domu. Może Fran też tam jest, omawiają dobór podłóg i tapet, pomyślał Perez i przeszył go chłód niepokoju. Potem jednak stwierdził, że nie zachowałyby się tak głupio. Nie do czasu zakończenia śledztwa.

Wspinał się na oblane pomarańczowym światłem wzgórze, przy śpiewie skowronków i kulików. Nastawał już późny wieczór, bo olbrzymia piłka słońca staczała się za klify. Na ich szczycie rysowała się sylwetka, nierozpoznawalna z tej odległości. Gotycka postać na tle zachodzącego słońca.

Chociaż nie dostrzegał rysów i musiał mrużyć oczy pod światło, żeby w ogóle cokolwiek zobaczyć, wiedział, kto to taki. Nie był przygotowany na to spotkanie. Sprawy toczyły się szybciej, niż oczekiwał. Kusilo go, żeby się odwrócić, poczekać na Taylora, który może zdobędzie dowody. Ale postać stała na samej krawędzi klifu, na wąskim mostku łączącym rozpadlinę z morzem. Perez uznał, że tamto gorące lato przed piętnastoma laty pochłonęło już dość ofiar. Podczas wernisazu w Herring House pozwolił Boothowi wymknąć się wprost w objęcia śmierci i wciąż nękało go poczucie winy. A co dopiero będzie, jeśli nie zrobi nic, żeby powstrzymać od skoku postać na klifie?

Ruszył szybko trawą, skręcił kostkę na kępie wrzосу i zaklął pod nosem. Im bliżej krawędzi klifu, tym głośniejszy stawał się wrzask ptaków morskich i mocniejszy pomarańczowy blask. W końcu Perez odnosił wrażenie, że krzyk i światło wypełniają mu

całą głowę, nie zostawiając miejsca na myśli.

Kenny Thomson nie słyszał kroków Pereza. Najwyraźniej tak się zatopił w rozważaniach, że nie zauważyłby go nawet, gdyby towarzyszyła mu orkiestra dęta z Up Helly Aa. Stał tuż nad przepaścią, plecami do Wyrwy. Perez krzyknął do niego.

- Odsuń się, Kenny. Chodź tu, chciałbym z tobą porozmawiać.

Mężczyzna odwrócił się wolno.

- Dobrze mi, gdzie jestem. I nie mam nic do powiedzenia.
- Człowieku, przecież nie będę wrzeszczeć do ciebie taki kawał. Nie na taki temat. Nie o Lawrensie.

Kenny znów stanął tyłem do Jimmy'ego i gapił się w morze.

Perez pomalutku podszedł bliżej, czując, jak żołądek mu się skręca i wywraca. Teraz widział już fale rozbijające się o skały wysunięte w morze. Wydawało mu się, że ich ryk docierał na górę z dużym opóźnieniem. Przed oczami miał jeszcze Roddy'ego, jego ciało roztrzaskane na dnie rozpadliny. Potknął się i chociaż od krawędzi dzieliły go jeszcze metry, serce prawie mu stanęło. Poluzowany stopą kamyk potoczył się, podskakując na kamieniach, po czym zniknął w tumanach piany na dole.

- Kenny, nie dam rady do ciebie dojść. Dlaczego nie przyjdiesz i nie porozmawiasz ze mną?

Kenny wychwycił strach w głosie Pereza, bo pierwszy raz na niego spojrzał.

- Nie masz po co tu przychodzić.

Perez usiłował nawiązać z nim kontakt, odciągnąć mężczyznę od klifu gadaniem.

- Pamiętasz tamto lato, gdy pracowałeś na Fair Isle, Kenny? Przy porcie w North Heaven? Odkąd się spotkaliśmy, wciąż o nim myślę.

- Naprawdę? - Kenny zmarszczył brwi, odciągnięty na chwilę od własnych myśli. Może ucieszył się na tę przerwę.

- Jakiś czas mieszkałeś w domu moich rodziców, potem przeprowadziłeś się z powrotem do hotelu. Zastanawiałem się dlaczego.

- Czy twoja matka rozmawiała z tobą o mnie?

- Od tamtego czasu nie. Ale gdy mieszkałeś na wyspie, chyba cię lubiła. Mówiła o tobie same dobre rzeczy.

- Sądziłem, że ją kocham. Letnie szaleństwo. - Pauza. - Kochałem ją.

Perez znów poczuł skurcz żołądka, ale tym razem nie miało

to nie wspólnego z lękiem wysokości. Jego matka była jego matką. Nie kobietą, w której zakochiwali się mężczyźni. Nie odezwał się.

- Do niczego nie doszło - ciągnął Kenny. - Nie zostaliśmy kochankami, chociaż chciałbym. Dlatego wyprowadziłem się do hotelu. Mieszkanie razem w jednym domu doprowadzało mnie do szaleństwa. Nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Nie mogłem spać. Teraz wiem, że to nie miało przyszłości. Edith była kobietą dla mnie. - Wydał dziwny okrzyk, który utonął we wrzasku morskich ptaków.

- Czy mój ojciec domyślał się, co do siebie czujecie?

Kenny milczał, wydawał się znów zatopiony w myślach.

- Odsuń się od klifu. Moglibyśmy porozmawiać spokojnie. Nie o Fair Isle, o Lawrensie.

Perez zobaczył, że twarz mężczyzny ocieka łzami. W porannej świetle wyglądały jak roztopiona miedź. Wstrzymując oddech, patrzył, jak Thomson szlocha. Czuł, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi. Kilka kroków i facet znajdzie się za klifem.

- Nie rozumiesz? - zawołał Kenny. - Nie ma po co rozmawiać. Już nie.

- Chyba wiem, co się wydarzyło. - Perez usiadł. Gdy dotknął dłońmi szorstkiej trawy, wrócił mu od dech. - Chodź, Kenny. Usiądź tu ze mną.

Stał uparcie. Perez rozumiał, że go nie przekona.

- Kiedy to się zaczęło? - zapytał szybko, wykrzykując słowa. Modlił się, żeby Kenny go słuchał. - Czy Lawrence zawsze chciał tego, co twoje, Kenny? W dzieciństwie też?

- Był starszy i bystrzejszy ode mnie. Nic w tym złego.

- Podejdź tutaj - poprosił kolejny raz Perez.

Kenny zachwiał się z rozpaczy. Do tej pory zawsze taki spokojny, powściągliwy, nawet wycofany, teraz nie panował nad emocjami, nieświadomy bliskości przepaści. Jeśli postoi tam dłużej, prędzej czy później spadnie. Perez starał się zachować łagodny ton, mówić tylko na tyle głośno, żeby przekrzyczeć wrzask mew.

- Ale odebrać ci Edith... To nie było w porządku, prawda? Kenny odrzucił głowę do tyłu.

- Jakie to ma teraz znaczenie? Nie rozumiesz, człowieku. To już koniec.

Coś kazało Perezowi pochylić się i spojrzeć w dół, na usłaną

kamykami plażę u podnóża klifu. Leżała tam mała, biała postać.
Edith. Żona Kenny'ego. Jego miłość.

ROZDZIAŁ 44

Kenny przykucnął i schował głowę w dłoniach. Perez powolutku wstał. Z wzrokiem utkwionym w plechach Kenny'ego krok po kroku posuwał się po kamiennym moście, nie pozwalając sobie zerknąć w przepaść, omiatany ze wszystkich stron pędem powietrza. W końcu znalazł się tuż za Thomsonem. Położył ręce na jego ramionach, pomógł mu wstać i odciągnął go od krawędzi klifu. Potem razem poszli w milczeniu do Skoles.

W domu Kenny zaprowadził Jimmy'ego do salonu. Widocznie uznał, że rozmowa wymaga bardziej oficjalnego otoczenia niż kuchenne, chociaż salon z dużym oknem wychodzącym na zatokę, baranicami na podłodze i wygodnymi fotelami nie bardzo przypominał pokój przesłuchań. Na kominku stały zdjęcia dzieci Thomsonów, uśmiechniętych, szczerbatych. I fotografia ślubna. Kenny nadal milczał. Perez wiedział, że powinien zadzwonić, dać znać Royowi Taylorowi, zorganizować zabranie ciała Edith, ale to wszystko mogło poczekać.

- Napijesz się, Jimmy? - Kenny, choć bardzo błądy i spięty, był już całkiem opanowany. Jakby atak rozpaczy na klifie nigdy się nie zdarzył.

Perez skinął głową. Kenny wyciągnął z szafki obok kominka butelkę Highland Park i napełnił dwie szklaneczki. Siedzieli i wpatrywali się w siebie.

- Próbowałem powstrzymać Edith - odezwał się w końcu Kenny. - Ale po prostu wyśliznęła mi się z rąk.

Zamknął oczy.

Obraz przestępującej krawędź klifu Edith nigdy go nie opuści, pomyślał Perez.

- Kiedy się zorientowałeś, że Edith i Lawrence mieli romans? Od razu?

- Nie - odparł Kenny. - Nawet nie przyszłoby mi to do głowy. Nie na Fair Isle. Zbyt mocno pochłaniały mnie własne sprawy. A ty jak się dowiedziałeś? Edith ci powiedziała?

- Dobrze wiesz, że nigdy by tego nie zrobiła. Trzymała to w sekrecie. Za wiele miała do stracenia.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że Lawrence zwróci na nią uwagę. Cicha i skromna. Nie była nawet szczególnie ładna. Ale może to właśnie mu się podobało. Jej spokój. Determinacja. Mógł mieć pretensjonalną Bellę, ale widocznie uznał, że nie tego chce.

- A nie dlatego pragnął Edith, że należała do ciebie, Kenny? Nie o to chodziło? O braterską zazdrość. Rywalizację.

- Nie. Nie sądzę. Nie chciał mi sprawić bólu. Po prostu nie mógł się oprzeć.

- Skąd wiesz?

- Nie wiem. Nie mam pewności. Tak myślę... albo tak wolę myśleć. - Słońce opadało coraz niżej, przepołowione linią horyzontu, z obrysem rozmytym przez strzępki fioletowej chmury. Światło stało się teraz bardziej miękkie, nie tak ostre. - Skąd się o nich dowiedziałeś, skoro nie od Edith?

- Wywnioskowałem z tego, co mówili ludzie. - Perez wypił łyk whisky. - Edith też coś napomknęła. Że Lawrence był jak Roddy, musiał mieć zawsze na podorędziu kobietę. Wiedziałem, że spędził całe tamto lato w Biddista. Nie spotykał się z Aggie ani z Bellą, więc zostawała Edith. A dziś wieczorem Aggie powiedziała mi coś takiego: „Zawsze było mi trochę żal Kenny'ego, grał w rodzeństwie drugie skrzypce”.

- Cała dolina o tym wiedziała? - Kenny nie krył złości.

- Bez szczegółów - pocieszył go Perez. - Ale to, że Lawrence lubi Edith, wiedzieli wszyscy. Tylko ty i Bella żyliście w nieświadomości, choć myślę, że Bella coś podejrzewała. Duma nie pozwalała jej widywać się z Edith. - Przerwał. - A ty, Kenny? Jak się dowiedziałeś?

- W końcu też do tego doszedłem. Spotkałem się z Wildingiem. Pamiętał co nieco z tamtych wydarzeń. Ciągłe imprezowali. Niemożliwe, żeby ani razu nie rozmawiał z Lawrence'em. A mój brat po pijaku zawsze stawał się sentymentalny. Masz rację: Wilding próbował powiedzieć Belli, że Lawrence się nią nie interesuje, ale nie chciała przyjąć tego do wiadomości.

- Jeremy Booth też musiał wiedzieć. - Perez upił kolejny łyk whisky. Później trzeba spisać oświadczenie. Teraz pragnął tylko poukładać sobie poszczególne elementy w głowie.

- Booth był na wzgórzach, gdy Lawrence zginął w Wyrwie - powiedział Kenny. - Widział, co się stało.

- A co się stało, Kenny? Edith wyznała ci prawdę?
- Był środek lata, parna, gorąca noc. Duszna. Wieczór wielkiego przyjęcia na plebanii. Podczas gdy inni przebierali się w wymyślne stroje i zakładali maski, Lawrence poprosił Edith o spotkanie na wzgórzu. Na pewno jej to pochlebiało. Dlatego się w nim zakochała. Lawrence, mężczyzna, którego pożądały kobiety, pragnął tylko jej. Powiedział, że musi z nią porozmawiać. Tak czy inaczej, zostawiła dzieci pod opieką mojego ojca i poszła na schadzkę. Usłyszała, że oświadczył Belli, iż nigdy jej nie pokocha, nie ożeni się ani nie założy z nią rodziny. „Powiedziałem jej, że wyruszam w podróż, zostawiam Szetlandy”. Błagał Edith, żeby z nim wyjechała. „Idź po dzieci. Wieczorem pojedziemy do Sumburgh i złapiemy pierwszy lot na południe”. Cały Lawrence. Zero praktyczności, ani słowa o tym, gdzie zamieszkają.

- Ale ona została?

Kenny spojrział na Pereza. Jakby zapomniał o jego obecności.

- Tak. Lubiła jego towarzystwo, może nawet myślała, że go kocha. Ale była moją żoną. Rozmawiając, szli na wzgórze i stanęli tuż przy Wyrwie. Próbował objąć Edith. Przestraszyła się, że jeśli jej dotknie, to może nie zdoła się oprzeć, podda się i z nim wyjedzie. - Po raz pierwszy w głosie Kenny'ego zabrzmiała gorycz. - Zawsze tak działał na kobiety.

- I co się stało?

- Odepchnęła go, zsunął się do rozpadliny. Uderzył głową o kamienie na dole. Zeszła i zobaczyła, że Lawrence nie żyje. Wciągnęła go do tunelu, żeby nie było go widać z góry. Była silna. W zagrodzie pracowała nie gorzej ode mnie. - Zamilkł. - Szczury, ptaki i przyptływy zrobiły swoje.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Czy tamtej nocy Jeremy Booth powiedział Edith, że wie o Lawrensie?

Kenny pokręcił głową.

- Zobaczyła go, gdy wspięła się na górę po tym, jak ukryła ciało. Stał u podnóża wzgórza i na nią patrzył. Miała nadzieję, że nie zauważył przepychanki. Następnego dnia zniknął. Pewnie uznała, że na tym koniec.

- Że ujdzie jej na sucho?

- Tak. Ale nie uszło. Każdego lata nie sypiała po nocach. Sądziłem, że to z powodu światła, ale ona myślała o Lawrensie.

- Odstawił szklaneczkę. - Powinna mi powiedzieć. Co myślała? Że ją znienawidzę?

- Kiedy Booth się z nią skontaktował?

- Kilka tygodni temu przysłał jej maila. Na adres służbowy, ale odebrała pocztę w domu. Zawsze wieczorami pracowała przy komputerze. Zobaczył ją w filmie o Roddym, Belli i Biddista. Wspomnieli, że Edith pracuje w ośrodku opieki, i zrobili z nas bogatszych, niż jesteśmy. Oznajmił, że potrzebuje pieniędzy. Żeby dać córce. Nadrobić stracone lata. - Popatrzył na Perezę. - A co z moją córką? Co jej powiem?

Perez pokręcił głową na znak, że nie zna odpowiedzi.

- Potem zjawił się u niej w pracy. Wyobrażasz sobie, jaki to musiał być dla niej szok? Myślała, że Booth jest w Anglii, a on zjawił się w ośrodku, twierdząc, że jest starym znajomym Willy'ego, w ogóle do siebie niepodobny. Gdy go spotkała, gawędził ze staruszką. - „Wiesz, co się stało, prawda, Willy?” - mówił. „Albo przynajmniej się domyślasz”. Ale Willy nie chciał z nim gadać.

- Willy wspomniał mi, że wypytywał go Anglik. Z początku myślałem, że chodzi o Wildinga. Gdy zdałem sobie sprawę, że jednak o Boothę, zacząłem się zastanawiać, dlaczego Edith nawet nie napomknęła o tych odwiedzinach. I co zdarzyło się potem?

- Booth poinformował, że jedzie do Biddista na wernisaż. Zamierzał urządzić scenę, zrobić zamieszanie, upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Uważał Bellę za nadętą krowę. Zaprosił go do domu, a potem nim pomiatała. Nie zaszkodziłoby, gdyby dostała nauczkę. Booth chciał się odegrać. Maską, przebranie, nieźle się musiał bawić. Edith nie pytała go, po co tam idzie. Chciała tylko, żeby jak najszybciej zniknął z ośrodka. Zapowiedział, że pieniądze odbierze wieczorem. Mieli się spotkać w szopie na molo. - Kenny wstał i dołał whisky do szklaneczki Perezę i swojej.

- Dlaczego mu nie zapłaciła? - zapytał cicho Perez.

Kenny wzruszył ramionami.

- Po prostu mu nie ufała. Mógł wrócić po więcej. Była oburzona. Ciężko pracowaliśmy, żeby się dorobić. Tak powiedziała, ale wiem, że nerwy miała w strzępach. Po tych bezsensownych nocach. Nie potrafiła logicznie myśleć. - Zaciśnął dłonie na szklance, ale dalej się trzęsły. Z trudem panował nad głosem. - Czekala na niego po ciemku w szopie. Zabrał z plaży torbę i

nałożył tę idiotyczną maskę. Znowu udawał głupka. Może chciał ją przestraszyć. Czy by go udusiła, gdyby widziała twarz? W tej masce nie przypominał człowieka. Nie jestem pewny. Kiedy już coś postanowiła, doprowadzała rzecz do końca. Zaskoczyła go w ciemności, udusiła od tyłu. Upozorowała samobójstwo i wróciła do ogrodu, zanim zszedłem ze wzgórza.

Przerwał i popatrzył smutno na Pereza.

- Nie miałem o tym wszystkim pojęcia. Tyle lat żyliśmy razem, a ja nawet się nie domyślałem.

- Ale dlaczego zginął Roddy? Tamtego feralnego lata był jeszcze chłopcem.

- Widział Edith, jak wracała z mołu tej nocy, kiedy umarł Booth. Wyglądał przez okno Herring House.

- No tak. Sam go zauważyłem.

- Nic nie podejrzewał, dopóki nie zaczęła mówić, że nie opuszczała Skoles. To go zaczęło nurtować. Poszedł do ośrodka odwiedzić Willy'ego i rzucił coś, co ją wystraszyło. „Co robiłaś na plaży, Edith? Z kim widziałas się tamtej nocy?” Opowiedziała mu jakoś historyjkę, ale najwyraźniej jej nie uwierzył.

Może, pomyślał Perez, wróciła mu pamięć czegoś, co widział w dzieciństwie, tak jak Belli.

- Więc jego też zabiła.

- Tak - odparł Kenny. - Jego też. Biedny chłopak. Cokolwiek o nim myślałem, nie zasłużył na to. Powtarzała, że przypomina jej Lawrence'a. Namówiła go na spotkanie nad Wyrwą i zabiła go tak jak mojego brata. W ośrodku opieki powiedziała, że jedzie na wizyty domowe.

- Wiem. Sprawdziłem.

Kenny odstawił whisky, schował głowę w rękach i znowu zaczął płakać.

ROZDZIAŁ 45

Tym razem spotkali się u Pereza, w domu, który Taylorowi zawsze przypominał bardziej Łódź, z tym pluskaniem wody o ściany i mewami na dachu. Perez parzył kawę, a Taylor wykrzykiwał do niego, leżąc w salonie na podłodze. To przez plecy, wyjaśnił. Miał nawracające problemy z kręgosłupem. Stary sportowy uraz. Dlatego czasami tylko tak było mu wygodnie.

- Powiniennem na to wpaść - krzyknął. Zdawał się wściekły na siebie. - W domu Bootha znaleźli zdjęcie Edith i Lawrence'a. Przesłali mi mailem z West Yorkshire. Tych dwoje wyglądało na bardzo zaprzyjaźnionych. Gdybym się zorientował, że mieli romans, pierwszy rozwiązałbym zagadkę. Przeszukanie domu zostawiłem miejscowym chłopcom. Oczywiście uznali, że zdjęcie jest bez znaczenia.

Wszedł Perez, niosąc tacę z kafeterką, kubkami i paczką czekoladowych herbatników.

- Kto by pomyślał, co? - Taylor trochę ściszył głos. - Taka drobna kobieta. - Usiadł, wziął z tacy kubek.

- Ale silna. Pomagała Kenny'emu w zagrodzie, a w ośrodku opieki pewnie często musiała dźwigać pacjentów. Booth nie spodziewał się ataku. Z drutem owiniętym wokół szyi nie miał szans na długą walkę. A upozorowanie samobójstwa to jeszcze mniejszy problem.

- Musiała wierzyć, że wykręci się od kary. Nawet gdyby po latach znaleziono te kości, nikomu nie przyszedłoby do głowy, że chodzi o morderstwo.

- Ludzie byli przekonani, że Lawrence zniknął, bo miał złamane serce - ciągnął Perez. - Powiedział Belli, że wyjeżdża. Wszyscy myśleli, że przez nią, a jej to odpowiadało. To dumna kobieta. Kenny pracował wtedy na Fair Isle, więc nikt tutaj nie dociekał, nie sprawdzał, czy Lawrence naprawdę wsiadł na prom. Kiedy Kenny wrócił, ta wersja już się utrwaliła, więc w

nią uwierzył: Lawrence wyjechał, bo Bella odrzuciła jego oświadczenia.

Niektórzy w Biddista znali jednak prawdę, stwierdził w duchu Perez. A przynajmniej podejrzewali. W takim miejscu trudno utrzymać jakikolwiek związek w tajemnicy. Ale podejrzania zachowali dla siebie. Trudno to uznać za spisek, bo o tym nie rozmawiano. Lawrence zniknął i nikt nie zadawał pytań. Nie chcieli wiedzieć. Na Szetlandach to czasami jedyny sposób na przetrwanie. Perez doszedł do wniosku, że Willy mógł odgadnąć prawdę, ale pragnął chronić Kenny'ego. Podwiózł Bootha na prom w wieczór po zabójstwie Lawrence'a.

- Co sprowadziło tu Bootha po tylu latach? - Taylor wciąż siedział na podłodze, z wyciągniętymi przed siebie nogami.

- Chciwość - odparł Perez. - Właśnie odnalazła się jego córka i zamierzał nadrobić stracony czas. Albo może dać jej wspaniały prezent, żeby go pokochała. Jego biznes kulał jak zwykle; walczył o przetrwanie i nie miał zbędnej gotówki. Wtedy zobaczył w telewizji film dokumentalny, który pokazywał Kenny'ego i Edith jako posiadaczy ziemskich i tak to sobie wykombinował.

- Dlaczego nie próbował jej szantażować od razu po śmierci Lawrence'a?

- A jaki miałyby to sens? Thomsonom się nie przelewało. Dopiero ostatnio trochę się odkuli. Chciał zapomnieć o pobycie tutaj. Bella go sponiewierała i uciekł po imprezie. Poza tym myślał, że Willy mógł go odstraszyć. W tamtych czasach był z niego kawał chłopca i na pewno dopilnował, żeby Booth odpłynął na południe.

- Ale wrócił i Edith postanowiła, że nie zapłaci.

- Dorastała w biedzie - wyjaśnił Perez. - Nie miała zamiaru oddawać ciężko zarobionych pieniędzy szantażyście. Nawykła panować nad sytuacją i dotrzymywać tajemnic. Wierzyła, że się wywinie. - Siedział na parapecie i patrzył na morze.

- A amnezja? Po co to było?

- Ta histeria na przyjęciu to pomysł Bootha, żeby zrobić Belli na złość. Nie spodziewał się, że zajmie się nim gliniarz, a ja od razu mu powiedziałem, czym się zajmuję. Na pewno nie chciał tłumaczyć, po co przyjechał do Biddista. Wymówił się amnezją, żeby nie odpowiadać na moje pytania.

- A co ma do tego wszystkiego Wilding?

- Nic. Jest tak zaaferowany swoimi historyjkami i nowym

domem, że o niczym innym nie myśli. Rozmawiał z Willym, ale o starych podaniach ludowych. Zbierał materiał do nowego cyklu książek. Tylko tyle.

Taylor wstał i odstawił kubek na tacę. Zmarszczył brwi.

- Znów ci się udało - mruknął. - Pierwszy rozwiązałeś zagadkę.

- Mieszkam tu - odparł Perez. - W Inverness nawet nie wiedziałbym, od czego zacząć.

Taylor chciał chyba coś dodać, ale tylko się uśmiechnął.



Dwa dni później Perez odwiózł Anglika do Sumburgh. Fran zabrała się z nimi. Kiedy zapowiedziano lot Taylora, poszła kupić kawę, zostawiając ich w poczekalni samych. Taylor podniósł bagaż i ruszył do kolejki, potem się odwrócił.

- Nie zamierzałem ci mówić - powiedział nagle. - Ale zmieniam pracę. Dostałem ofertę od head huntera. - Posłał mu swój wilczy uśmiech. - Wyobrażasz sobie? Wracam do Liverpoolu, żeby kierować wydziałem poważnych przestępstw. Nie chciałem przyjmować tej posady. Za blisko domu, za dużo złych wspomnień. Ale już nigdy nie chcę pracować tutaj. Ta pogoda, to światło. Jeszcze jedno dochodzenie i zgłupieję jak wy wszyscy.

Uśmiechnął się na znak, że to żart, i zniknął w drzwiach. Patrzyli przez szybę, jak idzie asfaltem, ale nie obejrzał się ani nie zamachał.

- Masz ochotę na mały spacer albo kawę? - Jechali na północ samochodem Pereza. Zastanawiał się, jak się oświadczyć Fran, i pytanie zabrzmiało trochę głupio, ni z gruszki, ni z pietruszki.

- Jasne.

- Może wstąpimy do Biddista.

- Niby po co? - spytała Fran. - Dochodzenie się skończyło.

Nie musisz.

- A jednak...

- Naprawdę uważasz, że chcą cię oglądać?

- Mają pytania - odparł.

- To arogancja uważać się za niezastąpionego.

Powiedziała to jednak życzliwie, więc założył, że się zgadza. Był jej wdzięczny. Wolałby nie iść sam.

Zaparkowali przy Herring House i zanim weszli do środka, przystanęli na moment i patrzyli na plażę. W kawiarni nie było klientów, przy stoliku siedział Martin ze swoją matką i cicho rozmawiali. Aggie zauważyła ich i urwała w pół zdania. Perez skinął im głową.

- Przykro mi - powiedział. - Że wszystko tak wyszło.

Przez dobrą chwilę tylko wpatrywali się w niego. Zastanawiał się, czy już tak zostanie, że nikt w Biddista nie będzie z nim rozmawiał.

- Właśnie powiedziałam Martinowi - odezwała się Aggie. - Nie wiedziałam, co stało się z Lawrence'em. Nie na pewno. Wiesz, jak tu jest, Jimmy. Są sprawy, o których nie chce się wiedzieć. Ale czuję się strasznie winna.

Zapadło krótkie milczenie, po czym Martin wstał i przyjął od nich zamówienie. Nagle znów zrobiło się normalnie. Jakby na nowo puszczone zatrzymany film. Jakby byli tylko turystami, którzy wpadli na kawę.

- Ingrid z mężem wracają do Skoles - powiedziała Aggie. - Dotrzymać towarzystwa Kenny'emu. Dziewczyna lada dzień spodziewa się dziecka. Dobrze będzie mieć więcej dzieci w Biddista.

Perez przypuszczał, że Aggie myśli też o swoim nowym wnuku.

- Szkoda, że Willy już nie zabierze ich na łódź.

- Może - odparła. - Ale tamte stare czasy wcale nie były takie wspaniałe. - Uśmiechnęła się do niego. - Zabieraj się do domu, Jimmy. W taki dzień jak dziś masz lepsze rzeczy do roboty. Poradzimy sobie bez ciebie.

Fran wzięła go pod rękę. Na nagiej skórze poczuł jedwabisty materiał jej rękawa. Odwróciła się i posłała mu uśmiech.

- Tak, chodźmy do domu, Jimmy - powiedziała. - Mamy lepsze rzeczy do roboty.